









JOHN GALSWORTHY

PRZEBUDZENIE / DO WYNAJĘCIA

SAGA RODU

FORSETÓW

PRZEBUDZENIE  
DO WYNAJĘCIA

WYDAWCA



339621

JOHN GALSWORTHY

SAGA RODU

FORSYTÓW

III.

PRZEBUDZENIE  
DO WYNAJĘCIA

PRZEKŁAD

JÓZEFA BIRKENMAJERA

1930

---

TOWARZYSTWO WYDAWNICZE „RÓJ“  
WARSZAWA



504429

~~ANULOWANO~~

19602



nr. 1721

Zakłady drukarskie i wydawnicze Karola Prochaski w Cieszynie



INTERLUDJUM:  
PRZEBUDZENIE



INTERDICTUM  
PRÆSENTIA

## PRZEBUDZENIE

Słońce lipcowe, wdzierając się do hallu w Robin Hill poprzez grube „górne okno“, usłało swój blask akurat w tem miejscu, gdzie zaczynał się skręt szerokiej klatki schodowej. Pośrodku tej smugi świetlnej stał mały Jon Forsyte w błękitnem ubranku płóciennem. Włoski gorzały mu w tem oświetleniu; gorzały mu i ślepki pod brwią poważnie zmarszczoną, bo oto malec — jak to już czynił wpierw niezliczone razy, w oczekiwaniu na przyjazd ojca i matki — zastanawiał się nad tem, jak dostać się po schodach nadół. Czy przebyć cztery schody jednym skokiem, a pięć dalszych... na siedzeniu? To już przestarzałe! Po poręczy? Ale w jaki sposób? Na buzi, nogami wprzód? To już bardzo przestarzałe! Na brzuszku, boczkiem? Marny widok! Na plecach, rozkrzyżowawszy ramiona w dwie strony? Nie wolno! A może na buzi, głową wprzód, w sposób nieznanym dotąd nikomu, jak tylko samemu chłopcu?... Taki był powód zmarszczki na osłonecznionem czole małego Jona.

W owym czasie — t. j. w lecie 1909 r. — różne prostoduszne istoty, noszące się właśnie z myślą uproszczenia mowy angielskiej, nie wiedziały nic, rzecz prosta, o małym Jonie, w przeciwnym bowiem razie dawnoby się doń przyznały, jako do swego ucznia. Jednakże na tym świecie można wszystko aż nadto uprościć — bo oto prawdziwe imię chłopca brzmiało Jolyon, a jego żyjący ojciec i zmarły brat przyrodni zdawna już za-

garnęli dla siebie dwa inne skrót: Jo i Jolly. Trzeba nadmienić, że mały Jon czynił co było w jego mocy, by przełamać umowę, wymawiając swe imię najpierw Jhon, później zaś John; brzmienie Jon przyswoił sobie dopiero wówczas, gdy ojciec wytłumaczył mu niezbędną tego konieczność.

Ojciec ten dotąd posiadał tylko część jego serca — część niezajętą jeszcze przez lokajczyka Boba, co grywał na harmonji, i przez niańkę, zwaną „Da“, co w niedzielę i święta nosiła fioletową suknię, a w życiu prywatnem, jakie dopadkami prowadzą i słudzy domowi, nosiła dostojne nazwisko Spraggins. Matka ukazywała się chłopakowi jedynie na podobieństwo zjawy sennej — owiewając go rozkosznym zapachem, gładząc mu główkę przed samem zaśnięciem, a czasami przycinając mu włoski o złoto-brązowym kolorze. Gdy sobie rozbił czoło o piec w dziecinnym pokoju, przyszła zatamować krew płynącą; gdy dręczyły go zmyry, siadała na jego łóżku i przytulała jego główkę do swej szyi. Była bardzo miła, ale daleka — ponieważ „Da“ była tak bliska, a w sercu mężczyzny trudno naraz pomieścić więcej niż jedną kobietę. Z ojcem, trzeba przyznać, łączyły go też węzły szczególnej wspólnoty — mianowicie mały Jon roił sobie, że, gdy podrośnie, zostanie również malarzem, z tą tylko maleńką różnicą, iż nie będzie malował obrazów, jak ojciec, ale ściany i sufity, stojąc na desce pomiędzy dwiema drabinami, przepasany zapakany fartuchem i owiany miłym zapachem świeżego bielidla... Poza tem ojciec brał go z sobą do Richmond Park'u, gdzie chłopak mógł jeździć na kucyku, zwanym — dla swej maści — Myszką.

Mały Jon urodził się, jak to mówią w Anglii, z „srebrną łyżką w buzi“ — może trochę za wielką i zbyt wygiętą. Nie zdarzyło mu się słyszeć, by ojciec lub matka odzywali się tonem gniewnym wzajem do siebie, do siebie

samych lub do osób innych; lokaj Bob, kucharz, Jane, Bella i inne służące, a nawet „Da“ — jedyna osoba, utrzymująca w ryzach tryb życia chłopaka — mieli szczególny ton głosu, gdy przemawiali do niego. Był przeto święcie przekonany, że świat jest siedliskiem doskonałej a nieustającej grzeczności i swobody.

Jako dziecko r. 1901, do świadomości zaczął przychodzić naówczas, gdy jego kraina, akurat po owym przykrym ataku szkarlatyny, jakim była wojna z Burami, przygotowywała się do liberalnego odrodzenia, przypadającego na rok 1906. Surowość nie była w modzie, a rodzice byli rozegzaltowani na punkcie dawania zupełnej, niczem nieskrępowanej swobody swemu potomstwu. Poniszczyli przeto różgi, oszczędzali dzieci i zgóry już entuzjastycznie przewidywali wspaniałe rezultaty tej metody. Poza tem mały Jon postąpił dobrze i rozsądnie, wybierając sobie za ojca miłego mężczyznę lat pięćdziesięciu dwóch, który poprzednio stracił jedynego syna, a za matkę kobietę lat 38, której był synem pierworodnym i jedynym. Jeżeli nie został czemś pośredniem pomiędzy pinczerkiem domowym a małym mądralą, zawdzięczał to uwielbieniu, jakie ojciec okazywał jego matce — albowiem nawet mały Jon mógł zauważyć, że była ona nie samą tylko jego matką, oraz, że wobec niej on sam grał tylko drugie skrzypce w sercu ojca. Jaką odgrywał rolę w sercu matki, tego jeszcze nie mógł się dorozumieć. Co się tyczy „cioci“ Juny — przyrodniej siostry, tak jednakże już dorosłej, iż przestała wszelkie pokrewieństwo — ta, trzeba jej to przyznać, kochała go, atoli była zbyt obcesowa. Także i ukochana „Da“ miała gusta spartańskie: kąpiel przyrzadzano mu chłodną, kolanka miewał odsłonięte, a nigdy nie pobudzano go do roztkliwiania się nad sobą. Gdy szło o utrapioną kwestję wychowania, mały Jon podzielał zdanie tych, którzy uważali, że dzieci nie na-

leży do niczego przymuszać. Czuł znaczną sympatję do mademoiselle, która codziennie przez dwie godziny uczyła go języka francuskiego, historii, geografji i czterech działań. Nie przejmowały go wstrętem i lekcje gry na fortepianie, udzielane mu przez matkę, ta bowiem umiała powabnie zachęcić go do coraz nowych melodyjek, nigdy nie każąc mu ćwiczyć się w takiej, która nie sprawiała mu przyjemności — tak iż chłopak wciąż był żądny nabierania coraz to większej wprawy w niezgrabnych wpierych paluszkach. Pod okiem ojca uczył się rysować świnki i inne zwierzątka. Nie był wspaniale edukowanym chłopięciem. Jednakże — ogółem rzecz biorąc — srebrna łyżka<sup>1)</sup> tkwiła nadal nieuszkodzona w jego buzi, chociaż „Da“ niekiedy wyrażała się, że inne dzieci „dobrze mu się jeszcze przysłużą“.

Jakież to było rozczarowanie, gdy pewnego razu — a było to bodajże w siódmym roku jego życia — narpał się czegoś takiego, co się jej nie podobało, ona zaś, krusząc jego opór, położyła go na obie łopatki! Ten pierwszy hamulec, nałożony nieskrępowanej indywidualności Forsyte'a, pobudził chłopca niemal do wściekłości. W nieopisanej bezradności położenia, oraz niepewności, na czym się to jeszcze wszystko skończy, było coś przerażającego. A gdyby tak ona nigdy już nie dała mu powstać! Przez pięćdziesiąt sekund głos chłopca, dochodzący najwyższego napięcia wysokości, świadczył o ogromie doznawanej męczarni. Najgorszą jednakże rzeczą było przekonanie, że „Da“ przez cały czas uświadamia sobie udrękę strachu, jaką on ponosi... aż tu — o okropności! — unaoczniał mu się niepojęty brak wyobraźni w jestestwie człowieczem! Gdy dano mu po-

<sup>1)</sup> *Born with silver spoon in mouth* — urodzony ze srebrną łyżką w ustach — wyrażenie angielskie, oznaczające wróżbę przyszłych dostatków, oczekujących niemowlę (jak u nas „urodzony u czepku“). Jedną z książek Galsworthy'ego nosi tytuł „The silver spoon“ (Srebrna łyżka). — Przep. tłum.

wstać, był nadal przekonany, że „Da“ popełniła rzecz straszną. Chociaż nie pragnął uskarżać się na nią, jednakże obawa, iż coś podobnego może się jeszcze powtórzyć, kazała mu szukać matki i oznajmić jej:

— Mamusiu, nie pozwól, żeby „Da“ miała jeszcze kiedy tak mnie przyciskać!

Matka, wznosząc nad głową ręce, w których trzymała dwa sploty włosów — *couleur de feuille morte*, jak mały Jon nie nauczył się jeszcze ich nazywać — spojrziała nań oczyma, podobnymi do skraweczków jego brunatnej sukienki welwetowej, i odrzekła:

— Nie, syneczku, nie pozwolę.

Z tego jej wystąpienia w charakterze bóstwa opiekuńczego mały Jon wielce był zadowolony i uspokoił się na duchu, zwłaszcza gdy w czasie śniadania posłyszał z pod jadalnego stołu — gdzie właśnie oczekiwał obiecane mu grzybka — jak przemawiała do ojca:

— A więc czy *ty* powiesz „Da“, mój drogi, czy też *ja* mam to uczynić? Ona jest tak do niego przywiązana...

Na to zaś odpowiedział ojciec:

— Rzeczywiście, nie powinna postępować w ten sposób. Wiem doskonale, jakie to uczucie, gdy się kogoś położy na plecy. Żaden z Forsytów nie zniesie tego ani przez minutę.

Zdając sobie sprawę, że rodzice nie wiedzą o jego bytności pod stołem, mały Jon wpadł w nowe zakłopotanie i nie ruszył się z miejsca, pomimo iż miał wielką oskome na skosztowanie grzybka.

Takie było pierwsze jego zanurzenie się w czarnej otchłani istnienia. Od tego czasu nie miewał już żadnych rewelacyj — aż dopiero pewnego dnia, gdy poszedłszy do obory, by napić się mleka wprost od krowy, udojonego właśnie przez Garratta, ujrzał cielątko Krasuli... nieżywe! Dając folgę nieutulonej żalości, udał się w to-

warzystwie zaniepokojonego Garratta na poszukiwanie „Da“; naraz jednak spostrzegłszy, że nie była ona osobą, jakiej mu było potrzeba, pomknął co tchu, szukać ojca — i wpadł w rozwarte ramiona matki.

— Cielątko Krasuli zdechło! Och! och! Takie było miękkie!

Uścisk matki i jej słowa:

— Ależ, dziecko, uspokój się, uspokój! — utuliły go w płaczu. Lecz jeżeli cielątko Krasuli mogło zdechnąć... tedy mogło się to samo przydarzyć każdemu stworzeniu... nietylko pszczołom, muchom, chrząszczom i kurczątkom... i każde mogło stać się również miękkie! Jakaż to była rzecz straszna... i jak rychło poszła w niepamięć!...

Następną przygodą i to bardzo bolesną — którą matka pojęła znacznie lepiej niż „Da“ — było przygniecenie czy raczej „przysiedzenie“ wielkiego trzmiela. Potem już przez cały rok nie było ważniejszych zdarzeń aż do czasu, gdy, po dniu okropnego przygnębienia, chłopak zakosztował choroby, na którą złożyły się: wysypka, łóżko, łyżka z miodem i mnóstwo mandarynek. Było to wtedy, gdy cały świat nagle rozkwitł przed oczyma chłopaka. Stało się to za sprawą ciotki Juny; albowiem ledwo Jon stał się „kulawem kaczątkiem“, ona w te pędy przybyła z Londynu, przywożąc z sobą różne książki, które w dzieciństwie karmiły jej wikingowską duszę, urodzoną w pamiętnym roku 1869. Książki te, sędziwe i wielobarwne, były przeładowane przeokropnemi zdarzeniami. Ciotka czytała je małemu Jonowi, póki wkońcu nie pozwolono i samemu ich czytać; wtedy związała zpowrotem do Londynu, pozostawiając mu cały stos tej lektury. Ta strawa wywoływała stopniowy ferment w jego wyobraźni, aż wkońcu nie myślał już i nie śnił o niczem, jak tylko o miczmanach, okrętach arabskich, piratach, tratwach, handlarzach drzewa sandałowego, ma-



szynach parowych, rekinach, bitwach, Tatarach, czerwonoskórych Indjanach, balonach, biegunach północnych i innych szaleńczych rozkoszach. Gdy pozwolono mu wstać, natychmiast olinował i omasztował swoje łóżko — od kasztelu przedniego aż po rufę — poczem odbił od okrętu i płynął w wąskiej wanience po zielonych przestworach dywanu, aż dotarł do pewnej skały, na którą wdarł się przy pomocy antabek wystających z jej mahoniowych szuflad, aby, przytknąwszy do oka szklankę do picia wody, rozejrzeć się po widnokręgu, azali gdzie nie widać zbawczych żagli. Później sporządził — na dzień tylko jeden, niestety — tratwę z wieszaka na ręcznik, tacki od herbaty, oraz z kilku poduszek. Gdy przyniesiono mu kompot ze śliwek francuskich, nie wypił soku, ale zlał go do próżnej butelki od lekarstwa i otrzymanym stąd rumem zaopatrzył tratwę, postarawszy się też i o konserwy mięsne, sporządzone z niedojedzonych ogryzków kurczęcia, utłuczonych i wysuszonych nad ogniem, oraz o kwas cytrynowy przeciwko skorbutowi, powstały z wywaru skórek pomarańczowych oraz z odrobiny zaoszczędzonego soku pomarańczowego. Innego dnia zrobił biegun północny ze wszystkich swych betów i pościeli, z wyjątkiem materacyka, i dotarł do niego na łódce z kory brzozonej (w codziennem życiu była to krata od kominika) po krwawem starciu z białym niedźwiedziem, utworzonym z materacyka i czterech kregli przybranych w szlafrok „Da“. Wkrótce potem ojciec, pragnąc ustatkować wyobraźnię chłopca, przyniósł mu „Ivanhoe“, „Bevis“, książkę o królu Arturze i „Lata szkolne Tomka Browna“. Jon wziął się do pierwszej z nich, poczem przez trzy dni budował, bronił i zdobywał zamek Front de Boeuf'a, grając w tem widowisku kolejno każdą rolę z wyjątkiem Rebeki i Roweny; nie brakło i przerażliwych okrzyków: *En avant, de Bracy!* — i in-

nych podobnych odgłosów. Po przeczytaniu książki o królu Arturze stał się niemal wyłącznie Jmć panem Lamorac de Galis, bo choć tam o nim w książce było niewiele, jednakże miano jego bardziej się chłopakowi podobało od imion innych rycerzy; uzbrojony w długą tykę bambusową, rycerz ów na śmierć zajeździł swego starego konia na biegunach. „Bevis“ wydał mu się mazgajowaty; zresztą potrzebne tam były lasy i zwierzyna, tej zaś w pokoju dzieciennym nie było, pominąwszy dwa koty, Fitza i Pucka Forsyte, które nie dopuszczały do żadnych poufałości. Na „Tomka Browna“ był jeszcze za młody. Zbrakło więc chłopcu rozrywek w domu, gdy po czterech tygodniach pozwolono mu chodzić po dworze.

W owym miesiącu — a był to marzec — drzewa szczególnie były podobne do masztów okrętowych. Była to wiosna czarowna dla małego Jona, natomiast wielce przykra dla jego kolan, ubranek, nadewszystko zaś dla anielsko cierplivej „Da“, zmuszonej prac, cerować i łątać jego przyodziewek. Codziennie — ledwo skończyło się śniadanie — rodzice, których okna wychodziły w ową stronę, mogli widzieć rezolutną twarzączkę i jasne włoski swego syna, wybiegającego z salki naukowej, przebiegającego taras i wdrapującego się na pień starego dębu. W ten sposób rozpoczynał on swe zajęcie dzienne, ponieważ przed lekcjami nie było czasu na dalsze wyprawy. Urozmaicony powab starego drzewa nigdy mu nie spowszedniał; miało ono maszt główny, maszt przedni i przymasztok, i zawsze można było z niego schodzić po drabinkach sznurowych — czyli po sznurach huśtawki. Po lekcjach, kończących się o jedenastej, udawał się do kuchni po cienki plasterek sera, biszkopcik i dwie śliwki francuskie (zapas żywności dostateczny co najmniej na zaopatrzenie 4-wiosłowej łodzi) i niby to wszystko spożywał, poczem uzbrojony w strzelbę, pałasz i pistolety

wyruszał na prawdziwą wyprawę przedobiednią, spotykając po drodze nieprzeliczone mnóstwo karawan z niewolnikami, Indjan, korsarzy, lampartów i niedźwiedzi. O tej porze dnia rzadko widywano go inaczej, jak z kordelasem w rękach (wyglądał niby Dick Needham), wśród hucznej palby blaszanych kapiszonów. Niejednego ogrodnika ustrzelił ziarnkiem fasoli ze swej rusznicy. Wiódł życie czynne, pełne mocnych wrażeń.

— Jon staje się okropny — mówił pod dębem ojciec do matki. — Boję się, iż gotów się wykierować na marynarza lub inne ladaco. Czyś zauważyła u niego choćby ślad kultu dla piękna?

— Ani śladu...

— No, niebu niech będą dzięki, że go jeszcze nie ciągnie do kół i maszyn! Wszystko znieść mogę, tylko nie to. Pragnąłbym jednak, żeby trochę więcej interesował się przyrodą.

— On kieruje się wyobraźnią, Jolyonie.

— Tak... w sposób sangwiczny. Czy okazuje komu miłość?

— Nie... nikomu specjalnie... tylko wszystkim wogóle. Nie narodziło się jeszcze dziecko tak kochające i kochane, jak Jon.

— Bo to twój chłopak, Ireno.

W tejsze chwili mały Jon, przyczajony na gałęzi wysoko ponad głowami rodziców, ustrzelił ich oboje dwoma ziarnkami fasoli, jednakże ten urywek dosłyszanej rozmowy utknął, niby niestrawna jakaś gęstwa, w jego małym ptasim żołądeczku. Kochający, kochany, kierujący się fantazją, sangwiczny!...

Liście obecnie zaczęły również tworzyć gęstwę — i oto nadchodził już dzień Jonowych urodzin, przypadający corocznie na 12 maja, a pamiętny zawsze obiadem złożonym z najulubieńszych frykasów i ciastek, grzybków, makaronów i piwa imbirowego.

Wszakóż pomiędzy owym dniem ósmych urodzin a między godziną popołudniową, kiedy to Jon w poświatli lipcowego słońca stał na zakręcie klatki schodowej, zdarzyło się kilka ważnych wypadków.

„Da“, snać utrudzona ustawicznym obmywaniem kolan chłopca, a może posłuszna owemu tajemniczemu instynktowi, który nawet niańki zmusza do rozstania się z wychowankami, zaraz nazajutrz po urodzinach Jona pożegnała się z nim wśród strumieni łez, by „wyjść“ — całkowicie i zupełnie — „za jednego kawalera“. Mały Jon, przed którym rzecz tę zatajono, był niepokieszony przez całe pół dnia... Nie powinni byli przed nim tego trzymać w tajemnicy!... Dwa wielkie pudełka żołnierzy wraz z baterją armatek, tudzież „Młodzi trębacze“, którzy znaleźli się pomiędzy prezentami urodzinowymi — wszystko to, wespół ze świeżem strapieniem, przyczyniło się do pewnego rodzaju zmiany w jego charakterze: zamiast osobiście szukać przygód i narażać własne życie, zaczął urządzać pomysłowe zabawy, w których wystawiał na szwank życie nieprzeliczonych zastępów żołnierzy cynowych, kamyków, kulek szklanych i ziarenek bobu. Z tych różnych postaci „zeru armatniego“ czynił całe kolekcje i posługując się naprzemian raz jednemi, raz drugimi, prowadził to wojnę siedmioletnią, to hiszpańską, to trzydziestoletnią, to jeszcze inne krwawe boje, o których czytywał w wielkiej „Historji Europy“, stanowiącej niegdyś własność dziadka. Wojny te — których przebieg, uzależniony od genjuszu chłopca, miały się niekiedy z prawdą dziejową — rozgrywały się na podłodze dziecinnego pokoju, do którego przez dzień nikt nie mógł wchodzić z obawy, żeby nie pomieszać szyków królowi szwedzkiemu Gustawowi Adolfowi, lub nie rozdeptać całej armji austriackiej. Do Austriaków — ze względu na dźwięczność ich nazwy — był namiętnie przywiązany, to też widząc, że w dziejach tak

mało bitew zaznaczyło się ich zwycięstwem, wymyślał przynajmniej w zabawie coraz to nowe dla nich triumfy. Ulubionymi jego jenerałami byli: Eugenjusz Sabaudzki, arcyksiążę Karol i Wallenstein; Tillego i Macka, choć byli Austrjakami, oczywiście trudno było darzyć sympatją; Jon słyszał pewnego razu z ust ojca, że były to „figury operetkowe“, jednakże niebardzo rozumiał, coby to mogło znaczyć. Przepadał i za Turenjuszem, również ze względów eufonicznych.

Opisany okres — przyczyniający wiele zmartwień rodzicom, gdyż chłopak, zamiast biegać po dworze, bawił się w domu — trwał przez cały maj i połowę czerwca, póki temu stanowi rzeczy kresu nie położył ojciec, przynosząc „Tomka Sawyera“ i „Huckleberry Finn'a“. Przeczytawszy te książki, malec odczuł w sobie nowy jakiś pęd i wyruszył znów poza bramę domu, by rozpocząć zawzięte poszukiwania jakiejś rzeki. Ponieważ w Robin Hill z przyległościami nie było takowej, przeto zastąpić ją musiał staw, który na szczęście miał lilje wodne, jętki, komary, sitowie i trzy krzaki łożyny. Po tym stawie — gdy ojciec i Garratt stwierdzili z pomocą sondowania, że dno jest pewne a woda w najgłębszych miejscach dochodzi do dwóch stóp głębokości — pozwolono chłopcu jeździć w małej wywrotnej łódce; spędzał w niej wiele godzin dziennie, to wiosłując, to znów czatując, niepostrzeżony przez Indjanina Joe i innych nieprzyjaciół. Ponadto na brzegu stawu zbudował sobie ze starych pudełek od biszkoptów wigwam, zajmujący powierzchnię bezmała czterech stóp kwadratowych, a kryty gałęźmi. W szalasię tym zakładał małe ogniska i piekł na nich ptaki, których nie ustrzelił ze swej flinty polując wśród pól i wyřębu, albo ryby, których nie ułowił w stawie, ponieważ ich tam wogóle nie było. To mu zajęło resztę czerwca i ów lipiec, gdy ojciec i matka bawili w Irlandji. Przez te pięć letnich tygodni, zosta-

wiony sam sobie, wiódł życie odludne, za całe towarzystwo mając strzelbę, wigwam, łódkę i wodę; a chociaż mały, ruchliwy jego umysł uporczywie oddalał od siebie poczucie piękna, jednakże ono chwilami dawało mu znać o sobie, to przysiadając na skrzydelku jętki, to skrząc się migotnym blaskiem na pąkach lilij wodnych, to błękitem swym ocierając się o jego oczy — ilekroć kładł się nawznak, czatując w zasadzce.

„Ciocia“ Juna, której zlecono opiekę nad nim, w samym domu miała jakiegoś „dorosłego człowieka“, pokaszliwającego oraz lepiącego z kitu szklarskiego jakąś twarz ludzką, to też nie kwapiła się nad staw, by zobaczyć co porabia chłopiec. Pewnego razu jednakże przyprowadziła z sobą dwoje innych osób „dorosłych“. Mały Jon, który właśnie pomalował sobie gołe cialko w pasy żółte i jasnoniebieskie, posługując się farbami wodnymi z pudelka ojcowskiego, a we włosy zatknął sobie parę piór kaczych — dostrzegł przybyszów i natychmiast zaczął się w wiklinie. Tak jak przewidywał, podeszli odrazu do jego wigwamu i uklękli, by zajrzeć do środka; to też, wydawszy okrzyk ścinający krew w żyłach, zdołał niemal doszczętnie oskalpować „ciocię“ Junę i „dorosłą“ panią, zanim te zdążyły go pocałować. Dwie osoby dorosłe zwały się „ciocia“ Holly i „wujaszek“ Val; ten miał twarz ogorzałą, utykał nieco na jedną nogę i okrutnie śmiał się z chłopaka. Jon nabrał sympatji do „cioci“ Holly, która również wyglądała na siostrę; jednakowoż oboje wujostwo wyjechali tego samego dnia popołudniu i już nie zdarzyło mu się ich zobaczyć. Na trzy dni przed spodziewanym przyjazdem ojca i matki, wyjechała również — i to z wielkim pośpiechem — „ciocia“ Juna, zabierając pokaszliwającego „dorosłego“ pana, wraz z jego bryłą gliny. Mademoiselle obwieściła:

— Biedny szlowjek, była baħdzo khory; zabhaniam czi, Jonie, wkhodzicz do jego pokoju.

Jon, który rzadko czynił coś takiego, co mu zabraniano, powstrzymał się od pójścia w zakazane progi, mimo że był znudzony i osamotniony. Prawdę powiedziawszy, powaby stawu już przeminęły, a chłopak — po brzegi duszy przejęty niepokojem — pragnął czegoś nowego: już nie drzewa ni strzelby, ale jakiejś rzeczy bardziej powabnej, pieściwej. Owe dwa dni ostatnie wydały mu się jakby miesiącami, pomimo „Rozbitków morskich“, gdzie czytał o matce Lee i jej strasznym fajerwerku ze szczątków okrętowych. W ciągu tego czasu przeszedł się ze sto razy tam i napowrót po schodach; z dziecinnego pokoju, gdzie sypiał obecnie, niejednokrotnie zakradał się do pokoju matki, przyglądał się wszystkim, niczego nie ruszając, poczem sunął dalej do gotowalni, a stanawszy na jednej nodze, jak Slingby, koło łazienki, szeptał tajemniczo, by przynieść szczęście:

— Huś! huś! huś! szukaj kota! kota! kota!

Potem, przekradając się zpowrotem, otwierał szafę z sukniami matki, wciągał głębokim wdechem woń jakąś, która zdawała się go zbliżać... sam nie wiedział, ku czemu.

Uczynił to był bezpośrednio przed ową chwilą, gdy stał pośrodku świetlnej smugi, głowiąc się nad tem, w jaki z kilka znanych sposobów ześliznąć się z poręczy. Wszystkie wydały mu się nedorzecznymi — i w nagłym znużeniu jał iść zwolna po schodach, stopień za stopniem. W czasie tego schodzenia zdołał sobie całkiem wyraźnie uprzytomnić w myśli twarz ojca: krótką siwą bródkę, mrugające głębokie oczy, brózdę pomiędzy niemi, żartobliwy uśmiech oraz smukłą figurę, która małemu Jonowi wydawała się tak wysoką; matki natomiast nie mógł sobie przypomnieć. Istnienie jej uświadomiała jedynie woń sukni kobiecych, tudzież jakaś nikła zjawia wodząca za nim dwojgiem ciemnych oczu.

W hallu była Bella — rozsuwała wielkie portjery

i otwierała drzwi frontowe. Jon ozwał się głosem przy pochlebnym:

— Bella!

— Słucham panicza.

— Gdy *oni* przyjadą, podaj nam herbatę pod dębem; *wiem*, że im się to najwięcej spodoba.

— Panicz chciał powiedzieć, że się *paniczowi* najwięcej spodoba...?

Jon zamyslił się.

— Nie, *im* się to spodoba, żeby mnie zrobić przyjemność.

Bella uśmiechnęła się.

— Dobrze, dobrze, zrobię to, jeżeli panicz będzie tu siedział spokojnie i nic nie spoci, zanim państwo przyjadą.

Mały Jon usiadł na najniższym stopniu schodów i kiwnął głową. Bella podeszła bliżej i obejrzała go zgóry.

— Niech panicz wstanie! — rzekła.

Jon powstał. Obejrzała go z tyłu. Nie pozielenił się od trawy, a kolana wydawały się czyste.

— Wszystko w porządku! — zawyrokowała. — Dobre dziecko! A co, nie opalił się? Daj mi buzi!

I cmoknęła Jona we włoski.

— Jakie konfitury? — zapytał. — Tak jestem zmęczony czekaniem.

— Agrestowe i poziomkowe.

Brawo! toż ulubione smakołyki!

Po jej odejściu Jon przez minutę siedział spokojnie. Cisza panowała w wielkim hallu; wschodnia jego połać była otwarta, dzięki czemu widać było jedno z ulubionych drzew Jona, mianowicie wielki bryg, żeglujący wolniutko poprzez górny trawnik. Na werandzie stały się zukosa cienie filarów. Jon wstał, przeskoczył jeden z tych cieni i obszedł wokół klomb kosaćców, obrasta-



jący sadzawkę z szarawego marmuru. Kwiaty były bardzo ładne, jednakże słaby miały zapach. Stał w otwartej bramie i wyjrzał na zewnątrz.

A jeżeli!... jeżeli nie przyjadą!

Czekał już tak długo, iż dalsze czekanie wydało mu się rzeczą nie do zniesienia — i naraz uwaga prześliznęła się z tej ostateczności na drobne pyłki kurzu, wibrujące w nadpływającej fali modrawego blasku słonecznego. Wyciągnąwszy rękę, starał się kilka z nich pochwycić. Bella powinna była odkurzyć ten skrawek powietrza! Ale może to nie był kurz — ale to, z czego jest zrobiona światłość słoneczna? I chłopak poszedł zobaczyć, czy światłość słoneczna na dworze jest taka sama. Okazało się, iż była inna...

Chłopak obiecał był, że będzie spokojnie siedział w hall'u; jednakże przyrzeczenie to okazało się na dłuższą metę wprost niewykonalne. Nie mogąc usiedzieć na miejscu, przekroczył wysypaną żwirem drogę jezdnią i położył się na murawie. Zerwawszy sześć stokrotek, ponazywał je starannie: Sir Lamorac, Sir Tristram, Sir Lancelot, Sir Palimedes, Sir Bors, Sir Gawain — i kazał im kolejno staczać pojedynki, aż wkońcu sam tylko Sir Lamorac, wyróżniony szczególnie hardą lodygą, miał jeszcze na karku głowę, choć nawet i on po trzech spotkaniach miał wygląd zdechlaka i obszarpańca. W trawie, która niemal prosiła się o kośbę, gramolił się zwolna jakiś chrząszczyk. Każde źdźbło trawy było małym drzewem, którego pień okrążać musiało drobne stworzonko. Mały Jon nadstawił Sir Lamoraca nogami wdół i pomógł chrząszczykowi wydostać się wzwyż; nieborak puścił się w dyrdy, oszołomiony boleśnie swą przygodą. Jon zaśmiał się: potem przestało go to ciekawić i westchnął. W sercu czuł pustkę.

Odwrócił się i leżał nawznak. Kwitnące lipy pachnęły miodem; na niebie był cudny błękit przystrojony kilkoma

białymi obłoczkami, które wyglądały — a może i smakowały — jak lody cytrynowe. Słysząc było, jak Bob grał na harmonji; melodja pieśni przejmowała duszę chłopca jednocześnie lubością i smutkiem. Znów się obrócił i przyłożył ucho do ziemi (Indjanie umieją pochwycić uchem nawet zdaleka ciągnące odgłosy), jednakże nie słyszał nic — co najwyżej dźwięk harmonji! Ale niemal w tejże chwili istotnie posłyszał słaby turkot, podobny do pomruku żaren. Tak!... to powóz... nadszedł!... nadszedł!

Zerwał się na równe nogi. Czy miał czekać na ganku, czy też wbiec na schody, na górę, a w chwili, gdy będą wchodzili, zawołać „Uwaga!“ i zjechać powoli po poręczy, głową wprzód? Czy miał...? Powóz skręcił w dróżkę ogrodową. Było już zapóźno! Nie zostało mu nic innego, jak tylko czekać i podskakiwać z niecierpliwości. Powóz nadszedł żwawo, zaturkotał i zatrzymał się. Ojciec wyszedł zeń, jakby życie z ucihłego ciała. Schylił się — w tejże chwili mały Jon podskoczył w górę — i zderzyli się z sobą. Ojciec odezwał się zwykłym swym obyczajem:

— Jak Boga kocham! Aleś ty się opalił, mój chłopcze!

Uczucie wyczekiwania — czegoś upragnionego — było niesłabnącym źródłem w duszy małego Jona... Powłóczyłem, nieśmiałem spojrzeniem dostrzegł matkę, uśmiechniętą, w niebieskiej sukni oraz z błękitną woalką na czapce i włosach. Podskoczył jak tylko mógł najwyżej, nogami oplótł jej kibić i wtulił się w jej objęcie. Posłyszał jej westchnienie i uczuł jej uścisk wzajemny. Oczy jego, jeszcze wówczas ciemnoniebieskie, długo wpatrywały się w jej ciemnobrunatne tęczówki, aż nakoniec jej wargi przycisnęły się do jego powiek, a wtedy, przytulając się do niej ze wszystkich sił, posłyszał, jak śmiejąc się i niby piszcząc zcicha, mówiła:

— Aleś ty silny, Jonie!

Wówczas zsunął się z jej objęć i ciągnąc ją za rękę, szurnął wgląb hallu.

Gdy siedział pod dębem, zajadając konfitury, uderzały go w matce różne rysy i szczegóły, których wpierv zdawał się nie dostrzegać: tak naprzykład, policzki jej były śmietankowego koloru, w ciemnozłotyach jej włosach snuły się srebrzyste nitki, na szyi nie miała, jak Bella, żadnego guza, a chód jej odznaczał się cichością i spokojem. Zauważył też parę drobnych kreseczek, biegnących od kącików jej oczu, pod niemi zaś jakiś cień miły i ujmujący. Była piękna jak zawsze, piękniejsza niż „Da“, lub Mademoiselle, lub „ciocia“ Juna, lub nawet „ciocia“ Holly, do której nabral wielkiej sympatji ostatniemi czasy; ba, piękniejsza nawet niż Bella, która miała hoże policzki i czasami była nazbyt gwałtowna w swych wystąpieniach. Ta nowa uroda matki była szczególnie wielkiej wagi, to też chłopak jadł tego dnia mniej, niż się po nim spodziewano.

Po podwieczorku ojciec wyraził ochotę przespacero-  
wania się z nim po ogrodzie. Wszczął więc chłopak długą rozmowę na tematy ogólne, omijając sprawy tak osobiste, jak przygody Jmć Lamorac'a, zwycięskie wojny Austrjaków oraz pustkę, jaką odczuwał w ciągu trzech dni ostatnich i która oto nagle została zapełniona. Ojciec opowiadał mu o miejscowości, zwanej Glensofantrim, gdzie bawił niedawno z matką, i o krasnoludkach, które tam wychodzą z ziemi, gdy na świecie wszystko ucichnie. Mały Jon stanął, rozkraczywszy nogi.

— Czy ty naprawdę temu wierzysz, tatusiu?

— Nie, Jonie, ale myślałem, że ty uwierzysz.

— A czemu?

— Bo jesteś młodszy ode mnie... a to są postaci czarnoksiężskie.

Małemu Jonowi wyciągnął się podbródek.

— Nie wierzę w zjawy czarnoksiężskie. Nigdy ich nie widywałem.

— Hm! — ozwał się ojciec.

— A mamusia?

Ojciec uśmiechnął się zartobliwie.

— Nie, widuje tylko Pana.

— Cóż to za Pan?

— Taki koźlaty bożek, co hasa w dzikich i pięknych ustroniach.

— Czy był w Glensofantrim?

— Mamusia mówi, że był.

Mały Jon wspiął się na palce i rozpoczął dalsze indagacje:

— A tyś go widział, tatusiu?

— Nie; widziałem tylko Wenus Anadyomene.

Mały Jon zamyślił się; wszak Wenus była wspomniana w jego książce o Grekach i Trojanach. Zatem Anna było jej imię chrzestne, a Dyomene przydomkiem? Gdy o to zapytał, okazało się jednak, że było to jedno tylko słowo, oznaczające „wynurzającą się z morskiej piany“.

— Czy ona wynurzała się z piany w Glensofantrim?

— Tak... codziennie.

— Jak ona wygląda, tatusiu?

— Jest podobna do mamusi.

— O! w takim razie musi być... — lecz w tem miejscu urwał, przyskoczył do muru, wdrapał się na niego i zręcznie zsunął się zpowrotem na dół. Odkrycie, że matka jest piękną, było tego rodzaju, iż czuł, że musi je bezwzględnie zatrzymać przy sobie. Jednakże cygaro ojcowskie tak jakoś długo się paliło, iż chłopak zmuszony był nakoniec zagadnąć:

— Chciałbym zobaczyć, co mamusia przywiozła. Co myślisz, tatusiu?

Zdanie to wypowiedział niskim tonem, żeby snadź nie być poczytanym za niewieściucha, i był nieco stropiony,

gdy ojciec spojrział nań przenikliwie, westchnął z powagą i odrzekł:

— Dobrze, idź ją ukochać, mój chłopcze.

Poszedł zrazu niby to powolnym krokiem, potem jednak pomknął jak strzała, by dostać się na górę. Drzwi matczynej sypialni były otwarte, więc wszedł bez pytania. Matka klęczała jeszcze pochylona nad walizą. Stał przez chwilę cichutko tuż przy niej.

Podniosła się na klęczkach i zagadnęła:

— No i cóż, Jonie?

— Chciałem tylko przyjść i popatrzeć.

Zwarłszy się z nią na chwilę w powtórnym uścisku, wgramolił się na parapet okna i podkuliwszy nogi pod siebie, przyglądał się rozpakowywaniu walizy. Czynność ta napawała go niedoznaną dotąd nigdy rozkoszą, nie tylko dlatego, że matka wydobywała różne przedmioty o podejrzanym wyglądzie, ale i dlatego, że prosto miło mu było przyglądać się jej samej. Poruszała się zgoła odmiennie od innych osób, zwłaszcza od Belli; była niezawodnie najwytworniejszą osobą, jaką zdarzyło mu się spotkać.

Wkońcu uporała się z walizą i uklękła tuż przed nim.

— Smutno ci było bez nas, Jonie?

Mały Jon kiwnął głową i, dawszy w ten sposób upust swym uczuciom, kiwał nią jeszcze przez czas jakiś.

— Przecież miałeś tu ciocię Junę?

— Och! Ona tu miała jakiegoś pana, co wciąż kaszłał.

Twarz matki zmieniła się i przybrała wyraz niemal gniewny. Widząc to, chłopiec dodał pośpiesznie:

— Był to biedny człowiek, mamusiu... tak kaszłał okropnie!... Ja... ja go lubiłem...

Matka objęła go w pasie rękoma.

— Ty wszystkich lubisz, Jonie.

Mały Jon zamyślił się.

— *Akurat* tak!... — odpowiedział. — Ciocia Juna wzięła mnie jednej niedzieli do kościoła.

— Do kościoła? Oo!

— Chciała zobaczyć, jak mnie to nastroi.

— I nastroiło cię?

— Tak. Jakoś tak mi się dziwnie zrobiło, więc ciocia zabrała mnie czem prędzej do domu. Nie chorowałem wcale potem. Położyłem się do łóżka, dostałem gorącej wódki z wodą i czytałem „Chłopców z Beechwood“. Była to rzecz pyszna!

Matka zagryzła wargi.

— Kiedy to było?

— O, jakie... już bardzo dawno... Prosiłem, by mnie wzięła raz jeszcze, ale ona nie chciała. Czy ty i tatuś nigdy nie chodzicie do kościoła?

— Nie, nie chodzimy.

— A czemu?

Matka uśmiechnęła się.

— No, widzisz, mój drogi, chodziliśmy jeszcze, gdyśmy oboje byli mali... może nawet za mali...

— Tak, wiem — oświadczył mały Jon — to rzecz niebezpieczna.

— O tych rzeczach będziesz sądził sam, gdy podrośniesz.

Mały Jon odpowiedział, jakby coś ważąc w sobie:

— Wcale nie pragnę być dorosłym... nie chcę chodzić do szkoły.

Nagła, przemożna chęć powiedzenia czegoś więcej — wypowiedzenie tego, co czuł naprawdę — oblała mu twarz rumieńcem:

— Ja... ja chcę pozostać z tobą, mamusiu, i być twoim kochankiem.

Poczem, zdając sobie sprawę, iż należy ugruntować sytuację, dodał:

— Ale dziś w nocy nie chcę iść do łóżka. Nuży mnie to chodzenie do łóżka noc po nocy.

— Czy znów miałeś zmory?

— Może raz tylko. Czy dziś w nocy mogę zostawić otwarte drzwi do twego pokoju?

— Dobrze, ale tylko troszeczkę.

Mały Jon westchnął z zadowoleniem.

— A co widziałaś w Glensofantrim?

— Same piękne rzeczy, mój drogi.

— Co to właściwie jest piękno?

— Co to właściwie... Ach, Jonie, to trudne zagadnienie.

— Czy naprzykład mógłbym to zobaczyć?

Matka powstała i usiadła obok niego.

— Możesz, i to codzień nawet. Piękne jest niebo, gwiazdy, noce księżycowe, następnie ptaki, kwiaty, drzewa... wszystko to jest piękne. Wyjrzyj za okno... a będziesz miał piękno, mój Jonie.

— O, tak, to jest *widok*... Czy to już wszystko?

— Wszystko?... Nie! Cudownie pięknie jest morze i fale z pomykającymi na nich kłębuszkami piany.

— Czyś ty się z nich wynurzała codziennie, mamusiu?

Matka zaśmiała się.

— A jakże! Przecieżemy się kąpali.

Mały Jon nagle wyciągnął ręce i objął jej szyję.

— Ja *wiem* — ozwał się tajemniczo — to ty jesteś naprawdę, a wszystko inne jest tylko „niby“.

Matka westchnęła, zaśmiała się i rzekła:

— Ach, Jonie!

Mały Jon zagadnął ją tonem krytycznym:

— Czy sądzisz, że taka naprzykład Bella jest piękna? Ja innego o niej jestem zdania.

— Bella jest młoda... i to coś znaczy.

— Ale ty młodziej wyglądasz, mamusiu. Jeżeli szturchnąć Bellę, ona się obraża. Nie wierzę, żeby „Da“

była piękna... kiedy sobie o tem pomyśle... A Mademoiselle jest prawie że brzydka.

— Mademoiselle ma twarz bardzo miłą.

— O, tak, miłą. Lubię twoje promyczki, mamusiu.

— Promyczki?

Mały Jon przytknął paluszek do jednego z kącików jej oczu.

— Ach, te zmarszczki? Ależ one są oznaką starości.

— One się ukazują, gdy ty się śmiejesz.

— Ale mnie nie upiększają bynajmniej.

— Owszem, mnie się bardzo podobają. Czy ty mnie kochasz, mamusiu?

— Tak, kocham cię... kocham, mój drogi.

— I zawsze tak samo?

— Zawsze tak samo.

— Czy bardziej, niż myślałem?

— Bardziej... o wiele bardziej.

— No, to i ja tak samo cię kocham... więc wet za wet...

Uświadamiając sobie, że nigdy dotąd w całym swym życiu nie wywnętrzył się w tej mierze co dzisiaj, odczuł znów nagły zwrot ku męskości Jmci Lamoraca, Dicka Needhama, Hucka Finna i innych zuchów.

— Czy mogę ci pokazać parę sztuk? — zapytał, i nie czekając odpowiedzi, ześliznął się z jej ramion i stanął na głowie. Następnie, podniecony jej nietajonym podziwem, wszedł na łóżko i rzuciwszy się głową wdół, wywinął koziołka, nie dotykając się niczego rękami. Sztukę tę powtórzył parokrotnie.

Tego wieczora, obejrzawszy wszystko, co rodzice przywieźli, pozostał dłużej na kolacji, siedząc pomiędzy nimi przy okrągłym stoliku, którego zwykli używać, gdy jadali we dwójkę. Był do ostateczności podniecony. Matka miała na sobie suknię popielatą z kremowym szlaczkiem, z małych koronkowych różyczek, a okalającym sma-



glejszą od niego szyję. Jon wpatrywał się w nią uporczywie, póki figlarny uśmiech ojca nie zwrócił nagle jego uwagi na leżący przed nim płatek ananasa. Była to pora późniejsza od tej, o której zazwyczaj kładł się do łóżka. Matka poszła wraz z nim na górę, a on rozbierał się powoli, ażeby zatrzymać dłużej ją przy sobie. Gdy nie miał już na sobie nic prócz koszulki nocnej, odezwał się:

— Obiecuj mi, że nie odejdziesz, póki nie skończę pacierza!

— Obiecuję.

Kłęcząc na łóżku i co chwila nurkując twarzą w pościeli, mały Jon trzepał prędko pod nosem modlitwę i co chwila odmykał to jedno oko, to drugie, aby przyjrzeć się matce stojącej cichuteńko, z uśmiechem na twarzy.

— Ojczy nasz — brzmiały końcowe słowa pacierzu — który jesteś w niebie... święć się... mamusiu... przyjdź Królestwo... mamusiu... jako w niebie tak i na ziemi... chleba naszego... mamusiu... daj nam dzisiaj... i odpuść nam nasze winy... jako w niebie tak i na ziemi... naszym winowajcom... i nie wódz nas na pokuszenie, ale nas zbaw ode złego. Amen!... Baczność!

Skoczył i przez długą chwilę pozostał w jej objęciach. Ułożywszy się już do spania, nie wypuszczał jej ręki ze swego uścisku.

— Nie będziesz przymykała drzwi? prawda, że nie? Czy chcesz na dłużej odejść, mamusiu?

— Zejdę nadół i będę przygrywała tatusiowi.

— O, to dobrze! Będę się przysłuchiwał.

— Ej, chyba nie! Musisz przecie zasnąć.

— Mogę spać każdej nocy.

— Otóż właśnie, dziś jest taka sama noc, jak każda inna.

— O nie! jest całkiem niezwyczajna!

— W takie właśnie noce sypia się najlepiej.

— Ale jeżeli ja zasnę, mamusiu, nie posłyszę twojego nadejścia.

— No dobrze, więc przyjdę cię pocałować... Jeżeli się obudzisz, będziesz o tem wiedział, a jeżelibyś się nie obudził, to i tak odczujesz, że cię pocałowała.

Mały Jon westchnął:

— Niech tak będzie! — odrzekł. — Widzę, że będę musiał się z tem zgodzić. Mamusiu!

— Co, synku?

— Jakie było to nazwisko tej, w którą tatuś wierzy? Wenus Anna Diomenes?

— Och, mój aniołku! Anadyomene!

— Tak, ale imię, jakie ja tobie nadałem, o wiele bardziej mi się podoba.

— I jak to mnie nazwałeś, Jonie?

Mały Jon odparł nieśmiało:

— Genowefa! to wzięte z „Okrągłego Stołu“... właśnie teraz mi to przyszło na myśl... tylko jej włosy, coprawda, były rozpuszczone.

Oczy matczyne, spoglądające za nim, zdały się płynąć falującym ruchem.

— Nie zapomnisz przyjść, mamusiu?

— Nie zapomnę, o ile położysz się i zaśniesz.

— Aha, więc zawieramy układ! — i mały Jon przytknął powieki.

Poczuł jej wargi na swem czole, i natychmiast potem posłyszał jej kroki. Otworzył na chwilę powieki, by dostrzec cień matki przemykający się wśród odrzwi, i westchnąwszy, zamknął je znowu.

Wówczas nadszedł czas oczekiwania.

Przez jakie dziesięć minut chłopak, wierny przyrzeczeniu, usiłował zasnąć, przerachowując kolejno w myśli wielką liczbę ostów w szeregu co było starą receptą „Da“ na sprowadzenie snu. Zdawało mu się, że na tem liczeniu zbiegły mu chyba całe godziny; uważał, że już lada



chwila matka powinna powrócić. Zrzucił z siebie wszystkie okrycia.

— O, jak mi gorąco! — odezwał się, a głos jego dziwnie jakoś rozbrzmiał w ciemności, jakgdyby nie jego własny. — Czemu mama nie nadchodzi?

Usiadł na łóżku. Trzeba przecie się rozejrzeć! Wstał z łóżka, podszedł do okna i odsunął nieco w bok roletę. Na dworze nie było ciemno; Jon nie wiedział, czy przypisać to światłości dziennej czy też księżycowi, który był ogromny. Miał on pocieszoną, wykrzywioną twarz, jakgdyby się wyśmiewał z chłopca, to też Jon nie miał ochoty nań patrzeć. Później dopiero, przypomniawszy sobie słowa matki, że noce księżycowe są piękne, jał w ciągu dalszym wpatrywać się we wszystko co było przed nim. Od drzew słały się grube cienie, łąka wyglądała jak kałuża rozlanego mleka, a oczom otwierały się dalekie, dalekie przestrzenie. Widać było rzeczy — hen — niezmiernie odległe, kędyś bodaj za krawędzią świata, a wszystko wydawało się jakoś odmienne i rozlewne. Jakaś woń miła, upojna, płynęła przez okno odemknięte.

— Chciałbym mieć gołębicę, jak Noe! — pomyślał.

„Księżyc się śmieje buzią okrągłą —  
Świeci i świeci jasnością ciągłą...“ —

Po przebrzmieniu tego wiersza, który ni stąd ni zowąd pojawił mu się w głowie, chłopak posłyszał muzykę... cichuszką... a tak miłą! To grała mamusia!

Przypomniał sobie o przeznaczonem dlań ciasteczku, spoczywającym w wiadomej przegródce komody. Wydobyszy je, podszedł zpowrotem do okna. Wychylił się, to gryząc ciastko, to znów zatrzymując szczęki, ażeby lepiej słyszeć muzykę. „Da“ nieraz opowiadała, że aniołowie w niebie grają na harfach; jednakże pewno nie była to rzecz ani w połowie tak miła, jak przysłuchi-

wanie się grze mamusi, połączone z zajadaniem ciastka. Jakiś chrząszcz bzyknął mu koło ucha, jakaś ćma musnęła go po twarzy. Muzyka ucichła, przeto mały Jon wsunął główkę zpowrotem do pokoju. Mamusia już z pewnością nadchodzi! Nie życzył sobie, by zobaczono, że nie śpi. Wrócił do łóżka i naciągnął sobie wszystkie koce niemal na głowę. Jednakże zapomniał zasunąć roletę, wobec czego do pokoju wdzierала się smuga światłości księżycowej: widział, że upadła na podłogę, tuż koło nogi łóżka i posuwała się ku niemu ustawicznie a powoli, niby jakaś rzecz żywa. Muzyka zabrzmiała znowu, lecz ledwie że słyszalna — senna muzyka — piękna — senna — muzyka — senna — sen — — sen — —

Czas upływał, muzyka to wzmagala się, to słabła, to cichła. Światłość księżycowa przypelzła ku twarzyczce małego Jona. Chłopak przewrócił się przez sen i leżał nawznak, brunatną piastką ściskając jeszcze mocno kołderkę. Kąciki oczu ściągnęły mu się zlekka — zaczął snuć. Śniło mu się, że pił mleko z miseczki, która była księżycem, a z przeciwka przyglądało mu się wielkie czarne kocisko, uśmiechając się pociesznie, niby ojciec Jona, i szepcąc zcicha: „Nie pij za wiele!“ Mleko to przeznaczone było właściwie dla kota, to też chłopak wyciągnął rękę przyjaźnie, by pogłaskać zwierzątko — jednakże ono w tejże chwili znikło bez śladu. Miska stała się łóżkiem, w którym spoczywał, a gdy próbował z niego się wydostać, nie mógł odnaleźć krawędzi — — nie mógł jej odnaleźć — nie mógł — nie mógł — nie mógł się wydostać!... To było okropne!... o—krop—ne!...

Zajęczał cicho przez sen... Na dobitkę, łóżko naraz poczęło kręcić się wkółko — było poza nim i w nim samym — wirowało wciąż uparcie i zawzięcie, roznogniając się do czerwoności, a matka Lee z „Rozbitków morskich“ wprawiała je w ruch ustawiczny! Och!

jakże okropnie ona wyglądała!... Coraz to prędzej i prędzej!... Wkońcu on sam i łóżko i matka Lee, i księżyc i kot — wszystko to razem stało się jednym kołem, kręcącym się bez przerwy i coraz to wyżej i wyżej — — okropność! — okropność! — okropność!

Krzyknął przeraźliwie...

Przez kręgi koła przebił się czyjś głos:

— Kochanie! kochanie!

Chłopak zbudził się — i zerwał się z pościeli, otwierając oczy szeroko.

Przy nim stała matka, z włosami przypominającemi Genowefę. W włosach tych, wpiwszy się mocno w jej ramię, ukrył twarz swoją:

— Och! och!

— No, no, już wszystko w porządku, mój skarbie. Już się obudził. Cichajże, cichaj! Nic się nie stało!

Ale mały Jon wciąż powtarzał:

— Och! och!

Głos matki, taki jedwabisty, mówił mu w ucho:

— To tylko księżyc świecił ci prosto w twarzyczkę, serdeńko!

Mały Jon chlipnął wprost w fałdy jej szlafroka:

— A mówiłaś, że on jest piękny. Och!

— Ale spać przy nim nie można, Jonie. I kto go tu wpuścił? Czy podciągałeś roletę?

— Chciałem zobaczyć, która godzina — — wyjrzałem — — wyjrzałem na dwór — — słysza — — słyszałem jak ty grałaś, mamusiu — — i — — i zjadłem ciastko — —

Jednakże z wolna pocieszał się i uspokajał, a w duszy podświadomie zbudziła się chęć wytłumaczenia się ze swej trwogi.

— Matka Lee kręciła mnie wkółko, rozwarzając wszystko do czerwoności — wymamrotał.

— Ej, Jonie, czegoż innego można się spodziewać, gdy ktoś zajada ciastka, położywszy się do łóżka?

— Tylko jedno, mamusiu — — to czyniło muzykę o wiele piękniejszą. Czekałem ciebie bardzo długo — myślałem, że już chyba jest jutro.

— Moje kaczątko! toć dopiero jedenasta!

Mały Jon milczał przez chwilę, ocierając się noskiem o jej szyję.

— Mamusiu, czy tatuś jest w twoim pokoju?

— Nie, dziś go niema.

— Czy mogę przyjść?

— Jeżeli tylko masz ochotę, mój pieścuch.

Mały Jon, ledwo posiadając się z radości, cofnął się nieco:

— Jakoś inaczej teraz wyglądasz, mamusiu... o wiele młodziej.

— To sprawiły moje włosy, kochanie.

Mały Jon wziął w rękę ich cały pęk, gruby, ciemnozłoty, przetkany gdzie nigdzie srebrnymi nitkami.

— Podobają mi się — rzekł — a ty mi się podobasz najwięcej ze wszystkich osób, jakie znam.

I wzięwszy ją za rękę, począł ją ciągnąć ku drzwiom. Gdy przeszli, zamknął je z westchnieniem ulgi.

— Którą stronę łóżka wolisz, mamusiu?

— Lewą.

— Doskonale.

I nie tracąc czasu, nie zostawiając jej najmniejszej sposobności do zmiany postanowienia, wszedł do jej łóżka. Wydało mu się znacznie miększe i wygodniejsze, niż jego własne. Westchnął raz jeszcze, przycisnął głowę do poduszki i leżąc przyglądał się skłębionej walce rydwanów, dzid i mieczy, jaka zawsze jawiła się na powierzchni koców, ilekroć na ich włoski spojrzął pod światło.

— Więc to *nic* nie było? naprawdę nic nie było?  
— zapytał.

Matka, siedząc przed lustrem, odpowiedziała:

— Nic, oprócz księżycy i twej rozgorączkowanej wyobraźni! Nie powinieneś tak się gorączkować, Jonie.

Atoli mały Jon, jeszcze niezupełnie panując nad nerwami, odpowiedział hardo:

— Ja się nie bałem nic a nic! Doprawdy nic a nic!

I zaczął znów przyglądać się włóczniom i rydwanom. Wszystko mu się tak dłużyło.

— Ach, mamusiu, pośpiesz się!

— Ależ, kochanie, muszę sobie zapleść włosy.

— O nie! nie rób tego dzisiaj! Jutro tylko będziesz miała robotę z ich rozplataniem. Teraz chce mi się już spać; jeżeli nie przyjdiesz, to wnet odechce mi się spania.

Matka — biała i kwiecista — podniosła się i stanęła przed potrójnem lustrem toaletowem. Mógł teraz widzieć trojakię jej odbicie: jej odwrócony kark, jej włosy połyskujące pod światło i jej roześmiane czarne oczy. Uznał to za niepotrzebne, więc ozwał się:

— Chodź, chodź, mamusiu. Ja czekam.

— Dobrze, dobrze, mój kochany, zaraz przyjdę!

Mały Jon zamknął oczy. Wszystko przybrało obrót w najwyższym stopniu zadowalający — — żeby tylko *ona* się pośpieszyła!

Poczuł, że łóżko się zatrzęsło: to ona wchodziła! Mając wciąż oczy zamknięte, zapytał sennie:

— Czy tak nie miło?

Posłyszał głos jej, mówiący coś do niego, poczuł jej wargi dotykające jego noska — — i przytuliwszy się do niej zapadł w sen bez widziadeł, tworzący zamknięcie dotychczasowej jego przeszłości. Matka czuwała leżąc i pieściła go w myślach całą mocą swej miłości.





# DO WYNAJĘCIA

*Z nieszczęsnych lędźwi tych dwu nieprzyjaciół  
Dwoje kochanków jasny wzięło żywot.*

*Romeo i Julja.*

*Karolowi Scribnerowi*

# CZEŚĆ I



## ROZDZIAŁ I

### SPOTKANIE

Popołudniu, dnia 12 maja 1920 r., Soames Forsythe wynurzył się z głębi hotelu Knightsbridge, gdzie mieszkał podówczas; miał zamiar zwiedzić jakąś kolekcję obrazów w galerji na Cork Street i rozejrzeć się co do przyszłych planów. Szedł piechotą. Od czasu wojny, o ile mógł, nie brał dorożki. Dorożkarze byli w jego mniemaniu niekulturalną hołotą, chociaż obecnie, gdy wojna się skończyła i podaż zaczęła przewyższać popyt, stali się — zgodnie z naturą ludzką — nieco grzeczniejsi. On w każdym razie im nie przebaczył, w myśli swej uporczywie i po maniacku kojarząc ich z posepnymi wspomnieniami czasów niedawnych, oraz — niewyraźnie, jak niemal wszyscy ludzie z tej co on kasty — z rewolucją. Wielka trwoga, jaką przeżył podczas wojny, i większa jeszcze trwoga, jakiej doznał następnie podczas pokoju, pozostawiła w jego wrażliwej naturze poważne następstwa. W duchu swym tylekroć zakosztował ruiny, że wkońcu przestał wierzyć w jej materialne prawdopodobieństwo. Płacąc rocznie cztery tysiące podatku dochodowego i taksy dodatkowej, można się było czuć nietęgo przy pogorszeniu się warunków bytu! Cwierćmiljonowa fortuna, której obarczeniem była tylko żona i jedynaczka-córka, miała wielorakie zabezpieczenie w różnych przedmiotach i dawała dostateczną gwarancję przeciwko „drapieżnym“ podatkom od kapitału. Co się tyczy konfiskaty zysków wojennych, uszło

mu na sucho, gdyż „takowych“ nie miał wcale, więc... „niechże te dziady mają za swoje!“ Na dobitkę cena obrazów, jakby nic, poszła w górę, tak, iż od chwili wybuchu wojny miał ze swej kolekcji lepszy pożytek niż kiedykolwiek w pierw. Napady aeroplanów również oddziaływały dobroczynnie na umysł ostrożny od urodzenia i wwały hart w stetryczały już jego charakter. Niebezpieczeństwo całkowitego rozbicia osłabiało wrażliwość na drobniejsze i częściowe katastrofy wynikłe z podatków i taksacyj, jednocześnie zaś nałóg rzucania gromów na bezczelność Niemców wiódł Soamesa — jeżeli nie otwarcie, tedy przynajmniej w cichości ducha — do takiegoż pomstowania na podobny bezwstyd Partji Pracy.

Szedł piechotą. Nadomiar wszystkiego miał czasu dosyć, gdyż spotkanie z Fleur w galerji naznaczone było na czwartą, a było dopiero wpół do trzeciej. Przechadzka taka była mu potrzebna do zdrowia — gniotło go coś w wątrobie, a nerwy były wyczerpane do ostateczności. Żona, ilekroć bawiła w mieście, stale ulatniała się z domu, a córka, jak większość młodych kobiet po wojnie, wciąż była zalatana i wiecznie czemś gdzieś zajęta. Bądź co bądź, musiał się tem pocieszać, że z powodu zbyt młodego wieku nie rozwinęła swej działalności podczas samej wojny. Nie znaczy to, ma się rozumieć, jakoby Soames nie popierał wojny od samego jej początku — i to całą duszą; jednakże co innego było ją popierać, co innego zaś — angażować w tem osobę żony lub córki. Pomiędzy jednym a drugim była czeluść, utworzona przez jakieś staroświeckie nawyki, budzące w nim odrazę do uczuciowych wybryków i nedorzecznosci. Tak więc stanowczo wziął za złe Anetce — tak ponętnej i liczącej w r. 1914 dopiero 3/4 wiosen — jej chętkę wybrania się do rodzinnej Francji (zwanej teraz przez nią pod wrażeniem wojny *ma chère patrie*) i pielęgnowania swych *braves poilus*... Potrzebne jej to było! dopraw-

dy!... Żeby zrujnować zdrowie i urodę! Jakgdyby ona naprawdę mogła być pielęgniarką! Zahamował i ujął w cugle tę jej zachciankę. Niechże lepiej szyje dla nich, tu w domu, bieliznę lub robi pończochę! Ostatecznie nie wyjechała — i odtąd nigdy już nie była dlań taka, jak dawniej; wzrosła w niej zła skłonność do podrzucania sobie z niego, wprawdzie nie otwarcie, nie mniej jednak ustawicznie, w przeróżnych drobnych okolicznościach. Co się tyczy Fleur, wojna rozwiązała utrapione zagadnienie, czy należy ją posłać do szkoły czy też nie. Najlepiej było oddalić ją od wojowniczo usposobionej matki, od grozy nadlatujących aeroplanów i od okazji do różnych wybryków; umieścił ją przeto w jakimś seminarjum, tak daleko na wschodzie, ile tylko uznał za licujące z obywatelską godnością — i odtąd brakowało mu jej okrutnie... Fleur!... Nigdy nie pożałował, iż zdecydował się nadać jej po urodzeniu to nieco cudzoziemskie imię — choć było to wyraźnem i świadomem ustępstwem na rzecz francuzczyzny. Fleur! Śliczne imię — miluchne dzieciątko! Ale jakąż wiercipięta — żeby choć chwilę usiedziała spokojnie! — i jaka uparta! I jak świadoma swej władzy nad ojcem! Soames niejednokrotnie zdawał sobie sprawę, jakim błędem było takie zbytne przepadanie za córką. Tak zdziecinieć na stare lata! Sześćdziesiąt pięć lat! Posunął się już w wieku... jednakże nie odczuwał tego, gdyż — podobno na całe jego szczęście ze względu na młodość Anetki i jej urodę — drugie jego małżeństwo było jedynie ułożonym na chłodno kontraktem. W życiu swem jedynie raz znalazł prawdziwie namiętnego uczucia — do swej pierwszej żony, Ireny. Tak... a ten drab, jego kuzynaszek Jolyon, który mu ją sprzątnął, wyglądał dziś — jako mówią — nader marnie... Nie dziwota, w siedemdziesiątym drugim roku życia, po dwudziestu latach trzeciej żeniaczki!

Soames przystanął na chwilę, by oprzeć się o barjerę

Rotten Row'u. Było to miejsce, jakby upatrzone do wszelkiego rodzaju wspominków, jako, że znajduje się w połowie drogi między kamienicą na Park Lane, która widziała chwilę jego urodzin, a małym domkiem na Montpellier Square, gdzie przed trzydziestu pięciu laty cieszył się pierwszą edycją swego małżeństwa. Teraz, po dwudziestu latach drugiej edycji, owa stara tragedia wydawała mu się jakby jakimś przedbytem — który skończył się, gdy na miejsce spodziewanego syna urodziła mu się Fleur. Od lat wielu przestał żałować — choćby podświadomie — owego nienarodzonego syna; Fleur powetowała mu w sercu ten niedobór. Koniec końców, ona przecie nosiła jego nazwisko! O tem, że czasem wypadnie jej może je zmienić, ojciec narazie nie myślał... a nawet jeżeli myślał o podobnem nieszczęściu, to myśl tę zaprawiał niejasnem poczuciem, że w jego mocy jest uczynić ją na tyle bogatą, by mogła choćby wykupić i zniszczyć nazwisko tego draba, który ją poślubi... i czemużby nie miało tak być, skoro dziś podobno kobiety zrównały się w prawach z mężczyznami?

I, w tajni ducha przekonany, że zrównanie to jest fikcją, przejechał silnie po twarzy zgiętą w kabłąk dłonią, póki ta nie ugrzęzła w wygodnem wgłębieniu podbródka. Dzięki wstrzemięźliwemu trybowi życia nie był człowiekiem nalany i opasłym; nos miał niezaczerwieniony i cienki, wąsy siwe, lecz równo przycięte, wzrok jeszcze bystry. Lekkie nachylenie zwężało i korygowało wymiar jego twarzy, powstały przez podniesienie się czoła wskutek wyłysienia przedniej części siwych jego włosów. Małej zmiany dokonał Czas w „najgorętszym“ z młodych Forsyte'ów, jakby się wyraził ostatni ze starych Forsyte'ów, Tymoteusz.

Cień klonów upadł na wytworny kapelusz hamburski (Soames zaniechał już noszenia cylindrów — w czasach takich, jak obecne, lepiej nie zwracać niczyjej



uwagi na to, że się jest bogatym!). Klony! Myśli Soamesa powędrowały zwawo do Madrytu — przypomniał sobie Wielkanoc przed wojną, kiedy to, mając zdecydować się na kupno owego obrazu Goyi, przedsięwziął podróż odkrywczą celem studjowania mistrza w jego ojczyźnie. Szelma uczynił na nim wielkie wrażenie — pierwsza klasa, prawdziwy genjusz! Doszedłszy tak wysokich szczytów, ten człowiek stanąłby jeszcze wyżej, gdyby mu nie zgotowano tak rychłego końca. Druga faza szału dla Goyi będzie jeszcze gorętsza od pierwszej; o tak! Przeto Soames zakupił obraz. Podczas owej wyprawy udało mu się — jak nigdy wpierw — nabyć kopję malowidła *al fresco*, zwanego „La Vendimia“, na którym była postać dziewczynki, podpartej w bok jedną ręką, a przypominającej mu córkę. Kopję tę miał obecnie w galerji w Mapledurham, a była ona dość kiepska — Goyi skopjować niepodobna! W każdym razie przyglądał się jej, ilekroć nie było przy nim córki; pociągało go jakieś uderzające podobieństwo w lekkiej, strzelistej równowadze jej kibici, w rozstępie lukowatych brwi, w namiętnej rozmarzeniu ciemnych oczu... Było to rzeczą osobliwą, że Fleur miała oczy ciemne, gdy on miał szare (żaden z Forsyte'ów czystej krwi nie miał oczu ciemnych), a matka niebieskie! Choć prawda, i to, że jej babka, Lamotte, miała oczy ciemne jak melasa!

Począł znów iść w stronę zakątka Hyde Parku. Nigdzie, w całej Anglii, tyle się nie zmieniło co na Rotten Row! Urodzony nieopodal — niemal na odległość głosu — od tego miejsca, pamiętał je jeszcze od r. 1860-go. Przeprowadzano go tu, pomiędzy osobami w krynolinach, aby się przypatrywał elegantom noszącym faworyty i obcisłe spodnie, jeżdżącym konno po kawaleryjsku, zdejmo- waniu białych cylindrów o zagiętych rondach, bez- troskiemu nastrojowi wszystkich tych ceremonij oraz małemu, krzywonogiemu człowieczkowi w długiej, czer-

wonej kamizelce, który chodził pomiędzy ludźmi z dystygowanej sfery, trzymając na smyczy kilka psów i namawiając matkę, by kupiła z nich jednego; były tam wyżły króla Karola, charty włoskie, bardzo przywiązane do jej krynoliny — jakich dziś już się nie widuje. Doprawdy, nie widzi się ludzi z wyższych sfer towarzystwa! Siedzą tu — ot — jedynie szare szeregi ludu roboczego, nie mając na co spoglądać, jak tylko na kilka młodych, w płaskie kapelusiki przybranych, istot rodzaju żeńskiego, jadących okrakiem na podrygujących wierzchowcach, albo na nieochajnych oficerów kolonialnych, pędzących cwałem na okropnych szkapiskach; to znów od czasu do czasu widać małe dziewczynki na kucykach, lub starych dziadogów wytrząsających z siebie wątrobę, a wreszcie i ordynansów wojskowych, usiłujących galopować buńczucznie na koniach kawaleryjskich; nie widać ni ludzi szlchetnego rodu, ani lokajów, ani dygów, ani ukłonów, nie słyhać milej rozmowy — słowem, niema niczego... Jedynie drzewa pozostały te same — obojętne na pochod pokoleń i na przeobrażenie rodzaju ludzkiego. Wszędy wokół jakaś ta Anglja demokratyczna — rozczochrana, zalatana, hałaśliwa i najwidoczniej pozbawiona swych szczytów! Pewna wyniosłość, stanowiąca cechę duszy Soamesa, aż przewracała się w jego wnętrzu. Minęła, w przeszłość zapadła era towarzyskiej dystynkcji i ogłady! Zostało jeszcze bogactwo — o tak, bogactwo! — wszak sam był znacznie bogatszy od rodzzonego ojca... jednakże dobre maniery, miły aromat i wytworność, wszystko to gdzieś zginęło, zalane wielką, szarą i niekształtną masą, ocierającą się wzajem łokciami i zionącą odorem benzyny. Tu i ówdzie czaiły się drobne, nadwątlone garsteczki wykwintu i zacnego stanu, i to jeszcze rozproszone i *chétif*, jak mawiała Anetka — jednakże w niczem dopatrzeć się nie można było ani jakiejś stałości ani spójni. I właśnie w ten nowomodny harmider

złych obyczajów i rozluźnionej moralności prysnęła jego córka — kwiat jego życia!... A gdy jeszcze dojdą do władzy te draby z Partji Pracy — jeżeli im się to kiedy uda! — tedy można być przygotowanym na najgorsze rzeczy!

Przeszedł pod arkadą, której — dzięki Bogu — nareszcie już nie szpeciła szara masa reflektora.

— Lepiejby zrobili, gdyby skierowali reflektor w stronę, gdzie wszystko to zmierza, i prześwietlili całą swoją szacowną demokrację! — pomyślał.

I zwrócił swe kroki ku fasadom klubowym na Piccadilly. Jerzy Forsyte, ma się rozumieć, musiał siedzieć na wnące okna w Iseum. Chłopak ten był już ogromnym dryblasem; przecie tkwił już tutaj przez wielki kawał czasu, niby jakieś nieruchome, sardonicznie uśmiechnięte oko, obserwujące kolejną zmianę ludzi i rzeczy! Soames przyspieszył kroku, gdyż o słabość w całym ciele przyprawiał go zawsze ten badawczy wzrok kuzyna. Ten Jerzy, jak chodziły słuchy, napisał w czasie wojny list (podpisany „patrjota“), w którym uskarżał się na histerję rządu, obcinającego porcje owsa dla koni wyścigowych. Tak, otóż i on, wysoki, okazały, elegancki, starannie ogolony, o gładkich, ledwie trochę przerzedzonych włosach, pachnących niewątpliwie najlepszym gatunkiem werbeny... w ręce trzyma kawałek różowego papieru. No *ten* to się nie zmienił! I Soames — może po raz pierwszy w życiu — poczuł, iż pod kamizelką tętni mu coś w rodzaju sympatji dla tego sardonicznego krewniaka. Jego okazałość, jego doskonały rozdział we włosach i bycze spojrzenie dawały gwarancję, że stary porządek oprze się jeszcze niejednej zmianie!

Spostrzegł, iż Jerzy wymachuje różowym papierkiem, jakgdyby zapraszając kuzyna, by zechciał wejść na górę; niewątpliwie chciał dowiedzieć się czegoś o swym majątku. Majątek ten był jeszcze pod kontrolą Soamesa.

Albowiem mimo senniejszej postawy, jaką przybrał w owym okresie — dwadzieścia lat temu — gdy wziął rozwód z Ireną, Soames przekonał się, iż zachował prawie bezwiednie kontrolę nad wszystkimi czysto Forsyte'owskimi sprawami.

Tylko na chwilę się zawahawszy, skinął głową i wszedł do klubu. Od czasu, gdy w Paryżu zmarł szwagier, Montague Dartie (co do tej śmierci nikt nie umiał wydać pewnego sądu, poza tem jedynie, że bezwątpienia nie było to samobójstwo), klub Iseeum wydał się Soamesowi bardziej szanownym przybytkiem. Nadto Jerzy wyszumiał już do ostatka z szalów młodości i oddał się niepo dzielnie uciechom smakoszostwa, odżywiając się nieźle, ale strzegąc się zbytnej otyłości, i zadłużając się — jak mówił — „tylko u paru starych sknerów, żeby mieć w życiu jakieś zajęcie“.

Wiedział o tem Soames, przeto podchodząc ku wnęce okna, w której tkwił jego kuzyn, nie miał w sobie onieśmielającego poczucia niedyskrecji, jakiego doznawał tu pierwaj za każdym swym pobytym. Jerzy wy ciągnął ku niemu dłoń starannie utrzymaną.

— Nie widziałem cię od czasu wojny — ozwał się. — Jakże się miewa twoja małżonka?

— Dziękuję — odrzekł Soames chłodno. — Całkiem dobrze.

Jakaś ukryta drwinka na chwilę wykrzywiła mięsiłą twarz Jerzego i wyjrzała ukradkiem z jego oka.

— Ten Belgijczyk... Profond — oznajmił — jest obecnie członkiem naszego klubu... Rum ma w nim stałego odbiorcę.

— Doprawdy! — mruknął Soames. — W jakiej sprawie chciałeś widzieć się ze mną?

— Idzie mi o starego Tymoteusza... pewnie on lada chwila odwali kitę. Przypuszczam, że już sporządził testament.

— Tak jest.

— No tak... zatem ty lub kto inny powinniście wybrać się do niego z wizytą... Przecież to ostatni ze starej gwardji... jak wiesz, liczy sobie już setkę. Mówią, że wygląda jak mumja. Gdzie zamierzacie go pochować? Miałby najzupełniejsze prawo spocząć w piramidzie...

Soames potrzęsnał głową.

— Na Highgate, w rodzinnym grobie...

— No tak, przypuszczam, że stare pannice stęskniłyby się za nim, gdyby leżał gdzieindziej. Powiadają, że stary jeszcze czuje smak do jadła. Widzisz, on jeszcze może długo pociągnąć. Cóż my wobec tych starych Forsyte'ów? Było ich dziesięciu... przeciętny wiek osiemdziesiąt osiem lat... To zasługa równa urodzeniu trojaczków!

— Czy to wszystko? — zapytał Soames. — Muszę iść dalej.

— Ależ z ciebie bydlę nietowarzyskie! — zdawały się odpowiadać oczy Jerzego. — Tak, to wszystko. Odwiedź go w jego mauzoleum... stary może ma ochotę bawić się w prococtwa.

Przybrał twarz w zastygły uśmiech szyderstwa i dodał:

— Cóż, panowie plenipotenci, jeszczeście nie wynaleźli sposobu na wykręcenie się od tych przeklętych podatków dochodowych? Stałym dziedzicznym dochodom dają się one we znaki jak sam djabeł. Przywykłem mieć rocznie dwa tysiące pięćset; teraz dostało mi się dziadowskie tysiąc pięćset... a koszta utrzymania wzrosły w dwójnasób.

— Aha! — mruknął Soames. — Wyścigi za pasem!

Po twarzy Jerzego przesunął się błysk sardonicznej obrony własnej.

— No, no! — odezwał się. — Nie nabrano mnie na nic jeszcze. Siedzę tu, wyschły i wyżółkły, biedniejąc z dniem każdym. Te drapichrusty z Partji Pracy myślą opanować sytuację, zanim kto zdoła się im przeciwstawić.

I czegoż ty będziesz się utrzymywał, gdy do tego dojdzie? Ja będę pracował sześć godzin dziennie, nauczając polityków, jak mają się zachować w tej zabawie. Weź moją kartę wyścigową, Soamesie; idź do parlamentu, zapewnij sobie czterysta funtów... i daj mi posadę.

I widząc, że Soames już wychodzi, usiadł zpowrotem na wnące okna.

Soames ruszył wzdłuż Piccadilly, pogrążony w myślach i wstrząśnięty do głębi słowami kuzyna. On sam przecie (mówił sobie w duchu) przez całe życie wciąż tylko harował i oszczędzał, natomiast Jerzy zawsze był trutniem i marnotrawcą... a przecież, gdyby kiedyś przyszło do konfiskaty, to los padnie właśnie na niego... Soamesa Forsyte'a... człowieka oszczędnego i pracowitego! Było to zaprzeczeniem wszelkiej zasługi, obaleniem wszelkich zasad Forsyte'owskich! Czyż na innych zasadach może wspierać się i wzrastać cywilizacja? Soames co innego o tem sądził... I cóż? przypuśćmy, że nie zabiorą mu obrazów, bo nie będą się znali na ich wartości. Ale cóż będą warte same obrazy, gdy ci manjacy zaczną doić jęgo kapitał? Nikt nie zechce kupować tego śmiecia...

— Nie dbam o siebie — myślał — w moim wieku mogę wyżyć z pięciuset funtów rocznie i nawet nie poczuć różnicy. Ale Fleur!...

Ta fortuna, tak mądrze ulokowana w wartościowych przedmiotach, te skarby tak troskliwie wyszukiwane i gromadzone — wszystko to było przeznaczone dla niej. A jeżeli tak się złożą okoliczności, że nie będzie mógł jej tego podarować lub zostawić w spadku — no, to niema po co żyć!... a cóż komu przyjdzie z tego, że teraz on pójdzie popatrzeć na te warjackie bzdury futurystyczne, tę sztukę przyszłości, co do której wiadomo, czy ma jaką przyszłość?

W każdym razie, dotarłszy do galerji na Cork Street,

zapłacił szylinga, wziął katalog i wszedł do sali. Z jakie dziesięć osób snuło się ukradkowym krokiem wokół. Soames postąpił naprzód i doszedł do czegoś, co wydało mu się słupem latarni, pochylonym wskutek najechania przez omnibus. Było to wysunięte na jakie trzy kroki od ściany, a w katalogu nosiło nazwę „Jowisz“. Z ciekawością obejrzał to dziwo, jako że ostatniemi czasy poświęcał nieco uwagi rzeźbie.

— Jeżeli to ma być Jowisz — pomyślał — ciekaw jestem, jaką może być Junona.

Nagle po stronie przeciwnej dostrzegł i Junonę. Wydała mu się zgoła podobną do dwudźwigniowej pompy, zlekka oprószonej śniegiem. Jeszcze się jej przypatrywał, naraz na lewo od niego stanęło dwóch ludzi zwiedzających wystawę.

— *Épatant!* — ozwał się jeden z nich.

— Już ten żargon! — burknął Soames pod nosem.

Drugi z sąsiadów ozwał się głosem dziecinnym:

— Chybione, mój stary; on cię chce złapać za nogę. Gdy Jowisz i Junona stwarzali tych durniów, on mówił: — Ciekaw jestem, jak oni to przyjmą. — No i cóż? przelknęli to i ani się nie zadławili.

— Ej, żółtodziobie! *Vospovitch* toruje nowe drogi w sztuce! Nie widzisz, ile satyry tchnął w swą rzeźbę? Przyszłość sztuki plastycznej, muzyki, malarstwa a nawet architektury opiera się głównie na satyrze. Tak być musi. Ludzie są znużeni... pod sentymentem zachwiał się grunt.

— No, co się mnie tyczy, jestem skłonny po dawnemu mieć jakie takie zainteresowanie dla piękna... a przecież przeżyłem wojnę światową... Pan szanowny zgubił chusteczkę.

Soames wziął do ręki podaną sobie chusteczkę i nie bez zrozumiałej podejrzliwości przybliżył ją do nosa. Miała właściwy zapach — delikatnej wody kolońskiej

— oraz jego inicjały w jednym rożku. Nieco upewniony, podniósł oczy ku twarzy młodego człowieka. Ponad pospolicie ubraną powierzchownością zauważył żółtawe sarnie uszy, roześmiane usta, przybrane po obu stronach równo przystrzyżoną szczecinką, oraz małe i żywe oczka.

— Dziękuję panu — odrzekł, a po chwili, jakby nieco podrażniony, dodał. — Rad jestem słyszeć, że pan kocha piękno; dziś tak rzadko się to spotyka.

— Przepadam za niem — oświadczył młodzieniec — jednakże pan i ja należymy tylko do niedobitków starej gwardji.

Soames uśmiechnął się.

— Jeżeli pan naprawdę interesuje się obrazami — rzekł — to oto mój bilet wizytowy. Mógłbym panu pokazać parę dzieł bardzo dobrego pendzla, gdyby pan był łaskaw zajrzeć do mnie której niedzieli.

— Bardzo to wielka uprzejmość z pańskiej strony. Przylecę jak ptaszek! Nazywam się Mont... Michał... — i zdjął kapelusz.

Soames, już w duchu żalując swego porywu, odwzajemnił się lekkim poruszeniem swego kapelusza, rzucając wzgardliwym wzrokiem na drugiego z sąsiadów, który miał purpurowy krawat, okropne ślimakowate baczki i drwiące spojrzenie — z czem całkowicie zakrawał na poetę!

Była to pierwsza niedyskrecja, jakiej dopuścił się oddawna — tak iż poczuł się zmuszony usiąść w bocznej alkowie. Cóż go opętało, by wręczać bilet wizytowy jakiemuś fircykowi, który nawet nie umiał się na tem poznać? I postać Fleur, która zawsze tała się w głębi jego myśli, naraz wystąpiła wprzód, jak filigranowa figuryńka z zegara w chwili uderzenia godziny. Na przepierzeniu nawprost alkowy wisiało wielkie płótno usiane mnóstwem kwadratowych plam pomarańczowego koloru; pozatem (o ile Soames mógł dostrzec z miejsca



gdzie siedział) nie było tam nic więcej. Zajrzał do katalogu; przeczytał: — Nr. 32. — Miasto przyszłości. — Paweł Post.

— Przypuszczam, że i w tem kryje się satyra! — pomyślał. — Co za cudo!

Jednakże drugie wrażenie było już oględniejsze. Nie należało potępiać zbyt pochopnie. Wszak owe pasiaste i pręgate twory Moneta, które nastroczały tyle trudności, były następnie podwaliną całej szkoły... a co było z Gauguin'em? Ba, nawet po epigonach impresjonizmu było kilku malarzy, na których nie należało kichać. W ciągu trzydziestu ośmiu lat swego koneserskiego żywota tyle już doprawdy zaobserwował różnych „prądów“, tyle widział przyływów, odpływów, falowań techniki i smaku, że w istocie nie można było ustalić żadnego sądu, jak jedynie to, iż na każdej zmianie mody należało dobrze zarobić. Mógł się zdarzyć też i taki wypadek, że trzeba było stłumić w sobie najbardziej zasadnicze instynkty — albo też stracić rynek...

Wstał i podszedł ku obrazowi, usiłując spojrzeć nań oczyma innych ludzi. Ponad pomarańczowemi plamami było coś, co poczytał za wschód słońca, póki go nie wywiódł z błędu głos kóregoś z przechodniów:

— Czy ci się nie zdaje, że te aeroplany są przepyszne!

Poniżej plam pomarańczowych był biały pas, przecięty pionowo czarnemi kreskami, którym wogóle nie przypisywał żadnego znaczenia, póki nie nadszedł ktoś jeszcze inny mrucząc:

— Jaką ekspresję uzyskano tu na pierwszym planie!

Ekspresję? Czego? Soames powrócił na miejsce, gdzie pierw siedział. Rzecz ta „traciła bogactwem“, jak zwykł był się wyrażać jego ojciec; wobec tego nie mógł na nią rzucać kamieniem potępienia. Ekspresja! Aha! Przecież obilo mu się o uszy, że na kontynencie wszyscy już są ekspresjonistami. A więc ta plaga wdziera się i tutaj?

Przypomniał sobie pierwszą falę influency w r. 1887 czy 1888-ym; mówiono, iż wylęła się w Chinach. Zachodził w głowę, gdzie mógł się wylęgnąć ten... ten ekspresjonizm. Toż to była istna choroba!

Spostrzegł jakąś kobietę i chłopca-wyrostka, stojących pomiędzy nim a „Miastem Przyszłości“. Byli do niego odwrócenii plecami — jednakże naraz Soames zasłonił sobie twarz katalogiem i ściągnawszy kapelusz na czoło, jął im się przyglądać z pod oka. Nie mogło być omyłki co do tych pleców, wytwornych jak zawsze, pomimo że włosy ponad niemi już posiwiały... Irena! Żona jego niegdyś, dziś rozwódka — Irena! Ten zaś smyk był to bezwątpienia jej syn — jej i tego draba Jolyona — ich chłopak, o sześć miesięcy starszy od rodzonej córki Soamesa!

I przeżuwając w duszy gorzkie wspominki czasów rozvodu, już zerwał się z miejsca, by zejść z oczu im obojgu, w tejże jednak chwili skwapliwie usiadł zpowrotem. Ona zwróciła głowę do chłopca, mówiąc coś do niego... Jej profil był jeszcze taki młodzieńczy, że siwe jej włosy mogły się przy nim wydać upudrowanemi jakby na maskaradzie; takiego uśmiechu, jaki w tej chwili zakwitał na jej wargach, nigdy nie zdarzyło się widzieć Soamesowi, co był niegdyś pierwszym warg tych właścicielem... Z zazdrością przyznawał, że była jeszcze piękna, a w figurze niemal tak młoda, jak pierwej... A jakimże uśmiechem odplacił jej ten chłopak! Wzruszenie ścisnęło Soamesa za serce. Widok ten naruszył w nim poczucie sprawiedliwości... Zazdrościł Irenie tego uśmiechu chłopca; uśmiech ten przechodził miarę wszystkiego, czem darzyła go Fleur, i był niezastulony. Ich syn mógłby być *jego* synem, a Fleur mogłaby być *jej* córką, gdyby pozostało wszystko po dawnemu!

Soames zagłębił się w katalogu. Jeżeli go spostrzegła — temci lepiej! Wspomnienie dawnego postępu — tu

w obecności syna, który prawdopodobnie nie wiedział o niczem — byłoby zbawiennem skinieniem palca Nemesis, który niewątpliwie prędzej czy później musiał na niej spocząć!

Napół uświadamiając sobie, że podobna myśl w głowie Forsyte'a — i to tak podeszłego wieku — była niedorzecznością, Soames sięgnął do zegarka. Już po czwartej! Fleur się spóźnia! Poszła do jego siostrzenicy, Imogeny Cardigan, gdzie ją pewnie zatrzymano na paleniu papierosów, pogawędce i tak dalej... Doszedł go śmiech chłopca, a potem jego słowa:

— Mamusiu, czy to dzieło jednego z kulawych kacząt cioci Juny?

— Paweł Post... tak mi się wydaje, kochanie.

To słowo obudziło w Soamesie lekki dreszcz; nigdy nie słyszał, by miała je na ustach... Naraz ona go dostrzegła. Jego oczy musiały mieć w sobie coś z sardonicznego spojrzenia Jerzego Forsyte'a, gdyż jej dłoń, odziana w rękawiczkę, jąla wygładzać fałdy na sukni, brwi uniosły się w górę a twarz przybrała kamienny wyraz.

Ruszyła dalej.

— Toci dopiero dziwadło! — ozwał się chłopak, biorąc ją znów pod ramię.

Soames powiódł za nimi oczyma. Chłopak był przy stojny, miał Forsyte'owski podbródek, oczy głęboko osadzone, ciemnoszare; poza tem jednak rozlewało się ponad nim coś słonecznego, niby szklanka starego cheresu — może jego uśmiech, może włosy. Nie zasłużyli na to oni... tych dwoje!

Gdy Irena z synem przeszła do następnego pokoju, Soames, straciwszy ich z oczu, jął w dalszym ciągu przyglądać się „Miastu Przyszłości“ — jednakże nie widział go wcale. Nieznacznym uśmiechem wygiął mu usta. Wszakże on, Soames Forsyte, odczuwał po tylu latach

wzgardę dla własnych swych uczuć. Upiorne przywidzenia! — mawiał o nich. A jednak — gdy człek się już zestarzał — czyż ostało się cokolwiek, coby nie było upiornem mamidłem? Prawda, była jeszcze Fleur! Przykuł wzrok do drzwi wchodowych. Przyjść miała niewątpliwie — jednak czasami kazała mu długo czekać, a jakże!...

Naraz ujrzał coś jakby gza w ludzkiej postaci — małą, szczupłą osóbkę odzianą w morskiego koloru *dżibbah* z metalowym paskiem oraz w przepaskę przytrzymującą jej niesforne czerwone-złote włosy, gęsto przetkane siwizną. Rozmawiała właśnie ze służbą galerji; w jej oczach, podbródku, włosach i temperamencie uderzyło go coś, co mu było skądś znanem — coś co mu przypominało płowego jamniczka szkockiego, oczekującego podania obiadu... To chyba Juna Forsyta... Niema wątpliwości! Juna Forsyte... jego kuzynka... zdążyła akurat ku jego schronieniu! Usiadła obok niego, głęboko zamyślona, wyjęła notatnik i zaczęła coś zapisywać ołówkiem. Soames siedział nieporuszony. Bodaj licha wzięło to kuzynostwo!

— Obrzydliwe! — usłyszał jej pomruk. W tejsze chwili, jakgdyby wyczuwając obecność obcego człowieka, który słyszał jej słowa, spojrziała w jego stronę. Stało się, co tylko mogło się stać najgorszego.

— Soames!

Soames zlekka odwrócił głowę.

— Jakże się miewasz? — bąknął. — Nie widziałem cię od dwudziestu lat.

— Nie. Cóż *ciebie* tu sprowadziło?

— Moje grzechy — odrzekł Soames. — Co za rupiecie!

— Rupiecie? Och, tak... istotnie! To jeszcze tutaj nie dotarło!

— I nigdy nie dotrze — oświadczył Soames — rzecz taka u nas musi zrobić zupełną klapę.

— Już ją robi.

— Skąd wiesz?

— Bo to moja galerja.

Soames aż sapnął z wielkiego zdziwienia.

— Twoja? I cóż cię skłoniło urządzać taką wystawę?

— *Ja* nie uważam sztuki za sklep korzenny.

Soames wskazał na „Miasto Przyszłości“.

— Spójrz na to! Kto zechce mieszkać w takim mieście albo zawiesić je na ścianach swego mieszkania?

Juna przez chwilę przyglądała się obrazowi.

— To wizja — wyjaśniła.

— Do diabła!

Przez chwilę oboje milczeli, potem Juna wstała z miejsca.

— Zbzikowana lafirynda! — pomyślał Soames, a głośno dodał: — Wiesz co, znajdziesz tu swego braciszka przyrodniego z kobietą, którą niegdyś znałem. A tę wystawę radzę ci zamknąć... nie wiem tylko czy posłuchasz dobrej rady.

Juna obejrzała się na niego.

— O, ty Forsycie! — rzuciła i poszła dalej. Jej lekka, lotna figura, oddalająca się tak nagle, kryła w sobie jakby niebezpieczne postanowienia... Forsycie! Prawda, był Forsytem... choć i ona była z rodziny Forsyte'ów! Ale od czasu, gdy Juna jeszcze jako młoda dziewczyna przywiodła Bosinney'a do tego, by złamał mu życie, nigdy nie rozmawiał z nią na ten temat... i nigdyby tego nie uczynił! I oto spotkał ją — po dzień niezamężną — i to jako właścicielkę galerji!... Nagle zaczął sobie uświadamiać, jak mało wie o swej własnej rodzinie. Stare ciotki, mieszkające u Tymoteusza, powymierały od lat wielu, a dla nowych nie było jeszcze przytuliska. Cóż one wszystkie porabiały podczas wojny? Syn młodego Rogera był raniony, drugi z synów St. Johna Haymana poległ, najstarszy syn Mikołaja dostał O. B. E.,

czy też inny jakiś order. Wszyscy oni, jak mniemał, musieli w wojnie brać jakiś udział. Ten synalek Jolyona i Ireny wydał mu się na to jeszcze za młody, generacja zaś, do której sam należał, była oczywiście za stara na takie rzeczy... choć prawda, że Giles Hayman powoził jako szofer ambulansem Czerwonego Krzyża, a Jesse Hayman był funkcjonariuszem policji — ale ci „Dromjowie“ zawsze należeli do typu sportowców! Co się tyczy jego samego, to uczestnictwo swe zaznaczył kupieniem motorowego ambulansu, zaczytywaniem się w gazetach, które go wkońcu przyprawiły o chorobę, przeżyciem wielkiej trwogi, niekupowaniem odzieży, utratą siedmiu funtów wagi; nie wiedział doprawdy, co możnaby więcej uczynić w jego wieku! Uderzyło go to, że i sam, i jego rodzina zgoła inaczej odnieśli się do tej wojny, niż do owej burdy z Burami, o której przecie w swoim czasie było mniemanie, że była próbą generalną wszystkich sił brytyjskiego imperjum. Prawda, że w owej starej wojnie siostrzeniec jego, Val Dartie, poniósł ranę, że pierworodny syn tego draba Jolyona zmarł na tyfus brzuszny, że „Dromjowie“ wyjechali konno na front, a Juna była pielęgniarką; jednakże tamto wszystko wydawało się jakoby jakimś dziwnem a dalekiem zjawiskiem, natomiast w ostatniej wojnie każdy w miarę możliwości spełniał „swoją rolę“, jako coś namacalnego i rzeczywistego. Ona — ta wojna — zdała się unaczyniać wzrost tego lub owego — albo też osłabienie i upadek innej jakiejś rzeczy. Czy Forsytowie byli przez nią mniej indywidualni, mniej prowincjonalni lub nastrojem bardziej imperjalistycznie? Albo czy to była rzecz prosta, że się nienawidziło Niemców?... Czemu Fleur nie nadchodzi? Jużby rad był stąd się wydostać!

Zobaczył znów tamtych troje, jak razem wyszli z drugiego pokoju i szli drogą powrotną, od drugiego końca przepierzenia. Chłopak akurat zatrzymał się przed Ju-

noną. Jednocześnie po drugiej stronie posągu Soames spostrzegł — swoją córkę, z brwiami podniesionemi niemal do niemożliwości w górę. Widział, że oczy jej skrzyły się boczkiem w stronę chłopca, a chłopak odwzajemniał jej się takimże spojrzeniem. Potem Irena ujęła syna pod ramię i pociągnęła go za sobą. Soames zauważył, że chłopak się obejrzał, a Fleur patrzyła długo za trojgiem wychodzących.

Jakiś wesoły głos zagadnął:

— Trochę ciężkie, prawda, panie szanowny?

To przechodził ów młokos, który mu podał był chusteczkę. Soames kiwnął głową.

— Nie wiem, ku czemu idziemy!

— O tak! ma pan rację — odpowiedział jowialnie młodzieniaszek; — i *oni* sami też nie wiedzą.

— Hola, ojczulku! — zadźwięczał głos Fleur. — Toś ty tu! — zupełnie, jakby to on kazał jej czekać na siebie.

Młodzieniaszek, zerwawszy kapelusz z głowy, poszedł dalej.

— No, no! — ozwał się Soames, mierząc ją wzrokiem; — ale punktualna z ciebie kobietka!

Ten pieczołowicie strzeżony skarb jego życia był wzrostu średniego, miał cerę dość rumianą i ciemno-kasztanowe włosy; jej szeroko rozstawione, ciemno-piwe oczy były osadzone w białkach tak jasnych, iż skrzyły się za każdym poruszeniem, a przecie w spoczynku stawały się niemal senne pod bieluchnemi, czarną rzęsą obwiedzionemi powiekami, co ponad oczyma zwieszały się nakształt kotary. Profil miała czarujący, a — poza jednym podbródkiem — żadnym szczegółem twarzy nie przypominała ojca. Uświadomiwszy sobie, że wrażenie jej widoku odbiło się rozczuleniem na jego twarzy, Soames zmarszczył się, ażeby zachować niewzruszoność, właściwą

Forsytom. Wiedział bowiem, że córka była aż nadto skłonna wyzyskiwać jego słabość.

Wsunawszy mu rękę pod ramię, zapytała:

— Kto to był, ten pan?

— Podniósł mi z ziemi chustkę. Potem rozmawialiśmy o obrazach.

— Chyba *tego* obrazu nie zamýślasz kupić, ojczulku?

— Nie — odrzekł Soames ze złością; — ani tej Junony, której tyś się przyglądała.

Fleur pociągnęła go za ramię.

— Och, chodźmy już! to okropna wystawa!

W drzwiach spotkali młodzieńca, zwanego Mont, i jego towarzysza. Lecz Soames — jakby wywiesił tablicę z napisem: „Przekraczanie terenu będzie ścigane sądownie“ — przyjął tylko do wiadomości ukłon młokosa.

— No i kogóż spotkałaś u Imogeny? — zapytał, gdy już byli na ulicy.

— Ciotkę Winifredę i tego Monsieur Profond.

— Oho! — burknął Soames; — tego hultaja! I cóż to ciotka twoja w nim widzi?

— Nie wiem. Ma takie ładne, poważne spojrzenie... matka mówi, że on się jej podoba.

Soames chrząknął.

— Był i kuzyn Val z żoną.

— Co! — zawołał Soames. — Myślałem, że wrócili do Południowej Afryki.

— O nie! Farmę sprzedali. Kuzyn Val zamierza ujeźdźać konie wyścigowe na równinach Sussexu. Kupili sobie ładny, stary dworek i zapraszają mnie do niego.

Soames zakaszłał; nowina ta była mu przykrą.

— Jakże wygląda teraz jego żona?

— Bardzo spokojna, ale jak mi się zdaje, bardzo miła.

Soames znów zakaszłał.



— Ten twój kuzyn Val to straszny hulaka.

— O nie, ojczulku, oni są strasznie sobie oddani. Obiecałam, że będę u nich... od soboty do środy...

— Na ujeżdżaniu koni wyścigowych! — sarknął Soames. Już sama ta rzecz w sobie była zła, jednakże nie ona była powodem jego niesmaku. Czemuż to, u licha, ten miły siostrzeniec nie mógł pozostać w Południowej Afryce? Sam jego rozwód był rzeczą dość przykrą — i bez ożenku siostrzeńca z córką rozwodnika, do tego jeszcze z przyrodnią siostrą Juny i tego chłopaka, któremu Fleur tak się niedawno przypatrywała z pod ramienia owej pompy! Jeżeli on, Soames, nie będzie się miał na baczości, to Fleur dowie się wszystkich szczegółów tej zadawnionej sromoty! Ileż to nieprzyjemności okrążyło go naraz w te godziny popołudniowe, niby rój natrętnych pszczoł!

— To mi się nie podoba! — oznajmił.

— Chciałabym zobaczyć wyścigi — mruknęła Fleur — a oni mi obiecali, że pojeżdżą konno. Kuzyn Val, jak wiesz, nie może dużo chodzić; zato jeździ przepysznie! On chce mi pokazać, jak się galopuje.

— Wyścigi! — mówił do siebie Soames. — Szkoda, że wojna nie dała im w łeb na koniec. Boję się, że Val wdał się w swojego ojca.

— Nie wiem nic o jego ojcu.

— Eh, nic ciekawego! — odparł Soames gniewnie. — Zajmował się końmi i skręcił sobie kark w Paryżu, schodząc ze schodów. Całe szczęście dla ciotki, że się go pozbyła.

Zmarszczył się, przypominając sobie przeprowadzone co do tych schodów śledztwo, nad którym czuwał w Paryżu, jako, że Montague Dartie nie mógł sam nad niem czuwać. — — Były to zgoła zwyczajne schody, w domu, gdzie grywano w baka; albo zysk tej gry, albo sposób, w jaki je uświęcono, musiał oszołomić głowę szwagra.

Francuska procedura była nader liberalną — miał z nią też niemało kłopotu.

Głos Fleur skierował jego uwagę w inną stronę.

— Spójrz, tatusiu! to ci ludzie, co byli z nami w galerji.

— Jacy ludzie? — burknął niechętnie Soames, wiedząc doskonale, o czem mowa.

— Uważam, że ta kobieta jest piękna.

— Chodźmy do tej cukierni — rzekł Soames zwięźle i ścisnąwszy mocniej jej ramię, skierował się ku drzwiom cukiernianym. Był zaskoczony zbiegiem okoliczności i zapytał, jakby z trwogą:

— Na co masz ochotę?

— Eh! nie chcę nic. Piłam cocktail i zjadłam potężne drugie śniadanie.

— Musimy coś zomówić, skorośmy tu weszli! — burczał Soames, nie wypuszczając jej ramienia. — Dwie herbaty — zwrócił się do fagasa — i dwa... tamte... nugaty.

Ale ledwie ciało jego spoczęło, gdy naraz podskoczyła w nim dusza. Tych troje... tych troje... wchodziło w sam raz do tej cukierni! Posłyszał, jak Irena coś rzekła do chłopca, ten zaś odpowiedział:

— O, nie, mamusiu; to miejsce jest doskonale. W moim guście!

I wszyscy troje usiedli.

W ową to chwilę Soames, w najwyższym stopniu zalekniony o całą swą przyszłość, okrążony widmami i upiorami swej przeszłości, mając przed sobą dwie najukochańsze kobiety — żonę, co się z nim rozwiodła i córkę, która ją zastąpiła — nietylko obawiał się *ich*, co raczej swej kuzynki Juny. Ona mogła urządzić scenę — mogła przedstawić sobie wzajem oboje dzieci — ją było stać na wszystko. Z ogromną skwapliwością zagryzał nugat, który przylepiał mu się do talerzyka. Próbując

palcem go oderwać, rzucił okiem na Fleur. Żuła sennie, ale oczy miała utkwione w chłopca. Duch Forsyte'owski w nim mówił: „Myśl, czuj, a i tak przepadłeś z krete sem!” I rozpaczliwie szarpnął palcem... Talerz!... Czy Jolyon rozbił kiedy talerz? Czy ta kobieta rozbiła talerz? Był czas, gdy nie widział, by stłukła cokolwiek! Bądź co bądź, stanowiło to przecie coś, czego mu nigdy nie odebrano. I ona o tem wiedziała, choć w tej chwili może siedziała spokojnie, panując nad sobą, jakgdyby nigdy nie była jego żoną. Kwaśny jakiś humor zapulsował w jego krwi Forsytowskiej. — był w nim ból jakiś subtelny, o włos tylko graniczący z rozkoszą. Gdybyż tylko Juna nie wpuściła na niego nagle całego roju szerszeni! Chłopiec właśnie teraz przemawiał:

— Tak jest, ciociu Juno — (a więc on swoją siostrę przyrodnią nazywał ciocię? No tak, ona dziś ma chyba koło pięćdziesiątki!) — pięknie to z twej strony, że ich ośmielasz... Ale... niechże to wszystko kaci wezmą!

Soames rzucił ukradkowe spojrzenie. Oczy Ireny, pełne przerażenia, spoczywały z uwagą na chłopcu. Tak... taką to czułość okazywała ona — najpierw Bosinneyowi — potem ojcu tego chłopca — a teraz temu chłopcu! — —

Dotknął ramienia Fleur i zapytał:

— Co, masz już dosyć?

— Jeszcze jeden kawałek, proszę cię, ojczulku.

Ależ ona się rozchoruje! Podszedł do kasy, by zapłacić. Gdy powrócił, ujrzał Fleur stojącą koło drzwi i trzymającą w ręku chusteczkę, którą widocznie wręczył jej przed chwilą chłopiec.

— F. F. — posłyszał jej słowa. — Fleur Forsyte... tak, to moja chusteczka. Dziękuję panu bardzo!

Na miłość Boską! Toż ona powtórzyła kawał, który on opowiedział jej w galerji... O małpeczka!

— Forsyte? Jaktó? Przecież to i moje nazwisko! Może jesteśmy kuzynami?

— Naprawdę! Pewnie, że jesteśmy... niema innych Forsytów. Ja mieszkam w Mapledurham... A pan gdzie?

— W Robin Hill.

Pytanie i odpowiedzi tak szybko po sobie nastąpiły, że Soames nie zdołał przez ten czas nawet palcem kiwnąć. Ujrzał twarz Ireny, ogarniętą przerażeniem, potrząsnął prawie że nieznacznie głową i wziął Fleur pod ramię.

— Chodź już ze mną! — ozwał się.

Ona się nie poruszyła nawet.

— Czy słyszałeś, ojczulku? Czy to nie dziwne? Nasze nazwiska są takie same... Czy jesteśmy kuzynami?

— Co takiego? — odpowiedział. — Forsyte? Pewnie jakieś dalekie pokrewieństwo.

— Na imię mam Jolyon, panie łaskawy. W skróceniu nazywają mnie Jonem.

— Aha, aha! — rzekł Soames. — A jakże... Daleki kuzyn... Jakże się kuzyn miewa? Bardzo ładnie z jego strony... Do widzenia!

I zabierał się do odejścia.

— Ogromnie jestem wdzięczna — mówiła Fleur. — *Au revoir!*

— *Au revoir!* — słychać było odpowiedź chłopca.

## ROZDZIAŁ II

### FINE FLEUR FORSYTE

Pierwszą myślą Soamesa, po wydobyciu się z „ciastkarni“, było dać folgę swym nerwom i odezwać się do córki:

— Ech, to upuszczenie chustki!...

Ale na takie *dictum* mógł z całą słusnością oczekiwać odpowiedzi:

— Nauczyłam się od ciebie!

Dlatego to drugą myślą Soamesa było, że nie należy

budzić licha. Za to nieuniknioną rzeczą stało się pytanie z jej strony. Spojrzał na nią zukosa i zobaczył, że ona czyni to samo. Ozwała się cicho i łagodnie:

— Czemu ty, ojczulku, nie lubisz tych kuzynów? Soames wydał wargę.

— Skądże ci przyszło o tem myśleć?

— *Cela se voit.*

— „To się widzi.“ Co za sposób wyrażania się!

Po dwudziestu latach pożycia z żoną-Francuzką Soames jeszcze nie nabrał sympatji do jej ojczystego języka; uważał go za rekwizyt teatralny, który ponadto w jego myślach kojarzył się zawsze ze wspomnieniem wyrafinowanej ironji, jaka go spotykała w domu.

— Jak? — zapytał. — O co chodzi?

— Ty napewno *musisz* ich znać... a nie dawałeś tego poznać po sobie. Widziałam, że oni ci się przyglądali.

— Nigdy w życiu nie widziałem tego chłopca — odparł, najzgodniej z prawdą, Soames.

— No, tak, ale widziałeś *tamte* inne osoby, mój drogi.

Soames znów na nią spojrział. Cóż to ona ma za wiadomości? Czyżby wygadała się przed nią ciotka Winifreda lub Imogena, albo też Val Dartie i jego żona? W domu strzeżono ją pilnie przed najlżejszem tchnieniem owego skandalu lat dawnych, a Winifreda wiele razy słyszała przestrożę, iż on sobie tego nie życzy, by ktoś pisał o tem choćby słówko wobec córki. Córka powinna była wzrastać w przekonaniu, że ojciec nigdy wpierv nie był żonaty.

Atoli ciemne jej oczy, których południowy blask i wyrazistość często niemal lęk w nim budziły, teraz, spotkawszy się z jego wzrokiem, miały wyraz nieklamanej niewinności.

— No tak — ozwał się — twój dziadek poróżnił się

niegdyś ze swym bratem. Odtąd dwie nasze rodziny nie znają się z sobą.

— Jakież to romantyczne!

— Doprawdy, co ona chce przez to powiedzieć? — pomyślał Soames. Określenie to wydawało mu się niebezpiecznym i warjackim... zupełnie jakgdyby się wyraziła: „Jakież to piękne!“

— I nadal też nie będą się znały! — dodał, lecz natychmiast pożałował stanowczości swego głosu.

Fleur uśmiechała się. W czasie, gdy młodzi ludzie poczytują sobie za chlubę iść własną drogą i nie zwracać uwagi na żadne sędziwe przesady i uprzedzenia, on właśnie wyrwał się z czemś takim, co tylko mogło pobudzić jej przekorę. Potem, przypomniawszy sobie wyraz twarzy Ireny, odetchnął znów spokojnie.

— Cóż to była za zwada? — posłyszał zapytanie Fleur.

— Poszło o jeden dom... To już dla ciebie za stare dzieje. Twój dziadek umarł w tym dniu, kiedy tyś się urodziła... Dożył lat dziewięćdziesięciu...

— Dziewięćdziesięciu? Czy są jeszcze jacyś Forsytowie prócz tych, co zamieszczeni w Czerwonej Księdze?

— Nie wiem — odrzekł Soames. — Wszyscy gdzieś się porozpraszali po świecie. Starzy powymierali, oprócz Tymoteusza.

Fleur złożyła dłonie.

— Tymoteusza? Ależ to imię paradne!

— Niezupełnie — rzekł Soames; uraziło go to, że ktoś mógł imię „Tymoteusz“ uważać za paradne, co było poniekąd naigrawaniem się z jego rodzinnego gniazda... to nowe pokolenie drwiło sobie z wszystkiego, co hartowne i uczciwe. — Idź kiedy odwiedzić staruszkę. Pewnie zechce ci coś powiedzieć o przyszłości.

Ach! Gdyby Tymoteusz mógł widzieć różnych swych dalszych czy bliższych wnuków i wnuczki, stanowiących dzisiejsze pokolenie Anglii, toby dopiero rozpuścił

język! I Soames mimowoli zerknął w stronę Iseeum... Tak, Jerzy siedział jeszcze w oknie, trzymając w rękę ten sam różowy papier.

— Gdzie jest Robin Hill, ojczulku?

Robin Hill! Robin Hill, dokoła którego zogniskowała się cała pamiętna tragedia!... I na cóż jej to było potrzebne?

— W Surrey — burknął; — niedaleko od Richmondu. I cóż?

— Czy tam jest ten dom?

— Jaki dom?

— O który oni się pokłócili.

— Tak jest. Ale co to ciebie może obchodzić? Jutro jedziemy do domu... lepiejbys pomyślała o sukienkach.

— Rany Boskie! Jużem o tem wszystkim dawno pomyślała... Więc była to waśń rodzinna? To zupełnie jak w Biblii lub u Marka Twaina... Ogromnie intrygujące!... A jaką rolę miałeś *ty* w tej waśni, ojczulku?

— Mniejsza o to!

— Oho! A jeżeli ja mam nadal podtrzymywać ten „rankor“?

— Któż ci powiedział, że masz go podtrzymywać?

— Ty sam, tatulku!

— Ja? Przecież powiedziałem, że to ciebie nie obchodzi.

— Widzisz, i *ja* tak myślę; zatem wszystko jest w porządku.

Doprawdy, trudno było sobie z Fleur poradzić! Była w porównaniu z nim zbyt przebiegła... *fine*, jak nazywała ją niekiedy Anetka. Nie było innej rady, jak skierować jej uwagę w inną stronę.

— Tutaj widziałem ładny haft, który wiem, że ci się będzie podobał — rzekł, zatrzymując się przed wystawą sklepową.

Gdy kupili rzecz wspomnianą i ruszyli w dalszą drogę, Fleur ozwała się:

— Czy ci się nie zdaje, że matka tego chłopca jest najpiękniejszą kobietą, w tym oczywiście wieku, jaką widziałeś kiedykolwiek?

Soames zadrżał. Okropność, jak ona do tego tematu się przypięła!

— Nawet nie wiem, czym ją zauważył.

— Ależ, tatulku, widziałam, w którą zerkaleś stronę!

— Ty wszystko widzisz... zdaje się, że nawet więcej, niż było naprawdę!

— A jak wygląda jej mąż? On musi być twoim bratem stryjecznym, jeżeli wasi ojcowie byli braćmi.

— Umarł już o ile mi wiadomo — odparł Soames z nagłą gwałtownością. — Nie widziałem go od lat dwudziestu.

— A czem był?

— Malarzem.

— Oh, to bardzo ładne!

Z warg Soamesa już miały się posypać słowa:

— Jeżeli chcesz mi sprawić przyjemność, wybij sobie tych ludzi nakoniec z głowy!

Jednakże przelknął je przemocą — czuł, że nie powinien dać jej poznać, co w nim nurtuje.

— On raz mi ubliżył... — rzekł tylko.

Jej bystre oczki spoczęły na jego twarzy.

— Widzę już, o co chodzi. Nie zdołałeś się pomścić i to cię boli... Biedny ojczulku! Pozwól, żebym ja się do tego zabrała!

Zaiste, Soames miał wrażenie, jakby leżał w ciemności, a jakiś natrętny moskit krążył mu koło twarzy. Takiej uporczywości nie zdarzyło mu się dotąd spotkać u Fleur, więc gdy dotarli do hotelu, ozwał się z dąsem:

— Uczyniłem wszystko, co było w mej mocy. A teraz



dość mi już o tych ludziach! Zostanę na górze aż do kolacji.

— Ja posiedzę tutaj.

Rzucając na odchodnym przelotne spojrzenie, pełne jednocześnie uwielbienia i głębokiej urazy, na córkę wyciągniętą w fotelu, Soames wszedł do windy i dostał się do pokoiów, zajmowanych przez nich na czwartym piętrze. Stał przy oknie pokoju bawialnego, wychodzącym w stronę Hyde Parku i zaczął bębnić palcami po szybie. Czuł się skwaszony, zbity z tropu, zaniepokojony. Dolegliwość starej rany, zablźnionej przez czas i nowe zainteresowania, mieszała się z niezadowoleniem i lękiem, oraz z lekkim uciskiem w żołądku, gdzie utknął ten przeklęty nugat. Czy Anetka już przyszła?... Choć niewiadomo, coby tu ona mogła mu poradzić w tak wielkim kłopotcie. Ilekroć go wypytywała o pierwsze małżeństwo, on zawsze jej dawał odpowiedź wymijającą; przeto nie wiedziała nic o niem, jak tylko to, że tamten związek wyniknął z największej namiętności, jaką przeżył kiedykolwiek Soames, natomiast drugi jego ożenek — z nią właśnie — był jeno załatwieniem domowego nieszczęścia. Miała więc zawsze na podorędziu niby to zazdrość z tego powodu — i umiała wyzyskać ją po kupiecku.

Jał nadśłuchiwać. Jakiś głos — bezładny szmer powiewnych ruchów kobiecych — przedostawał się poprzez drzwi. Tak, ona już była u siebie. Zastukał.

— Kto tam?

— Ja — odpowiedział Soames.

Zmieniała właśnie suknię i była jeszcze niezupełnie ubrana; jej figura rysowała się wyraziście przed lustrem. Była jakaś wspaniałość w jej ramionach, barkach, włosach — które mocno ściemniały od czasu, gdy ją poznał — w wygięciu jej szyi, w jedwabistości jej odzienia, w jej ciemno podkreślonych, szarobłękitnych oczach;

przy czterdziestce była niewątpliwie równie ładna, jak za lat dawniejszych. Był to piękny przedmiot jego własności, wyborna gospodyni, rozsądna i naogół kochająca matka. Gdybyż tylko nie była wciąż tak bez ogródek cyniczną w sprawach dotyczących osobistego ich stosunku! Soames, który dla niej nie żywił większej miłości, niż ona ku niemu, doznawał pewnego — specjalnie angielskiego — rodzaju strapienia, na które ona nie rzuciła nigdy nawet najcieńszej zasłony współczucia przez cały czas, odkąd żyli z sobą. Jak większość jego rodaków i rodaczek, trzymał się poglądu, że małżeństwo winno przedewszystkiem opierać się na wzajemnej miłości, jeżeli jednak w małżeństwie miłość wygaśnie lub jeżeli się stwierdzi, że jej wogóle nie było — tak iż miłość nie była fundamentem małżeństwa — tedy nie należy się do tego przyznawać. Małżeństwo było... i nie było w niem miłości — ale człek też był i musi nadal być swój ciągnąć! Tak więc czyniło się obustronnie zadość sprawiedliwości i nie trzeba się było zaraz kalać cynizmem, realizmem i niemoralnością, jak to czynią Francuzi. Co więcej, było to konieczne i w interesie przyzwoitości. Wiedział, że oboje wzajem zdają sobie sprawę z tego, iż nie łączy ich z sobą miłość, jednakże nie spodziewał się po niej, by miała sobie pozwalać na takie słowa lub postęпки, i nie mógł nigdy zrozumieć, co ona właściwie miała na myśli, gdy mówiła o hipokryzji Anglików.

— Kogo przyjmowałaś zeszłego tygodnia w „Schronisku“?

Anetka w dalszym ciągu powlekała sobie zlekką wargi pomadą — czego on tak u niej nie lubił.

— Twoją siostrę Winifredę i Car—rh—diganów — tu wzięła cienką laseczkę czarnej szminki — ... i Prospera Profonda.

— Tego belgijskiego bubka? I na cóż to jego?

Anetka ociężale odwróciła szyję, musnęła rzęsy na jednej z powiek i odezwała się:

— On zabawia Winifredę.

— Chciałbym mieć kogoś, ktoby bawił Fleur; ona jest znarowiona.

— Znar—rh—owiona? — powtórzyła Anetka. — Czy to pierwszy r—rhaz widzisz, mój przyjacielu? Ona urodziła się już znar—rhowiona, jak ty to nazywasz!

Czyż ona nigdy nie pozbędzie się tego pretensjonalnego popisywania się swoim r?

Dotknął sukni, którą zdjęła, i zapytał:

— Co porabiałaś dotychczas?

Anetka spojrzała na jego odbicie w swem lustrze. Jej świeżo ukarminowane usta roześmiały się napół szczerze, napół ironicznie.

— Bawiłam się — odpowiedziała.

— Oho! — odrzekł Soames posepnie. — Pewnie znów różne fatalaszki.

Było to jego określenie na całą tę bieganinę po sklepach, którą tak zawzięcie uprawiają kobiety.

— Czy Fleur ma już suknie letnie?

— Nie pytasz, czy ja już je mam dla siebie.

— A choćbym i zapytał... ciebieby to nie wzruszyło ani trochę.

— Racja, racja! No tak, ona już ma... i ja też mam... strasznie kosztowne...

— Hm! — ozwał się Soames. — Cóż ten Profond porabia w Angliji?

Anetka podniosła brwi, z którymi uporała się właśnie przed chwilą.

— Jeździ jachtem.

— Ach! — ozwał się Soames. — To wielki ospalec.

— Jak kiedy — odpowiedziała Anetka, a twarz jej zdradzała jakby cichą wesołość. — Czasami bywa owszem bardzo zajmujący.

— Wygląda tak, jakby go pociągnięto dziegiem.  
Anetka wyprostowała się.

— Dziegiem? — zapytała. — Co to takiego? Jego matka była *Arménienne*.

— Więc to tak! — wycedził Soames. — Czy on się zna cośniecoś na obrazach?

— Zna się na wszystkim... to światowiec.

— No, no! Wynajdź kogoś dla Fleur. Chcę ją rozewrać. Ona się wybiera w sobotę do Vala Dartiego i jego żony; mnie się to nie podoba.

— A czemu?

Ponieważ bez zapuszczania się w dzieje rodzinne nie można było wyjaśnić powodów, przeto Soames odrzekł poprostu:

— Bo tam bawią się za wesoło.

— Ja lubię młodą żonę Vala; jest bardzo spokojna i rozsądna.

— Nie wiem o niej nic, oprócz... O, to rzecz nowa.

I Soames wziął do rąk jakieś dzieło sztuki krawieckiej, leżące na łóżku. Anetka wyjęła mu je z rąk.

— Czy zechcesz mi to podać?

Soames podał suknię, pomagając żonie się ubrać. Patrząc poprzez jej ramię w lustro, widział tam jej twarz, zlekka rozbawioną, zlekka wzgardliwą, jakgdyby chciała mówić:

— Dziękuję. Ty nigdy się nie nauczysz...

No, jakież szczęście, że nie był Francuzem! Zakończył nagle szarpnięciem i słowami:

— Tu jest trochę za nisko.

Poczem ruszył ku drzwiom, pragnąc się jej pozbyć czempredzej i dostać się zpowrotem do Fleur.

Anetka przytrzymała puderniczkę i rzuciła za nim raptowny okrzyk:

— *Que tu es grossier!*

Znał to wyrażenie — i powodów nie brakło. Gdy pierw-

szy raz je posłyszał, mniemał, iż znaczy to: „Jakiż z ciebie *korzennik!*“<sup>1)</sup> — a gdy się lepiej poinformował, nie wiedział, czy się z tego ucieszyć czy nie. Słowo to go urażało — przecież on nie był grubjaninem! Jeżeli był grubjaninem, czemuż był tedy ów drab w przyległym pokoju, który zrana wydawał takie okropne odgłosy, płócąc gardło, albo owi ludzie, przesiadujący w *foyer*, którzy uważali za rzecz dobrego tonu wydzierać się na całe gardło przeraźliwym głosem, bając różne androny! Grubjanin — — dlatego, że się odezwał, iż jej suknia zwieszała się trochę za nisko! Tak, tak to było. Wyszedł, nie mówiąc ani słowa.

Wszedłszy do *foyer*, już zdążył dostrzec Fleur, w tem samym miejscu, gdzie ją zostawił poprzednio. Siedziała, założywszy nogę na nogę, a wolne kołysanie stopy, odzianej w jedwabną pończochę i szary trzewiczek, świadczyło, że dziewczę oddaje się marzeniom. Wskazywały na to i jej oczy. — Niekiedy tak jakoś się przymykały i traciły swój blask... Potem naraz znów się ożywiała, stawała się zwinna i ruchliwa jak małpka... Tyle wiedziała, tak była pewna siebie, choć nie miała jeszcze lat dziewiętnastu... Jakież to było owo wstrętne słowo? Podlotek? Och, te okropne młode stworzenia — piszczące, kwiczące i pokazujące swe odnóża! Najgorsze z nich to zmory, najlepsze — to pudrowane anioły! Fleur nie była podlotkiem, nie należała do rzędu tych przedrzeźnialskich, źle wychowanych dziewczyn. A jednak była zatrważająco samowolna, pełna życia i zdecydowana radować się niem w całej pełni. Radować się! Słowo to nie budziło purytańskiego lęku w Soamesie; jednakże budziło lęk odpowiedni do jego temperamentu. Oddalał od siebie zawsze myśl o radowaniu się życiem „na dzisiaj“, bojąc się, by nie zbrakło mu radości na dzień

---

<sup>1)</sup> A grocer.

jutrzejszy. I straszną rzeczą było pomyśleć, że córka była pozbawiona tego ubezpieczenia. Sam sposób usadowienia się jej w krześle świadczył o tem dobitnie... Zagubiła się w marzeniach... On sam nigdy nie poddawał się marzeniom — nic mu bowiem nigdy z nich nie przyszło — i nie wiedział, skąd się u niej wzięła ta skłonność! Pewno nie od Anetki! A przecież Anetka, gdy była jeszcze młodą panienką i gdy on o nią zabiegał, miała — kiedyś — wygląd kwitnący. Hej, jak się wygląd ten już stał dzisiaj!

Fleur podniosła się z fotelu — zwinnie, niespokojnie — i przyskoczyła do biurka. Porwawszy atrament i papier listowy, zaczęła pisać coś prędko, jakgdyby nie miała czasu odetchnąć, zanim list nie będzie gotowy. Naraz ujrzała ojca. Rozwiał się nastrój desperackiego skupienia myśli — uśmiechnęła się i zrobiła miłą minkę, jakgdyby była trochę zambarasowana i trochę znużona.

Ach, ona była „*fine — fine!*“

### ROZDZIAŁ III

#### W ROBIN HILL

Dziewiętnaste urodziny swego syna przepędził Jolyon Forsyte w Robin Hill, spokojnie oddając się zwykłym swym zajęciom. Obecnie każdą czynność wykonywał spokojnie, ponieważ z sercem jego było coś kiepsko, a podobnie, jak innym członkom jego rodziny tak i jemu niebardzo podobała się myśl o śmierci. W całej pełni uświadomił to sobie dopiero przed dwoma laty, gdy pewnego razu, zasięgnąwszy rady doktora w sprawie pewnych symptomatów, posłyszał z ust jego słowa:

— W każdej chwili... przy każdym nadmiernem wyczerpaniu...

Przyjął to z uśmiechem — co zawsze było naturalnym odruchem Forsytów wobec niezbyt miłej prawdy. Jednakże, gdy w pociągu, podczas jazdy powrotnej do domu, symptomata wspomniane wystąpiły w silniejszym jeszcze stopniu, zaczął sobie w całej pełni zdawać sprawę z ciążącego na nim wyroku. Porzucić Irenę, syna, dom i umiłowaną pracę — chociaż pracy tej tak mało się teraz oddawał! Porzucić je dla jakiejś nieznanej mroczni, dla stanu, którego nawet wyobrazić sobie niepodobna, dla takiej nicości, w której się nie będzie słyszało nawet szelestu liści nad mogiłą, ani nie odczuje się zapachu ziemi i trawy. Nicości takiej, pomimo wszelkich wysiłków umysłu, nigdy nawet niezdołał być pojąć i ponieważ dał się ponieść nadziei, że może przecie kiedyś ujrzy na nowo tych, których kochał! Świeżo zdobyte uświadomienie kazało mu przeżywać ciężką udękę duchową. Tego jeszcze dnia, zanim dojechał do domu, zawiązał się, iż utrzyma w tajemnicy przed Ireną grożące mu niebezpieczeństwo. Uznał za konieczne zachować choćby i przesadną ostrożność, gdyż najmniejszy drobniak mógł wszystko rozbić i uczynić ją tak nieszczęśliwą, jakim był on sam. Pod innymi względami doktor uznał go za zdrowego — nic to, że dźwigał na barkach siódmy krzyżyk — jeszcze mógłby pożyć długo, *byle tylko zdobył się na to!*

Taka decyzja, praktykowana bezmała przez dwa lata, zwykła prowadzić do pełnego rozwoju subtelniejszą stronę charakteru. Z natury nie będąc prędko (chyba że był rozdrażniony nerwowo), stał się teraz Jolyon istnym uosobieniem panowania nad sobą. Posępną cierpliwość, wrodzoną ludziom starym, nie mogącym nazbyt się wysilać, maskował uśmiechem, który nie schodził mu z warg nawet w chwilach zupełnej samotności. Ustawiczną jego troską było obmyślanie przeróżnych pozorów, mających osłonić wzmożoną jego bezczynność.

Pokpiwając sam z siebie, udawał, iż wraca do prostoty życia; wyrzekł się wina i cygar, pił specjalnie spreparowaną kawę, w której nie było prawdziwej kawy ni żdziebelka. Słowem, pod pokrywką delikatnej ironji i w najgłębszej cichości ducha zabezpieczał się wszelkimi sposobami, na jakie tylko stać było Forsyte'a w takim, jak on, położeniu. Pewny, że go nikt nie przyłapie — jako że żona z synem pojechali do miasta — przepędził piękny dzionek majowy na spokojnem porządkowaniu swych papierów, tak, iż mógł już umrzeć choćby nazajutrz, nie przyczyniając kłopotu nikomu i dodając istotnie ostatecznego poloru swym sprawom ziemskim. Położywszy ostateczne podpisy i adresy, zamknął wszystko w starym, chińskim gabinecie swojego ojca, a klucz umieścił w kopercie z objaśniającym napisem: „Klucz od gabinetu chińskiego, gdzie znajduje się dokładny opis zostawionej przeze mnie majątności“ — i kopertę tę włożył do kieszeni surdutu, gdzie miała spoczywać stale, na wszelki wypadek, jako przedmiot z nim nierozłączny. Następnie, zadzwoniwszy na służącą, udał się pod dąb, by zjeść podwieczorek.

Wszystkim ludzi grozi wyrok śmierci. Jolyon, nad którym wisiał wyrok jedynie odrobinę bardziej sprecyzowany i nagłący, tak się wkońcu z nim oswoił, że począł zwyczajnym trybem, jak i inni ludzie, myśleć o najrozmaitszych innych sprawach. W tej chwili myślał o swoim synu.

Tego akurat dnia Jon skończył lat dziewiętnaście, niedawno zaś nareszcie powziął jakąś decyzję co do siebie. Wychowany nie w Eton, jak ojciec, ani w Harrow, jak zmarły brat przyrodni, lecz w jednym z tych zakładów, które, mając na celu uniknięcie złych a zachowanie dobrych stron szkoły publicznej, bądź wywiązują się bądź też nie wywiązują ze swego zadania — zakończył w kwietniu naukę, zgoła nie wiedząc, jaki zawód ma



obrać. Wojna — która, jak się zanosilo, miała trwać w nieskończoność — skończyła się akurat wtedy, gdy zamierzał wstąpić do wojska, na sześć miesięcy przed ukończeniem przezeń wieku dozwolonego. To go zaczęło oswajać z myślą, że może teraz wybierać sobie zawód na własną rękę. W tej materji miał ze swym ojcem parę rozmów, z których — pomimo niby to radosnej ochoty Jona do wszelkich zajęć, z wyjątkiem, ma się rozumieć, stanu duchownego, wojskowości, prawa, sceny, giełdy walutowej, medycyny, handlu i inżynierji — Jolyon wyniósł raczej jasne przeświadczenie, że syn jego właściwie nie myśli wziąć się do niczego. Sam niegdyś, gdy był w tym wieku, czuł zupełnie coś podobnego; ta miła pustka i niefrasobliwość skończyła się niebawem u niego przedwczesnym ożenkiem, pociągającym za sobą tak oplakane skutki. Zmuszony ubezpieczyć się w Lloydzie, odzyskał dobrobyt, zanim wykwitł w nim talent artystyczny. Jednakże ucząc syna rysować świnki i inne zwierzęta, przekonał się, że nie wykrzesze zeń malarza, i skłaniał się do wniosku, że niechęć, jaką wszystkiemu okazywał chłopiec, zdaje się zapowiadać w nim pisarza. Uważając jednak, że i w tym fachu potrzebne jest doświadczenie, Jolyon postanowił narazie nie wskazywać Jonowi innej drogi, niż uniwersytet, podróże, a może i jądanie obiadów po barach. Co potem — to się zobaczy, a może i nie zobaczy; to drugie bardziej było prawdopodobne. W każdym razie wobec wszystkich przedstawianych mu ponęt Jon pozostawał nadal niezdecydowany.

Te rozmowy z synem wzmocniły w Jolyonie wątpliwość co do tego, czy świat naprawdę się zmienił. Mówiono, że to już *nowe* pokolenie. Z przenikliwością człowieka, który nie lubi zrzedzić na żadne z pokoleń, Jolyon wyczuwał, że pomimo nieco odmiennej powłoki bieżąca epoka była w gruncie rzeczy nie różna od poprzedniej.

Ludzkość wciąż po dawnemu dzieliła się na dwa gatunki: na garstkę istot, mających w duszy „przemysłność”, i na wielką gromadę takich, którym brakło owej „przemysłności”; pośrodku zaś była sfera mieszańców mniej więcej jemu podobnych. Jon, jak się okazywało, obdarzony był przemysłnością; ojcu wydawało się to złą zapowiedzią.

Przeto dwa tygodnie temu uśmiechnął się głębiej niż zwykle, gdy posłyszał z ust chłopca te słowa:

— Chciałbym spróbować jakiej dzierzawy... o ile nie będzie cię to, tatusiu, zbyt kosztowało. Zdaje mi się, że jest to jedyny kierunek życia, który nikomu nie czyni krzywdy... oczywiście, pod uwagę nie biorę sztuki, która dla mnie jest zgoła poza nawiasem.

Jolyon stłumił uśmiech i odpowiedział:

— Doskonale; chcesz więc powrócić do stadjum, w jakim znajdowaliśmy się za czasów pierwszego Jolyona, około roku 1760. To potwierdzi teorię atawizmu, a być może, że wyrośniesz na większego hreczkosieja, niż ten nasz praszczur!

Jon, nieco zbity z tropu, odrzekł:

— Ale ty, tatusiu, nie uważasz tego planu za dobry?

— To się okaże, mój drogi... a jeżeli naprawdę oddasz się temu zawodowi, zdziałasz więcej dobrego niż inni...

Jednakże w duchu dodał:

— Ale on się temu nie poświęci. Daję mu cztery lata czasu. Bądź co bądź, jest to zajęcie zdrowe i nieszkodliwe.

Rozważywszy całą sprawę i naradziwszy się z Ireną, napisał do swej córki, Holly Dartie, zapytując, czy w ich okolicy nie wiadomo o jakim farmerze, któryby chciał Jona przyjąć na praktykę. Odpowiedź Holly brzmiała entuzjastycznie — iż w najbliższem ich sąsiedztwie jest taki właśnie człowiek, a ona i Val będą bardzo radzi temu, by Jon przy nich zamieszkał.

Nazajutrz chłopiec miał wyjechać.

Chlipiąc cienką herbatkę z cytryną, Jolyon skroś liści starego dębu przyglądał się widokowi, który przez trzydzieści dwa lat był mu zawsze wytęsknionym i umiłowanym. Drzewo, pod którym siedział, nie wydawało mu się ani jeden dzień starszem! Było tak młode przy swych drobnych, rdzawo-złoty listkach, tak stare przy szarozielonej sędziwości swego grubego i szorstkiego pnia! Drzewo wspomnień, które żyć będzie jeszcze przez stulecia, o ile nie każe go ściąć jakiś barbarzyńca — będzie reprezentowało starą Anglię wobec kolejnych zmian rzeczy i wypadków!... Przypomniał sobie pewien wieczór z przed trzech lat, gdy patrząc przez okno i obejmując ramieniem Irenę, przyglądał się samolotowi niemieckiemu, przelatującemu — jak się zdawało — w sam raz ponad starym dębem. Na drugi dzień obaczono, że bomba zrobiła wyrwę na polu koło folwarku Gage'a. Było to jeszcze wówczas, gdy Jolyon nie wiedział o wiszącym ponad nim wyroku śmierci; mógł był niemal sobie życzyć, żeby ta bomba go dobiła. Oszczędziłoby mu to wielu zachodów, wielu godzin zimnego strachu i ucisku w dołku sercowym. Liczył na to, że dożyje normalnego wieku Forsytowskiego, co najmniej lat osiemdziesięciu pięciu, gdy Irena będzie miała siedemdziesiątkę... W obecnej sytuacji — ona mogła go utracić... Prawda, że jeszcze był Jon, który w jej życiu grał znacznie ważniejszą odeń rolę... Jon, który ubóstwiał swą matkę...

Pod tem drzewem, gdzie niegdyś stary Jolyon — oczekując Ireny, mającej doń przyjść przez łąkę — wydał ostatnie tchnienie, ważył Jolyon w swej głowie myśl fantastyczną, czy teraz, gdy się wszystko doprowadziło do tak doskonałego porządku, nie lepiej byłoby zamknąć oczy i odlecieć... Było coś niedostojnego w pasorzytniczem uczepianiu się gnuśnej spójni z życiem — z życiem,

w którem żałował dwóch rzeczy jedynie: tego, że za lat młodych tak długo poróżniony był z ojcem, oraz że tak późno doczekał się związku z Ireną.

Z miejsca, gdzie siedział, widać było kępę kwitnących jabłoni. Nic w przyrodzie nie wzruszało go tak głęboko, jak widok drzew owocowych w kwieciu... i naraz zabolalo go serce na myśl, że może już nie obaczy ponownego ich rozkwitu... Wiosna! Stanowczo, nikt nie powinien umierać w ową porę, gdy serce czuje się na tyle młode, by kochać piękno! Kosy poświętywały niefrasośliwie po zaroślach, jaskółki wzbijały się wysoko, dębowe liście przeświecały i połyskiwały odbłaskiem; na polach mieniły się wszelkie, jakie tylko wyobrazić sobie można, odcienie świeżego listowia, wypolerowanego pogodnym światłem słonecznym; hen wdali, wzdłuż widnokregu, snuło się pasmo bladego błękitu. Kwiaty, posadzone przez Irenę w waziuchnych grzędach, dygotały w on wieczór i chwiały się w różne strony, niby śląc drobniuchne lecz głębokie zapewnienia o radości swego życia. Jedynie malarze chińscy i japońscy, a może i Leonardo, umieli tchnąć owo maluczkie, drżące *ja* w każdy przez siebie wymalowany kwiat, w każdego ptaka czy zwierzę — takie *ja*, wzięte wszakże w znaczeniu gatunkowym, a mieszczące w sobie jednocześnie powszechność życia. To byli mistrze!...

— Ja nie dokonałem niczego, co będzie żyć po mnie!  
— myślał Jolyon — byłem amatorem... miłośnikiem jedynie, nie twórcą. Ba! w każdym razie, odchodząc, pozostawię po sobie Jona...

Jakież to szczęście, że chłopaka ominęła ta upiorna wojna! Mógł zginąć na niej równie łatwo, jak zginął przed dwudziestoma laty biedny Jolly w Transwaalu. Jon jeszcze czegoś dokaze — o ile wiek bieżący nie wyrze na nim zgubnego wpływu... Co za pomysłowy chłopak! Jego kaprys, by oddać się gospodarce rolnej,

plynął jeno z serdecznego porywu — — i taka też być miała pewno jego trwałość...

W tejsze chwili Jolyon spostrzegł Irenę i chłopca, idących ze stacji przez pole i trzymających się pod ramię. Powstawszy z miejsca, ruszył na ich spotkanie poprzez nowy ogród, zasadzony różami...

\*

Tego wieczora Irena przysła do jego pokoju i usiadła przy oknie. Siedziała tak długo, nie mówiąc ni słowa, póki jej nie spytał:

— Cóż ci to, moja droga?

— Mieliliśmy dziś spotkanie.

— Z kim?

— Z Soamesem.

Z Soamesem!... Przez dwa lata ostatnie nie dopuszczał imienia tego do swych myśli, świadom, iż mu ono nie przyniesie nic dobrego. Teraz zaś serce drgnęło w nim jakoś nieswojo, jakgdyby naraz przesunęła się w piersi.

Irena mówiła dalej ze spokojem:

— Był z córką w galerji, a potem w cukierni, gdzie piliśmy herbatę.

Jolyon podszedł ku niej i złożył rękę na jej ramieniu.

— Jak on wygląda?

— Posiwiał... zresztą prawie się nie zmienił.

— A córka?

— Ładna... przynajmniej Jon tak uważał.

Jolyonowi znów serce przeskoczyło w bok. Twarz jego żony zdradzała wewnętrzne napięcie i oszołomienie.

— Ty nie...? — zaczął.

— Nie... ale Jon wie o ich nazwisku... Panna upuściła chusteczkę, a on ją podniósł.

Jolyon usiadł na łóżku. Co za przykry zbieg okoliczności!

— Juna była z tobą... czy to przypadkiem ona nie maczała w tem palców?

— Nie... ale cała sytuacja była wielce dziwna i napreżona, a Jon nie mógł tego nie zauważyć.

Jolyon odetchnął głęboko i rzekł:

— Nieraz zastanawiałem się nad tem, czy powinniśmy przed nim to ukrywać... On i tak kiedyś to odkryje!

— Im później, tem lepiej, Jolyonie; ludzie młodzi miewają sąd taki płytki i bezwzględny!... Cobyś ty, mając lat dziewiętnaście, pomyślał o *swojej* matce, gdyby postąpiła tak jak ja?

Tak jest! W tem sęk! Jon uwielbiał matkę — jednocześnie zaś nie wiedział nic a nic o tragedjach, o nieubłaganych koniecznościach życia, o tłumionym bólu nieszczęśliwego małżeństwa, o zazdrości ani też o namiętnych porywach — — o wszystkim tem jeszcze nie wiedział nic, nic zgola!

— I cóż mu powiedziałaś? — ozwał się nakoniec.

— Że są naszymi krewnymi, ale my ich nie znamy... że ty nigdy nie interesowałaś się zbytnio swoją rodziną, ani też ona tobą... Przypuszczam, że on teraz zacznie *ciebie* atakować pytaniami.

Jolyon uśmiechnął się.

— To ponoś zastąpi mi dawne ataki samolotów — powiedział. — Ostatecznie już mi ich zabrakło...

Irena spojrzała na niego.

— Wiedzieliśmy, że do tego kiedyś dojdzie.

Odpowiedział jej z nagłą energją:

— Nigdybym nie dopuścił do tego, by Jon miał ci coś za złe poczytać. Nie powinien tego czynić nawet w myślach. Jemu nie brak imaginacji; sądzę, że zrozumie, gdy mu się rzecz całą przedstawi we właściwem świetle. Powinniśmy mu powiedzieć wszystko, zanim dotrze to do niego inną drogą.

— Jeszcze nie teraz, Jolyonie.

To było do niej podobne — nie miała ni źdźbła przezorności i zawsze uchylała się od wszelkich przykrości. Jednakże — — kto wie? — — może miała słuszność? Żle się wybrał, kto chce iść naprzekór instynktowi matczynemu... Może istotnie najlepiej byłoby — wedle możliwości — zostawić wszystko po dawnemu, póki doświadczenie nie stanie się chłopcu kamieniem probierczym, na którym będzie mógł sprawdzić walory onej starej tragedji — — póki miłość, zazdrość, pożądanie nie pogłębi w nim wyrozumiałości i współczucia dla drugich? Swoją drogą, trzeba powziąć środki ostrożności — wszelkie środki, jakie tylko możliwe!...

I długo jeszcze po wyjście Ireny leżał bezsenny, przemyślając nad owemi środkami ostrożności. Powinien tedy — planował sobie — napisać do Holly, zawiadamiając ją, że Jon nic jeszcze nie wie o dawnych powikłaniach rodzinnych. Holly była dyskretna, to też dopilnuje tego, by i mąż z czemś niepotrzebnem się nie wygadał! Jon będzie mógł nazajutrz, odjeżdżając, wziąć ten list z sobą.

Tak to więc dzień, w którym Jolyon nadawał ostateczny polerunek swojemu dobytкови materialnemu, zamarł wraz z uderzeniem zegara na stajni... Dzień następny rozpoczął się dlań w pomroce duchowej rozterki i bezładu, którego nie można już było tak wygładzić i wyokrąglić...

\*

Tymczasem Jon, leżąc w pokoju, który niegdyś był jego pokojem dziecięcym, również nie mógł oka zmrużyć — — oto stał się pastwą uczucia, podawanego w wątpliwości przez tych, którzy go nigdy nie doświadczyli, a zwanego „miłością od pierwszego spojrzenia!“ Uczucie to zakiełkowało w nim z pobłyskiem owych ciemnych oczu, co wpatrzyły się w niego z poza posągu Junony...

i odrazu wyrosło w pewność, iż widzi przed sobą swoje „marzenie“. To też wszystko, co nastąpiło potem, wraz mu się wydało naturalnem i cudownem. Fleur! Samo już jej imię niemal wystarczało, by oczarować kogoś, co tak był wrażliwy na brzmienia wyrazów. W homeopatycznym wieku, gdy chłopcy wychowywali się pospół z dziewczętami i gdy przestawanie ich z sobą wiodło niemal do zatarcia się różnic między jedną płcią i drugą, Jon był wyjątkowo staroświeckiego pokroju. Szkoła, do której uczęszczał, przy całej swej nowoczesności, przyjmowała tylko chłopców, zaś wszystkie dni wolne od nauki spędzał w Robin Hill w towarzystwie bądź swoich kolegów bądź jedynie swoich rodziców. To też ani razu dotychczas nie wstrzyknięto mu małych dawek trucizny, któreby go ubezpieczyły przeciwko zarodkom miłości. Teraz zaś — wśród tej ciemności — temperatura poczęła w nim szybko rozrastać. Leżał bezsenny, odtwarżając sobie rysy Fleur, brzmienie jej słów, zwłaszcza owo „*Au revoir!*“ — takie pięściwe i pogodne!

Do cna rozcmychany ze snu, z oczyma szeroko otwartymi przeleżał aż do świtu. Nie mógł już wyleżeć dłużej, więc zerwał się z łóżka, naciągnął na siebie buciki tenisowe, spodnie i sweater, i w milczeniu przemknąwszy się po schodach, wyszedł na dwór oknem gabinetu. Było już całkiem jasno; w powietrzu roznosiła się woń trawy.

— Fleur! — dźwięczało mu w myślach. — Fleur!...

Po świetle rozlewała się jakaś białość tajemnicza; wszystko jeszcze spało prócz ptasząt, właśnie rozpoczynających swe świągoty.

— Pójdę na wyrąb! — pomyślał.

Przebiegł szerokie pól rozłogi; dotarł do stawu — właśnie gdy z za widnokręgu wynurzało się słońce, — i wszedł na porębę. Błękitne dzwoneczki słały się tu po ziemi miękkim kobiercem; pomiędzy modrzewiami była tajń



jakaś urocza — powietrze zdawało się być nasiąknięte tym romantycznym składnikiem. Jon wdechował w siebie świeżość powietrza i zapatrzył się w łań dzwonek, obłany rosnącym wciąż światłem... *Fleur!* To rymowało się do... *sfer!*... A mieszkała w Mapledurham — również piękne imię! — gdzieś nad jakąś rzeką. Mógł każdej chwili miejscowość tę znaleźć w atlasie... Trzeba do niej napisać... Ale czy mu odpowie? O, musi! Wszak powiedziała: „*Au revoir!*“ Nie i „dowidzenia!“ Co za traf szczęśliwy, że ona upuściła chusteczkę! Inaczej nigdyby nie mógł z nią się zapoznać... Im więcej myślał o tej chusteczce, tem bardziej oszołamiającem wydawało mu się jego szczęście. *Fleur!*... To z pewnością rymowało się do *sfer!* Rytm zatłoczył mu głowę; słowa przepychały się jedno przez drugie, by wiązać się z sobą; niewiele brakło, by napisał poemat.

W takim usposobieniu pozostawał Jon zgórą pół godziny; potem ruszył zpowrotem do domu, a znalazłszy jakąś drabinę, wydrapał się po niej — z samego poprostu rozochocenia — aż do okna swej sypialni. Przypomniał sobie, że okno gabinetu pozostało otwarte, zszedł nadół i zamknął je, usunąwszy wpieryw drabinę, by zatrzeć wszelkie ślady swego uczucia. Rzecz była nazbyt osobista i poważna, by można było ujawnić ją komukolwiek ze śmiertelników — choćby nawet rodzonyj matce.

## ROZDZIAŁ IV

### MAUZOLEUM

Są takie domy, których dusze przeszły do przedpiekła Czasu, pozostawiając ciała na przedpieklu Londynu. Nie w takim bynajmniej położeniu było „gniazdo Tymoteusza“ na Bayswater Road, gdyż dusza Tymoteuszowa

trzymała się jeszcze jedną nogą w ciele Tymoteuszowem, a Smither utrzymywała niezmienną atmosferę kamfory, portwajnu oraz domostwa, w którym okna otwierano dla przewietrzenia tylko dwa razy dziennie.

W wyobraźni Forsytów dom ten przedstawiał się jakby jakaś chińska szkatułka z pigułkami, jakby jakiś szereg pokładów, na których samym końcu znajdował się Tymoteusz. Do niego samego dotrzeć było niepodobieństwem — przynajmniej tak opowiadali członkowie rodziny, którzy z nałogu lub przez roztargnienie zajeżdżali tam czasami i dopytywali się o jedyne go stryja pozostałego jeszcze przy życiu. Do tych należała Franciszka, zupełnie już oderwana od Boga i śmiało wyznająca ateizm, Eufemja oderwana od starego Mikołaja, i Winifreda Dartie, oderwana od swego „światowego męża“. Ale ostatecznie podówczas wszyscy jakoś się emancypowali, lub mówili, że się emancypują — co może nie na jedno wychodzi!

Gdy więc Soames, nazajutrz po wspomnianem spotkaniu, postanowił w drodze do stacji Paddington zejść do stryja, prawie się nie spodziewał, by danem mu było zobaczyć Tymoteusza we własnej jego cielesnej postaci. Serce się w nim zlekka wzdragało, gdy stanął w pełnym blasku południowego słońca na świeżo bielonych schodkach małego domku, gdzie niegdyś żyło czterech Forsytów, a teraz przemieszkiwał tylko jeden, niby mucha co dożyła zimy; — — domku, do którego Soames wchodził i z którego wychodził niezliczone razy, obładowany pękami plotek rodzinnych lub zrzuciwszy właśnie ich brzemień; — — domku „staruszków“ z innego pokolenia i stulecia — —

Widok Smitherki — zawsze wygorsetowanej po same pachy, jako że nowa moda, która nastąpiła gdzieś około roku 1903, była uważana za „nieprzyzwoitą“ przez ciotki Julję i Esterę — sprowadził na usta Soamesa bladą okrasę życzliwości. Smither, zawsze w każdym calu ściśle

wdrożona do dawnego trybu życia, nieoceniona służąca (już dzisiaj takich niema!), odwzajemniła mu się uśmiechem i rzekła:

— Co ja widzę! Toż to pan Soames... nareszcie po tak długim czasie! A jakże pan się miewa? Pan Tymoteusz tak się ucieszy, gdy się dowie, że pan był u niego!

— Jak on się miewa?

— O, trzyma się całkiem paradnie, jak na swoje lata... ale doprawdy to człek cudowny! Jakemci to mówiła pani Dartie, gdy była u nas raz ostatni: „Oj, podobałoby się to pewnikiem panie Forsyte, pani Julji i panie Esterze, gdyby widziały, jak mu jeszcze smakują pieczone jabłuszka!“ Ale on już dokumentnie ogłuchł! I myślę się zawsze, że to i całe szczęście... bo też nie wiem, co byśmy z nim zrobili podczas ataków samolotowych.

— Ach! — zawołał Soames. — No i cóżeście z nim wtedy robili?

— Poprostu zostawialiśmy go w łóżku, a dzwonek przeprowadziliśmy do piwnicy, tak, że kucharka i ja mogliśmy słyszeć, gdy on zadzwonił. Nie wyszłoby mu na dobre, gdyby się dowiedział, że na świecie wojna. Jakem to mówiła do kucharki: „Jeżeli pan Tymoteusz zadzwoni, to niech się dzieje co chce — ja idę na górę! Moje drogie paniusie dostałyby spazmów, gdyby ujrzaly, że on dzwoni, a nikt nie przychodzi do niego.“ Ale on przespał ślicznie wszystkie te najazdy. A gdy raz najechali nas podczas dnia, pan nasz właśnie się kąpał. To naprawdę całe szczęście, bo przecie mógłby zobaczyć, że wszyscy ludzie na ulicy zadzierają głowy do góry... On tak często wyziera przez okno...

— Tak, tak! — mruknął Soames, widząc, że Smither rozgadała się już na dobre. — Chciałem tylko obejść wszystko wokoło i zobaczyć, czy tu czego nie potrzeba...

— Tak jest, panie szanowny. Zdaje mi się, że nic tu

nie brak... chyba tego, że w jadalnym pokoju nie można się pozbyć zapachu myszy. To dziwne, że one się tam zagnieździły, choć nie znajdują ani okruszynki, odkąd pan Tymoteusz, akuratnie przed samą wojną, zaprzestał schodzić nadół. Ale to są paskudne stworzonka... nigdy niewiadomo, gdzie się je zdybie za chwilę.

— Czy pan wychodzi z łóżka?

— O tak, panie łaskawy; rankiem, ażeby nie ryzykować zmiany powietrza, robi sobie piękną przechadzkę od łóżka do okna i zpowrotem. A w sobie czuje się całkiem nieźle... Każdego dnia regularnie wyciąga swój testament. To mu sprawia wielką pociechę.

— No, dobrze już, dobrze, Smither. Chciałbym się z nim widzieć, o ile można... jeżeli on miałby mi coś powiedzieć.

Smither zapłonila się aż po rąbek gorsetu.

— Juści będzie okazyja! — odezwała się. — Może ja oprowadzę pana po mieszkaniu, a pošlę kucharkę, żeby mu to jakoś wyklarowała?

— Nie, *ty* idź do niego — rzekł Soames. — Ja sam przejdę się po mieszkaniu.

Wobec obcej osoby nie wypada przyznawać się do sentymentów — a Soames zdawał sobie sprawę, iż wpadnie w sentymentalizm, gdy zacznie rozbijać się po tych pokojach tak nasyconych przeszłością. Gdy Smither, entuzjastycznie skrzypiąc butami, wyszła z pokoju, Soames wszedł do pokoju jadalnego i począł niuchać powietrze. Doszedł do wniosku, że czuć było nie myszy, lecz próchniejące drzewo; zaczął więc bacznie przyglądać się boazerjom. Czy zasługiwały na odświeżenie — biorąc pod uwagę wiek Tymoteusza — tego nie był pewny. Pokój ten był zawsze niby to najbardziej nowoczesny w całym domu, więc jedynie nieznaczny uśmiech ściągnął usta i nozdrza Soamesa. Ściany, malowane

ciemno-zielono wznosiły się ponad dębowym cokołem; ciężki świecznik metalowy zwisał na łańcuchu z powały poprzekrawanej udanym pękiem promieni. Obrazy, znajdujące się tutaj, zakupił przed laty sześćdziesięcioma Tymoteusz, w czasie wyprzedaży u Jobsona. Były tam trzy „martwe natury“ Snydera, dwa wcale powabne, słabo kolorowane rysunki, wyobrażające chłopca i dziewczynę, a zapatrzone w inicjały: „J. R.“ (Tymoteusz zawsze mniemał, że odnosić się one mogą do Sir Jozuego Reynoldsa, jednakże Soames, który je podziwiał, wykrył, że monogram ten oznacza poprostu Johna Robinsona) oraz niezbyt autentyczny Morland, przedstawiający podkuwanie siwego konika. Malinowego koloru pluszowe kotary, dziecięć ciemnych krzesel mahoniowych z wysokiem oparciem i malinowemi pluszowemi siedzeniami, turecki dywan i mahoniowy stół jadalny, za wielki dla tak małego pokoju — taki to był apartament, który we wspomnieniach Soamesowych, sięgających czwartego roku życia, zawsze był jednakowy, nie zmieniał się ani na ciełe, ani na duszy.

Szczególnie przyglądał się Soames wspomnianym dwom portretom i myślał:

— Kupię je przy wyprzedaży.

Z pokoju jadalnego przeszedł do gabinetu Tymoteusza. Nie przypominał sobie, by kiedykolwiek zdarzyło mu się być w tym pokoju. Z zaciękwieniem przyjrzał się książkom, piętrzącym się od podłogi po sam sufit. Jedna ściana była, zdaje się, przeznaczona w zupełności dla dzieł treści wychowawczej, wydanych przez firmę Tymoteusza jeszcze dwa pokolenia temu — było tu czasami po dwadzieścia egzemplarzy jednej książki. Soames czytał tytuły i czuł, że ciarki przechodzą mu po ciełe. Środkowa ściana mieściła akurat te same książki, które znaleźć można było w księgarni jego rodzzonego ojca na Park Lane; stąd wysnuł przypuszczenie, że

Jakób i jego brat młodszy wybrali się pewnego pięknego poranku razem w drogę i zakupili dwie bliźniacze księgarenki. Do trzeciej ściany zbliżył się z większym zaciekawieniem. Był pewny, że tutaj znajdzie to, co stanowiło osobisty gust Tymoteusza. Nie omylił się. Książki tu były tylko na pokaz. Czwartą ścianę zajmowało okno, zakryte ciężką kotarą; w stronę tegoż zwrócony był wielki fotel z przymocowanym do niego mahoniowym pulpitem, na którym leżał zrółkły, na czworo złożony numer *Times'a* z 6 lipca 1914 — z tego to dnia, kiedy to Tymoteusz po raz pierwszy nie czuł się na siłach, by zejść nadół; rzekłbyś, że go ten numer dziennika wciąż jeszcze oczekiwał, aż do tej pory... W kącie stał wielki globus, wyobrażenie tego wielkiego świata, którego Tymoteusz nigdy nie odważył się zwiedzić, głęboko przekonany o nierzeczywistości wszystkiego, co nie było Anglją, i zawsze mocno wzburzony na myśl o wzburzonym morzu, gdzie w pewną niedzielę popołudniu, w r. 1836, nabawił się przykrej choroby, wyjechawszy z Julą, Esterą, Swithinem i Hatty Chessman łódką spacerową poza tamę w Brighton; wszystkiemu winien był Swithin, który zawsze miał pstro w głowie i który, dzięki Bogu, też się rozchorował. Soames znał doskonale całą tę historję, bo słyszał ją pięćdziesiąt razy to od jednego to od drugiego z nich. Podszedł do globusa i pchnął go w ruch obrotowy; stary sprzęt zaskrzypiał zdławionym głosem i obrócił się o cal niespełna, wystawiając na widok publiczny długonogiego komara, który zdechł na 44<sup>o</sup> szerokości północnej.

— Mauzoleum! — pomyślał Soames. — Miał rację Jerzy!

Wyszedł z pokoju i zaczął iść na górę. Na półpiętrze zatrzymał się przed skrzynką z wypchanymi kolibrami-brzękotkami, któremi tak zachwycał się w dzieciństwie. Nie postarzały się ani o dzień jeden — wisząc po dawne-

mu na drucikach ponad trawą stepową. Miał podejrzenie, że gdyby skrzynkę otwarto, ptaszki nie zaczęłyby brzęczeć, ale całe to cacko pokruszyłoby się w kawałki. Tej rzeczy nie byłoby warto wystawiać na sprzedaż! I nagle przypomniał sobie ciotkę Annę — kochaną starą ciotkę Annę — — jak trzymała go przed tą skrzynką i mówiła:

— Patrz, Soamuńciu, jakie ładne są te koliberki i jak brzęczą!

I pamiętał też własną odpowiedź:

— Ależ one nie brzęczą, ciociu!

Musiał liczyć sobie wówczas wtedy chyba ze sześć lat, a miał na sobie czarne, aksamitne ubranko z jasnoniebieskim kołnierzem — jakże dobrze pamiętał to ubranko! I jakże wyraźnie w pamięci stała mu ciotka Anna ze swemi pierścionkami, pajęczastemi, smukłemi rękami i poważnym uśmiechem starej orlicy — — owa sędziwa dama, wytworna ciotka Anna!... Wyszedł na górę, ku drzwiom salonu. Po obu stronach klatki schodowej wisiały grupki minjatur. Te minjatury zamierzał Soames stanowczo zakupić! Były to minjatury czterech jego ciotek, stryja Swithina w wieku młodzieńczym i stryja Mikołaja w latach dziecięcych. Wszystkich ich jednocześnie, około r. 1830, portretowała pewna młoda przyjaciółka rodziny — — gdy jeszcze minjatury uchodziły za rzecz w dobrym tonie, a przytem trwały (jako, że były malowane na kości słoniowej). O tej młodej damie wielokroć zdarzyło mu się słyszeć:

— Była to osoba wielce utalentowana, mój drogi; miała wielką słabość do Swithina, a wkrótce potem wpadła w suchoty i umarła... zupełnie niby Keats... częstośmy o tem mówili.

Tak, to one! Anna, Julja, Estera, Zuzanna — jeszcze małe dzieciątko!... Swithin, o błękitnych oczach, rumianych policzkach, płowych kędziorach, białej kami-

zelce — dorosły, jakbyś go widział żywym!... a Mikołaj niby Kupidynek, z okiem utkwionem w niebo! Soamesowi przyszło na myśl, że stryj Mikołaj zawsze był mniej więcej taki — pozostał do końca dziwnym jakimś człowiekiem. Tak, ta damulka musiała mieć talent, a minjatury mają zawsze swe własne odrębne ustalone piętno, niezależne od prądów na giełdzie estetyki.

Otworzył drzwi salonu. Pokój był zakurzony, sprzęty bez pokrowców, firanki poodślaniane, jakgdyby ciotki jeszcze tu mieszkały... w cierpliwem oczekiwaniu... I przyszła mu myśl do głowy:

— Gdy Tymoteusz umrze... czemużby nie?... czyż nie byłoby niemal obowiązkiem zachować ten dom w stanie obecnym... jak dom Carlyle'a... i wywiesić tablicę z napisem dla przychodniów: „Typ mieszkania z okresu średnio-wiktorjańskiego; cena wejścia wraz z katalogiem jeden szyling“...?

Ostatecznie przecie był to zabytek w swoim rodzaju najkompletniejszy, a w dzisiejszym Londynie bodaj że najbardziej zamarły... zgoła doskonały w swoim smaku i kulturze, oczywiście, o ileby Soames zabrał stąd i przeniósł do własnych zbiorów cztery obrazy szkoły barbizońskiej, które niegdyś podarował ciotkom. Ciche, błękitnomałowane ściany, zielone kotary przybrane szlaczkiem czerwonych kwiatów i paprotek; wyszywane włóczką parawaniki przed żelazną, laną, kratą kominka; mahoniowy kredens ze szklanemi szybami, pełny różnych drobiazgów; podnóżki, zdobne paciorkowym ornamentem; Keats, Shelley, Southey, Cowper, Coleridge, „Korsarz“ Byrona (reprezentujący tutaj całą twórczość poety) oraz poeci okresu wiktorjańskiego, ustawieni rzędem na półce; w kostkę wykładany gabinet, obity ciemno-czerwonym pluszem, a pełen pamiątek rodzinnych; pierwszy wachlarz Estery; sprzączki z trzewików jej macierzystego dziadka; trzy skorpiony zakonserwowane w butelce;



jeden bardzo już wyzółkły ząb słoniowy, przysłany z Indyj przez stryjecznego dziadka, Edgara Forsyte, zajmującego się dostawą juty; żółty skrawek papieru, jednym końcem wzniesiony w górę, a zapisany pałkowatemi gryzmołami, wspominającemi Bóg wie jakie czasy! A te obrazy, tłoczące się na ścianach — same akwarele, prócz owych czterech Barbizonów, co tu wyglądały jak intruzy — malowidła barwne i pełne treści, jak „Rójka pszczół“, „Prze — — wóz!“ oraz dwa w stylu Fritha, z zabawą w „groszki“ i z krynolinami, podarowane przez Swithina. Ach! wiele, wiele obrazów, na które Soames spoglądał ongi po tysiączne razy w dumnym zachwycie — cudowna kolekcja błyszczących ram, zlekką wyłaczanych.

I ten fortepian, buduarowy, pięknie zakurzony zamknięty — jak zawsze — hermetycznie, a na nim zielnik ciotki Julji, zawierający zasuszone chwasty morskie. I te krzesła o złoconych nogach, trwalsze niżby z pozoru sądzić można było. A tam po jednej stronie kominka sofa wyłożona karmazynowym jedwabiem, na której zwykła siadywać twarzą do światła ciotka Anna, a po niej ciotka Julja. Po drugiej zaś stronie kominka jedyne naprawdę wygodne krzesło, w którym — tyłem do światła — siadywała ciotka Estera. Soames skierował tam swój wzrok i miał złudzenie, że widzi siedzące ciotki. Och, a ta atmosfera — do tej chwili niezmienna — w której wyczuwało się nadmiar bławatnego materiału, spłowiałe koronkowe firanki, torebki lawendy i skrzydełka zasuszonych pszczół!

— Nie — pomyślał — czegoś podobnego już nigdzie się nie znajdzie; należałoby to zakonserwować!

U licha, może się to komuś wydać śmiesznem, ale nigdy nie przełamywana zasada cichego życia, w odosobnieniu od wszystkiego, coby mogło niemile drażnić wzrok, dotyk, powonienie lub uczucie, głuchym

brzmiałaby dźwiękiem w dzisiejszych czasach... dzisiejszych czasach, z ich tunelami, wagonami, swędem dymu, zakładaniem nogi na nogę, wydekoltowanymi pannami, które można — jeśli ktoś ma ochotę — oglądać wzwyż aż do kolan i wdół aż do pasa (co każdemu z Forsytów, ze względu na tkwiącą w nim naturę satyra, było naogół miłe, jednakże niezbyt się zgadzało z utworzonym przezeń ideałem kobiety) — pannami, które nadto podczas jedzenia oplatały swe nogi wokoło nóg krzesła, wybuchały głośnym śmiechem i przekrzykiwały się nawzajem podczas wizyt. Widok tych pannic zawsze przejmował go dreszczem na samą myśl, że Fleur zadaje się z niemi... cóż mówić o zuchwałych, do wszystkiego zdolnych, starszych niewiastach, które nadawały ton życiu i również przejmowały go zgrozą! Nie! stare ciotki, chociaż nigdy nie otwierały swych myśli, oczu, a bodaj że i okien (przynajmniej nieczęsto), w każdym razie miały jakieś maniery, jakąś życiową zasadę oraz szacunek dla rzeczy przeszłych i przyszłych.

Coś go jakby dławiło w gardle, gdy zamknął drzwi i cicho, na palcach, poszedł dalej na górę. Po drodze zajrzał w pewne miejsce: Hm! Wszystko w zupełnym porządku, w guście lat osiemdziesiątych... na ścianach pewien gatunek żółtego papieru woskowego... Na szczycie klatki schodowej Soames zatrzymał się pomiędzy czworgiem drzwi, wiodących w różne strony. Poza którymi z nich mieszkał Tymoteusz? Zaczął nadśluchować. Do uszu jego doszedł jakiś głuchy szmer — jakgdyby tam dziecko suwało konika na kółkach... Tak! to Tymoteusz! Zastukał zlekka; drzwi otworzyły się; ukazała się w nich Smither, mocno czerwona na twarzy.

Pan Tymoteusz (oświadczyła) właśnie odbywa przechadzkę, więc niepodobna go nakłonić, by zwracał na kogokolwiek uwagę; przeto jeżeli p. Soames będzie

łaskaw przejść do bocznego pokoju, będzie mógł widzieć go przez drzwi.

Soames wszedł do bocznego pokoju i stanawszy, jął się przyglądać siedzibie Tymoteusza.

Ostatni ze starych Forsytów posuwając się o własnej sile, acz z ogromną powolnością i z wyrazem całkowitego zasklepienia się w tej czynności, przebywał tam i z powrotem całą przestrzeń pomiędzy nogą łóżka a oknem, mierzącą około 12 stóp. Dolna część jego kanciastej twarzy, nie golona już tak starannie jak dawniej, pokryta była śnieżną brodą, przystrzyżoną możliwie najkrócej, tak iż podbródek wydawał się równej szerokości z brwiami, które również były mleczno-białe, gdy natomiast nos, policzki i brwi miały już mocno żółty kolor. W jednej ręce trzymał tęgi kosztur, drugą zaś podtrzymywał połę swego Jägerowskiego szlafroka, z pod którego widać było nogi w skarpetkach i Jägerowskich pantoflach. Na twarzy miał wyraz, przypominający dziecko, stropione tem, iż nie dostało czegoś, na co miało ochotę. Za każdym razem, gdy skręcał z powrotem, postukiwał lagą, a potem powłóczył nią, jakgdyby chciał pokazać, że może się bez niej obejść.

— Wygląda jeszcze krzepko — szepnął Soames.

— Tak jest, panie łaskawy. Gdyby pan widział, jak się on kąpie! To coś cudownego! Jak on się tem raduje!

Te słowa, wypowiedziane całkiem głośno, wyjaśniły Soamesowi całą sprawę. Oto Tymoteusz powrócił do stanu niemowlęstwa...!

— Czy on się wogóle czem interesuje? — spytał również głośno.

— O tak, panie łaskawy. Dwie rzeczy go najwięcej obchodzą: jedzenie i testament. Warto zobaczyć, jak on ten testament wertuje raz po raz... juści, że go nie czyta... i ciągiem dopytuje się, jaki kurs mają kon-

sole,<sup>1)</sup> a ja mu go wypisuję na tabliczce wielgaśnemi cyframi. Ma się rozumieć, piszę mu zawsze to samo... tak jak one stały w r. 1914, gdy mój pan po raz ostatni mógł się na ich kursie połapać. Gdy wybuchła wojna, skłoniliśmy doktora, żeby mu zakazał czytać gazety. On początkowo na to się oburzał, ale wkrótce się z tem pogodził, bo poznał, że go to męczy... a wprost to dziwu godne, jak on umie zachować energję, wedle tego co powiadały moje drogie paniusie (świeć Panie nad ich duszą!), gdy jeszcze tu żyły. Jak on w tem był do nich podobny! One zawsze były tak czynne i ruchliwe, jak pan pewno pamięta, panie Soames.

— Co się stanie, gdy wejdę do jego pokoju? — zapytał Soames. — Czy przypomni mnie sobie? Jak wiesz, sporządzałem jego testament w r. 1907, gdy panna Estera rozstała się ze światem.

— O, panie łaskawy — odparła Smither z wahaniem. — Sama nie wiem, co o tem powiedzieć. Myślę, że może pozna; jak na swoje lata, jest on zadziwiającym człowiekiem.

Soames wszedł w drzwi i czekając, aż Tymoteusz skręci zpowrotem, ozwał się głośno:

— Stryju Tymoteuszu!

Tymoteusz odwrócił się nieco i stanął w miejscu.

— He? — zagadnął.

— Jestem Soames — krzyczał ów, co miał tchu, wyciągając rękę przed siebie: — Soames Forsyte!

— Nie! — odrzekł Tymoteusz i postukując głośno kószturem w podłogę, odbywał w dalszym ciągu swą przechadzkę.

— Zdaje się, że nic z tego! — rzekł Soames.

— O nie, łaskawy panie — odpowiedziała Smither nieco zbity z tropu — pan widzi, że mój pan jeszcze nie

---

<sup>1)</sup> Papier wartościowy angielski (*consolidated annuities*).

zakończył przechadzki. U niego to tak bywa... zawdy tylko jedną rzeczą naraz się zajmuje. Pewno popołudniu spyta mnie, czy pan przyszedł w sprawie gazu... wiele będę miała trudu, zanim mu wytłumaczę, o co chodzi.

— Czy myślisz, że on powinien mieć przy sobie mężczyznę?

Smither podniosła ręce do góry.

— Mężczyznę? O nie! Kucharka i ja wszystko załatwiamy doskonale. Obcy człowiek wnetby go tu doprowadził do szaleństwa. A moje panienki nie zniosłyby nawet myśli o obcym mężczyźnie w domu. Zresztą my się go tu nie możemy nachwalić!

— Sądzę, że doktor go odwiedza?

— Codziennie. Postawił specjalny warunek co do ilości odwiedzin, a pan Tymoteusz tak się do tej jego codziennej bytności przyzwyczaił, że nawet nie zwraca na niego najmniejszej uwagi, ino wyciąga język.

— Tak, tak! — ozwał się Soames, zabierając się do wyjścia — wszystko to mnie mocno martwi i gryzie.

— Ach, panie łaskawy — jęknęła Smither — pan nie powinien tak myśleć. Teraz, gdy już nie może sobie niczem głowy zaprzętać, dopiero naprawdę używa przyjemności życia. Jak to ja powiadam kuchcie, pan Tymoteusz bardziej żyje po ludzku niż kiedykolwiek. Widzi pan: jak nie spaceruje albo się nie kąpie, to zajada, a jak nie zajada, to śpi... i tak jest ciągiem. Niema z nim nijakiego kłopotu ani strapienia.

— No, no! — rzekł Soames — w tem coś jest. Idę już nadół. A możebyś była tak dobra pokazać mi jego testament.

— Znajdę kiedy na to stosowniejszą porę, panie łaskawy. On go trzyma pod poduszką i jeszczeby mnie na tem teraz przyłapał.

— Chciałem tylko zobaczyć, czy to ten sam, który

ja sporządzałem — rzekł Soames, — zerknijno kiedy na jego datę i daj mi znać o niej.

— Dobrze, panie łaskawy, ale jestem pewna, że to ten sam... bo pan sam pamięta, że ja z kucharką byliśmy za świadków i nasze nazwiska, jak tam stały, tak i stoją... a przecieżeśmy to tylko raz podpisywały.

— Tak jest — odrzekł Soames. Istotnie pamiętał. Smither i Jane były w sam raz odpowiednie na świadków, jako nie uczestniczące w korzyściach testamentu, a tem samem nie mogące mieć żadnego wyrachowania względem śmierci Tymoteusza. Klauzula ta, jak w duchu przyznawał Soames, była zgoła nieodpowiednia, jednakże szła w myśl życzenia samego Tymoteusza, a zresztą obie sługi wcale nie miały się źle, sownie zaopatrzone przez ciotkę Estere.

— Doskonale! — rzekł na odchodnem. — Dowidzenia, Smither. Doglądaj go, a jeżeli przemówi, daj mi o tem znać natychmiast.

— O tak, panie Soames; zrobię to niechybnie. Toć tak miło było zobaczyć się znów z panem. Kucharka będzie wzruszona, gdy jej o tem powiem.

Soames uściskał jej rękę i zszedł nadół. Przez całe dwie minuty stał koło wieszaka, na którym swojego czasu tylekroć razy zawieszał kapelusz.

— Tak to wszystko przechodzi! — rozmyślał — przechodzi i znów się zaczyna! Biedny starowina!

I jał nadsluchiwać, czy przypadkiem odgłos szurania laski Tymoteuszowej nie zstąpi w czelusć klatki schodowej, albo czy zjawa jakiej starej twarzy nie zamajaczy nad barjerką i nie ozwie się czyjś stary głos:

— Ależ to nasz kochany Soames! Właśnieśmy mówili, że nie widzieliśmy go od tygodnia.

Nic — a nic! Dochodził jeno zapach kamfory, a drobinki pyłu wirowały w słonecznej smudze, wdzierającej

się przez wachlarzowe okno ponad drzwiami. Stareńki domek! Mauzoleum!

I obróciwszy się na pięcie, wyszedł na ulicę, niebawem zaś dopadł pociągu.

## ROZDZIAŁ V

### RODZINNE WRZOSY

„W ojczystych wrzosach stanął stopą,  
A imię jego — *Val Dartie*...“

W takim to mniej więcej nastroju wyruszał wczesnym rankiem tegoż czwartku Val Dartie (czterdziestkę już sobie liczący) ze starego dworku w północnej połaci Łęgów Sussex'kich, stanowiącego jego siedzibę. Celem jego wyprawy było Newmarket, gdzie nie zdarzyło mu się być od jesieni r. 1899, kiedy to wykradł się z Oxfordu do Cambridgeshire. W drzwiach przystanął, ażeby ucałować żonę i wetknąć w kieszeń marynarki manierkę z portwajnem.

— Nie forsuj nogi, Val, i nie hulaj za bardzo!

Gdy przycisnęła się do jego piersi i spojrzała mu w oczy, Val czuł, że nie ma potrzeby obawiać się o jego nogę ani też o jego kieszeń. Postanowił sobie, iż będzie zachowywał się przyzwoicie; Holly miała zawsze rację — leżało to już w jej naturze. Nie wydawało mu się rzeczą tak osobliwą, jakby to się wydać mogło komu innemu, że on — jako Dartie przynajmniej w połowie — był tak przykładowie wierny swej siostrze ciotecznej w ciągu dwudziestu lat od czasu, jak ją w tak romantyczny sposób poślubił jeszcze za wojny burskiej — — W tem wszystkim nie odczuwał ani cienia bądź nudy bądź ofiary — Holly bowiem była tak skwapliwa, tak nieco zawsze nieśmiała wobec jego humorów. Ze względu na swe kuzynostwo postanowili (raczej Holly posta-

nowiła) nie mieć dzieci, więc też choć cera jej nieco przyżółkła, jednakże pozostała jej dawna uroda, dawna smukłość kibici i ciemna barwa włosów. Val szczególnie podziwiał życie, które wiodła równoległe z jego życiem oraz jej coraz to większe postępy w jeźdźeniu konno. Zajmowała się nadal muzyką, czytywała ogromnie dużo — poezje, powieści i tym podobne michałki. Gdy gospodarowali u siebie w Kraju Przylądkowym, zajmowała się z przedziwnym zapalem wszystkimi murzyńskimi dziećmi i kobietami. Była osobą naprawdę rozsądną i obytą, jednakże nie obnosiła się z tem i nie miała żadnego „konika“. Val, choć nie odznaczał się zbytnią skromnością, jednakże doszedł do przekonania, że żona bierze nad nim górę, lecz nie czuł zawiści z tego powodu — jakoby to było z jego strony wielkiem poświęceniem. Warto nadmienić, że nigdy nie spojrzął na Holly tak, żeby ona nie wiedziała o tem, natomiast ona często przyglądała mu się niepostrzeżenie.

Ucałował ją w przedsiönku, ponieważ nie wypadalo mu całować jej na peronie, pomimo że miała jechać razem z nim na stację, aby odprowadzić powóz zpowrotem. Wysuszony i zmarszczkami okryty wskutek działania klimatu południowego oraz zawodu swego, wiążącego się tak ściśle z końmi, upośledzony nogą — która zaczęła niedomagać jeszcze w czasie wojny boerskiej, a w czasie wojny światowej, kto wie czy nie ocaliła go od śmierci — Val mimo wszystko niewiele się różnił od tego, jakim był w czasie swych konkurów. Uśmiech jego zawsze był jednako rozlewny i czarujący, rzęsy bodaj że zgęstniały i pociemniały, szczelniej przysłaniając wyblaskujące z nich, wgóre wzniesione szare oczy; piegi jakoby przybrały odcień głębszy, włosy na skroniach posiwały trochę. Robił wrażenie człowieka, który w swoim czasie wiodł ruchliwe *koniarskie* życie w gorącym klimacie.



Ostro skręcając koło bramy, ozwał się:

— Kiedy przyjeżdża mały Jon?

— Dzisiaj.

— Czy może chciałabyś czego dla niego? Mógłbym to przywieźć w sobotę.

— Nie; ale mógłbyś przyjechać tym samym pociągiem co Fleur... o pierwszej czterdzieści.

Val „popuścił cugle“ Fordowi; kierował zawsze jak człowiek nieobeznany z krajem i zmuszony jechać kiepską drogą, który nie uznaje kompromisów, a za każdym wybojem spodziewa się pojechać na drugi świat.

— To ta młoda kobietka, taka rezolutna — odrzekł. — Zdaje się, że to cię uderzyło?

— Tak — odpowiedziała Holly.

— Wuj Soames i twój ojciec... zdaje się, że coś niebardzo?...

— Ona nie będzie wiedziała i on nie będzie wiedział, a oczywista, że nie należy o niczem mówić... To tylko na pięć dni, Val.

— Święcie dochowam sekretu! Jak w studnię! byczo!

Stało się, jak myślała Holly; wszystko było zabezpieczone. Rzuciwszy nań filuternie wzrokiem, odrzekła:

— Czy zauważyłeś, jak ona się ładnie wprosiła?

— Nie!

— Tak jest... A co ty o niej sądzisz, Val?

— Ładna i inteligentna; ale jeżeli ją figle napadną, to, powiadam, ona gotowa wyskoczyć ni stąd ni zowąd z pierwszego lepszego kątku.

— Ciekawam — mruknęła Holly — czy ona należy do tych dzisiejszych panien. Człowiekowi aż się słabo robi, gdy się wda w to towarzystwo.

— Ty? Ty przecież tak prędko dostrajasz się do tonu każdej sprawy.

Holly wsunęła rękę do kieszeni zakiecika.

— Ty każdego przenikasz nawyloc! — rzekł Val ośmielony. — A jak ci się widzi ten Belgijczyk Profond?

— Zdaje mi się, że jest to bezmała „nieszkodliwe lichy“.

Val wyszczerzył zęby w uśmiechu.

— Mnie się on wydaje, jak na przyjaciela rodziny, dość osobliwą figurą. Prawda, że nasza rodzina ma w sobie i tak różne osobliwości... Wuj Soames ożenił się z Francuzką, a twój ojciec z pierwszą żoną Soamesa. Nasi praojcowie w grobach by się przewrócili!

— Nietylko nasi, mój drogi.

— Ta maszyna — ozwał się nagle Val — już jest do niczego; utyka na tylne koła, gdy jedzie pod górę. Muszę ją puścić wolno na zbocz, jeżeli mam wogóle zdążyć jeszcze na ten pociąg.

Zamiłowanie w koniach nie pozwalało mu nigdy naprawdę sympatyzować z jazdą samochodem, a dawało się zauważyć, że Ford pod jego kierownictwem chodzi gorzej niż gdy nim kieruje Holly. Nakoniec dojechał do stacji, jeszcze w porę przed odejściem pociągu.

— Uważaj, gdy będziesz wracała do domu; ona jeszcze gotowa cię przewrócić. Dowidzenia, kochanie.

— Dowidzenia — zawołała Holly, przesyłując mu całusa dłonią.

Siedząc w pociągu, Val przez kwadrans wahał się pomiędzy myślami o Holly, porannem wydaniem gazety, widokiem słonecznego dnia i mętłem wspomnień Newmarket, aż nakoniec zagłębił się w zakamarkach małej, prostokątnej książeczki, pełnej imion, rodowodów, pni głównych, oraz notatek o budowie i zewnętrznych cechach koni. Forsytowska część jego natury już się zdecydowała przybrać określony typ krwi, tak iż dotąd udawało mu się poskramiać w sobie naturę Dartie'ch, rwącą się do szumnego lotu. Wróciwszy do Anglii, po

korzystnej sprzedaży farmy i stadniny w Południowej Afryce, i stwierdziwszy, że słońce tu rzadko świeci, powiedział sobie w duchu:

--- Muszę koniecznie mieć jakiś cel żywota, bo inaczej ta kraina przyprawi mnie o melancholję. Polowanie mi nie wystarczy, trzeba się zająć hodowlą i trenowaniem.

Przy odrobinie sprytu i zdecydowania, nabytej długim przebywaniem w nowym kraju, Val łatwo dotarł do sedna nowoczesnej hodowli. Moda i wysoka cena miała na wszystkich wpływ hipnotyczny, wobec czego winien był kupować — ot, dla oka, a niech djabli porwą wszelkie końskie miana!... Tymczasem jego nieomal hipnotyzować zaczął *prestige* jakiejś tam rasowości krwi!

— W tym przekętym klimacie — myślał napół przytomnie — coś zmusza człowieka do kręcenia się w kółko! W każdym razie w mojej krwi musi być coś z Mayfly'ów.

W tym nastroju dotarł do wymarzonej Mekki. Był to jeden z tych cichych placów wyścigowych, gdzie ludzie schodzą się po to, by przyglądać się koniom, a nie gębom graczy w totalizatora. Val wtulił się w zacisze tego placu. Dwadzieścia lat życia w kolonjach pozbawiło go nalu modnej elegancji, w której był się wychował, jednakże została mu owa ogólna ogłada, cechująca fachowego miłośnika i znawcę koni, dzięki czemu mógł zukosa i nieco jadowitym wzrokiem spoglądać na „idjotyczne (jak się wyrażał) he-he-he“ pewnych Anglików i „papuże bajdurzenie“ niektórych Angielek (Holly nie miała tej przywary, to też była dlań prawdziwym wzorem kobiety). Spostrzegawczy, bystry, pomysłowy Val przystąpił odrazu do transakcji, w której w grę wchodził koń i napitek; i właśnie zajęty był jakąś kłaczą, gdy tuż przy sobie posłyszał rozlazły głos:

— Pan Val Dartie? A jak się miewa pani Dartie? Spodziewam się, że dobrze...

I ujrzał Belgijczyka, którego spotkał u siostry swojej, Imogeny.

— Prosper Profond... spotkałem się z panem wtedy przy śniadaniu — wyjaśnił mu ów głos.

— Jak się pan miewa? — mruknął Val.

— Doskonale — odparł pan Profond, zdobiąc swe lica niemożliwie rozlazłym uśmiechem. „Dobrodusznym djabełem“ nazwała go Holly. Istotnie, z tą ciemną, ostro przyciętą brodą wyglądał potrosze na djabła — jednakże nieco ospałego, jowialnego, o pięknych, nadspodziewanie roztropnych oczach.

— Jeden pan chce się z panem zaznajomić... pański kuzyn... pan Jerzy Forsyte.

Val ujrzał jakąś ogromną postać oraz starannie wygoloną, byczą twarz, nieco zasepioną, jednakże w głębi szarych, szerokich oczu kryjącą błyski sardonicznego humoru. Twarz tę, jak przez mgłę, przypominał sobie z dawnych czasów, kiedy wraz z ojcem stołował się w Iseeum Club.

— Nieraz z pańskim ojcem uczęszczałem na wyścigi — mówił Jerzy. — I cóż z pańską stadniną? Nie miałby pan ochoty kupić jednej z mych szkapek?

Val uśmiechnął się, chcąc zataić nagłą myśl, że hołota przestała zajmować się hodowlą. Tutaj nie wierzono niczemu, nawet koniom. Jerzy Forsyte, Prosper Profond! Sam djabeł nie rozczarowałby się bardziej, jak ci dwaj oto.

— Nie wiedziałem, że pan interesuje się wyścigami! — rzekł do Profonda.

— Bo też się nie interesuje. Ani mi to w głowie. Jeżdżę sobie jachtem. Ale i jachty nic mnie nie obchodzą — natomiast lubię spotykać się z przyjaciółmi. Mam tu śniadanko, panie Val Dartie, takie sobie małe śniadanko, gdyby sobie pan życzył... niewiele tego... tak troszkę tylko... w moim powozie.

— Dziękuję — odrzekł Dartie — pan bardzo łaskaw. Przyjdę za kwadrans.

— O, tam... Pan Forsyte przyjdzie — (i Monsieur Profond wskazał w danym kierunku palcem w żółtej rękawiczce) — mały powóz... małe śniadanko.

I ruszył dalej, wycackany, ospały, roztargniony, a za nim postępował Jerzy Forsyte, olbrzymi, wytworny, z drwiącym uśmiechem na ustach.

Val pozostał w miejscu, przyglądając się klaczy. Jerzy Forsyte, wiadomo, był już człekiem starszym, ale ten Profond wydał się Valowi niemal rówieśnikiem. Val poczuł się niezwykle młody, jakgdyby klacz była zabawką, z której tamci dwaj się śmiali. Zwierzę straciło swój byt rzeczywisty.

— Ta „mała“ kobyłka... — zdawał się mu brzmieć w uszach głos Monsieur Profonda — ...i cóż pan w niej widzi?... wszyscy musimy umrzeć!

A Jerzy Forsyte, co był zażyłym druhem jego ojca, jeszcze oddaje się wyścigom! Krew Mayfly'ów... byłaż ona lepsza od jakiegokolwiek innej? Równie dobrze możnaby pomówić z jego pieniędzmi.

— Nie, u licha! — mruknął nagle — jeżeli nie warto hodować koni, tedy nie warto robić niczego. Pocóżem tu przyjechał. Kupię ją!

Cofnął się i począł przyglądać się rojowisku bywalców wyścigowych koło barjery. Przewijały się wymuskane stare dzieciuchy, brzuchate franty, Żydzi, trenerzy, mający taką minę, jakgdyby nigdy w życiu nie zdarzyło im się mieć z koniem do czynienia; kobiety dryblaste, flakowate, oklapłe, albo też wesole, obcesowe i krzykliwe; młodzi mężczyźni niby to starający się brać to wszystko poważnie — kilku z nich było pozbawionych jednej ręki!

— Życie tutaj to jedna wielka gra! — pomyślał Val.

— Handlarz pierożków bije w dzwonek, konie biegają,

pieniądze przechodzą z rąk do rąk... znów to dzwonienie, znów biegi, znów pieniądze się wracają...

I, zaniepokojony tą własną filozofją, podszedł do bramy, przyjrzeć się, jak klaczka Mayfly'ska idzie kłusa. Szła dobrze; ruszył więc w stronę „małego“ powozu. „Małe“ śniadanko było tego rodzaju, o jakim człowiek marzy, ale jakie rzadko dostaje. Gdy się z niem uporano, Monsieur Profond pomaszerował wraz z Valem na boisko. Naraz ni stąd ni zowąd wyszło z ust jego dziwne spostrzeżenie:

— Pańska żona to urocza kobieta!

— Najmilsza kobieta, jaką znam! — odrzekł Val sucho.

— Tak! — podchwycił Monsieur Profond; — ma twarz bardzo ładną. Ja uwielbiam ładne kobiety.

Val spojrział nań podejrzliwie, ale rozbroiła go na chwilę ta jakaś układność i bezpośredniość, cechująca djabłą naturę przyciężkiego rozmówcy.

— Gdyby tylko państwo mieli ochotę wejść na mój jacht, mógłbym panią nieco przewieźć.

— Dziękuję — odpowiedział Val, znów w zbrojnym pogotowiu; — żona nie znosi morza.

— Tak samo i ja! — wyznał Monsieur Profond.

— Czemuż więc pan jeździ jachtem?

Oczy Belgijczyka rozjaśniły się uśmiechem.

— Och, sam nie wiem naprawdę! Zajmowałem się już wszystkim możliwem; jacht to jest ostatnia rzecz, jaką się zajmuję.

— Musi to być piekielnie kosztowne! Chciałbym znać głębszą tego przyczynę.

Monsieur Prosper Profond podniósł brwi wysoko i wydał ociężałe wargę dolną.

— Jestem człowiekiem wygodnym — odpowiedział.

— Był pan na wojnie? — spytał Val.

— Ta—ak. I tem się zajmowałem. Byłem zatruty gazem, co było mało niemiłe.

Uśmiechnął się, przybrawszy wyraz głębokiej i sennej błogości, jakgdyby w dowód słuszności swego imienia.<sup>1)</sup> Czy wyrażenie: „mało niemiłe“ zamiast „trochę niemiłe“ było swoistą omyłką językową czy też afektacją, tego Val nie mógł rozstrzygnąć; ten drab zdolny był do wszystkiego. Znalazłszy się w kole kupców, cisnących się dokoła źrebicy Mayfly, która zwyciężyła w wyścigach, Monsieur Profond ozwał się:

— Pan zamierza postawić cenę?

Val skinął głową. Pod bokiem mając tego ospałego szatana, czuł w sobie brak wiary. Choć zabezpieczony przeciw ostatecznym ciosom Opatrzności przezornością jakiegoś dziadka, wyznaczającego mu tysiąc funtów rocznej renty (do czego dochodziło tysiąc funtów rocznie, wyznaczonych Holly przez jej dziadka), jednakże „naruszalnej“ gotowizny miał nader skąpo, jako że większość pieniędzy, uzyskanych ze sprzedaży farmy w południowej Afryce, poszła na zainstalowanie się w Sussex. To też wkrótce przeszło mu przez głowę:

— Bodajby to!... z rąk mi się wymknęła!

Granica, do której mógł się posunąć — sześćset funtów — już została przekroczona, wycofał się więc z licytacji. Klacz Mayfly dostała się pod młotek przy siedmiuset pięćdziesięciu gwinejach. Już zgryziony zabierał się do odejścia, gdy rozlaży głos pana Profonda brzęknął mu w ucho:

— No, kupiłem tę małą klaczkę, ale mnie ona niepotrzebna; pan będzie łaskaw wziąć ją i podarować swej małżonce.

Val spojrział nań z wznowioną podejrzliwością, jednakże pogodny humor promieniejący z oczu Belgijczyka

<sup>1)</sup> *to prosper* — darzyć szczęściem; *prosperity* — błogość.

wprost nie dopuszczał myśli o jakiegokolwiek względem niego urazie.

— Zarobiłem małą sumkę pieniędzy na wojnie — zaczął Monsieur Profond, odpowiadając na jego spojrzenie. — Miałem udziały w przemyśle amunicyjnym. Mam ochotę puścić tę flotę. Ja zawsze robię małe pieniądze. Dla siebie potrzebuję niewiele. Lubię dzielić się z przyjaciółmi.

— Kupię ją od pana za tę cenę, jaką pan dał za nią — rzekł Val z nagłą stanowczością.

— Nie! — odparł Monsieur Profond. — Pan będzie laskaw ją zabrać. Mnie ona niepotrzebna.

— Do kata! Przecież nie można...

— Dlaczegożby nie? — uśmiechnął się Monsieur Profond. — Jestem przyjacielem pańskiej rodziny.

— Siedemset pięćdziesiąt gwinej to nie pudełko cygar! — rzekł Val niecierpliwie.

— Doskonale; zatem pan mi ją przechowa, póki nie zażadam jej zwrotu, i może pan z nią robić, co mu się żywnie podoba.

— Dopóki będzie pańską własnością — odrzekł Val — nie stoję o to!

— Niech więc tak będzie! — mruknął Monsieur Profond i oddalił się.

Val przyglądał mu się przez chwilę: czasem istotnie dopatrywał się w nim „dobrodusznego djabła“, to znowu widział w nim coś wręcz przeciwnego. Dostrzegł, że przyłączył się do Jerzego Forsyte’a, potem zaś stracił go z oczu.

Kilka nocy po wyścigach spędził u swej matki na Green Street.

Winifreda Dartie, jak na sześćdziesiąty rok swego życia, była pysznie zakonserwowana, biorąc pod uwagę trzydzieści trzy lata, przez które znosić musiała udrękę ze strony Montague’a Dartie, póki — niemal szczęśli-



wie zbiegiem okoliczności — nie przyniosły jej wybawienia schody jakiejś kamienicy francuskiej. Wielką satysfakcję sprawił jej powrót ukochanego syna (po tak długiej rozłące!) z Afryki Południowej, znalezienie go tak mało zmienionym oraz przywiązanie się serdeczne do jego żony. Winifreda, która w ósmym dziesiątku zeszłego stulecia, przed swem zamążpójściem, szła w awangardzie wolności, mody i zabawy, przyznawała, że młodość jej była niczem w porównaniu z życiem dzisiejszych „wietrznic“. Te naprzykład zdawały się uważać małżeństwo za rzecz przypadku... a Winifreda żałowała, że nie postąpiła tak samo; drugi, trzeci, czwarty przypadek przyniosłby jej pewno nakoniec męża, nie tak rażąco rozmiłowanego w kieliszku. Słuszność kazała jednakże przyznać, że bądź co bądź, z pożycia z mężem miała Vala, Imogenę, Maud i Benedykta (ten już był prawie pułkownikiem i nie został poszkodowany przez wojnę) — a żadne z nich jeszcze dotąd nie myślało o rozwodzie. Stateczność jej dzieci nieraz zdumiewała tych, którzy pamiętali ich ojca; atoli one wszystkie (co Winifredę nieraz napępniało radością) były z krwi i kości Forsyte'ami, a przytem — z wyjątkiem jednej może Imogeny — przywiązane do matki. Fleur, „małe dziewczątko“ jej brata, wprawiała Winifredę w szczerę zakłopotanie. Dziecko to było równie żywe i przedsiębiorcze, jak wszystkie te młode, nowoczesne kobiety — („To zupełnie mały płomyczek na wietrze“ — wyraził się pewnego razu po obiedzie Prosper Profond) — tylko tyle, że nie zachowywała się tak hałaśliwie i nie przemawiała głosem podniesionym. Ustalony forsytyzm w charakterze samej Winifredy instynktownie wzdragał się przed nawyczkami nowoczesnej panny i jej hasłem: „Nie liczyć się z niczem! Trwońmy wszystko, jutro będziemy bankrutami!“ Za dodatni rys w charakterze Fleur uznawała to, że ilekroć serce swe skłoniła ku czemuś,

póty nie odmieniała serca, póki celu swego nie osiągnęła... choć i to prawda, że była za młoda, by miała uświadamiać sobie, co będzie później. Poza tem dziecko to było „bardzo miłym maleństwem“, które, przy francuskim smaku i talencie ubierania się, odziedziczonym po matce, zdobywało sobie powszechną wziętość i uznanie; wszyscy oglądali się za Fleur — co podnosiło ją w oczach Winifredy, miłośniczki stylu i ułożenia, którego niedostatek tak ją boleśnie zraził do Montague'a Dartie.

Prowadząc rozmowę z Valem przy śniadaniu w poranek sobotni, Winifreda rozwiodła się dłużej nad sprawami rodzinnymi.

— Owa sprawa twojego teścia i ciotki Ireny, Valu, jest stara jak świat... Fleur nie powinna o tem nic wiedzieć... Wuj Soames jest szczególnie drażliwy na tym punkcie. Bądź zatem ostrożny.

— Tak! Ale położenie jest piekielnie głupie... Młody brat przyrodni Holly przyjeżdża do nas na czas dłuższy, chcąc uczyć się „gospodarowania“. On już tam przyjechał...

— Och! — ozwała się Winifreda. — Toci komedja! I jakże się on prezentuje?

— Raz go tylko widziałem, jeszcze w r. 1909, gdyśmy byli w Robin Hill. Był wtedy małym, wesołym brzdącem... chodził nago i malował się w niebieskie i żółte pasy.

— Wcale miły! — pomyślała Winifreda i dodała tonem pocieszającym: — W każdym razie Holly jest osobą rozsądną i będzie wiedziała, jak się do tego odnieść. Wujowi nic nie powiem; jeszczeby go to rozdrażniło. Bardzo się cieszę, że widzę cię znowu, mój drogi chłopaku, na moje stare lata!

— Stare lata! Phi! Jesteś młoda jak zawsze, mamol! Aha, czy ten Profond jest całkiem... tego?

— Prosper Profond! Ach! To najzabawniejszy człowiek, jakiego zdarzyło mi się spotkać w życiu!

Val chrząknął i opowiedział całe zdarzenie z klaczką Mayfly.

— To *tak* do niego podobne! — mruknęła Winifreda.  
— On zdolny do wszystkiego.

— No tak — odrzekł Val przebiegle, — ale nasza rodzina nie miała zbytniego szczęścia do tego gatunku bydła; dla nas są to osobniki zbyt lekkomyślne.

Było to prawdą, więc Winifreda przez całą minutę wpatrywała się weń nerwowo, zanim odpowiedziała:

— No, no! Przecież to cudzoziemiec, Valu; trzeba być nieco pobłażliwym!

— Dobrze, będę więc korzystał z jego klaczy, ale postaram mu się jakoś zrewanżować.

Wnet potem pożegnał się z nią, przyjął jej pocałunek i porzucił ją dla swego *bookmaker'a*, klubu Iseeum i dworca Wiktorji.

## ROZDZIAŁ VI

### JON

Pani Dartie, żona Vala, po dwudziestu latach pobytu w Afryce Południowej, zakochała się głęboko — na szczęście w czemś sobie odpowiadającym. Albowiem przedmiotem jej miłości stał się widok, roztaczający się przed jej oknami — chłodna, czysta jaśń zielonych Łęgów. Nakoniec oglądała znów Anglję! i to Anglję piękniejszą niż kiedykolwiek jawiła się jej w sennych marzeniach! Doprawdy szczęśliwa gwiazda wiodła pp. V. Dartie w ten zakątek, gdzie Łęgi Południowe, ilekroć słońce je oświeca, jaśniejają czarem prawdziwym. Holly, mając po ojcu wprawne oko, umiała ocenić niezwykłość

ich konturów i matowość ich połysku; rozkoszy, jaką dla niej stanowiło drapanie się po wądolnej ścieżynie i wałęsanie się w stronę Chanctonbury lub Amberley, prawie nie starała się dzielić z Valem, u którego podziw dla natury łączył się — iście po forsytowsku — z instynktem praktycznej korzyści, choćby takiej jak wynajęcie terenu na ujeżdżanie koni.

Wracając do domu i z pewną niefrasobliwą rzewnością kierując Fordem, Holly obiecywała sobie w duchu, że natychmiast po przybyciu Jona weźmie go w tamte strony i ukaże mu ów „widok“ na tle pogodnego majowego nieba.

Swego młodego brata przyrodniego wyczekiwała z uczuciem macierzyńskim, nie osłabionem przez miłość do Vala. Trzydniowy pobyt w Robin Hill, wnet po powrocie do kraju, nie dał jej możliwości dokładniejszego przyjrzenia się chłopcu, który właśnie podówczas uczęszczał do szkoły; to też, podobnie jak Val, wyobrażała go sobie jako małego jasnowłosego chłopaka, umalowanego w żółte i niebieskie pręgi, i stojącego nad wodą.

Owe trzy dni, spędzone w Robin Hill, były tak drażniące, posępne, kłopotliwe... Wspomnienie zmarłego brata, skojarzone ze wspomnieniem starań Vala o jej rękę, starzenie się ojca, niewidzianego od lat dwudziestu, jakiś w jego ironicznej łagodności rys żalobny, nie mogący ujść przed okiem osoby obdarzonej nieco większą subtelnością, nadewszystko zaś obecność macochy — którą Holly ledwie pamiętała jako „panią szaro ubraną“ z tych jeszcze czasów, kiedy sama była małą kruszynką, kiedy żył dziadek i gdy Mademoiselle Beauce tak się dąsała o to, że ta przybłęda uczyła ją muzyki — wszystko to mąciło i dręczyło duszę tego, kto tęsknił za tem, by odnaleźć dawny, niezmacony obraz Robin Hillu. Jednakże Holly umiała ukryć osnowę myśli swych, to też na pozór wszystko szło nadal w jak najlepszym trybie.

Gdy zęgnąła się z ojcem, czuła napewno, iż w pocałunku drżały mu wargi.

— No, moja droga — przemówił — zdaje mi się, że wojna nie odmieniła Robin Hillu? O, gdybyś tylko mogła z sobą przywieźć Jolly'ego! Pozwól, że cię spytam: czy uznajesz te wszystkie głupstwa spirytystyczne? Mnie się coś zdaje, że gdy dąb zamiera, to już zamiera z krete sem.

Z ciepła jej uścisku wniósł widocznie, że już trafił w strunę właściwą, gdyż zaraz dosiadł konika ironji.

— Spirytyzm to cudaczne słowo, gdyż im więcej ludzie dowodzą jego prawdziwości, tem usilniej stwierdzają, że trzymają się materji.

— Jak to? — spytała Holly.

— Ano! Spójrzj na te ich fotografje zjawisk astralnych. Zanim sporządzi się fotografję, trzeba mieć jakiś przedmiot materjalny, by światło i cień miały na co padać. Ostatecznie, skończy się na tem, że zmuszeni będziemy nazwać wszelką materję duchem, albo wszelkiego ducha materją... sam nie wiem, co.

— Więc ty nie wierzysz w życie pośmiertne, tatkum?

Jolyon spojrzal na nią, a posępny grymas jego oblicza wywarł na niej silne wrażenie.

— Tak, moja droga, chciałbym mieć coś po śmierci. Jużem trochę się w te rzeczy zagłębiał. Nigdzie poza mem życiem nie mogę znaleźć niczego takiego, gdzieby z równą racją nie można było przyjąć telepatji, podświadomości lub emanacji ze składnicy tego świata. A pragnąłbym znaleźć! Pragnienia są zarodnią myśli, ale nie rodzą oczywistości.

Holly powtórnie przycisnęła usta do jego czoła, mając to uczucie, że oto znalazło się coś na potwierdzenie jego teorii, iż wszelka materja przeistacza się w ducha — brwi ojca stały się w dotknięciu takie jakby niematerjalne...

Jednakże najdrażliwszym wspominkiem z tej krótkiej wizyty była chwila ukradkowego przyglądania się macosze, samotnie odczytującej list otrzymany od Jona. Był to — jak orzekła Holly — najpiękniejszy widok, jaki zdarzyło się jej kiedykolwiek oglądać. Irena, całą niejako swą duszą zatopiona w liście syna, stała przy oknie, gdzie światło padało na jej twarz i na piękne zsiwiałe włosy; jej wargi ożywiały się to ruchem, to uśmiechem, ciemne oczy naprzemian śmiały się i tańczyły, a swobodna ręka lewa przyciśnięta była do piersi. Holly, rozstając się z tem widziadłem niejako doskonałej miłości, miała pewność, że Jon musi być miłem chłopięciem.

Gdy zobaczyła go, z walizeczką podrózną w ręce, wychodzącego ze stacji, utwierdziła się w swem dotychczasowem mniemaniu. Wzrostu był niewielkiego jak Jolly (owo zdawna stracone bożyszczce jej lat dziecięcych), lecz wydawał się żywszy i mniej ceremonialny; oczy miał głębsze i włosy jaśniejszego koloru (nie nosił bowiem kapelusza); ogółem biorąc nader interesujący „mały“ braciszek!

Jego rozważna acz niewyrobia grzeczność działała czarująco na osobę nawykłą do tupetu w manierach młodzieży. Czuł się zakłopotany z tego powodu, że ona go odwozi do domu, zamiast by on ją odwoził. Czy nie mógłby raz strzelić z bicza? Ale trzeba wziąć pod uwagę, że w Robin Hill od czasu wojny nie było powozu, więc on raz tylko miał sposobność powozić — i to jeszcze najechał na szkarpę ziemi, to też Holly nie powinna go zachęcać do próby. Jego śmiech, naiwny i zaraźliwy, miał w sobie wiele powabu — choć, jak Holly słyszała, słowo to obecnie zgoła trąciło myszką.

Gdy dojechali do domu, Jon wydobyl jakiś pomiętoszony list i wręczył go siostrze. Przeczytała go, gdy Jon zajęty był myciem. List był zwiezły, jednakże jego

napisanie okupione być przez ojca musiało niejednym bolesnym skurczem serca:

„Moja Droga!

Sądzę, iż oboje — Ty i Val — będziecie mieli to w pamięci, że Jon nic nie wie o naszej historii rodzinnej. Matka i ja uważamy, iż jest on jeszcze na to za młody. Chłopak jest przemiły i jest jej oczkiem w głowie. *Verbum sapientibus.*

Twój kochający ojciec

J. F.“

Na tem kończyła się treść listu; jednakże wzbudził on w myślach Holly przykrą świadomość rychłego przyjazdu Fleur.

Po podwieczorku wywiązała się z danego sobie przyrzeczenia i poszła z Jonem na szczyt wzgórza. Na wapiennym wierszku, zarosłym ożyną i agrestem, przysiedli i rozpoczęli długą gawędę. Mleczce i wątrobniki niby rojem gwiazd usiały zielone zbocze; na niebie dzwoniły skowronki, drozdy poświstywały w krzewinach, a od czasu do czasu jakaś rybitwa lecąca w głąb ładu kołowała po niebie odcinając się śnieżną bielą na tle bladnego błękitu, na którym wschodzić właśnie począł nieśmiały księżyc. Zewsząd napływały rozkoszne wonie, jak-gdyby jakieś niewidzialne stworzonka biegiem niezliczonych stóp wytłaczały balsam ze ździebełek trawy.

Jon, który milczał od dłuższej chwili, ozwał się prawie znienacka:

— Powiadam ci, ta okolica jest urocza! Niema tu ani kawałka uprawnej ziemi! Przelot rybitwy i zberczenie owiec...

— Przelot rybitwy i zberczenie owiec!... Z ciebie poeta, mój drogi!

Jon westchnął.

— Ach, Jolly! Nie idzie mi to jakoś!

— Spróbuj! Ja próbowałam w twoim wieku.

— Próbowałaś? Mama też mówi: „próbuj“, ale ja tak jakoś nie mam do tego śmiałości! Czy mogłabyś mi pokazać któryś ze swych utworów?

— Mój drogi — mruknęła Holly — jestem zameżna od dziewiętnastego roku życia... a wiersze pisałam wtedy, gdym się dopiero wybierała zamąż.

— Aha! — ozwał się Jon, mieniąc się na twarzy; Holly dostrzegła, że policzek jego przybrał czarujące kolorki. Czyżby więc Jon był już „ruszony wiatrem“, jak się wyrażał Val? Już? tak prędko? Jeżeli tak, to nawet lepiej się składa... bo nie będzie zwracał uwagi na Fleur. Zresztą, w poniedziałek miał rozpocząć praktykę gospodarską. Na myśl o tem uśmiechnęła się. Czy to jeszcze Burns chodził za pługiem, czy tylko Piotr Oracz? Niemal każdy młody mężczyzna (oraz większość młodych kobiet) czasów dzisiejszych uchodził w jej oczach za poetę. Do takiego wniosku doprowadziła ją obfitość zbiorów poetyckich, przeczytanych w Afryce Południowej, a nadsyłanych tam przez f. Hatchus & Bumphards; były tam rzeczy wcale — o wcale dobre! — o wiele lepsze niż sama pisała przed laty! Ale bo też od onego czasu poezja naprawdę poczęła mknąć pędem naprzód... razem z samochodami.

Po kolacji nastąpiła jeszcze jedna dłuższa pogawędka w hallu, przy kominku oświeconym blaskami gorejących głowni — poczem, poza pewnemi szczegółami większej wagi, niewiele już, zdaje się, pozostało kwestyj potrzebnych do zupełnego poznania Jona. Holly pożegnała się z nim u drzwi jego sypialni, zbadawszy wpierw naocznie — i to aż dwa razy — czy ma wszystko, co mu było potrzebne. Rozstając się z nim, miała tą pewność, że będzie go kochała i że Val też go polubi.



Był prędki ale nie rozlewny w słowach; z uwagą i zrozumieniem przysłuchiwał się słowom innych, o sobie mówił z powściągliwością. Ojca widocznie kochał a ubóstwiał matkę. Lubił jazdę konną, wiosłowanie i szermierkę, natomiast mniej gustu miał do polowania. Ratował móle od płomienia świecy; nie mógł znosić pajaków, ale ich nie zabijał, tylko zawijał w papier i wynosił za drzwi. Słowem, był naprawdę wart, by go kochano.

Idąc spać, myślała, że jeżeli go ktoś urazi, będzie to dla niego cios bolesny. Ale któżby go miał urazić?

Tymczasem Jon, nie śpiąc jeszcze, siedział przy oknie i na kartce papieru kreślił ołówkiem pierwszy swój „prawdziwy poemat“, posiłkując się światłem świecy, gdyż blask księżycy — wystarczający do rozedrgania nocy skrzydłanym niejako trzepotem i wyrzeźbieniu jej jakby w srebrne wypuklizny — nie wystarczał do tego, by widzieć, co się pisze. W taką właśnie noc winna tu stąpać Fleur, wodzić oczyma i prowadzić — poprzez wzgórze — hen daleko...

I głęboko zmarszczywszy czoło, tak pełne szczerości, Jon stawiał jakieś znaki na papierze, wycierał je, znów pisał — słowem, czynił wszystko, co bywa potrzebne do stworzenia dzieła sztuki, a miał przytem takie uczucie, jakiego doznawać muszą wiatry wiosenne, próbując pierwszych śpiewek wśród rozwijającego się kwiecia. Jon był jednym z tych niewielu chłopców, u których wyniesiona z domu miłość piękna nie zwiędła w dniach rutyny szkolnej. Musiał ją, rzecz oczywista, kryć w sobie, tak iż nawet nauczyciel rysunków o niej nie wiedział; jednakże trwała ona w nim, nieskalana i wyniosła.

Poemat wydał mu się tak kulawy i napuszony, jak uskrzydloną i lotną była noc sama. Jednakowoż nie zni-

szczył go, lecz zachował. Był to wprawdzie „potworek“, lecz zawsze lepsze to „coś“, niż nic, gdy przyjdzie wysłowić rzeczy niewysłowione. I z pewnem strapieniem pomyślał:

— *Tego* tobym nie mógł pokazać mamusi.

Nakoniec zasnął i spał dobrze, oszołomiony nowością wrażeń.

## ROZDZIAŁ VII

### FLEUR

Żeby uniknąć kłopotliwych pytań, na które nie można by odpowiedzieć, udzielono Jonowi jedynie krótkiej informacji:

— Z końcem tygodnia przyjedzie z Valem jedna panienka.

Z tego samego względu, Fleur otrzymała też tylko krótką zapowiedź:

— Właśnie zamieszkał u nas jeden młody chłopak.

To też dwa „roczniaki“, jak Val nazywał ich w myśli, spotkały się zgoła dorywczo — w sposób, który nie pozostawiał nic do życzenia. Holly przedstawiła ich sobie wzajemnie temi słowy:

— To jest mój braciszek Jon; Fleur jest naszą kuzynką, Jonie.

Jon, który wszedł przez oszklone drzwi wprost z dworu zalanego jarzącym światłem słońca, tak był zmieszany cudownością tego zrzędzenia opatrności, że stało mu czasu, by z ust Fleur posłyszeć słowa:

— Ach, jak się miewasz, kuzynie!

Słowa te brzmiały tak spokojnie, jakgdyby widzieli się po raz pierwszy, a z błyskawicznie szybkiego, ledwie że dostrzegalnego ruchu jej głowy wyrozumiał — acz niezbyt jasno, — że *naprawdę* widzą się po raz pierwszy.

To też w upojnem jakimś odurzeniu pochylił się nad jej ręką i stał się bardziej milczący niż grób. Przychodziło mu to łatwiej niż mowa. Pewnego razu w latach swych wcześniejszych, przyłapany na czytaniu przy świetle lampki nocnej, tłumaczył się ni w pięć ni dziewięć:

— Ja tylko przewracałem kartki, mamusiu.

Na co odpowiedziała mu matka:

— Jonie, nie używaj nigdy podobnych wykrętów, bo, sądząc po twej twarzy, nikt nie zdoła ci uwierzyć.

Te słowa matki podważyły w nim raz na zawsze pewność siebie, potrzebną do tego, by kłamstwo mogło dopiąć swego celu. Przysłuchiwał się więc rzucanym przez Fleur wartkim i entuzjastycznym aluzjom do panującej wszędzie radości, częstował ją zawzięcie konfiturami i ptysiami i pożegnał się z nią przy pierwszej nadarzonej sposobności. Powiadają, że ludzie cierpiący na *delirium tremens* widzą jakiś stały przedmiot, nadzwyczaj ciemnej barwy, który raptownie zmienia wygląd swój i położenie. Jon widział taki stały przedmiot; ten przedmiot miał ciemne oczy i w ciemny odcień wpadające włosy i czasami zmieniał położenie, lecz w kształcie pozostawał niezmienny. Świadomość, że pomiędzy nim a tym przedmiotem istnieje już tajne porozumienie (jakkolwiek trudne do zrozumienia) przenikała go niepojętym dreszczem. Przejęty gorączkowem oczekiwaniem, zabrał się do przepisywania swego poematu — którego, rzecz prosta, nigdy nie ośmieliliby się jej pokazać, — gdy naraz poderwał go z miejsca tętent kopyt końskich. Wychyliwszy się z okna, ujrzał Fleur odjeżdżającą konno w towarzystwie Vala. Było rzeczą zrozumiałą, że nie traciła czasu; jednakże widok ten napełnił go smutkiem, że oto on sam czas ten marnuje. Gdyby nie był uciekł za pierwszym porywem nieśmiałości, pewnoby i jego zaproszono na tę przejażdżkę... Siedział tak na oknie, patrząc, jak tamci oboje znikli, potem uka-

zali się znów w wądołę drogi, rozwiiali się i znów wychynęli wyrazistym konturem na krawędzi Łęgu.

— Głupiec ze mnie! — pomyślał. — Zawsze wypuszczam z rąk nadarżającą mi się sposobność.

Czemuż sam nie mógł mieć tej pewnoći siebie i gotowości co ona? Wsparłszy podbródek rękoma, wyobrażał sobie w myślach, jaką to przejażdżkę mógłby odbywać w jej towarzystwie. Wczasy niedzielne były krótkie, a on już i tak przemarnował z nich trzy godziny! Doprawdy, czyż można okazać się większym durniem?

Ubrał się zawczasu do kolacji i pierwszy zszedł nadół. Tym razem nie chciał już zaniedbać sposobności. Atoli właśnie minęła go sposobność spotkania się z Fleur, ta bowiem zeszła nadół ostatnia. Siedział naprzeciwko niej przy kolacji — i to właśnie było straszne. Niemożliwością bowiem było odezwać się do niej, z obawy, by nie palnąć jakiegoś głupstwa; niemożliwością było trzymać — w myśl naturalnego zachowania się — oczy w niej utkwione; słowem, niepodobna było odnosić się normalnie... Do kogoś, z kim w myślach było się już hen stąd, poza górami, daleko — zwłaszcza gdy przez cały czas miało się tę świadomość, że w jej oczach musiało się przez cały czas uchodzić, wedle wszelkiego prawdopodobieństwa, za głuchoniemego mruka!... Tak, to było okropne! Tymczasem ona, jakby nic, gwarzyła tak wybornie — szybując rączem skrzydłem to w tę to w inną stronę. Zdziwiałające, jak ona wyuczyła się tej sztuki, która jemu wydawała się tak trudną! Doprawdy, ona musiała uważać go za niedołągę!

Utkwione weń oczy siostry, pełne jakiegoś niezwykłego zdumienia, skłoniły go nakoniec do tego, że spojrział na Fleur; jednakże w tej samej chwili jej oczy, bardzo szerokie i namiętne, zdające się mówić: „Och, na miłość Boską!“ zmusiły go skierować wzrok w stronę Vala,

jednakże spotkawszy na jego twarzy grymas uśmiechu, był zniewolony wpatrzeć się w swój kotlet (który na szczęście nie miał ani oczu, ani drwiącego wyrazu twarzy) — i zabrał się skwapliwie do jedzenia.

— Jon zamierza być agronomelem — doszły go słowa Holly — agronomelem i poetą...

Spojrzał na nią z wyrzutem, pochwycił komiczne podniesienie jej brwi, zupełnie przypominające ojca; roześmiał się i dobrze mu to zrobiło.

Val zaczął opowiadać zdarzenie z Monsieur Prosperem Profondem. Złożyło się najpomyślniej, gdyż przez cały czas tego opowiadania wpatrywał się w Holly, która nawzajem miała oczy w niego utkwione; Fleur, lekko zmarszczywszy czoło, ważyła w sobie widocznie myśl jakąś, a Jon nareszcie mógł na nią patrzeć zupełnie swobodnie. Miała na sobie białą sukienkę bardzo skromną lecz gustownie uszytą; ramiona miała odsłonięte, a we włosach białą różę. W tym właśnie przelotnym momencie swobodnego przyglądania się, po tak uporczywych trudnościach, Jonowi wydała się bezcielesną i eteryczną zjawą, jaką wydaje się wiotkie, białem kwieciem obsypane drzewo, widziane w ciemności; przechwycił ją jak strofkę poetycką rozbłyśniętą nagle przed oczyma duszy, lub nutę jakąś, która kołysze się i zamiera kędyś w oddali...

W oszołomieniu jakimś pytał sam siebie, ile ona mogła liczyć sobie wiosen — tak dalece wydała mu się bardziej od niego samego opanowaną i doświadczoną. Dlaczego niewolno mu było się przyznawać, że spotkali się już pierwiej? Nagle przypomniał sobie twarz swej matki, zmieszaną i jakby urażoną, gdy odpowiadała:

— Tak, to nasi krewni, ale my ich nie znamy.

Niepodobieństwem było, by matka, która tak kochała piękno, mogła nie podziwiać Fleur, gdyby się tylko z nią знаła!

Zostawszy po kolacji sam na sam z Valem, sączył z nabożeństwem portwajn i odpowiadał na wstępne za-  
pytania swego świeżo poznanego szwagra. Co się tyczy  
jazdy konnej (co u Vala zawsze było pierwszą troską),  
mógł sobie wziąć młodą kasztanekę, siodłać ją i roz-  
siodływać samemu i wogóle mieć ją na swej pieczy,  
gdy się już do niej przyzwyczai. Jon odpowiedział, że  
do wszystkiego tego przyzwyczaił się już w domu;  
podniosło go to bardzo w oczach gospodarza.

— Fleur — dodał Val — niebardzo jeszcze umie  
jeździć, w każdym razie jest pojętna i przedsiębiorcza.  
Prawda i to, że jej ojciec nie odróżnia konia od koła  
karety. Czy *twój* tatuś jeździ konno?

— Jeździł dawniej... ale teraz jest... wiesz... jest...

Urwał, nie chcąc wymówić słowa „stary“. Ojciec był  
podeszły wiekiem, a jednak nie stary... nie — nigdy!

— A jakże! — mruknął Val. — Znałem jeszcze two-  
jego brata... wiele lat temu... w Oxfordzie... Tego,  
który zmarł podczas wojny burskiej. Pobiliśmy się raz  
w ogrodzie Nowego Kolegium. Dziwna to była sprawa  
— dodał z roztargnieniem — wynikło stąd wiele różnych  
rzeczy.

Jon rozwarł oczy szeroko; już wszystko popychało  
go na drogę dociekań historycznych, gdy naraz od drzwi  
ozwał się łagodny głos Holly:

— Chodźcieno tu obaj!

Jon powstał, a serce pchnęło go ku czemuś o wiele  
bardziej współczesnemu.

Ponieważ Fleur oświadczyła, że „prostu nie godzi  
się siedzieć w domu“, więc wszyscy ruszyli na dwór.  
W księżycowym blasku skrzyła się rosa, a od starego ze-  
gara słonecznego padał długi cień. Dwa bukszpanowe  
żywopłoty, załamujące się pod kątem prostym, ciemne  
i kanciaste, tworzyły zaporę sadu. Fleur przeszła przez  
lukę ich narożnika.

— Proszę dalej! — zawołała.

Jon rzucił okiem na resztę towarzystwa i poszedł w ślady Fleur. Ta biegła pomiędzy drzewami jak widmo. Ponad nią, niby biała piana, kłębił się strop kwiatnych gałęzi; wokoło bił zapach pni zmurszałych i pokrzyw. Przepadła kędyś w tem wszystkim. Jon już myślał, że zgubił jej ślady, gdy naraz, biegnąc, omal nie wpadł na nią, stojącą całkiem spokojnie w miejscu.

— Czy tu nie miło? — zawołała, a Jon odpowiedział:

— I owszem!

Sięgnęła w górę, uszczknęła pąk kwiecica i kręcąc nim w palcach, zapytała:

— Przypuszczam, że mogę mówić ci po imieniu?

— Właśnie o tem samym myślałem.

— Bardzo mnie to cieszy! Ale czy wiesz, że pomiędzy naszymi rodzinami jest jakieś nieporozumienie?

Jon zająknął się.

— Nieporozumienie? Na jakimże tle?

— Eh, to jakaś romantyczna, głupia sprawa! Dlatego to udawałam, żeśmy się nigdy wpieryw nie spotkali. Czy nie chciałbyś jutro wstać wcześniej? Poszlibyśmy przed śniadaniem na spacer i pogadali o tej sprawie? Ja nie lubię zwlekać z niczem... a ty?

Jon, porwany zachwytem, mruknął coś na znak zgody.

— A więc o szóstej. Uważam, że matka twoja jest piękna.

— Tak, jest piękna! — przyświadczył Jon gorąco.

— Kocham każdą rzecz piękną — mówiła dalej Fleur — byle działała podniecająco. Nie lubię sztuki greckiej!

— Co? I Eurypidesa?

— Eurypidesa? Och nie, nie mogę znieść dramatów greckich; one takie długie! Myślę, że piękno jest zawsze raptowne, chyże i prędkie. Lubię naprzykład spojrzeć na *jeden* obraz, a potem dać drapaką. Popatrz! — i podniosła w księżycowej poświatli trzymany przez

siebie pęk kwiecia. — To, mojem zdaniem, lepsze jest od całego sadu!

I naraz drugą ręką pochwyciła za rękę Jona.

— Czy ci się nie zdaje, że ze wszystkich rzeczy na świecie najstraszniejszą jest ostrożność? Powąchaj, jak pachnie światło księżycy.

Rzuciła mu kwiecie prosto w twarz. Jon oszołomiony przyznał, że ostrożność jest rzeczą najgorszą w świecie, więc pochyliwszy się, ucałował rękę, spoczywającą na jego dłoni.

— To było zrobione, co się nazywa, szarmancko i po staroświecku — oświadczyła Fleur tonem spokojnym. — Jesteś przerażająco małomówny, Jonie. Jednakże, ja lubię i małomówność, gdy jest raptowna i prędka.

Wypuściła z uścisku jego rękę.

— Czy myślisz, że ja wtedy naumyślnie upuściłam chusteczkę?

— Nie! — krzyknął Jon, doreszty zbity z pantalyku.

— A właśnie, że naumyślnie! Ale wracajmy, bo oni gotowi pomyśleć, że i to robimy naumyślnie.

I znów poczęła biec między drzewami jak białe wdziałło. Jon postępował za nią, mając w duszy miłość i wiosnę, a ponad wszystkim zwał białego, nieziemskiego kwiecia, skapanego w blasku księżycowym. Wyszli tą samą drogą, jaką przyszli. Fleur szła poważnie, z minką skromną na twarzy.

— Jakże tam cudnie! — ozwała się sennie do Holly.

Jon był po dawnemu małomówny, żywiąc desperacką nadzieję, że w oczach Fleur może jego zachowanie wydać się „raptownem“.

Życzyła mu dobrej nocy w sposób chłodny i bez żywszej dlań uwagi, co napełniło go przypuszczeniem, że wszystko to mu się jedynie śniło...

Znalazłszy się w swej sypialni, Fleur zrzuciła z siebie suknie, i opatulona w jakieś bezkształtne zawoje, ma-



jąc wciąż jeszcze biały kwiat we włosach — niby jakaś mousmé, — siedziała po turecku na swem łóżku i przy blasku świecy pisała co następuje:

„Najdroższa Cherry!

Zdaje mi się, że jestem zakochana. Usiadła mi ta miłość na karku, ale uczucie samo gnieździ się już niżej. On jest moim kuzynem — taki dzieciuch, starszy o jakie sześć miesięcy ode mnie, a młodszy o lat dziesięć. Chłopcy zawsze zakochują się w starszych, a dziewczęta w młodszych od siebie lub w starych mężczyznach, liczących sobie lat czterdzieści. Nie śmiej się, ale oczy jego są pełne wierności, jakiej dotąd nie widziałam w świecie; przytem jest wprost bosko milczący! Pierwsze nasze spotkanie było arcyromantyczne — w Londynie, pod Junoną Vospovitcha. Teraz on śpi w przyległym pokoju, a księżycowe światło leży na kwiatkach jabłoni; jutro rano, nim ktokolwiek wstanie z łóżka, idziemy hajty! — w tenże kraj zaklęty! Pomiedzy jego rodziną i moją jest jakaś waśń familijna, która całą rzecz czyni naprawdę intrygującą. Tak! i być może, będę musiała używać wybiegów i przyjechać do Ciebie w odwiedziny — jeżeli tak, powodów łatwo się domyślisz! Mój ojciec nie chce, byśmy się z sobą znali, jednakże na to nie mogę nic poradzić. Życie jest krótkie! On ma prześliczną matkę, o pięknych srebrnych włosach, młodej twarzy i ciemnych oczach. Mieszkam u jego siostry — która jest żoną mego kuzyna; wszystko tu jest zagmatwane, ale jutro myślę wziąć ją na spytki. Rozmawiałyśmy często, że miłość to gra zręczności; no tak, teraz się jeszcze partaczy, bo gra dopiero się zaczęła, a im prędzej to poczujesz, tem lepiej dla Ciebie, moja droga.

Jon (to nie uproszczenie pisowni, ale skrót imienia Jolyon, podobno trafiającego się w naszej rodzinie) należy do tego typu, co to dopiero rozwija się i strzela w górę; ma z jakie pięć stóp, dziesięć cali, jeszcze rośnie i zdaje mi się, że wyrośnie na poetę. Jeżeli będziesz się śmiała ze mnie, to zrywam z Tobą na wieki. Przewiduję najrozmaitsze trudności, ale wiesz, że gdy na coś zagnę parol, to muszę tego dokonać. Jednem z głównych wrażeń w miłości jest to, że widzi się powietrze niejako zaludnione — zupełnie jak się dostrzega twarz na księżycu — — i człowiek czuje się — czuje się jednocześnie roztańczonym i tkliwym — — takie to dziwne jakieś uczucie — jakgdyby Cię owionął zapach kwiatów pomarańczy. Jest to pierwsza moja miłość, a mam tę świadomość, że zanosi się na to, by była i moja ostatnią, co oczywiście wedle praw natury i moralności jest niedorzecznością. Jeżeli będziesz ze mnie drwiła, to Cię wytlukę, a jeżeli komu powiesz, to Ci nigdy nie przebaczę. Prawie się namyślałam, czy wysłać ten list. W każdym razie wpieryw myślę się prześpać. A więc dobranoc, moja Cherry!

Twoja

Fleur.“

## ROZDZIAŁ VIII

### IDYLLA NA ZIELONEJ TRAWCE

Gdy dwoje młodych Forsytów wynurzyło się z wądolnej ścieżyny i zwrócili twarze ku wschodzącemu słońcu, na niebie nie było ani jednej chmurki, a niziny pokryte były rosą. Na zbocze weszli różnym krokiem, więc byli nieco zadyszani; choć mieli niejedną rzecz

do powiedzenia, jednakże nie mówili nic, tylko szli i szli pod śpiew skowronków, w tak niewczesną, choć wczesną, porę poranną przed śniadaniem. Samo wykradzenie się z domu było drobnostką, ale z chwilą osiągnięcia pełnej swobody rozwiął się urok konspiracji, a jego poczucie ustąpiło miejsca nagłemu sposepnieniu.

— Popelniliśmy szkaradny błąd — ozwała się Fleur, gdy już przeszli pół mili. — Jestem głodna.

Jon wydobyl tabliczkę czekolady. Podzielili się nią i rozwiązały się im języki. Rozmawiali o swych domach rodzinnych i dawniejszym trybie życia, który tutaj — na tej samotnej wyżni — wydawał się jakąś czarującą nierzeczywistością. Z całej przeszłości Jona jedna tylko rzecz ocalała swój byt rzeczywisty — jego matka; z całej przeszłości Fleur — tylko jej ojciec. Ale o tych właśnie dwóch postaciach — co jakby jawiły się wdali, z karzącym wyrazem na twarzy — mówili nader mało.

Łęg zniżał się i znów się podnosił w stronę Chantonbury Ring. Widać było migocący skrawek dalekiego morza. W powietrzu ważył się krogulec, obłany blaskiem słonecznym, tak iż krwią nasycona brunatność jego skrzydeł jarzyła się niemal czerwono. Jon miał pasję do ptaków. Lubił siedzieć cichuteńko, by móc im się przyglądać; obdarzony wzrokiem bystrym oraz niemniej bystrą pamięcią do wszystkiego, co go interesowało, umiał też dość zaciekawiająco mówić o ptakach. Lecz w Chantonbury Ring nie było ich wcale — ta wielka świątynia wybrzeża była pozbawiona życia i niemal skostniała o tej wczesnej godzinie. Z całą więc ochotą wyszli znów na słońce z drugiej strony zbrocza. Teraz przyszła kolej na Fleur. Zaczęła mówić o psach i o tem, jak postępują z niemi ludzie. Przecież to rzecz straszna trzymać je na łańcuchach! Z chęcią wychłostałaby ludzi, którzy to czynili!... Jon był zdumiony, znalazłszy w niej tyle humanitaryzmu. Doszedł, że znała jakiegoś psa,

którego pewien farmer z jej sąsiedztwa trzymał na łańcuchu koło kurnika, zarówno w pogodę jak i słotę, tak iż nieborak wkońcu niemal ochrypnął ze szczekania.

— A najgorsze — dodała popędliwie — to, że jeżeli taki biedak nie szczeka na każdego przechodnia, to nie chcą go trzymać. Doprawdy sędzę, że ludzie to przewrotne zwierzaki!... Ja wypuściłam go dwa razy podstępem; on za każdym razem omal że mnie nie pokąsał, a potem poprostu szalał z radości; jednakże zawsze wkońcu pobiegł zpowrotem do domu, a tam go znów wzięto na łańcuch! Gdyby to ode mnie zależało, zakulałbym samego owego gospodarza. — (Jon widział, iż błysły jej oczy i zębki). — Wypaliłabym mu na czole słowo „bydlę“. Tobo go nauczył!

Jon przyznał, że byłoby to doskonałym lekarstwem.

— Poczucie prawa własności, wkorzenione w tych ludzi — oświadczył — sprawia, iż przykuwają różne istoty łańcuchem. Ostatnie pokolenie nie myślało o niczem, jak tylko o prawie własności; dlatego to właśnie wybuchła wojna!

— Och! — ozwała się Fleur. — Nigdy mi to nie przyszło do głowy. Twoja rodzina wiodła z moją rodziną spór majątkowy. I ostatecznie wszyscy zdobyliśmy majątek — przynajmniej przypuszczam, że twoja rodzina też.

— O tak, na szczęście; nie sędzę, żebym miał zdolności do robienia pieniędzy.

— Gdybyś je miał, pewnobym cię nie lubiła.

Jon drżącym ruchem wsunął rękę pod jej ramię.

Fleur zapatrzyła się przed siebie i zanuciła:

Jon, Jon, Jon! Od pługów i bron!

Ukradł prosie, uciekł won!

Ramię Jona objęło jej kibić.

— To trochę obcesowo! — rzekła Fleur chłodno — czy ty tak często robisz?

Jon cofnął rękę, ale widząc, że Fleur się roześmiała, powtórzył znów poprzedni manewr ramieniem. Fleur zaczęła śpiewać:

Któż ze mną będzie jechał rad  
przez wielkie, jasne błonia?  
Kto konno za mną pomknie w świat?...

— Śpiewaj, Jonie!

Jon zaczął śpiewać. Przyłączyły się do nich skowronki, beczenie owiec, idących na paszę i poranny dźwięk sygnaturki hen daleko w Steyning. Przechodzili z melodji w melodję, aż wkońcu Fleur przerwała te śpiewy:

— Na miłość Boską! znów jestem głodna!

— Och, jakże mi przykro!

Obejrzała się, przypatrując się jego twarzy.

— Jon, jesteś kochanym chłopakiem!

I przycisnęła jego rękę do swej piersi. Jon omal nie zataczał się z radości. Oderwało ich od siebie białe psisko w żółte łaty, które gnało zawzięcie za zającem. Przyglądali się tej pogoni, póki oba zwierzaki nie zniknęły za stokiem, a wtedy Fleur ozwała się z westchnieniem:

— Dzięki Bogu, on nigdy go nie złapie! Która godzina? Mój zegarek stoi; oddawna go nie nakręcąm.

Jon spojrział na zegarek.

— Na Jowisza! — zawołał. — Mój też stanął!

Ruszyli w dalszą drogę, ale już trzymając się bez przerwy za ręce.

— Jeżeli trawa jest sucha — ozwała się Fleur — to posiedzimy jeszcze przez pół minuty.

Jon zdjął marynarkę; usiedli na niej oboje.

— Powąchaj! Macierzanka!

Siedzieli parę minut w milczeniu, przyczem on znów obejmował ramieniem jej kibić.

— Ale z nas gapy! — zawołała Fleur, zrywając się z miejsca — spóźnimy się strasznie... i tak głupio będziemy wyglądali... i zbudzimy ich czujność. Słuchajno, Jonie! Wyszliśmy tylko, by mieć apetyt na śniadanie, i zgubiliśmy drogę. Rozumiesz?

— Tak jest! — odrzekł Jon.

— Mówię to całkiem poważnie... Gotowi nam utrudnić wyjście. Czy umiesz dobrze błagować?

— Zdaje się, że niebardzo; jednakże mogę spróbować. Fleur zmarszczyła się.

— Wiesz co? — powiedziała. — Mam wrażenie, że oni nas nie uważają za przyjaciół.

— A czemu nie?

— Powiedziałam ci, dlaczego.

— Przecież to niedorzeczne!

— Tak, ale ty nie znasz mego ojca.

— Przypuszczam, że musi cię ogromnie kochać.

— No tak, widzisz, jestem jedynaczką. Także i ty jesteś jedynakiem... u swojej matki. Czy to nie uciążliwość? Tyle się po człowieku spodziewają... a gdy przestaną się spodziewać, to już jakby było po nim.

— Tak — mruknął Jon — życie jest potwornie krótkie. Człek chciałby żyć wiecznie i wiedzieć wszystko.

— I kochać każdego?

— Nie! — zawołał Jon — chcę kochać tylko raz... ciebie.

— Doprawdy! Bierzesz się ostro do rzeczy! Ach! patrz! To kamieniołom; już mamy niedługą drogę. Lećmy co sił!

Jon pobiegł za nią, myśląc z lękiem, czy jej przypadkiem nie uraził.

Kamieniołom pełen był słońca i pobrzęku pszczoł. Fleur odrzuciła włosy na tył głowy.

— No dobrze — ozwała się — na wszelki wypadek możesz mnie raz pocałować!

I nadstawiła policzek — pulchny i gorący — który on skwapliwie ucałował, uniesiony szczęścia zachwytem.

— A teraz pamiętaj, żeśmy zgubili drogę... o ile możesz, zdaj to na mnie. Chcę się trochę pozłościć na ciebie; tak będzie bezpieczniej; spróbuj i ty podąsać się na mnie!

Jon potrząsał głową.

— To niemożliwe!

— Zrób mi tę przyjemność. Tylko do piątej godziny.

— Każdy z łatwością na tem się pozna! — rzekł Jon posepnie.

— No, staraj się wywiązać z tego jak najlepiej. Patrz! Już ich tam widać! Machaj kapeluszem! Ach, tyś nie wziął kapelusza. W takim razie ja na nich krzyknę! Odsuń się trochę ode mnie i miej głupią minę.

W pięć minut później, wchodząc do domu i starając się przybrać jak najgłupszą minę, Jon posłyszał w jadalnym pokoju wyraźny głos Fleur:

— Och! Jestem głodna jak pies! Ten chłopak to dureń skończony! Niby to ma być gospodarzem... a gubi drogę!

## ROZDZIAŁ IX

### G O Y A

Było już po drugim śniadaniu, więc Soames udał się do swej galerji obrazów, w domu koło Mapledurham. Miał dziś, jak się wyrażała Anetka, „jakiś zmartwienie“. Fleur jeszcze nie powróciła do domu. Spodziewał się jej w środę; przyszedł od niej telegram, że przyjedzie w piątek; w piątek znowu depeszowała, że będzie w niedzielę popołudniu... a tymczasem bawiła tu jej ciotka, jej kuzynostwo Cardiganowie, ten drab Profond — wszyscy spleśnięci, jak naleśniki, wskutek braku jej towarzystwa.

Stał przed Gauguin'em — stanowiącym najczulszy punkt jego zbiorów. To olbrzymie brzydactwo nabył wraz z dwoma wczesnymi Matissami jeszcze przed wojną, ponieważ było wtedy tyle hałasu o tych facetów po-impresjonistów. Myślał właśnie nad tem, czy Profond nie zechciałby od niego kupić tego knota (ten człek sam nie wiedział, co począć z pieniędzmi), gdy naraz posłyszał głos siostry:

— Uważam, że to rzecz okropna, Soamesie...

I w tejże chwili ujrzał samą Winifredę, która przyszła za nim na górę.

— Ech, tak uważasz? — odrzekł oschle. — Ja za nią dałem pięćset...

— Kaprys! Kobiety nigdy nie bywają tak zbudowane, nawet choćby były czarne.

Soames zaśmiał się posepnie.

— Nie po to przyszłaś, żeby mi prawić takie rzeczy...

— Masz rację, że nie. Czy wiesz, że syn Jolyona mieszka u Vala i jego żony?

Soames okręcił się wkółko.

— Co?

— Tak jest — cedziła słowa Winifreda; — przyjechał do nich na dłuższy pobyt, bo chce się uczyć gospodarowania.

Soames odwrócił się i jał się przechadzać tam i zpowrotem, ale wszędzie za nim chodził jej głos:

— Ostrzegłam Vala, że żadne z tych dwojga nie powinno wiedzieć o tamtych dawnych sprawach...

— Dlaczego nie mówiłaś mi o tem poprzednio?

Winifreda wzruszyła masywnymi ramionami.

— Fleur robi co się jej podoba. Zawsze ją psuleś. Zresztą, mój drogi, cóż w tem może być złego?

— Co złego?! — burknął Soames. — Ależ ona...

Powstrzymał się... „Junona“ Vospovitcha, chusteczka do nosa, oczy Fleur, jej indagacje, a teraz to



odwlekanie powrotu — były to w oczach jego symptomata tak złowieszcze, że, zgodnie ze swą naturą, nie mógł się im opędzić!...

— Myślę, że zanadto się tem przejmujesz — zauważyła Winifreda. — Ja na twem miejscu opowiedziałabym jej o tych dawnych sprawach. Nie należy mniemać, że dziewczęta w dzisiejszych czasach są takie same, jakimi były kiedyś. Skąd one czerpią tę swoją mądrość, tego nie umiem ci powiedzieć, jednakże wydaje się, jakoby im wszystko było wiadome.

Przez twarz Soamesa, przybraną w wyraz skupienia, przebiegł jakby spazm nagły. Widząc to, Winifreda dodała pośpiesznie:

— Jeżeli nie chcesz, bym o tem mówiła, mogę przestać.

Sames potrząsnął głową. Myśl o tem, że ubóstwiana jego córka miałyby — bez oczywistej konieczności — dowiedzieć się szczegółów pamiętnego skandalu, była dla jego dumy nazbyt dotkliwym ukłuciem.

— Nie! — odpowiedział — jeszcze nie czas na to. Przecież temu nie mogę zaradzić...

— Co znowu, mój drogi! Pomyśl, jacy to bywają ludzie!

— Dwadzieścia lat to kawał czasu! — mruzczał Soames. — Któż poza naszą rodziną będzie o tem pamiętał?

Winifreda umilkła. Od czasu pewnego czuła coraz to większą skłonność do ciszy i spokoju, jakiego w młodości pozbawił ją Montague Dartie. Ponieważ zaś obrazy wywierały na niej przygnębiające wrażenie, przeto niebawem zesłała nadół.

Soames przeszedł w stronę zakątka, gdzie tuż obok siebie wisiały: autentyczny Goya i kopja fresku „La Vendimia“. Nabycie prawdziwego Goyi było nieco tęczo-  
wem rozjaśnieniem szarej pajęczyny, narzuconych sobie zainteresowań i namiętności, które zwykły omotywać ja-

snoskrzydłą muchę ludzkiego życia. Ów prawdziwy Goya przypadł przodkowi swego dostojnego właściciela podczas jakiejś tam wojny hiszpańskiej — słowem, był to łup wojenny. Dostojny właściciel długo nie wiedział o wartości obrazu, póki w latach dziewięćdziesiątych jakiś przedsiębiorczy krytyk nie odkrył, że hiszpański malarz nazwiskiem Goya jest genjuszem. Obraz, o którym mowa, chlubę swą zasadzał jedynie w tem, że był to autentyczny Goya, ale ponieważ był w Anglii niemal unikatem, więc dostojny właściciel stał się człowiekiem znanym. Mając wiele posiadłości i tę arystokratyczną kulturę, która niezależnie od rozkoszy czysto sensualnych opiera się na zdrowszej zasadzie, iż należy wiedzieć wszystko i okrutnie wszystkim się w życiu interesować, powziął święte postanowienie przechowywać u siebie do końca życia przedmiot jednający mu taką sławę, a po śmierci podarować go narodowi. Na szczęście dla Soamesa, w r. 1909 zaatakowano gwałtownie Izbę Lordów, co dostojnego właściciela obrazu przejęło słusznym niepokojem i gniewem.

— Jeżeli oni myślą — mówił sobie w duchu — że dostaną go tak czy owak, to wielce się mylą. O ile nie naruszą mego błęgiego spokoju, naród może po mej śmierci spodziewać się ode mnie kilku obrazów. Lecz jeżeli naród zamyśla drażnić mnie i ograbiąć w ten sposób, to niech mnie piorun trzaśnie, jeżeli nie sprzedam tego... towaru. Nie zgodzę się na to, by mi odbierano jednocześnie moją własność i mego ducha publicznego.

W ten mniej więcej deseń gwarzył z sobą przez parę miesięcy, aż pewnego dnia, po odczytaniu mowy jednego z mężów stanu, zatelegrafował do swego ajenta, by przyjechał i przywiózł z sobą Bodkina. Zwiedziwszy zbiory, Bodkin (z którego zdaniem nie mógł się nikt mierzyć, gdy szło o ceny rynkowe) oświadczył, że w razie sprzedaży z wolnej ręki w Ameryce, Niemczech i innych kra-

jach, gdzie interesowano się sztuką, można było zarobić znacznie więcej, niż przez sprzedaż w Anglii. Ofiarność dostojnego właściciela (tak powiadał) była powszechnie znana, ale obrazy były w swoim rodzaju jedyne. Dostojny właściciel nabił sobie tym sądem fajkę, którą następnie kurzył przez rok cały. Po upływie tego czasu przeczytał inną mowę tego samego męża stanu i zatelegrafował do swych pełnomocników:

— Dać Bodkinowi wolną rękę.

W tym to właśnie momencie Bodkin powziął myśl, która Goyę i dwa jeszcze inne, jedyne w swoim rodzaju, obrazy ocaliła dla ojczystej ziemi dostojnego właściciela. Albowiem wspomniany Bodkin stręczył jedną ręką owe obrazy rynkom zagranicznym, drugą zaś układał listę prywatnych zbieraczy angielskich. Uzyskawszy możliwie najwyższe (jak sądził) oferty z poza oceanu, przedstawił je wraz z obrazami prywatnym zbieraczom angielskim i apelując do ich uczuć społecznych, wzywał ich do przelicytowania stawek. W trzech wypadkach (włączając w to Goyę) na dwadzieścia jeden dopisało mu szczęście. A czemu? Jeden z prywatnych zbieraczy fabrykował guziki — i nafabrykował ich tyle, że pragnął, by żona jego zdobyła przydomek „Lady Buttons“.<sup>1)</sup> Dlatego więc kupił za słoną cenę jeden z owych rzadkich obrazów i podarował go narodowi. Przyjaciele powiadali, że był to „epizod jego wielkich łowów“. Drugi prywatny zbieracz obrazów był wrogiem Amerykanów i kupił okazowy obraz na to tylko, by „zrobić na złość przeklętym Yankesom“. Trzecim zbieraczem prywatnym był Soames, który — trzeźwiejszy od tamtych — przystąpił do kupna dopiero po powrocie z Madrytu, gdy się upewnił, że Goya wciąż jeszcze ma wszelkie widoki powodzenia. W danym momencie Goya nie cieszył się

<sup>1)</sup> *button* — guzik. *Boy in buttons* albo też samo *buttons* — paż.

popularnością, ale kolej miała przyjść i na niego. Przyglądając się temu portretowi, Hogarthowskiemu i Manetowskiemu w swej prostocie, ale nacechowanemu ostrym jakimś i swoistym powabem pendzla, Soames czuł się wciąż po dawnemu całkowicie zadowolonym, iż nie popełnił omyłki — pomimo że cena była poważna — największa jaką zapłacił kiedykolwiek w życiu. A następną zaraz rzeczą było zawieszenie kopji „La Vendimia“. Oto znajdowała się ona tuż obok — mała bezwstydnica — spoglądając nań w sennem nadaśaniu, które on lubił najbardziej z wszystkich objawów jej humoru, gdyż czuł się o wiele bezpieczniejszy, gdy ona patrzyła takim właśnie wzrokiem.

Jeszcze się w nią wpatrywał, gdy nozdrza połaskotał mu zapach cygara, a jakiś głos przemówił:

— No, panie Forsyte, co pan zamierzasz uczynić z tym małym towarem?

Ach, to ten Belgijczyk, którego matka — jakby nie-  
dość było krwi flamandzkiej — była Ormianką! Tłumiać w sobie wewnętrzne podrażnienie, Soames zagadnął:

— Czy pan jest znawcą obrazów?

— A jakże, mam ich też trochę.

— A po-impresjonistów?

— Ta—ak! Lubię ich naogół.

— A co pan sądzisz o tym? — tu Soames wskazał na Gauguina.

Monsieur Profond wysunął dolną wargę i krótką ostrą bródkę.

— Dość piękne, jak sądzę — odpowiedział. — Czy pan chce to sprzedać?

Soames stłumił w sobie wrodzone: „Niebardzo“ — nie chciał targować się z tym cudzoziemcem.

— Tak — odrzekł.

— A ile pan chce za to?

— Tyle ile sam dałem.

— Doskonale! — rzekł Monsieur Profond. — Chętnie wezmę ten mały obraz. Epigonowie impresjonizmu... to okropnie martwe... ale bywają i oni zajmujący. Nie zajmuję się zbytnio obrazami, ale mam ich trochę... mały zbiorek.

— A czymże się pan zajmuje?

Monsieur Profond wzruszył ramionami.

— Życie jest ogromnie podobne do gromady małych, wydrapujących się na drzewa po puste orzechy.

— Pan jest młody — bąknął Soames. Jeżeli ten ananas ma się bawić w uogólnienia, tedy nie powinien nasuwać przypuszczeń, że formy własności pozbawione są trwałej mocy!

— Ja się nie kłopotuję — odparł z uśmiechem Monsieur Profond; — rodzimy się... no... i umieramy. Połowa świata przymiera głodem. Sam żywię małą gromadkę bachorów w ojczyźnie mej matki; ale co z tego przyjdzie? Równie dobrze mógłbym rzucać pieniądze w rzekę.

Soames spojrział na niego i odwrócił się znów w stronę Goyi. Nie wiedział, poco tu przyszedł ten człowiek.

— Na ile mam czek wypisać? — nalegał Monsieur Profond.

— Pięćset — odrzekł Soames zwięźle — ale nie chciałbym, by pan miał zabierać ten obraz, jeżeli panu na nim zgoła nie zależy.

— Ależ doskonale! — oświadczył Monsieur Profond; — będę szczęśliwy, posiadając ten obraz.

Wypisał czek wiecznem piórem, suto oprawnem w złoto. Soames z niechęcią przyglądał się tej czynności. Skądże to ten ananas dowiedział się, że on chce sprzedać obraz?... Tymczasem Monsieur Profond wyciągnął już czek.

— Anglicy są strasznie zabawni, gdy chodzi o obrazy

— zauważył. — Podobnież Francuzi i moi rodacy. Wszyscy są strasznie zabawni!

— Nie rozumiem pana! — odrzekł Soames sztywnie.

— To zupełnie jak z kapeluszami — rzekł zagadkowo Monsieur Profond; — małe lub wielkie, zadarte wgórze lub nadół... zależnie od mody. Strasznie to zabawne!

I uśmiechając się, wypłynął z galerji, błękitny i solidny, jak dymek jego wyśmienitego cygara.

Soames wzięwszy czek, czuł, że zasadnicza wartość tej własności podana została jakby w wątpliwość.

— To kosmopolita! — myślał, przyglądając się Profondowi, który wraz z Anetką wynurzył się z werandy i szedł wolnym krokiem przez łąkę w stronę rzeki. Doprawdy nie mógł dociec, co też jego żona upatrzyła sobie w tym „ananasie“ — chyba to, że umiał mówić jej językiem; i przez głowę Soamesa przemknęła się — jakby powiedział Monsieur Profond — „mała wątpliwość“, czy Anetka nie jest aby trochę za uprzejma, wybierając się na spacer z takim „kosmopolitą“. Nawet w tej odległości mógł dostrzec błękitne kłębuszki dymu, wznoszące się z cygara Profondowego i rozwijające się w spokojnem świetle słonecznem, oraz jego giemzowe buciki i szary kapelusz... No, no! goguś był z tego *Monsieur'a!*... Spostrzegł też, że żona szybko odwróciła głowę, osadzoną tak strzeliście na ponętnej szyi i barkach. Ten zwrot jej szyi zawsze wydawał mu się trochę zanadto popisowy; było w nim nieco podświadomego pozowania na „królową otoczenia“.

Przyglądał się im, jak szli ścieżką w dolnej części ogrodu; tam przyłączył się do nich młody mężczyzna w flanelowem ubraniu — niewątpliwie jakiś niedzielny spacerowicz z górnego biegu rzeki. Powróciwszy do swego Goyi, Soames zapatrzył się w sobowtóra Fleur, trapiąc się jednocześnie nowinami, przyniesionemi przez Winifredę, gdy naraz posłyszał głos swej żony:

— Soamesie, oto pan Michał Mont. Zapraszałeś go, ażeby obejrzał twe obrazy.

Ach, więc to ów wesoly młodzik z galerji przy Cork Street!

— Przybyłem tu, jak pan widzi; mieszkam tylko cztery mile od Pangbourne. Prawda, że ładny dzień?

Stanąwszy oko w oko z rezultatem swej ekspansywności, Soames przyjrzał się bacznie gościowi. Młody przybysz miał usta niesłychanie szerokie i wykrzywione — wyglądał, jakgdyby się śmiał ustawicznie. I czemuż nie zapuścił doreszty tych idjotycznych, drobnych wąsików, które czyniły go podobnym do buffona z music hallu? Co sobie doprawdy myślą ci młodzieniaszkowie, własnowolnie oszelmowani takimi szczoneczkami pod nosem albo małemi, ślimakowatemi baczkami?... Uch!... Młodzi afektowani durnie!... Pod innemi względami gość prezentował się nieźle, a flanele odznaczały się nadzwyczajną czystością.

— Cieszę się, że pana widzę! — rzekł Soames.

Młodzik, który właśnie wodził oczami to w jedną, to w drugą stronę, stanął w miejscu, jak przygwożdżony.

— No, no! — odezwał się. — Oto i te „parę“ obrazów! Tu jest *coś*!

Soames, z uczuciem dość różnorodnem, zdał sobie sprawę, że ostatnia uwaga gościa dotyczy kopji z obrazu Goyi.

— Tak — ozwał się sucho — to nie Goya! To kopja. Kazałem ją odmalować, bo przypominała mi moją córkę.

— Na Jowisza! Zdawało mi się, że znam skądciś tę twarz. Czy pańska córka jest tutaj?

Szczerłość tego zapytania niemal rozbroiła Soamesa.

— Ona tu będzie po podwieczorku — odpowiedział. — Czy mam pana oprowadzić po galerji?

I Soames rozpoczął na nowo — nie męczącą go nigdy — procesję dokoła galerji. Po człowieku, który

kopji nie odróżnił od oryginału, nie można było spodziewać się nazbyt wielkiego znawstwa sztuki; jednakże gdy zaczęli przechodzić dział za działem, okres za okresem, szczerze i trafne uwagi młodzieńca napelniły Soamesa zdumieniem. Sam z natury obrotny i domyślny, a mimo wszelkich pozorów spostrzegawczy i wrażliwy, musiał po trzydziestu ośmiu latach praktyki w jedynym swym, umiłowanym zawodzie znać się nietylko na cenie obrazów, ale i na czemś więcej. Był wszak niejako ogniwem, jakiego brakło pomiędzy artystą i sferą kupiecką. „Sztuka dla sztuki“ i tym podobne powiedzonka — to tylko mydlenie oczu; natomiast estetyka i dobry smak są i zawsze były koniecznością. Sąd pewnej ilości osób obdarzonych dobrym smakiem zawsze nadawał dziełu sztuki trwałą wartość i pokup; czynił je „dziełem sztuki“. Nie było tu, jak w minerałach, stałego stopnia łupliwości. Soames w dostatecznej mierze przywykł do owczych i bezkrytycznie ślepych poglądów ludzi, zwiedzających galerję, by miał być zaintrygowany osobą człowieka, który nie wahał się powiedzieć o Mauve:

— Stary bałwan!

Albo o Jakóbie Maris:

— Ten to nie robi nic innego, tylko maluje i zaraz zawija swój towar w papier! Mathew to był prawdziwy tuz, panie łaskawy; powierzchwnie dawał takie, że w nich ryc było można!

A gdy młodzian zaświstał przed jednym z obrazów i zagadnął:

— Czy pan sądzisz, że on kiedy naprawdę widział nagą kobietę?

Wówczas Soames pozwolił sobie na uwagę:

— Czemu pan jest z zawodu, panie Mont, jeżeli wolno spytać?

— Ja?... Ja, panie szanowny, miałem być malarzem, ale wojna stanęła temu na przeszkodzie. Potem, wie



pan, w okopach nieraz marzyłem o giełdzie kupieckiej, przytulnej, ciepłej, a dość gwarnej... ale temu znów na przeszkodzie stanął pokój; zdaje się, że nikt teraz nie myśli o udziałach? Przez rok byłem poprostu tylko demobilizowanym żołnierzem. A co pan chciał poradzić?

— Czy pan ma pieniądze?

— Ta—ak — odrzekł młodzieniec — to jest, mam ojca. Utrzymałem go przy życiu przez całą wojnę, więc on powinien teraz mnie utrzymywać... chociaż, prawdę powiedziawszy, zachodzi kwestja, czy należałoby mu pozwolić, by siedział wciąż na swej majątności. Co też pan o tem myśli?

Soames, błady i szukający deski ratunku, uśmiechnął się.

— Stary się wścieka, gdy mu powiadam, że powinien jeszcze pracować. A trzeba panu wiedzieć, że on ma kawał ziemi — to już fatalna choroba.

— Oto mój *prawdziwy* Goya — podjął oschle Soames.

— Jak babcię kocham! To był tuz prawdziwy! Widziałem raz w Monachjum Goyę, przed którym niemal zdębiałem. Było to najbrzydsze stare babsko, jakie sobie można wyobrazić, w przeokazalej szacie. *On* nie zawierał kompromisów z gustem publiczności... W tym starym chłopie było coś wybuchowego; musiałci on swojego czasu porozbijać wiele konwenansów! Ależ on umiał malować! W kozi róg zapędma Velasqueza... prawda, panie szanowny?

— Nie mam u siebie Velasqueza — odrzekł Soames. Młodzian wytrzeszczył oczy.

— Pewnie — rzekł. — Przypuszczam, że na Velasqueza mogą się zdobyć tylko całe narody lub lichwiarze. Doprawdy, czemu to zbankrutowane narody nie posprzedają przymusowo lichwiarzom swoich Velasquezów, Tycjanów i innych grubych ryb, a potem niech wydadzą ustawy, że

każdy, kto ma obraz starego mistrza (patrz indeks), musi go powiesić w publicznej galerji? W tem, zdaje się, coś jest.

— Czy pozwoli pan na herbatę? — zapytał Soames. Ucho młodzieńca jakgdyby obwisło w małżowinie.

— Nie głupi człowiek — pomyślał Soames, wprowadzając go za schody.

Goya, ze swą satyryczną, niepospolitą precyzją, oryginalnością „linji“ oraz śmiałością światłocienia, zdołałby zadziwiająco odtworzyć tę grupę, która się zgromadziła wokół herbaty, zastawionej przy kominku na dole. On tylko może, jeden z pośród wszystkich malarzy, oddałby należytą sprawiedliwość promieniom słońca, przesączającym się poprzez zaslonę pnączy, żółtawemu polyskowi mosiądzu, starym rzniętym szklankom, cienkim płatkom cytryny w blado-bursztynowej herbacie — — Pędzel Goyi oddałby, co należy, i Anetce, która, ubrana w czarną, koronkową suknię, miała w swej piękności coś z rodowitej Hiszpanki, choć brakło jej uduchowienia, cechującego ten typ tak rzadki. Nikt tak, jak Goya, nie uchwyciłby sędziwej, wygorsetowanej tężyzny Winifredy; on też nadałby właściwy wyraz i Soamesowi, nacechowanemu szpakowatą, płaskolicą dostojnością — — i pełnemu żywości Michałowi Montowi o wytrzeszczonych oczach i uszach — — i Imogenie, posępnej, przesłodzonej w spojrzeniu, o minie nieco zarozumiałej — — i Prosperowi Profondowi, od którego jakby oczekiwało się zapytania:

— No, panie Goya, i na cóż to malować tę małą gromadkę?

— — a wreszcie Jackowi Cardiganowi, z jego błyszczącym, uporczywym spojrzeniem i wyparzonym w słońcu temperamentem sangwinicznym, zdradzającym kierowniczą zasadę:

— Jestem Anglikiem i żyję jak każe przyzwoitość.

Nawiasem mówiąc, rzecz to dziwna, że ta sama Imogena, która jako młoda gaska oświadczyła pewnego dnia uroczyście u Tymoteusza, że nigdy nie wyjdzie za statecznego człowieka (tak one były głupie!), ostatecznie poślubiła Jacka Cardigana, w którym zdrowie tak zatarło wszelkie ślady grzechu pierworodnego, iż mogłaby udać się na spoczynek z dziesięcioma tysiącami innych Anglików i nie wiedzieć, czemu by się mieli różnić od tego, którego wybrała na towarzysza swego spoczynku.

— O! — mówiła w swój „zajmujący“ sposób — Jack trzyma się tak przyzwoicie; nigdy w życiu ani przez dzień nie chorował. Przeszedł całą wojnę i ani go palec nie zabołał. Doprawdy, państwo nie mogą sobie wyobrazić, jak on jest przyzwoity.

Istotnie, był on tak przyzwoity, że nawet nie dostrzegał jej flirtów — a to przecie było w życiu taką wygodą. W każdym razie była z niego całkiem zadowolona, o ile można być zadowolonym z takiej jak on, maszynki sportowej oraz z dwóch małych Cardiganków, wykonanych na jego modłę. Właśnie też oczy małżonki z uporczywą złośliwością przeprowadzały porównanie między nim a Prosperem Profondem. Ponoś nie było zabawy ani sportu — od kręgli do rybołówstwa — w którychby nie brał udziału Monsieur Profond... i wszystkie już go znudziły. Imogena niekiedy sobie życzyła, by one znudziły i Jacka, który wciąż się im poświęcał i mówił o nich z naiwnym zapalem pensjonarki, uczącej się prawideł hockey'u; była przeświadczona, że w wieku dziadka Tymoteusza Jack będzie grywał w golfa na dywanie jej sypialnego pokoju i kogoś „ogrywał“.

W tej chwili opowiadał, jak to on dziś rano „orzwał zawodowca — uroczego faceta, grającego przepysznie“ — i to przy ostatnim dołku, i jak następnie po drugim śniadaniu pojechał do Caversham; wreszcie próbował namówić Prospera Profonda na partję tenisa po pod-

wieczorku — co miało mu dobrze zrobić — „utrzymać go przyzwoicie“.

— I cóż komu z tego przyjdzie, że będzie się trzymał przyzwoicie? — spytał Monsieur Profond.

— Tak jest — mruknął Michał Mont — poco panu trzymać się przyzwoicie?

— Jack — zawołała oczarowana Imogena — cóż ci z tego przyjdzie, że będziesz się trzymał przyzwoicie?

Jack Cardigan całem swem zdrowiem i teźzną wypatrzył się przed siebie. Pytania nadlatywały podobne do pobrzęku moskitów — podniósł więc rękę, by je odpędzić. W czasie wojny, ma się rozumieć, trzymał się przyzwoicie, gdy szło o zabijanie nieprzyjaciół; teraz nie wiedział, jak się wziąć do rzeczy, bądź też z poczucia delikatności powstrzymał się od wyjaśniania swej przewodniej zasady — dość, że nie znalazł się tak przyzwoicie, jak wtedy.

— Ale on ma rację — ozwał się niespodzianie Monsieur Profond — nie pozostało nic innego, jak tylko trzymać się przyzwoicie.

Powiedzenie to, zbyt głębokie na godzinę niedzielnego popołudnia, byłoby przeszło niepostrzeżenie, gdyby nie żywość natury młodego Monta.

— Brawo! — zawołał. — To wielkie odkrycie, jakie zawdzięczamy wojnie. Myśleliśmy wszyscy, że postępujemy naprzód — — teraz wiemy, że tylko się zmieniamy.

— Na gorsze — dorzucił bystro Monsieur Profond.

— Jaki pan wesół, panie Prosperze! — mruknęła Anetka.

— Pójdź pan, zagramy w tenisa! — rzekł Jack Cardigan. — Pan już nabiera garbu... trzeba go zdjąć czem prędzej. Czy pan grywa, panie Mont?

— Mniej więcej trafiam w piłkę, panie szanowny.

W tej chwili Soames powstał, poruszony owym głę-

bokim instynktem gotowości na przyszłość, który był nią przewodnią jego istnienia.

— Gdy Fleur przyjedzie... — posłyszał z ust Jacka Cardigana.

Ach! Czemuż ona nie przyjechała? Przeszedł przez salon, minął hall i werandę i stanąwszy na jezdni, począł nadśluchiwać, czy nie dojdzie go turkot powozu. Wszędzie było cicho, po niedzielnemu; bzy ukwiecone przesycały wonią powietrze. Na niebie było parę białych obłoków, niby pierze kacze, ozłoczone poblaskiem słonecznym. Pamięć dnia, w którym urodziła się Fleur, a w którym przechodził agonję oczekiwania, ważąc w rękach życie jej i jej matki, wyraziście zarysowała się w myślach Soamesa. Wówczas ocalił ją, ażeby była kwiatem jego życia... A teraz! Miałż mu ona przynieść strapienie... ból?... przynieść mu strapienie? Nie podobała mu się taka perspektywa!

Kos jakiś pieśnią wieczorną wmieszał się w jego rozmyślenia... wielkie ptaszysko, siedzące hen na czubku akacji. Soames w ostatnich latach wielce zainteresował się ptakami; nieraz chodził z Fleur, by je podpatrywać; jej oczy były przenikliwe jak igiełki: umiała wysledzić każde gniazdo.

Spostrzegł jej psa, wyżła, wylegującego się w słońcu na jezdni i przywołał go do siebie:

— Hola, stary druhu! I ty na nią czekasz!

Pies podszedł z wolna ze zwieszonym markotnie ogonem, a Soames machinalnie poklepał go po łbie. Ten pies, ów kos pogwizdujący i wonne bzy — wszystko to było dlań częścią Fleur — — ni mniej, ni więcej.

— Zanadto ją kocham! — myślał. — Zanadto!

Był jak człowiek nieubezpieczony, mający okręty na morzu. Nieubezpieczony już powtórnie... jak w owym czasie, przed wieloma laty, gdy zazdrosny i ogłuchły

błądził po mateczniku londyńskim, tęskniąc za ową kobietą — — pierwszą swą żoną — — matką tego piekielnego chłopca... Ach! Nakoniec już powóz nadjeżdża!

Powóz nadjechał. Były w nim pakunki, nie było Fleur.

— Jaśnie panienska idzie piechotą, ścieżką koło rzeki.

Piechotą tyle mil! Soames wytrzeszczył oczy. Twarz stangreta zdradzała lekką ochotę do śmiechu. Z czegoż to on mógł sobie podrwiwać?

Obrócił się wartko, rzucił słowa:

— Dobrze, Sims! — i zawrócił do domu, poczem natychmiast udał się na górę, do galerji obrazów. Miał stąd widok na brzeg rzeki. Stał, utkwivszy weń oczy, pomimo że należało czekać co najmniej godzinę, zanimby jej postać tam się pojawiła. Idzie piechotą! A ten uśmiech stangreta!... Ten szczeniak!...

Odwrócił się nagle od okna. Nie mógł jej szpiegować. Jeżeli chciała coś przed nim ukryć — widocznie tak być musiało; on nie mógł jej szpiegować! Czuł w sercu pustkę, a gorycz z serca napływała mu w same usta. Urywane krzyki Jacka Cardigana, goniącego za piłką, śmiech młodego Monta, zakłóciły ciszę. Soames domyślał się, że właśnie dają łupnia Profondowi. A dziewczyna w „La Vendimia“ stała, podparta w bok ramieniem, a jej senne oczy patrzyły za nim.

— Robiłem dla ciebie wszystko co było w mej mocy — myślał — jeszcze od czasu, gdy nie sięgałaś mi do kolan!... Chyba nie chcesz... nie chcesz... nie chcesz... robić mi przykrości?

Ale kopja Goyi nie odpowiadała, lśniąc przygasającymi właśnie barwami.

— Daremnie w niej szukać prawdziwego życia! — pomyślał Soames. — Ale czemu Fleur nie wraca?

## ROZDZIAŁ X

### TRIO

Wywczasy niedzielne, przedłużone aż do dziewiątego dnia, napięły niemal do granic prężności więzbę nitek łączących czworo Forsytów z trzeciego i, rzecz można, czwartego pokolenia, bawiących w Wansdon pod Łęgami. Nigdy Fleur nie była tak „*fine*“, ani Holly tak czujna, ani Val tak zawzięcie skryty, ani Jon tak milczący i zmieszany. Cały zasób wiedzy agronomicznej, zdobyty przezeń w ciągu tego tygodnia, można było zatknąć na ostrzu scyzoryka i zdmuchnąć tchem jednym. On, którego natura zasadniczo brzydziła się wszelką intrygą i w którym uwielbienie dla Fleur budziło skłonność do mniemania, iż cała potrzeba ukrywania się była „na niby“, dąsał się i zżymał, jednakże ulegał nakazowi, pocieszając się, jak tylko mógł, w momentach gdy byli z sobą sam na sam. W czwartek, gdy stali we wnęce okna salonu, gdzie nakryto do obiadu, Fleur ozwała się do niego:

— Jonie, jadę do domu w niedzielę o 3,40 z Paddington; jeżeli się w sobotę wybierzesz do domu, to będziesz mógł i ty tam zajechać w niedzielę i odwiedzić mnie, a potem odrazu powrócić ostatnim pociągami. W każdym razie *wybierasz* się do domu, prawda?

Jon skinął głową.

— Wszystko zrobię, byle być z tobą — odpowiedział — tylko pocóż udawać — —?

Złożyła mały swój palec na jego dłoni.

— Brak ci instynktu, Jonie; musisz zdać na mnie całą sprawę. Nasze rodziny poważnie się zapatrują na wszystko. Powinniśmy na razie zachować tajemnicę, jeżeli mamy się z sobą widywać.

Drzwi były otwarte; więc dodała głośno:

— Ależ z ciebie gapa, Jonie!

W Jonie aż się coś przewracało; nie mógł ścierpieć tego krętaństwa co do uczuć tak naturalnych, tak przemożnych, tak błogich!...

W piątek, około jedenastej wieczorem, spakowawszy kuferek, wychylał się z okna — napoly skwaszony, a napoly rozmarzony myślą w stacji w Paddington — gdy naraz posłyszał cichuśki głos, jakgdyby ktoś stukał paznokciem w jego drzwi. Ruszył w tę stronę i jał nad-słuchiwać. Tak, to ktoś stukał paznokciem. Otworzył. Ach, jakże urocze zjawisko weszło do jego pokoju!

— Chciałam pokazać ci moją ulubioną suknię — ozwała się ta zjawa i upozowała się koło jego łóżka.

Jon, nabrawszy tchu pełną piersią, oparł się o drzwi. Zjawa miała na głowie biały zawój muślinowy, naga jej szyję otaczał szaliczek koronkowy, opadając na suknię koloru wina, poniżej smukłej kibici wypuszczoną w bufiaste fałdy. Jedną ręką podpierała się w bok, drugie zaś ramię, przegięte w łokciu, uniosła wzwyż, podtrzymując wachlarz dotykający jej głowy.

— Powinienby to być kosz winogron — szepnęła — ale „takowego“ dostać tu nie mogłam. Ta moja suknia zrobiona na wzór obrazu Goyi, a ta poza wzięta z tegoż obrazu. Czy ci się podoba?

— Ależ to sen!...

Zjawa okręciła się na pięcie.

— Dotknij i przypatrz się.

Jon przykląkł i z szacunkiem dotknął rąbka sukni.

— Kolor winogron — doszedł go szept — same winogrona... La Vendimia... winobranie...

Jon ledwie że śmiejąc wodzić palcami dokoła jej kibici, podnosił w górę pełne uwielbienia oczy.

— Ach, Jonie! — szepnęła zjawa, schyliła się, pocałowała go w czoło, znów obróciła się na pięcie i wymknęła się z pokoju.

Jon pozostał na klęczkach, a głowa opadła mu na



łóżko. Sam nie wiedział, jak długo pozostawał w tej pozycji. Wszystkie te drobne poszmery — stukanie paznokciem, ciche stąpanie, szelest sukni — krążyły wokół niego jak we śnie, a przed zamkniętymi oczyma wciąż stała owa postać, uśmiechając się i szepcząc i rozlewając w powietrzu delikatną woń narcyzów. Na jego czole — w miejscu gdzie spoczął pocałunek — zostało pomiędzy brwiami jakieś chłodne, drobne znamię, niby ślad po dotknięciu kwiatem. Miłość wypełniała mu duszę, owa miłość chłopca ku dziewczęciu, która wie tak mało, spodziewa się tak wiele, za nic w świecie nie chce się opierzyć, a wkońcu stać się musi wonnem wspomnieniem — zwiędłą namiętnością — banalną zeniaczką — albo też, raz na wiele lat, winobraniami, zbiorem jagód nabrzmiiałych i słodkich barwami zachodzącego słońca...

Z tego, co mówiło się o Jonie teraz i poprzednio, można było naocznie się przekonać, jak ogromna przestrzeń dzieliła go od jego prapradziadka, pierwszego Jolyona, zamieszkałego w Dorset, ponad morzem. Jon był wrażliwy jak panienka, a raczej wrażliwszy niż dziewięć z pośród dziesięciu panienek dzisiejszych; pobudliwy, jakgdyby jeden z tych malarzy, tych „kula-wych kacząt“, którymi opiekowała się siostra jego przyrodnia Juna; kochający i przywiązany do rodziców, jakim być musiał, kto miał takiego ojca i taką matkę... A jednak, w głębszej tkance jego istoty, było w nim coś z owego dawnego założyciela rodu: jakaś tajemna zawartość duszy, jakiś lęk przed uzewnętrznianiem swych uczuć, jakaś determinacja nie dopuszczająca myśli, że jest się pobitym. Wrażliwi, pobudliwi i tkliwi chłopcy mają w szkole ciężkie czasy, lecz Jon instynktownie krył się ze swą naturą, dzięki czemu nigdy nie był nieszczęśliwszy niż reszta kolegów. Tylko wobec matki był — aż dotąd — zupełnie szczery i swobodny. Ale

w ową sobotę, gdy przyjechał do Robin Hill, było mu bardzo ciężko na sercu, albowiem Fleur oświadczyła mu, że nie powinien być szczery i swobodny wobec tej, przed którą dotąd niczego nie ukrywał, i że nie wolno mu nawet przyznać się do powtórnego z nią spotkania, chyba, żeby się przekonał, że matka już wie o wszystkim. Wydało mu się to rzeczą tak nieznośną, że omal nie zdecydował się wysłać depechy z przeprosinami i zatrzymać się w Londynie. A pierwsze słowa, jakie padły z ust matki, brzmiały:

— A więc spotkałeś tam naszą znajomą z cukierni, Jonie? Jak ci się ona podoba przy bliższem poznaniu?

Jon odpowiedział z ulgą i z silnemi wypiekami na twarzy:

— Och, bardzo miła, Mamusiu!

Przycisnęła się do niego ramieniem.

Nigdy Jon nie kochał jej tak mocno, jak w ową chwilę, która zdawała się zadawać kłam obawom Fleur i przynosić ukojenie jego duszy. Obrócił na nią wzrok, jednakże jakiś rys jej uśmiechniętej twarzy — rys, który może tylko on jeden zdolny był uchwycić — zamamulał słowa, wzbierające w nim w tej chwili. Czy lęk może iść w parze z uśmiechem? Jeżeli tak, tedy na jej twarzy właśnie widniał lęk. I z ust Jona popłynęły zgoła inne słowa: o gospodarowaniu na roli, o Holly, o kraju Żuław. Mówiąc prędko, czekał, rychło matka znów zapyta o Fleur. Jednakże nie spytała. Także i ojciec nie wspominał o niej, chociaż musiał być chyba też powiadomiony. Jakież zaparcie się siebie, jakie uśmiercanie rzeczywistości było w tem przemilczaniu osoby Fleur — właśnie wtedy, gdy serce Jona było tak jej pełne — gdy serce matki tak było przepełnione osobą Jona — a serce ojca tak przepełnione osobą matki! W ten sposób cała trójka spędziła ów wieczór sobotni.

Po kolacji matka zasiadła do fortepianu. Grała same kawałki ulubione przez Jona, on zaś siedział przy niej, przycisnąwszy się kolaniem, a włosy mu się podnosiły, mimo że przyglądał je dłonią. Patrzył na matkę grającą, ale widział Fleur — to w sadzie oświeconym blaskami księżycą, to w kamieniołomie zalanym jasnością słoneczną, to znów w onej ulubionej sukni, lotną, szepcącą, nachylającą się, całującą go w czoło. Raz, wsłuchując się w muzykę, rzucił od niechcienia okiem na ojca, siedzącego w drugim fotelu. Dlaczego tatuś tak dziś dziwnie wyglądał? Cemu miał twarz taką smutną i zakłopotaną? Jon poczuł w sobie jakby wyrzuty sumienia — wstał więc i usiadł przy fotelu ojca, skąd nie mógł dojrzeć jego twarzy. Znów mu się przed oczyma zjawiała Fleur — widział ją na rękach matki, smukłych i białych, co biegły po klawiszach, w profilu jej twarzy i jej przyprószonych włosach, i w otwartym oknie na końcu pokoju, poza którym na dworze stąpała błoga noc majowa...

Gdy szedł już spać, do pokoju jego weszła matka. Stała przy oknie i ozwała się:

— Te cyprysy, które tam zasadził twój dziadek, wyrosły prześlicznie. Zawsze myślałam, że najpiękniej wyglądają pod zachód księżycą. Szkoda, że nie znalazłaś swego dziadka, Jonie.

— Czy on jeszcze żył, gdyś ty wychodziła za tatusia?  
— zapytał nagle Jon.

— Nie, mój drogi; on umarł w roku 1892... był bardzo stary... miał osiemdziesiąt pięć lat, jak mi się zdaje.

— Czy tatuś jest do niego podobny?

— Trochę... tylko jest subtelniejszy i nie tak tęgi.

— Wiem, widziałem portret dziadka. Kto go malował?

— Jedno z „kulawych kacząt“ cioci Juny... ale jest całkiem dobry.

Jon przesunął rękę po ramieniu matki.

— Mamusiu, opowiedz mi o tym sporze rodzinnym...  
Poczuł, że ramię jej drgnęło.

— Nie, mój drogi. Opowie ci to kiedyś ojciec, o ile uzna za stosowne.

— A więc to naprawdę była rzecz poważna? — zauważył Jon, wstrzymując dech.

— Tak jest.

I przez chwilę panowała znów cisza, w czasie której żadne z nich nie wiedziało, co bardziej drży: czy ramię, czy obejmująca jej ręka.

— Niektórzy sądzą — ozwała się cicho Irena — że księżyc kryje w sobie coś niesamowitego; mnie zaś wydaje się on zawsze uroczym. Spójrz na te cienie cyprysów! Wiesz co, Jonie, ojciec mówi, że warto, byśmy pojechali we dwoje, ty i ja, na jakie dwa miesiące do Włoch. I cóż ty na to?

Jon wysunął swą rękę z pod jej ramienia — tak gwałtowne i tak różnorodne było wrażenie tych słów. Jechać z matką do Włoch! Dwa tygodnie przedtem byłby to plan doskonały, teraz jednak napelniono go to niezadowolaniem; poczuł, że ta nieoczekiwana namowa wiąże się ściśle z osobą Fleur. Wyjąkał więc tylko:

— Ach tak!... tylko... sam nie wiem. Czy mam... teraz, gdy dopiero zacząłem?... Pozwól mi się nad tem zastanowić.

Głos jej, niewzruszony i łagodny, odpowiedział:

— I owszem, mój drogi, zastanów się nad tem. Ale sądzę, że lepiej wyjechać teraz, niż gdy zaczniesz na serjo zajmować się praktyką gospodarską. Być we Włoszech wraz z tobą — —! Byłoby nam bardzo przyjemnie!

Jon objął ramieniem jej kibić, jeszcze smukłą i krzepką jak u dziewczyny.

— Czy myślisz, że powinnaś rozstawać się z tatusiem?

— ozwał się niepewnie, czując całą słabość swego argumentu.

— Ojciec sam mi to doradził, uważając, że powinieneś zwiedzić przynajmniej Włochy, zanim zakopiesz się już w jakiejś pracy zawodowej.

Poczucie słabości opuściło Jona; zrozumiał — tak, zrozumiał, że matka i ojciec nie mówili otwarcie, w równej mierze jak i on sam. Czuł, że chcieli poprostu oddalić go od Fleur. Okrzepło w nim serce. Tymczasem matka, jakgdyby zdając sobie sprawę z zachodzącego w nim przeobrażenia, odezwała się:

— Dobranoc, mój drogi. Śpij dobrze i przemyśl wszystko. Ale naprawdę byłaby to podróż ładna!

Przycisnęła go do siebie tak pośpiesznie, że nawet nie zdołał dostrzec jej twarzy. Jon miał zupełnie takie uczucie, jakie miewał niekiedy, gdy coś spsocił w latkach swych dziecięcych: gryzło go to, że nie okazał serca matce i że w oczach własnych znalazł usprawiedliwienie.

Tymczasem Irena, zatrzymawszy się na chwilę w swoim pokoju, przemknęła się przez garderobę, oddzielając tenże od pokoju jej męża.

— No i cóż?

— On chce to jeszcze przemyśleć, Jolyonie.

Przyglądając się jej wargom, przybranym w nieco wymuszony uśmiech, Jolyon rzekł spokojnie:

— Lepiej było powiedzieć mu wszystko i zakończyć już wreszcie całą tę sprawę. Ostatecznie Jon ma w sobie instynkt dżentelmena. Powinien tylko zrozumieć...

— „Tylko“! On nie potrafi zrozumieć. To niemożliwe!

— Sądzę, że w tym wieku już zrozumie.

Irena schwyła go za rękę.

— Byłeś zawsze większym realistą niż Jon, ale nigdy nie byłeś tak niewinny.

— To prawda — odrzekł Jolyon. — Czy to nie zastanawiające? Ty i ja bez odrobiny wstydu opowiedzieli-

byśmy całemu światu nasze dzieje; natomiast potykamy się, gdy idzie o rodzzonego syna.

— Nigdyśmy się o to nie troszczyli, czy świat nas pochwali czy zgani.

— Jon pewnoby *nas* nie zganil!

— Ach tak, Jolyonie. On jest zakochany, czuję, że jest zakochany! I gotów powiedzieć: „Moja matka kiedyś wyszła zamąż, nie kochając! Jakże mogła to uczynić!“ Wyda mu się to zbrodnią! Bo też nią było!

Jolyon ujął ją za rękę i ozwał się z kwaśnym uśmiechem:

— Ach, czemuż to urodziliśmy się młodymi! Gdybyśmy się urodzili starymi i stawali się z każdym rokiem coraz młodsi, rozumielibyśmy bieg wszelkiej sprawy i pozbylibyśmy się tej przekłętej niewyrozumiałości! Ale trzeba ci wiedzieć, że jeżeli chłopak naprawdę się zakochał, to nie zapomni, nawet gdyby wyjechał do Włoch!... Jesteśmy gatunkiem upartym i dociekliwym, to też on instynktem wyczuje, czemu go tam wyprawiamy. Nic go nie wyleczy naprawdę, jak tylko wstrząs wywołany nagłym wyznaniem mu całej prawdy.

— Jednakże pozwól, że spróbuję...

Jolyon stał przez chwilę, nie mówiąc ani słowa. Znalazłszy się między doraźnem złem, jakim był ból trwożnego wyjawienia tajemnicy, a rozległem morzem, jakim był smutek z dwumiesięcznego rozstania z żoną, w skrytości ducha opowiadał się za złem doraźnem; atoli gdy ona wolała przestwór morza, tedy musiał się z tem pogodzić. Koniec końców, miało to być przysposobieniem do tego odjazdu, po którym już nigdy nie nastąpi powrót... Ująwszy żonę w ramiona, pocałował ją w oczy i rzekł:

— Jak sobie życzysz, moja droga.

## ROZDZIAŁ XI

### D U E T

Owo „małe“ uczucie, zwane miłością, rośnie zdumiewająco szybko, gdy mu grozi zagłada. Jon dotarł do stacji Paddington o godzinę zawczasu, a wydawało mu się, iż spóźnił się o cały tydzień. Stał w oznaczonym miejscu przy straganie księgarskim, wśród rzeszy niedzielnych pasażerów, ubrany w garnitur z przędzy harryjskiej, jakgdyby parujący wzruszeniem głośno bijącego serca. Odczytywał tytuły powieści na półce księgarskiej i kupił na koniec jedną z nich, by uniknąć podejrzliwych spojrzeń subjekta księgarskiego. Książka nosiła tytuł: „Serce tropu“ — co niewątpliwie miało jakiś sens, choć niezbyt na to wyglądało. Kupił ponadto „Zwierciadło kobiety“ i „Rownika“. Każda minuta wlekała się całą godzinę i pełna była okropnych przywidzeń. Gdy dziewiętnastu z nich przeszła, ujrzał Fleur z walizką w rękę, a za nią tragarza, toczącego jej bagaż. Podeszedł do niej szybko; ona zbliżyła się spokojnie i pozdrowiła go jakgdyby był jej bratem.

— Pierwsza klasa — ozwała się do tragarza — dwa siedzenia przy oknie, naprzeciwko siebie.

Jon podziwiał jej okrutne panowanie nad sobą.

— Czy nie moglibyśmy dostać dla siebie osobnego przedziału? — szepnął.

— Niema co o tem myśleć. Ten pociąg zatrzymuje się na stacjach... Może uda się, gdy miniemy Maidenhead. Miejże minę bardziej naturalną, Jonie!

Jon przybrał twarz posępnym wyrazem. Dostali się — o nieba! — do jednego przedziału z jakimiś dwoma bestjami! W mieszanju obdarzył tragarza nienormalnie hojnym napiwkim. Bydlak zasługiwał na obejście się smakiem, za to, że ich tu wpakował i że miał taką minę, jakoby był wtajemniczony w całą intrygę.

Fleur ukryła się za „Zwierciadło kobiety“. Jon poszedł w jej ślady, czyniąc to samo z „Rolnikiem“. Pociąg ruszył. Fleur upuściła „Zwierciadło kobiety“ i pochyliła się wprzód.

— No i cóż? — spytała.

— Zdawało mi się, jakoby to trwało piętnaście dni. Skinęła głową, a twarz Jona rozjaśniła się odrazu.

— Nie rób takich min! — mruknęła Fleur i naraz wybuchnęła śmiechem. Zabolalo go to. Jakże miał mieć naturalną minę, gdy mu nad głową wisiały Włochy? Pierwotnie zamierzał oznajmić to jej nieznacznie, spokojnie, jednakże teraz wyrwało mu się bezwiednie:

— Chcą, żebyśmy pojechał z matką na dwa miesiące do Włoch.

Fleur przymknęła powieki, pobladła nieco i przygryzła wargi.

— Och! — powiedziała jedynie, ale w tem słóweczku mieściło się wszystko. To „och!“ było jak w szermierce szybkie cofnięcie przegubu celem przysposobienia się do zadania ciosu. Cios padł.

— Musisz jechać!

— Jechać? — spytał Jon zdławionym głosem.

— Nie inaczej.

— Ale... dwa miesiące... to okropność!

— Nie — odpowiedziała Fleur — tylko sześć tygodni.

Przez ten czas *zapomnisz* o mnie. Spotkamy się w Galerji Narodowej nazajutrz po twoim przyjeździe.

Jon zaśmiał się.

— Ale gdybyś to ty tak o *mnie* zapomniała — mruknął głosem stłumionym przez hałas pociągu.

Fleur potrząsnęła głową.

— Jeszcze jedna bestja... — zaczął zrzędzić Jon półgłosem.

Trąciła go nogą.



— Już ani jednej bestji... — bąknęła, podnosząc „Zwierciadło kobiety“.

Pociąg zatrzymał się; dwaj pasażerowie wyszli, jeden wszedł do przedziału.

— Skonam, jeżeli nie uda się nam wogóle zostać sam na sam — pomyślał Jon.

Pociąg ruszył. Fleur znowu pochyliła się wprzód.

— Ja nigdy nie przestanę myśleć... — rzekła. —

A ty?

Jon potrząsnął gwałtownie głową.

— Nigdy! — odpowiedział. — A będziesz do mnie pisała?

— Nie... ale *ty* możesz pisać... do mojego klubu.

Ona miała „swój klub“!... Była przepyszna!

— Czy starałaś się zasięgnąć jakich wiadomości od Holly? — mruknął.

— Tak, ale niczego się nie dowiedziałam... Nie chciałam być za bardzo natarczywa.

— I cóż *to* być może? — wyrwało się z ust Jona żalodne pytanie.

— Wyszperam wszystko... zobaczysz.

Nastalo dłuższe milczenie, które wkońcu przerwała Fleur:

— Bacność, Jonie; to Maidenhead!

Pociąg zatrzymał się. Towarzyszący im pasażer wysiadł. Fleur ściągnęła roletę swego okna.

— Śpiesz się! — zawołała. — Zatarasuj sobą drzwi!

Niech myślą, że tu pełno ludzi!

Jon rozdał nozdrza i spojrział groźnie; nigdy w życiu nie spoglądał tak srogo! Jakaś staruszka cofnęła się; druga, młodsza, dobrała się do klamki. Klamka się obróciła, ale drzwi nie puściły. Pociąg ruszył, młoda dama wskoczyła do innego przedziału.

— Co za szczęście! — krzyknął Jon. — Drzwi się zacięły!

— Tak — odpowiedziała Fleur; — to ja je trzymałam.

Pociąg już się rozpedził. — Jon padł na kolana.

— Wyjrzyj na korytarz — szepnęła, — i... prędko!

Ich wargi spotkały się. I choć ten pocałunek trwał może dziesięć sekund, jednakże dusza Jona wyszła z ciała i popłynęła tak daleko, że gdy siedział znowu naprzeciwko owej osóбки, mającej najniewinniejszą w świecie minę, był błydy jak trup. Posłyszał jej westchnienie, a głos ten wydał mu się najpiękniejszym dźwiękiem, jaki zdarzyło mu się słyszeć kiedykolwiek w życiu — było to bowiem nieporównane wyznanie, iż on jest naprawdę czemś dla niej.

— Sześć tygodni to doprawdy niewiele — ozwała się; — a możesz z łatwością skrócić tę podróż do sześciu tygodni, jeżeli tylko będziesz miał głowę na karku i udawał, że nie myślisz o mnie.

Jon zanadto był zdyszany, by miał się odzywać.

— Jest to konieczne, Jonie, żeby zmylić ich czujność... co, nie przyznasz mi racji? Gdybyśmy sprawowali się równie kiepsko po twoim powrocie, przestanoby drwić sobie z tego. Żałuję tylko, że nie jedziesz do Hiszpanji. Jest tam w Madrycie pewien obraz Goyi, przedstawiający dziewczynę, która, jak mówi ojciec, ma być do mnie podobna. Ja jednakże nie widzę podobieństwa... mamy jej kopję w domu.

Dla Jona słowa te były jakby promieniem słońca, przedzierającym się przez mgłę.

— Postaram się, byśmy pojechali do Hiszpanji — oświadczył; — mamie będzie wszystko jedno... Ona tam nigdy nie była, a ojciec ma wielkie mniemanie o Goyi.

— Ach, tak... ojciec twój jest pewno malarzem?

— Tylko akwarelistą — z godnością rzekł Jon.

— Gdy przyjedziemy do Reading, Jonie, wysiądź

pierwszy, idź do służby w Caversham i zaczekaj na mnie. Ja odeślę powóz do domu i pójdziemy piechotą po drodze holowniczej.

Jon z wdzięcznością pochwycił jej rękę i siedzieli w milczeniu, zapomniawszy o całym świecie, tylko jednym okiem zerkając na korytarz. Tymczasem pociąg zdawał się podwajać szybkość swego biegu, a jego turkot niemal głużył się w akompaniamencie westchnień Jona.

— Jesteśmy już blisko — odezwała się Fleur. — Dróżka holownicza jest zdala bardzo widoczna. Jeszcze raz!... Nie zapomnij mnie, Jonie!

Jon odpowiedział jej na to całusem. Wkrótce zaś można było jakiegoś zdyszanego, roztrzepanego młodzika, wypadającego — jak to mówią — z wagonu i pędzącego na peron, wśród poszukiwań ugrzęzłego gdzieś w kieszeni biletu...

Gdy nakoniec Fleur dogoniła go na ścieżce nieopodal służby w Caversham, zdołał po wielkim wysiłku odzyskać jaką taką równowagę umysłu. Postanowił sobie, że nie będzie wyprawiał żadnych scen, gdy będą mieli rozstać się z sobą! Wietrzyk biegnący nad iskrzącą się rzeką odwracał listki wiklinowe białą stroną ku słońcu i lekkim ich szelestem odprowadzał dwoje spacerowiczów.

— Powiedziałam naszemu stangretowi, że dostałam zawrotu głowy w czasie jazdy pociągiem — zeznała Fleur. — Czy wyglądałaś całkiem naturalnie, gdy wychodziłaś z wagonu?

— Nie wiem. A co nazywasz naturalnem?

— Masz minę naturalną, gdy wyglądasz na naprawdę szczęśliwego. Gdy ujrzałam cię po raz pierwszy, pomyślałam sobie, że nie jesteś podobny do innych ludzi.

— To samo pomyślałam sobie, gdym cię zobaczył.

Odrazu wiedziałem, że nikogo innego już kochać nie będę.

Fleur zaśmiała się.

— Jesteśmy okropnie młodzi... a młodociane rojenia miłosne są już przeżytkiem, Jonie... poza tem jest to straszne marnotrawstwo. Pomyśl o całej przyjemności, jaką mieć możesz. Jeszcze nawet jej nie zakosztował... to wstyd doprawdy! A co ze mną? Chciałabym wiedzieć!

Jon zmieszał się w duchu. Jakże ona może mówić takie rzeczy, w chwili gdy mają się pożegnać?

— Jeżeli tak cię to usposabia — odezwał się — to ja nie mogę jechać. Powiem mamie, że spróbuję wziąć się do pracy. Zawsze ma się przecie jakieś stanowisko w świecie!

— Stanowisko w świecie!

Jon zagłębił ręce w kieszeniach.

— A jakże, tak jest — odpowiedział. — Pomyśl, ilu to ludzi głoduje!

Fleur potrząsnęła głową.

— Nie, nie, ja nigdy nad niczem się nie roztkliwiam.

— Nad niczem! Ale los bywa ciężki i doprawdy powinno się śpieszyć z pomocą...

— O, tak, wiem o tem wszystkim... Ale ludziom pomóc niepodobna; są beznadziejni. Gdy wyciągnąć ich z jednej nory, wpadają zaraz w drugą. Przypatrzo się im, jak wciąż walczą, borykają się i knują jakieś zamiary, pomimo iż mrą całemi gromadami odrazu. Głupcy!

— Czy ci ich nie żal?

— O tak, żal... ale nie myślę unieszczęśliwiać się z tego powodu... z tego nikomu nic nie przyjdzie.

Zamilkli, zaniepokojeni tem pierwszym, przelotnem spojrzeniem, rzuconem sobie wzajemnie w głąb duszy.

— Uważam, że ludzie to bydłeta i durnie — oświadczyła Fleur z uporem.

— Ja zaś uważam ich za biednych nieszczęśliwców — odpowiedział Jon. Wyglądało to, jakgdyby się kłócili... i to właśnie w tym ostatecznym, strasznym momencie, gdy poza ostatnią szparą w wiklinie widać już było miejsce ich rozłaki!

— Dobrze, dobrze, idź pomagać swym nieszczęśliwcom i nie myśl już o mnie...

Jon stanął, nie mówiąc ni słowa. Nogi się pod nim trzęsły i pot wystąpił mu na czoło. Fleur stanęła również i zmarszczywszy brwi, spoglądała na rzekę.

— Muszę wierzyć niejednemu — ozwał się Jon z jakąś udręką w głosie; — wszyscy winniśmy radować się życiem.

Fleur zaśmiała się.

— Tak... i tego właśnie nie uczynisz, jeżeli się o to nie postarasz. Ale może u ciebie radowanie się z życia polega na tem, żeby unieszczęśliwiać samego siebie? Prawda, że takich ludzi dużo na świecie!...

Była blada, oczy jej ściemniały, wargi stały się jakby węższe. Byłaż to Fleur, co tak poglądała na wodę? Jon miał nierealne poczucie, jakoby w tej chwili czytał rozdział jakiejś książki, gdzie kochanek ma wybierać pomiędzy miłością i powinnością... Ale w tejże chwili Fleur obejrzała się na niego. Nigdy wpierw owo bystre spojrzenie nie miało w sobie czegoś równie upajającego. Podziałało nań zupełnie, jak szarpnięcie łańcucha oddziaływa na przykutego brytana — przywiodło go do niej i kazało mu się kornie łąsić u jej stóp.

— Nie bądźmyż niemądry! — odezwała się; — czasu mamy tak niewiele. Patrz, Jonie, stąd widać miejsce, gdzie mam się przepawić przez rzekę... Tam za zakrętem, gdzie zaczyna się las...

Jon ujrzał przyczółek dachu, parę kominów i skrawek muru przeświecający skroś drzew... i serce w nim zdrętwiało.

— Nie powinnam już marudzić. Koło następnego żywoplotu nie powinniśmy przechodzić... on taki od-słonięty! Dojdźmy tylko do niego i powiedzmy sobie: dowidzenia!

W milczeniu, trzymając się za rękę, szli obok siebie ku żywoplotowi, gdzie mały się pęk wiośniatego kwie-cia, to białej to różowej barwy.

— Mój klub to „Talisman“, Stratton Street, Piccadilly. Listy będą tam całkiem bezpieczne, a ja tam zachodzę mniej więcej raz w tygodniu.

Jon skinął głową. Twarz miała w tej chwili wyraz nie-słychanego przygnębienia, a oczy patrzyły tępo wprost przed siebie.

— Dzisiaj jest dwudziesty trzeci maja — rzekła Fleur; — dziewiątego lipca o trzeciej popołudniu będę przed „Bachusem i Arjadną“; będziesz?

— Będę.

— Jeżeli czujesz się tak nietęgo, jak ja w tej chwili, to dobrze. Dajmy przejść tym ludziom!

Przechodził jakiś pan z panią, prowadzący na spacer swą dziatwę; wszystko to było wystrojone po niedziel-nemu.

Ostanie z nich minęło już furtkę.

— Rodzinna idylla! — ozwała się Fleur i otarła się o żywoplot głógów. Kwiecie rozsypało się nad jej głową, a jeden pęczek różowy przesunął się po jej policzku. Jon skwapliwie wyciągnął rękę, by go pochwycić.

— Dowidzenia, Jonie!

Po raz drugi stanęli, z rękoma złączonemi silnym uści-kiem. Następnie usta ich spotkały się po raz trzeci, a gdy już wymieniali słowa pożegnania, Fleur nagle zerwała się i przemknęła się chyżo przez furtkę. Jon stał w miejscu, gdzie go opuściła, przytuliwszy do czoła ów pęczek kwietny... Odeszła! Odeszła na wiecz-ność całą — na siedem tygodni bez dwóch dni! A oto

on tu marnował ostatnią chwilę, kiedy mógł ją jeszcze oglądać!

Ruszył ku furtce. Szła raźnie, następując na pięty rozhasanej dziatwie. Odwróciła głowę i spostrzegł, że rzuciła mu małe przelotne skinienie; potem znów przyspieszyła kroku, aż znikła z oczu Jona, przesłonięta sznurem owej rodzinnej gromadki.

Z nieopanowanym pośpiechem popędził nazad ku stacji; gnały go słowa jakiejś żartobliwej piosenki, która nagle teraz mu się przypomniła:

W Paddington jęczą, że aż w uszach wierci —

On jęknął tak jak jęczą tam przy czyjejs śmierci...

Przez całą drogę do Londynu, a stamtąd do Wansdon siedział z „Sercem tropu“ na kolanach, układając w głowie poemat tak pełny wzruszeń, że na nie zaprawdę nie stałoby rymów.

## ROZDZIAŁ XII

### KAPRYS

Fleur mknęła szybko. Czula potrzebę gwałtownego ruchu, pozatem była spóźniona i z chwilą przybycia musiała się zdobyć na wszelkie forttele. Minęła wyspy, stację i hotel, i właśnie miała wziąć przewoźnika, któryby ją przewiózł przez rzekę, gdy ujrzała łódkę, w której stał młody mężczyzna, trzymając się zarośli.

— Panno Forsyte — ozwał się ten człowiek — proszę pozwolić, bym panią przewiózł. Przybyłem tu umyślnie!

Spojrzała na niego, serdecznie zdumiona.

— Wszystko zgoła naturalne. Byłem właśnie na herbatcie u państwa i przyszło mi na myśl, że winienem oszczędzić pani nieco fatygi. Wypadło mi nawet po drodze, bo właśnie wracam do Pangbourne. Nazywam się Mont. Widziałem panią w galerji obrazów... może pani sobie

przypomina... w ten dzień, kiedy to ojciec pani zaprosił mnie, bym obejrzał jego obrazy.

— Ach tak, przypominam sobie... to ta chusteczka!  
— zawołała Fleur.

Temu to więc młodzieńcowi zawdzięczała swe zaznajomienie się z Jonem! Przyjąwszy podaną sobie rękę, weszła do łodzi. Siedziała w milczeniu, wciąż jeszcze przejęta niedawnym wzruszeniem, a przytem mocno zdyszana. Zgoła inaczej zachował się młody mężczyzna; Fleur jeszcze w życiu swem nie słyszała człowieka, któryby potrafił tyle rzeczy naraz opowiedzieć w ciągu tak krótkiego czasu. Opowiedział jej, że ma lat dwadzieścia cztery, waży sto czterdzieści funtów i jedenaście lutów, a rezyduje niedaleko stąd; opisał jej swoje przeżycia z pobytu na froncie, a zwłaszcza wrażenia doznane przy zatruciu gazami, skrytykował „Junonę“ i wspomniał o swej własnej koncepcji tego bóstwa; napomknął i o kopji obrazu Goyi, dodając, że Fleur niebardzo była do niej podobna; nakreślił dorywczy szkic sytuacji politycznej w Anglji; mówił i o panu Profondzie — (czy jak go tam zwano!) — jako o „straszliwym sportowcu“; osądził, że jej ojciec ma parę „byczych“ obrazów, a parę istnych „wykopalisk“; wyraził nadzieję, że wolno mu będzie znów tu przyjechać łódką i wziąć Fleur na przejażdżkę po rzece, jak że jest człowiekiem godnym zaufania; pytał ją o opinię o Czechowie, i wyraził o nim własne zdanie; życzył sobie, by mogli kiedy wybrać się razem na balet rosyjski; uznał kombinację imienia Fleur z nazwiskiem Forsyte wprost za niezrównaną, oburzając się na rodziców, że do nazwiska Mont dodali mu imię Michał; zarysował sylwetkę swego ojca, nadmieniając przytem, że jeżeli pani Fleur życzy sobie dobrej książki, powinna przeczytać „Joba“ — albowiem papa Mont przypominał nieco Joba z tych czasów, kiedy to Job miał jeszcze majątek ziemski.



— Ależ Job nie miał majątku — mruknęła Fleur — miał tylko trzody i stada i koczował wraz z niemi!

— Ach! — odpowiedział Michał Mont — gdybyż tak mój zwierzchnik mógł koczować w inne strony! Nie jakobym sobie ostrzył zęby na jego majątek... Majątek ziemski to w dzisiejszych czasach okropna mitrega. Co pani o tem sądzi?

— Nigdyśmy w rodzinie nie mieli majątku ziemskiego — odpowiedziała Fleur. — Poza tem mieliśmy wszystko. Zdaje się, że któryś z moich stryjecznych dziadków miał kiedyś sentymentalną sadybę w Dorset, jako że stamtąd się wywodzimy, jednakże przyniosło mu to więcej kosztów niż szczęścia.

— Czy ją sprzedał?

— Nie, zatrzymał.

— A czemu?

— Bo nikt jej nie chciał kupić.

— Tem lepiej dla staruszka!

— Nie, wcale mu to na dobre nie wyszło. Ojciec mówi, że go to tylko rozgoryczyło. Nazywał się Swithin.

— Jakie pyszne imię!

— Czy pan wie, że się oddalamy, zamiast się zbliżyć? Rzeka płynie.

— Wspaniale! — zawołał Mont, zanurzając machinalnie wiosła — jak to dobrze spotkać pannę, która ma w głowie zawsze gotowy dowcip!

— Ale jeszcze lepiej spotkać mężczyznę, który ma głowę na karku!

Mont podniósł rękę, by złapać się za głowę.

— Niech pan uważa! — zawołała Fleur. — Wiosło!

— No, no! Ale to rzecz przykra otrzymać ranę.

— Czy pan myśli o wiosłowaniu? — spytała Fleur poważnie. — Chcę się już dostać do domu.

— Ach! — ozwał się Mont — ale kiedy pani będzie w domu, to, widzi pani, nie będę już jej dziś widział.

*Fini*, jak powiedziała owa Francuzeczka, skoczywszy na łóżko po ukończeniu pacierza. Czy pani nie błogosławi dnia, który pani dał mamę Francuzkę i takie piękne imię?

— Imię moje mi się podoba, ale dał mi je mój ojciec. Matka chciała mnie nazwać Małgorzatą.

— Nie miałyby to sensu. Czy pani nie zechciałaby nazywać mnie M. M. i nie pozwoliłaby, żebym ją nazywał F. F.? Byłoby to w duchu czasu.

— Nie chcę niczego, póki nie dostanę się do domu. Mont wyłowił małego raka i odezwał się:

— Ależ on brudny!

— Proszę wiosłować!

— Do usług!

I machnął parę razy wiosłami, przyglądając się jej pełną skruchy namiętnością.

— A czy pani wie? ... — wybuchnął naraz, opuszczając wiosła — przybyłem tutaj, by zobaczyć *panią*, a nie obraży pani ojca!

Fleur powstała z miejsca.

— Jeżeli pan nie będzie wiosłował, to rzucę się w rzekę i popłynę.

— Naprawdę? W takim razie pójdę za panią.

— Panie Mont, już późno, a ja jestem zmęczona. Proszę natychmiast dowieźć mnie do brzegu!

Gdy wychodziła na pomost w ogrodzie, Mont powstał i ujawszy się oburącz za włosy, jał się w nią wpatrywać.

Fleur uśmiechnęła się.

— Proszę się nie śmiać! — krzyknął niepotamowany Mont. — Wiem, że pani chce powiedzieć: „Precz, włosy przekłete!”

Fleur obróciła się chyżo, skinęła ręką i zawołała:

— Dowidzenia, panie M. M.!

Poczem wpadła pomiędzy drzewa. Spojrzała na zegarek i na okna domu. Wszystko wydało się jej dziwnie

niezwykłe i nieswoje. Już po szóstej! Gołębie zbierały się do noclegu, a słoneczny blask siał się zukosa na gołębniku, na śnieżnych skrzydłach ptaków i na wierzchołkach kęp drzewnych, spadając na nie złocistą ulewą. Z kąta jadalni dochodził stukot kul bilardowych — był tam niewątpliwie Jack Cardigan; wielki eukaliptus, zdumiewający południowiec na tle angielskiego ogrodu, szeleścił zcicha.

Doszła do werandy i już miała wejść do środka, gdy naraz zatrzymała się na odgłos jakiejś rozmowy, dochodzącej z salonu po lewej stronie. Matka i Monsieur Profond! Z poza żaluzji werandy, zasłaniającej kąt przy kominku, posłyszała te słowa:

— Nie myślę o tem, Anetko.

Czy ojciec wie, że Profond nazywa matkę „Anetką“? Trzymając stale stronę ojca (jak to zawsze bywa, że w razie naprężenia się domowych stosunków dzieci zawsze brać muszą tę lub tamtą stronę!), stanęła w niepewności. Matka mówiła właściwym jej, cichym, miłym, zlekka metalicznym głosem — Fleur pochwyciła tylko jedno jej słowo:

— *Demain.*

Oraz odpowiedź Profonda:

— Dobrze...

Fleur zmarszczyła się. Jakiś przytłumiony dźwięk zakłócił ciszę. Potem ozwał się znów głos Profonda:

— Zrobię sobie małą przechadzkę.

Fleur frunęła przez okno do pokoju śniadaniowego. Oto nadchodził pan Profond — wyszedł z salonu, przeszedł przez werandę i skierował się na łąkę. Stuk kul bilardowych, który Fleur, nad słuchując innych głosów, przestała słyszeć, znów zaczął rozlegać się wyraźnie. Otrząsnęła się, weszła do hallu i otworzyła drzwi salonu. Matka siedziała na sofie pomiędzy oknami, założywszy

nogę na nogę i złożywszy głowę na poduszce — oczy miała w pół przymknięte, usta lekko rozchylone. Była w tej chwili niepospolicie piękna.

— O, jesteś już, Fleur! Ojciec zaczął się już niepokoić o ciebie.

— Gdzie ojciec?

— W galerji obrazów. Idź na górę!

— Co zamierzasz robić jutro, mateczko?

— Jutro? Chcę jechać z ciotką do Londynu.

— Tak się domyślałam. Czy nie kupiłabyś mi skromniutkiej parasolki?

— Jakiego koloru?

— Zielonego. Zdaje się, że wszyscy wracają...

— Tak jest, wszyscy wyjeżdżają; będziesz pocieszała ojca. Pocałujże mnie więc!

Fleur przeszła przez pokój, pochyliła się, odebrała pocałunek w czoło i wyszła, mijając wycisk czyjejś postaci na poduszkach sofy w drugim kącie. Wbiegła na górę po schodach.

Fleur nie była wcale staroświeckiego typu córka, która wymaga, by rodzice uzgadniali swe życie z zasadami w nią wpojonemi. Pragnęła normować tylko życie własne, a nie innych osób; zresztą wszedł tu w grę jakiś niemylny instynkt, mówiący, że jest w tem coś, co może przydać się jej samej. W zmaconej atmosferze domowej serce jej, zaprzątnięte Jonem, mogło mieć bardziej sprzyjające warunki. Mimo wszystko jednak wzdrygała się czegoś, jak kwiat wiatrem wstrząsany. Jeżeli ten człowiek naprawdę pocałował jej matkę, była to — sprawa poważna. Ojciec powinien był o tem wiedzieć. „*Demain!*“ „Dobrze!“ ... I ten wyjazd matki do miasta!

Skreśliła do swej sypialni i wyjrzała przez okno, ażeby ochłodzić twarz, którą nagle oblał żar jakiś wielki... Jon już musi być na stacji! Czy ojciec wie co o Jonie? Pewno wszystko... niewiele do tego brakowało!

Przebrała się w inną suknię, żeby się mogło zdawać, że jest tu już od dłuższego czasu, i pobiegła do galerji.

Soames stał w uporczywej zadumie przed obrazem Alfreda Stevensa, który lubił niezmiernie. Nie odwrócił się na skrzyp otwieranych drzwi, ale Fleur wiedziała, że on słyszał i wiedziała też, że był urażony. Stała cichuśko za nim, zarzuciła mu ręce na szyję i wścibiała twarz swoją poprzez jego ramię, aż policzki ich obojga znalazły się koło siebie. Jednakże sposób ten, który dotąd nigdy nie zawodził, tym razem zawiódł zupełnie, przeto Fleur miała jak najgorsze przecucia.

— No, więc przyjechałaś! — ozwał się Soames z miną kamienną.

— Czy tylko tyle spodziewać się mogę od niedobrego ojczulka? — mruknęła Fleur i znów otarła się o jego policzek.

Soames potrząsnął głową, ile to było dlań w tej pozycji możliwe.

— Czemu tak trzymałaś mnie w niepewności, spychając mą osobę wciąż na szary koniec?

— Tatusiu, w tem przecież nie było nic złego!

— Nic złego! Dużo ty wiesz o tem, co złe a co dobre!...

Fleur opuściła ramiona.

— A więc dobrze, tatusiu drogi, możebyś tak mi o tem powiedział... ale tak szczerze, bez obłonek.

I podeszła do ławeczki pod oknem.

Ojciec odwrócił się od obrazu i zapatrzył się w ziemię, na końce swych stóp. Wydawał się w tej chwili bardzo sędziwym.

— Ma ładne, małe stopy — pomyślała, przechwytyjąc jego wzrok, nagle zwrócony w przeciwną od niej stronę.

— Jesteś jedyną moją pociechą — odezwał się nagle Soames — ...i postępujesz sobie w ten sposób!

Serce Fleur zaczęło bić mocniej.

— W jaki sposób, ojczulku?

Soames znów rzucił na nią spojrzenie, które — gdyby nie malująca się w niem serdeczność — możnaby nazwać ukradkowym.

— Wiesz dobrze, co ci mówiłem — przemówił. — Nie życzę sobie mieć nic wspólnego z tamtą gałęzią naszej rodziny.

— Tak, dziobusiu, ale nie wiem, czemu to *ja* mam nie mieć z nią nic wspólnego.

Soames obrócił się na pięcie.

— Nie myślę tu wchodzić w przyczyny — odrzekł — powinnaś zaufać mi, Fleur!

Sposób, w jaki ojciec wypowiedział te słowa, wzruszył Fleur, jednocześnie jednak pomyślała o Jonie i zamilkła, trącając nogą o listwę podłogi. Sama sobie z tego nie zdawała sprawy, że przybrała pozę zgoła nowoczesną, splótłszy obie nogi, podparłszy brodę ręką zgiętą w przegubie, drugą zaś ręką, przerzuconą wpoprzek piersi, piastując łokieć; nie było w niej ani jednej linji, która by nie była wygięta — jednakże mimo wszystko cała postać zachowała wdzięk pewien.

— Wiedziałaś o mem życzeniu — mówił dalej Soames — a mimo to zostałaś tam o cztery dni dłużej... i mam wrażenie, że ten chłopak przyjechał dziś z tobą.

Fleur zatrzymała wzrok swój na nim.

— Nie pytam cię o nic — podjął Soames — nie prowadzę względem ciebie żadnych badań ani dochodzeń...

Fleur nagle powstała i wciąż podpierając brodę rękoma, wyjrzała za okno. Słońce już zaszło za drzewa, gołębie usadowiły się cichuteńko na brzegu gołębnika; stuk kul bilardowych wzmógł się, a blady poblask nadole wskazywał, że Jack Cardigan zapalił właśnie lampę.

— Czy cię to uraduje — ozwała się nagle — jeżeli ci przyrzeknę, że nie będę go widziała przez... dajmy na to, sześć tygodni?

Nie była przygotowana na jakieś jakby drzenie w matowym jego głosie.

— Sześć tygodni?... Sześć lat... może prędzej sześć lat... Nie oszukuj sama siebie, Fleur; nie oszukuj sama siebie!

Fleur zaniepokoiła się.

— Co ci jest, ojczulku?

Soames podszedł tak blisko, iż mógł widzieć wyraz jej twarzy.

— Nie opowiadaj mi — rzekł — że byłaś na tyle niemądra, by mieć prócz kaprysu inne jeszcze uczucia. Tego byłoby już za wiele! — I zaśmiał się.

Fleur, która nigdy nie słyszała, by ojciec śmiał się w ten sposób, pomyślała:

— Aha! więc to naprawdę głęboko go przejmuje! Cóż to jest, dalibóg!...

I wsunawszy rękę pod jego ramię, ozwała się niefrasobliwie:

— Nie, istotnie, to był kaprys... tylko ja lubię swoje kaprysy, a twoich nie lubię, tatuleńku.

— Moich! — odpowiedział gorzko Soames i odwrócił się.

Na dworze światłość stężała i kredową białością zasłala rzekę. Drzewa straciły całą świetność koloru. Fleur zaczęła z nagłą tęsknić namiętnie do twarzy Jona, do jego dłoni, do jego warg, któreby znów spoczyły na jej wargach. I przycisnąwszy silnie ręce do piersi, zmusiła się do nieco pustego śmiechu.

— *O la! la!* Jakież to *mały* kłopot, jak mówi Profond. Tatusiu, ja nie lubię tego człowieka!

Zobaczyła, że się zatrzymał i wyjął coś z kieszeni górnej tużurka.

— Nie lubisz? — zapytał. — A czemu?

— Nie znam powodu — bąknęła Fleur — ot kaprys poprostu!

— Nie! — odrzekł Soames — to nie kaprys!

I rozdarł rzecz trzymaną w rękę.

— Masz rację, córuchno! Ja go też nie lubię!

— Spójrz! — szepnęła Fleur. — On tam idzie!  
Nie lubię jego trzewików; nie wydają żadnego szelestu.

W dole, przy świetle gasnącego dnia, przechadzał się Prosper Profond, trzymając ręce w kieszeniach i pogwizdując sobie pod nosem; naraz stanął i spojrzął na niebo, jakgdyby mówił:

— Nie mam wielkiego mniemania o tym małym księżycu.

Fleur cofnęła się.

— Czy nie jest to duży kot? — szepnęła, a ostry stuk kul bilardowych wzmógł się znowu, jakgdyby Jack Cardigan osłonił kota, księżyc, kaprys i tragedją jednym tylko hasłem: „Do czerwonej!“

Monsieur Profond znów zaczął się przechadzać, nucąc sobie pod nosem uprzykrzoną cichą melodję. Jakaż to była arja? Áha, z „Rigoletta“: „*Donna è mobile.*“ Właśnie to, co brzmiało mu w myślach! Ścisnęła ramię ojca.

— Czatuje! — mruknęła, gdy Profond skręcał koło węgła domu. Było to właśnie po owym pełnym rozczarowaniu momencie, który oddziela dzień od nocy — w powietrzu było cicho, tęskno i zaciszne, woń głógów i bżów pełzła po brzegach rzeki. Czarny kos wyleciał nagle z gąszczy... Jon pewno w tej chwili jest już w Londynie; może idzie przez park, mija Serpentynę, a myśli o niej!

Cichy głos jakiś kazał jej zwrócić oczy w inną stronę. Ojciec znów darł papier trzymany w rękę; Fleur dostrzegła, że był to czek.

— Nie sprzedam mu mego Gauguin'a — ozwał się Soames. — Nie wiem, co Imogena i twoja ciotka widzą w tym człowieku!

— Albo mama...



— Matka?... — zachnął się Soames.

— Biedny ojculek! — pomyślała Fleur. — Nigdy nie wygląda na to, by był szczęśliwym... naprawdę szczęśliwym. Nie chciałabym jeszcze bardziej go rozjątrzać, ale niestety będę do tego zmuszona, gdy Jon powróci. O tak, na dziś wieczór tego wystarczy!... Idę się przebrać! — dodała głośno.

W pokoju sypialnym przyszła jej ochota ubrać się w „fantastyczny“ kostjum. Był on z tkaniny przetykanej złotem; z takiego samego materiału były i małe spodenki, obciśnięte w kostkach; z ramion zwieszała się paziowska pelerynka; uzupełnieniem stroju były małe złociste trzewiczki i złotoskrzydły kapelusz Merkurego, nadewszystko zaś maluchne złote dzwoneczki, ponaszane wszędzie, a zwłaszcza na kapeluszu, tak iż za każdym poruszeniem głowy rozlegał się dźwięk metaliczny. Gdy się ubrała, zmartwieniem przejęła ją myśl, że Jon nie zobaczy jej w tym stroju; nawet i tego żał jej było, że ten wesoły mlókos, Michał Mont, nie będzie mógł jej widzieć. Ale tymczasem ozwał się gong, więc musiała zejść nadół.

W salonie zrobiła furorę. Winifreda uznała strój ten za „bardzo zajmujący“. Imogena była zachwycona. Jack Cardigan wyraził się, że jest to suknia „morowa“, „bycza“, „bajkowa“, „prima“. Monsieur Profond, uśmiechając się oczyma, ozwał się:

— Ładna mała sukienka!

Matka, ubrana w czarną suknię, która jej była bardzo do twarzy, siedziała, patrząc na córkę i nie mówiąc ani słowa. Fleur teraz tylko z ust ojca wyczekiwała wyroku, mającego potwierdzić zdanie ogółu.

— I pocóżes się tak ubrać? Przecież nie wybierasz się na zabawę taneczną!

Fleur obróciła się wkółko; dzwoneczki zadźwięczały całą skalą tonów.

— Kaprys!

Soames spojrział na nią ze zdumieniem i odwróciwszy się, podał ramię Winifredzie. Jack Cardigan prowadził Anetkę, a Prosper Profond Imogenę. Fleur szła sama, pobrząkując dzwoneczkami...

„Mały“ księżyc niebawem zniżył się; zapadła noc majowa, ciepła i łagodna, barwą swą, przypominającą kwiecie winogrodu, i ciżbą swych aromatów osłaniając nieprzeliczone kaprysy, intrygi, namiętności, tęsknoty i żale kobiet i mężczyzn. Szczęśliwy był Jack Cardigan, który — sprężysty jak pchła — chrapał na białem ramieniu Imogeny; szczęśliw był i Tymoteusz w swem „mauzoleum“, za stary już do wszystkiego z wyjątkiem niemowlęcego przesypiania dni całych. A jakże wielu spoczywało bezsennie lub marzyło we śnie, po udreće doznanej od światła!

Rosa osiadła na ziemi, kwiaty się stuliły; bydło na łąkach nadrzecznych pasło się jeszcze, wyszukując językiem trawę, której nie mogło już dostrzec; owce na wzgórkach leżały cicho jak głązy. Bażanty na wysokich drzewach lasów w Pangbourne, skowronki w gniazdkach z trawy nad kamieniołomem w Wansdon, jaskółki pod okapem domu w Robin Hill, i wróble z Mayfair — wszystko to noc tę czyniło bezsenną, i jedynie panująca w powietrzu cisza osładzała jej niepokój... Klaczka Mayfly, niezbyt jeszcze przyzwyczajona do swej nowej siedziby, czochała się na swej ściółce. Garstka istot latających po nocy — nietoperzy, ciem i sów — uwijała się żywo w parnej ciemności. Jednakże w środowisku istot dziennych leżała wielka cisza nocna, bezbarwna i bezgłośna. Jedynie ludzie — mężczyźni i kobiety — hasając na drewnianych konikach trwożnej udreki lub miłości, spalali pochwiejne świece i tracili na rozmyślaniach samotne godziny.

Fleur, wychyliwszy się z okna, słyszała stłumiony głos zegaru, wybijającego w hallu godzinę dwunastą, słyszała cichuśki plusk ryby, nagły szmer listków osinowych w przelotach wietrzyka ciągnącego wzdłuż rzeki, odległy turkot nocnego pociągu a od czasu do czasu różne inne głosy, których niepodobna określić w ciemności — niewyraźne uzewnętrznienia wzruszeń jakiegoś człowieka, zwierzęcia, ptaka lub maszyny, a może jakichś zmarłych Forsytów, Dartie'ch, Cardiganów, urządzających sobie nocne przechadzki w krainę, która kiedyś była miłą ich wcielonym duchom. Atoli Fleur nie zważała na te głosy; jej dusza, daleka od tego, by miała wychodzić z ciała, na chyżych skrzydłach leciała od wagonu kolejowego do kwietnego żywopłotu, rwąc się do Jona, odtwarzając sobie jego obraz, dla niej zabroniony, i dźwięk jego głosu, który dla niej był *tabu*. Marszczyła nosek, wywachuując z woni nocy ponadrzecznej ową chwilę, gdy ręka Jona przesunęła się między kwiatami a jej policzkiem. Długo w swym „fantastycznym“ stroju wychylała się przez okno, skwapliwa przypalić sobie skrzydła przy świeczce życia; tymczasem o jej policzki ocierały się cmy, pielgrzymujące do lampki na toaletce i snadź nie wiedzące, że w domu Forsyte'a niema odsłoniętego płomienia. Wkońcu jednak i ona poczuła senność... i zapomniawszy o dzwonekach, cofnęła się szybko w głąb pokoju.

Soames, również nie mogąc oka zmrużyć, słyszał przez otwarte okno swego pokoju — przylegającego do pokoju Anetki, — słaby i cieniuchny podźwięk, jakby otrzęsionego pyłu gwiazdowego lub rosy opadającej z kwiatów... jeżeli jest rzeczą możliwą słyszeć takie głosy.

— Kaprys! — pomyślał. — Nie mogę nic powiedzieć. Ona jest uparta... Cóż mam począć?... — Fleur!...

I długo przez tę „małą“ noc gubił się w rozmyślniach.



ROZDZIAŁ I  
MATKI I SYNY

CZEŚĆ II



## ROZDZIAŁ I

### MATKA I SYN

Byłoby rzeczą niezupełnie trafną powiedzieć, że Jon Forsyte niechętnie towarzyszył matce swej w drodze do Hiszpanji. Poszedł za nią, jak grzeczny piesek idzie ze swą panią na spacer, zostawiając na łące smakowitą kość baranią: — szedł, oglądając się w stronę owej kości. Forsytowie, pozbawieni baranich kostek, zwykli bywać markotni; jednakże Jon z natury swej niezbyt był skłonny do markotności. Matkę swą ubóstwiał, a przytem była to pierwsza jego podróż w życiu. Zamiana Włoch na Hiszpanję dokonała się całkiem prosto, przez jedno tylko jego oświadczenie:

— Wolalbym do Hiszpanji, mamusiu. Ty byłaś już tyle razy we Włoszech; chciałbym, żeby ta podróż przyniosła nam obojgu nowe wrażenia.

Chłopak był nie tylko naiwny, ale i subtelny. Nie zapomniał ani na chwilę, że powinien projektowane dwa miesiące zredukować do sześciu tygodni i że przeto niewolno mu najmniejszym znakiem zdradzić się, że sobie tego życzy. Wobec tak ponętnej baraniej kosteczki i tak silnie powziętego zamiaru, starał się być wybornym towarzyszem podróży, obojętnym na czas i miejsce pobytu, wybrednym w jedzeniu i umiejącym oceniać kraj, nieznaną nawet największym bywalcom pomiędzy Anglikami. Przezorność Fleur, wzbraniającej się pisać do niego, była najgłębiej uzasadniona, gdyż w ten sposób

dojazd do żadnego nowego miejsca nie budził w chłopaku ani nadziei, ani rozgorączkowania, dzięki czemu mógł on ześrodkować swą uwagę na osłach z dyndającymi im u szyi dzwoneczkami, na księżkach, gospodarach, żebrakach, dzieciach, piejących kogutach, sombrerach, żywopłotach kaktusów, starych, wysokich, białych wioskach, na capach, drzewach oliwnych, zielonych równinach, ptakach śpiewających w małej klateczce, sprzedawcach wody, zachodach słońca, melonach, mułach, wielkich kościołach, obrazach oraz rozplywających się, szarobrunatnych górach zachwycającego kraju.

Było już gorąco, a na szczęście jakoś dotąd obeszło się bez spotkania z rodakami. Jon, który — o ile mu było wiadomo — nie miał w sobie ni kropli krwi nieangielskiej, często bywał do głębi nieszczęśliwy w obecności swych ziomeków. Czuł, że nie mają w sobie żadnej nedorzecznosci i że zapatrują się na wszystko praktyczniej od niego. Zwierzył się matce, że musi być chyba odludkiem... tak mu tu było przyjemnie znajdować się zdaleka od wszystkich, którzy mówili o powszednich sprawach ludzkich. Irena odpowiedziała na to poprostu:

— Tak, Jonie, wiem o tem.

W tem odosobnieniu miał nieporównaną sposobność ocenienia tego, co nie wszyscy synowie zdołają pojąć — serca matki i całego ogromu jej miłości. Świadomość ukrywania czegoś przed nią uczyniła go bezwątpienia nadmiernie wrażliwym, a zetknięcie się z ludźmi Południa roznieciło w nim silniejszy podziw dla typu jej piękności — nawykł był do tego, że typ ten zwano hiszpańskim, teraz jednakże przekonał się, że nie było w tem ni źdźbła słusznosci. Jej piękność nie była ani angielską, ani francuską, ani hiszpańską, ani włoską — była to piękność osobiwa, samoswoja! Również nauczył się oceniać, jak nigdy wpierw, subtelność instynktu swej matki. Naprzykład, nie umiałby



powiedzieć, czy matka zauważyła, jak się zatapiał w obrazie Goyi „La Vendimia“, lub czy wiedziała, że on się tam zakradł ponownie po drugim śniadaniu a następnie jeszcze na drugi dzień rano, by stać tam całe pół godziny, zarówno za drugim jak za trzecim razem. Nie była to oczywiście Fleur, ale podobieństwo było dość silne, by ukłuć go w sercu (ukłucie tak miłe zakochanym!) wspomnieniem jej postaci, stojącej u nóg jego łóżka i wznoszącej rękę ponad głową.

Pocztówkową reprodukcję tego obrazu nosił odtąd Jon stale w kieszeni, skąd nieraz wydobywał ją ukradkiem, aby się jej przyjrzeć; zwyczaj ten przeszedł u niego w jeden tych złych nałogów, które prędzej czy później muszą ujawnić się oczom wyostrzonym przez miłość, zazdrość lub trwogę. A matka Jona miała wzrok wyostrzony przez wszystkie trzy wspomniane czynniki. W Granadzie dał się wprost przyłapać na gorącym uczynku. Siedział wówczas na wygrzanej słońcem ławie kamiennej, w małym, blankami obwiedzionym ogrodzie na wzgórzu Alhambry, skąd miał patrzeć na widok, rozpościerający się wokół. Myślał, że matka przygląda się jakimś doniczkom pomiędzy strzyżonemi akacjami, gdy naraz posłyszał przy sobie jej głos:

— Czy to twój ulubiony obraz Goyi, Jonie?

Powstrzymał się — ale już zapóźno — od ruchu takiego, jaki wykonywa sztubak usiłujący skryć jakiś przyłapany dokument, i odpowiedział:

— Tak jest.

— Istotnie jest on bardzo piękny; zdaje mi się jednak, że wolałabym „Quitasol“. Ojciec pewnoby szalał za Goyą; zdaje mi się, że nie oglądał jego obrazów, gdy w r. 1892 był w Hiszpanji.

W roku 1892 — — na dziewięć lat przed urodzeniem jego — — Jona! Jakież były dawniejsze przeżycia

jego ojca i jego matki? Jeżeli oni oboje mieli prawo do jego przyszłości, tedy on niewątpliwie miał prawo do przeszłości ich obojga. Podniósł oczy na matkę. Jednakże w jej twarzy było coś takiego — jakieś wejrzenie ciężko przeżytego żywota, tajemny jakiś wyraz wzruszeń, doświadczeń i cierpienia — że wobec tej niewymiernej głębi, wobec przywartego piętna świętości, wszelka ciekawość wydawałaby się świętokradztwem. Matka musiała mieć kiedyś niezwykle ciekawe przeżycia; była tak piękna i tak... tak... jednakże nie mógł sobie uświadomić, jakie miał względem niej domysły.

Powstał z ławki i długo spoglądał na miasto, leżące u jego stóp, na równinę, pełną zieleni łąków, i na pierścień gór lśniących w blasku zachodzącego słońca. Jej życie było, jako przeszłość tego starego mauryjskiego miasta, bujne, głębokie, dalekie; natomiast własne jego życie było dotąd jako życie dziecięcia, beznadziejnie nieświadome i niewinne! Powiadają, że w tych górach na zachodzie, które wznosiły się, jakby z morza, wprost z modro-zielonej równiny, mieszkali niegdyś Fenicjanie — naród smagły, dziwny, tajemniczy, panujący nad tą krainą! Życie matki Jona było mu równie nieznanne, równie tajemnicze, jak owe dawne dzieje fenickie nieznanne były leżącemu w dole miastu, w którym piały koguty, a dzieci zabawiały się i hałasowały tak wesoło, dzień po dniu. Smuciło go to, że ona wie o nim wszystko, a on o niej nic nie wie prócz tego, że jest piękną i że kocha jego i jego ojca. Ta jego piskłęca nieświadomość (wszak nawet nie nacieszył się wojną, którą dano oglądać niemal każdemu ze znajomych mu ludzi!) bardzo go pomniejszała w jego własnych oczach.

Tej nocy, stojąc na balkonie swej sypialni, przyglądał się długo dachom miasta — jakby wykładanym mozaiką z barwnych szkielek, kości słoniowej i złota. Potem zaś długo leżał bezsenny, nadśluchując nawoływań

strażników z każdym wybiciem godziny i układając sobie w głowie następujące zwrotki:

Głos jakiś woła w noc ciemną, hen w pograżonym we śnie starym hiszpańskim grodzie, pod ścielą srebrnych gwiazd!...  
O czymże głos ten mówi — w swej dźwięcznej, trwożnej tęsknocie?  
Może to strażnik, co głosi odwieczną pieśń bezpieczeństwa?  
Może wędrowiec, co śpiewem zabawia księżycą krąg?  
Nie! to nieszczęsny kochanek, w którym łka serce boleśnie.  
Krzyżąc: „I długoż tych mąk?“

Słowo „nieszczęsny“ wydało mu się zinnem i niewystarczającym, jednakże słowo „zgubiony“ było nazbyt stanowcze, poza tem zaś nie przychodził do głowy żaden inny wyraz stosowny dla „kochanka, w którym łka serce boleśnie“. Było już po drugiej, gdy skończył ten utwór, a minęła i trzecia, zanim udał się na spoczynek, przepowiedziawszy sobie wszystkie trzy zwrotki co najmniej dwadzieścia cztery razy. Nazajutrz przepisał rzecz całą i zamieścił w liście do Fleur — jednym z tych, które kończył zawsze przed wyjściem z domu, żeby mieć umysł spokojny i towarzyskie usposobienie.

Tego samego dnia, koło południa, gdy znajdował się na wykładanym karpiówką tarasie hotelu, poczuł nagle gwałtowny ból w potylicy, dziwny jakiś zamęt przed oczyma i nudności. To słońce pogłaskało go nazbyt czule. Trzy następne dni spędził w półmroku i w tępej, dolegliwej niewrażliwości na wszystko prócz na lód, którym okładano mu czoło, i na uśmiech swej matki. Nie wydalala się z jego pokoju, ani na chwilę nie osłabiając swej bezszmernej czujności, która Jonowi wydawała się anielską. Jednakże były chwile, kiedy niepokoił się o siebie niezmiernie i życzył sobie ogromnie, by Fleur mogła go tu odwiedzić. Kilkakrotnie w myślach żegnał się boleśnie z nią i ze światem, sącząc z oczu łzy. Obmyślał nawet list, jaki miał wysłać do niej przez matkę — która w dniu jego śmierci pewnoby

żałowała, że kiedyś próbowała rozłączyć ich z sobą... Biedna mateczka!... Mimo wszystko rychło zorjentował się, że oto teraz ma wymówkę, by powrócić do domu.

Każdego wieczoru, około wpół do szóstej nadpływała „gagacha“ dzwonów — kaskada kłębiących się z sobą akordów, wynurzających się z padolu miasta i opadających powrotną falą akord za akordem. Przysłuchując się im, czwartego dnia Jon ozwał się z nagłą:

— Bardzobym chciał być już w Anglji. Tu słońce jest za silne, mamusiu.

— Dobrze, dobrze, mój drogi. Pojedziemy, skoro tylko będziesz czuł się dostatecznie silny.

I Jon odrazu poczuł się zdrowy — i lichszy.

Z upływem piątego tygodnia pobytu zagranicą wybrali się w drogę powrotną do kraju. Głowa Jona powróciła do dawnej przytomności, mimo to chłopak był zmuszony nosić kapelusz oblamowany przez matkę wieloma warstwicami pomarańczowego i zielonego jedwabiu i chętnie przebywał w cieniu. Długie wysiłki wzajemnej ich dyskrecji miały właśnie dobiec końca, przeto chłopak zadawał sobie raz po raz pytanie, czy matka dostrzeżę jego skwapliwość do powrotu ku temu, od czego ona go odwiodła. Zbiegiem okoliczności musieli pomiędzy jednym pociągiem a drugim zatrzymać się dzień cały w Madrycie; nie było nic bardziej naturalnego, jak udać się znów do Prado. Tym razem Jon przezornie tylko mimochodem znalazł się przed dziewczyną Goyi; bawiąc tu powtórnie, mógł przecie poprzestać na mniej dokładnem jej badaniu. Tymczasem matka właśnie zatrzymała się dłużej przed obrazem, mówiąc:

— Twarz i figura tej dziewczyny są przepyszne.

Jon z niechęcią słuchał tych słów. Czyżby ona się domyślała? Jeszcze raz zdał sobie sprawę, że nie może się z nią równać w panowaniu nad sobą i subtelności. Ona potrafiła w jakiś sposób nadzmysłowy, do którego

Jonowi brakło klucza, wyczuć tętno jego myśli; wiedziała instynktownie, czego się syn jej spodziewał, obawiał lub sobie życzył. Martwiło go to niezmiernie i gryzło, zwłaszcza, że miał większą, niż inni chłopcy, wrażliwość sumienia. Pragnął, by matka była wobec niego zupełnie szczerą, prawie tęsknił do otwartego boju. Do boju takiego jednakże nie doszło. W zaciętości jakiejś i w milczeniu odbywali podróż na północ. Tak to Jon po raz pierwszy przekonał się, o ile lepiej kobiety umieją od mężczyzn prowadzić dyplomatykę czekania. W Paryżu musieli znów zatrzymać się na dzień cały. Jon był zgryziony, gdyż z tego dnia zrobiły się dwa dni, a to przez jakieś sprawy mające związek z krawcową... jakgdyby matka, która w każdej sukni wyglądała pięknie, potrzebowała jeszcze jakich strojów! Najszczęśliwszą chwilą podróży był ów moment, gdy stanęli na pokładzie statku.

Stojąc przy parapecie burty i ująwszy syna pod ramię, Irena mówiła:

— Coś mi się zdaje, że nie zakosztowałeś, Jonie, zbytniej przyjemności. Byłeś wszakże dla mnie bardzo miły i grzeczny.

Jon ujął mocniej jej ramię.

— Ależ tak!... Miałem ogromnie dużo przyjemności... tylko ten ból głowy w ostatnich czasach...

I gdy oto nadszedł już koniec, Jon, odczuwając pewien czas w przeżyciach ostatnich tygodni, doznawał zaprawdę jakgdyby jakiejś bolesnej rozkoszy — takiej, jaką usiłował zamknąć w wierszach o głosie wołającym w noc ciemną. Czegoś podobnego zaznał był kiedyś w latach dziecięcych, gdy chciwie przysłuchiwał się granym utworom Szopena, mimo że mu się na płacz zbierało. I zachodził w głowę, czemu to teraz nie mógł powiedzieć jej poprostu, temi samemi co ona słowami:

— Byłaś mi bardzo miłą i drogą.

Rzecz dziwna — ani rusz nie można było okazać się równie miłym i naturalnym! Zamiast powyższego podstawił słowa:

— Coś mi się zdaje, że się pochorujemy.

Istotnie pochorowali się oboje, tak iż do Londynu dojechali nieco zmęczeni. Tak zbiegło im sześć tygodni i dwa dni pobytu zagranicą, w ciągu którego nie uczynili nawet najmniejszej aluzji do tematu, który bodaj na chwilę nie przestawał zaprzętać ich myśli.

## ROZDZIAŁ II

### OJCOWIE I CÓRKI

Jolyonowi, rozłączonemu z żoną i synem przez tę wyprawę hiszpańską, samotne życie w Robin Hill wydało się nieznośnem. Filozof, który posiada wszystko, co mu do życia potrzebne, jest zgoła inną istotą, aniżeli filozof, który rzeczy tych właśnie jest pozbawiony. Zżywszy się jednakże z ideją rezygnacji, jeżeli nie z jej realną treścią, pewnoby znosił mężnie los, gdyby nie obecność jego córki, Juny. Ponieważ stał się teraz „kulawem kaczącem“, więc piecza nad nim przypadła jej sumieniu. Uporawszy się — na czas jakiś — z ratowaniem jakiegoś podupadłego rytownika, którego właśnie miała w swych rękach, pojawiła się w Robin Hill w dwa tygodnie po wyjeździe Ireny i Jona.

„Pani młodsza“ mieszkała obecnie w małym domu obok wielkiej pracowni w Chiswick. Przedstawicielka rodu Forsyte'ów z najświetniejszej doby rodzinnej, o ile szło o brak odpowiedzialności, zdołała (w sposób zadowolający ją samą i ojca) wybrnąć z kłopotów wynikłych z uszczuplonego dochodu. Gdy przyszło wybierać pomiędzy rentą z galerji na Cork Street, nabytej dla niej przez ojca, a między rosnącym wciąż podatkiem docho-

dowym, sprawa rozstrzygnięta została w sposób nader prosty: — Juna przestała płacić ojcu rentę. Obecnie, po osiemnastu latach bezproduktywnego użytkowania, zanosiło się jakoby na to, że galerja zacznie dawać jakieś zyski, to też Juna była pewna, że ojciec nie odczuje tego wcale. Dzięki tej zasadzie miała rocznie tysiąc dwieście funtów, a ograniczając się w jedzeniu i przyjąwszy na miejsce dwóch biednych Belgijczyków jedną jeszcze biedniejszą Austrjaczkę, osiągała zawsze tę samą nadwyżkę pieniężną na wspomaganie genjuszów.

Po trzech dniach pobytu w Robin Hill zaciągnęła ojca z sobą znowu do miasta. W ciągu tych trzech dni natknęła się na tajemnicę, utrzymywaną przezeń od dwóch lat, i natychmiast postanowiła go leczyć. Znała człowieka, który mógł tu coś poradzić. Był to ten, który cudów dokazał z Pawłem Postem — tym jakby heroldem futuryzmu. Juna odęła się na ojca, ponieważ nie słyszał o żadnym z tych dwóch niezwykłych ludzi — i podnosił brwi do góry. Ma się rozumieć, że jeżeli ojciec nie będzie miał „wiary“, to nigdy nie wyzdrowieje! Nierozsądkiem było nie mieć wiary w człowieka, który wyleczył Pawła Posta, tak iż ten dopiero niedawno zasłabł ponownie, z przemęczenia czy też zbyt szumnego życia. W uzdrowiaczu tym wielką rzeczą było to, że polegał na naturze; w swoim czasie przeprowadził specjalne badania nad symptomami natury (gdy pacjentowi brakło jakichkolwiek symptomów naturalnych, wówczas on dawał mu truciznę, która miała je wywołać) — i oto miało się to, czego było potrzeba! Juna była pełna wielkich nadziei. Ojciec, jak wносиła, widocznie nie prowadził w Robin Hill życia zgodnego z naturą, zamierzała więc wywołać w nim odpowiednie symptomy. Czując, iż stracił kontakt ze współczesnością, to zaś było czemś zgoła nie-naturalnem; serce jego potrzebowało podniety. W małym domku w Chiswick i ona i Austrjaczka (wdzięczna dusza

tak przywiązana do Juny za udzielany jej ratunek, iż nieboga omal nie zmarła z przemęczenia) dodawali Jolyonowi najróżnorodniejszych podniet, przygotowując go do przyszłej kuracji. Jednakże nie udawało się im ściągnąć brwi jego wdół, nawet gdy Austriaczka o godzinie ósmej budziła go ze snu akurat w chwilę sprowadzającą sen najlepszy, albo gdy Juna zabierała mu *Times* z przed nosa, jako że rzeczą zgołu nienaturalną było czytanie „tej sieczki“, skoro powinno się interesować „życiem“. Nigdy zaiste nie przestawała go zdumiewać jej pomysłowość, zwłaszcza wieczorami. Na jego benefis, jak oświadczała (choć on podejrzewał, że i jej się coś z tego okrawa), gromadziła u siebie reprezentantów współczesnego pokolenia, o ile ci mieli coś wspólnego z genjuszem. Całe to towarzystwo z jakąś jakby uroczystą powagą przesuwało się to w tę to w drugą stronę pracowni, tańcząc bądź foxtrota, bądź też ową drugą zwyczajową nowalję taneczną — one stepa — który tak klócił się z muzyką, że Jolyon podnosił brwi nad sam niemal rąbek czoła, myśląc o tem, ile to wysiłków woli musi kosztować tancerzy rzecz podobna. Spostrzegłszy, że wodzony na pasku Towarzystwa Akwarelistów, stał się zacofańcem w oczach tych, którzy mieli pretensję zwać się artystami, siadywał w najciemniejszym kątku, jaki udało mu się znaleźć i wgłębiał się w rytm, który i jego ponosił przed laty. Gdy zaś Juna przyprowadzała do niego jakąś młodą pannę lub młodzieńca, z pokorą wedle sił swoich wznosił się do ich poziomu, myśląc przytem:

— Dalibóg! Toż to u nich uchodzi za wielkie bzdurstwo!

Mając w sobie — wziętą po ojcu — wiekuiłą sympatję dla młodych, Jolyon nużył się jednakże niezmiernie wkraczaniem w dziedzinę ich poglądów. Wszystko to było dlań w każdym razie silnym bodźcem, to też nigdy



mógł wyjść z podziwu nad nieposkromioną zwawością ducha swej córki. Od czasu do czasu i sam genjusz brał udział w tych zebraniach, zawsze z nosem wbok przekrzywionym, a Juna za każdym razem przedstawiała go ojcu. Czula, iż zrobi mu to szczególnie dobrze, gdyż genjusz był symptomatem naturalnym, jakiego Juna nie mogła nigdy stwierdzić u ojca — pomimo całego swego przywiązania.

Będąc pewnym (ile tylko pewnym być może mężczyzna), że Juna jest jego rodzoną córką, nieraz jednakże zadawał sobie pytanie, skąd właściwie wzięły się u niej te złoto-czerwone włosy, teraz przyprószone osobliwym odcieniem siwizny, ta prosta, żywa twarz, tak różna od jego nieco zmiętej i wysubtelnionej fizjognomji, jej drobna, lekka figurka — — wszak on sam i większość Forsytów odznaczeni się wzrostem wysokim. Siegał aż do samych początków fizjologicznego gatunku, zastanawiając się, czy płynęła w niej krew celtycka czy duńska. Z wojowniczego jej temperamentu oraz z zamiłowania do wstążek i długich sukien wydawało mu się Celtyjką. Nie trzeba nawet wiele mówić, że wołał ją niż współczesne pokolenie jakim się otaczała — pomimo iż było ono w znacznej części dość jeszcze młodociane. W każdym razie zajmowała się aż zanadto gorliwie jego zębami — jako że posiadał jeszcze kilka egzemplarzy tych naturalnych symptomatów. Dentysta, do którego zaprowadziła go, od razu znalazł „*Staphylococcus aureus* w pełnym rozwoju“ (co oczywiście mogło wywoływać obrzęki), wobec czego miał ochotę powyrywać wszystkie zęby, jakie Jolyon jeszcze posiadał, i zastąpić je dwoma całkowitemi rzędami zgoła nienaturalnych symptomów. Na to w Jolyonie obruszyła się wrodzona jego zawziętość — wieczorem dnia tego, znalazłszy się w pracowni, począł rozwijać sprzeciwy, mówiąc, że nigdy nie miał obrzęków i że własne swe uzębienie zachowa do śmierci.

Juna przyznawała, że zęby te przetrwają do końca, jeżeli się ich nie wyrwie, jednakże utrzymywała, że gdy będzie miał więcej zębów, to będzie miał i silniejsze serce, wobec czego i sam przetrwa dłużej. Jego upór — twierdziła — był symptomatem całego jego stanu, któremu on się poddawał zamiast go zwalczać.

— I kiedyż to ojciec zamierza odwiedzić człowieka, który leczył Pawła Posta?

Jolyon wyrażał skrucę, mimo to jednak nie zamierzał odwiedzić tego złowieszki. Juna wpadła w gniew i jąła rozpowiadać, że Pondridge — ów lekarz-cudotwórca — był człowiekiem tak miłym, — że miał tyle trudności w związaniu końca z końcem i zdobyciu sobie uznania... albowiem taka obojętność i uprzedzenie, jakieg w tej chwili okazuje ojciec, nie pozwala mu się wybić. Byłoby to chluba dla obu, gdyby udało się im z sobą zbliżyć!

— Widzę — rzekł Jolyon — że próbujesz jednym strzałem upolować dwa ptaszki.

— Chciałeś pewnie powiedzieć: uleczyć! — krzyknęła Juna.

— Ależ to zupełnie to samo, moja droga!

Juna zaczęła protestować, mówiąc, że nieładnie to mówić coś, czego się nie stwierdziło. Jolyon pomyślał, że pewnoby drugi raz już nie miał sposobności tego powiedzieć.

— Tatusiu! — zawołała Juna. — Jesteś już beznadziejny.

— To prawda — odrzekł Jolyon — ja jednakże pragnę pozostawać, póki można, w tym beznadziejnym stanie. Nie chcę budzić licha, moje dziecko; narazie ono jeszcze śpi spokojnie.

— Nie dajesz miejsca wiedzy! — zawołała Juna. — Nie masz pojęcia, jakim Pondridge jest entuzjastą. On ponad wszystko stawia wiedzę.

— Akurat! — odparł Jolyon, ćmiąc słabego papierosa, do którego musiał się teraz ograniczać. — To tak, jak Paweł Post stawia nadewszystko swoją sztukę. Sztuka dla sztuki... wiedza dla wiedzy. Znamci ja tych rozentuzjasmowych manjaków. Gotowi cię krajać, nawet nie mrugnawszy okiem. Jestem natyle Forsytem, żeby się z nimi pożegnać, moja Juno.

— Tatusiu! — ozwała się znów Juna — żebyś wiedział, jak to brzmi po staroświecku! W dzisiejszych czasach ciężko się przypłaca wszelką małoduszność.

— Coś mi się zdaje — bąknął Jolyon, uśmiechając się — że jest to jedyny naturalny symptomat, którego nie potrzebuje p. Pondridge mi zaszczepiać. Urodziliśmy się już na to, żeby być skrajnymi lub umiarkowanymi, moja droga... chociaż jeżeli darujesz mi to powiedzenie, połowa ludzi dzisiejszych, uważająca się za krańcowych, to właściwie istoty bardzo umiarkowane. Żyję tak zdrowo, jak tylko tego mogę pragnąć, i muszę na tem poprzestać.

Juna zamilkła, jako że już w swoim czasie miała sposobność przekonać się o nieugiętości łagodnego uporu jej ojca, gdy szło przecie o własną jej swobodę działania.

Powiadomienie jej o tem, czemu Irena zabrała Jona do Hiszpanji, było dla Jolyona powodem niemałego kłopotu, gdyż niebardzo dowierzał jej dyskrecji. Gdy ona jąła rozważać ową nowinę, doprowadziło to do nieco ostrej dyskusji, w czasie której Jolyon uświadomił sobie w całej pełni zasadnicze przeciwieństwo między czynnym charakterem swej córki i między biernością swej żony. Wyczuwał nawet, że jeszcze musiało się skrycie jątrzyć owo małe zadrażnienie z czasów owego sporu, jaki dwie te kobiety wiodły w poprzednim pokoleniu nad zwłokami Filipa Bosinney'a — sporu, w którym bierność odniosła tak znamieny triumf nad zasadą czynną.

Zdaniem Juny, było głupotą, a nawet tchórzostwem,

ukrywać przed Jonem całą przeszłość. Nazywała to zwykłym oportunizmem.

— Który, moja droga, jest twórczą zasadą życia — wtracił Jolyon łagodnie.

— Ach! — zawołała Juna. — Ty, tatusiu, z pewnością nie bronisz jej, że nie powiedziała o tem Jonowi. Gdyby to od ciebie zależało, pewnobyś wszystko mu opowiedział.

— Powiedziałbym... tak... ale tylko dlatego, że wiem, iż on i tak prawdę odkryje... co będzie rzeczą gorszą niż gdybyśmy mu wszystko powiedzieli.

— Czemuż więc nie powiesz mu o tem? Znowu pewno wyjedziesz z tem „śpiącym lichem“.

— Moja droga — odrzekł Jolyon — doprawdy za nic w świecie nie chciałbym sprzeciwić się instynktowi Ireny. To przecie jej syn.

— I twój! — krzyknęła Juna.

— Czemże jest instynkt mężczyzny w porównaniu z instynktem macierzyńskim?

— No, ale to wielka słabość z twej strony.

— Pewnie, pewnie — odrzekł Jon.

Było to wszystko, co zdobyła od niego, jednakże sprawa ta nie przestała jątrzyć jej myśli. Nie mogła znieść śpiącego licha. Budził się i zrywał w niej jakiś nieuświadomiony jeszcze popęd, by pchnąć całą sprawę ku ostatecznemu rozstrzygnięciu. Jon powinien był dowiedzieć się wszystkiego, żeby uczucie jego mogło bądź zwarzyć się w pączku, bądź też rozkwitnąć naprzekór wszystkiemu, co niegdyś było, i dojść do owocowania.

Postanowiła zobaczyć się z Fleur i wydać wyrok samodzielny. Gdy Juna coś postanowiła, delikatność stawała się rzeczą mniejszej wagi. Ostatecznie zresztą była kuzynką Soamesa i oboje interesowali się obrazami. Postanowiła zatem, że pójdzie i namówi go, by kupił jakie dzieło Pawła Posta, a może i jaką rzeźbę Borysa

Strumolowskiego. Oczywiście ojcu niema potrzeby o tem mówić.

Udała się tam więc w następną niedzielę, z taką w twarzy determinacją, iż miała z tego powodu pewne trudności w dostaniu dorożki na stacji Reading. Przepiękna była okolica rzeki w owe dni czerwcowe, a Juna — której miesiącem był czerwiec<sup>1)</sup> — bolała nad tą krasą. W tej kobiecie, która przeszła przez życie, nie zaznawszy, co to związek, tkwiła miłość piękna natury, posuwająca się niemal do szaleństwa. Dotarwszy do milej miejscowości, gdzie Soames rozbił swój namiot, odprawiła dorożkę, gdyż nadewszystko miała ochotę poweselić się lasem i jasną tonią wód. To też wkońcu znalazła się, jako piesza turystka, przed frontowymi drzwiami domu Soamesa i biletem wizytowym oznajmiła swe przybycie. Leżało to w charakterze Juny, iż wiedziała, że gdy w niej drgają nerwy, tedy czyni coś, co warte jest zachodu. Jeżeli w kimś nie drgały nerwy, zajmowała linję najmniejszego oporu, zdając sobie sprawę, że jej nie obowiązują żadne szlachetne pobudki.

Wprowadzono ją do salonu, który choć nie był w jej guście, jednakże ujawniał wszelkie cechy wymyślnej elegancji.

— Za wiele wytworności... za wiele fatalaszków — pomyślała sobie Juna.

W tejże chwili w starem zwierciadle, ujętem w lakierowaną ramę, ujrzała postać młodej paniienki, nadchodzącej od strony werandy. Osóbka ta, bialo ubrana i trzymając w ręku wiązkę białych róż, w odbiciu srebrnoszarej płyty szklanej wyglądała na jakieś zjawisko zaziemskie — niby piękna jakaś mara, wynurzająca się z zieleni ogrodu.

---

<sup>1)</sup> *June* po ang. czerwiec.

— Jak się pani miewa? — zagadnęła ją Juna, obra-  
cając się. — Jestem kuzynką ojca pani.

— Ach, tak; widziałam panią już tam w cukierni.

— Razem z moim przyrodnim braciszkiem... Czy  
ojciec jest w domu?

— Lada chwila nadejdzie. Poszedł na mały spacer.

Juna zlekka zmrużyła niebieskie oczy, a energiczny  
podbródek zadarł się nieco w górę.

— Pani się nazywa Fleur? Słyszałam o pani wiele  
od Holly. Ciekawam, co też pani myśli o Jonie?

Panna podniosła trzymane w ręku róże, przyjrzała się  
im i odpowiedziała spokojnie:

— Bardzo miły chłopak.

— Prawda, że ani trochę niepodobny do Holly, ani  
też do mnie?

— Ani trochę.

— Dużo chłodu ma ta dziewczucha — pomyślała Juna.

Naraz panna zadała niespodziewane pytanie:

— Czy pani nie byłaby łaskawa powiedzieć mi, czemu  
nasze rodziny nie utrzymują z sobą stosunków?

Stanąwszy w obliczu pytania, na które ojcu radziła  
odpowiadać, Juna zamilkła — czy to dlatego, że ta  
panienka chciała z niej coś wydobyć, czy też dlatego,  
że to, na co w teorji ma człowiek ochotę, nie zawsze bywa  
nam po myśli, gdy przychodzi do czynu.

— Pani wiadomo — mówiła dalej panienka — że  
najpewniejszą drogą do najgorszych domysłów jest trzy-  
manie ludzi w nieświadomości. Ojciec opowiadał mi,  
że był tu jakiś proces o majątność, ja jednakże temu nie  
wierzę. Obie nasze rodziny mają wszystkiego poddostat-  
kiem, to też pewno żadna z nich nie byłaby do tego  
stopnia *bourgeois*.

Juna załżała się rumieńcem. Epitet powyższy, zastoso-  
wany do jej ojca i dziadka, był dla niej obrazą.

— Mój dziadek — odpowiedziała — był człowiekiem

wielce wspaniałomyślnym; tak samo i mój ojciec. Żaden z nich ani trochę nie był *bourgeois*.

— Cóż to więc było? — powtórzyła panna. Juna widząc, że ta młoda latorośl domu Forsytów już niemal ma w rękach to, co zamierzyła, postanowiła od razu ją osadzić, a wzamian zdobyć coś dla samej siebie.

— I na cóż pani ta wiadomość?

Fleur powąchała róże.

— Chciałam jedynie wiedzieć, czemu rzecz tę trzymają przede mną w tajemnicy.

— Tak, tu istotnie chodziło o *własność*, ale nie jednego tylko rodzaju.

— To tylko pogarsza sprawę. Teraz to ja naprawdę powinnam wiedzieć o wszystkim!

Drobna, rezolutna twarz Juny drgnęła kurczowo. Z pod okrągłej czapeczki, jaką miała na głowie, powymykały się kosmyki włosów. W chwili tej, ożywiona bojowem spotkaniem, wyglądała na całkiem młodą kobietę.

— Wie pani co? — przemówiła. — Widziałam, jak pani rzuciła na ziemię chusteczkę. Czy panią łączy coś z Jonem? Jeżeli tak, to najlepiej byłoby, gdyby pani porzuciła i tę całą sprawę.

Panna pobladła, jednakże na twarzy miała uśmiech.

— Gdyby coś podobnego miało miejsce, pewnobym tak nie postąpiła.

Słyszac taką galanterję w jej odpowiedzi, Juna wyciągnęła rękę.

— Mam do pani sympatję. Natomiast nie żywię sympatji do twego ojca... i nigdy nie żywiłam. Możemy być względem siebie zupełnie szczerze.

— Czy pani po to tu przybyła, żeby ojcu to powiedzieć?

Juna zaśmiała się.

— Nie! Przybyłam tu, by zobaczyć się z panią.

— Jakże to pięknie ze strony pani!

Umiała każdy cios odbijać ta dziewczyna!

— Jestem półtrzecia razy starsza od pani — ozwała się Juna — jednakże sympatyzuję z panią ogromnie. Straszną rzeczą jest brak samodzielności.

Panna znów się uśmiechnęła.

— Doprawdy, wydaje mi się, że pani radaby mi opowiedzieć o wszystkim.

Jak to dziecko uporczywie zmierzało do swego celu!

— Nie jest to mój sekret. W każdym razie postaram się zrobić wszystko, co w mej mocy, gdyż uważam, że zarówno pani jak i Jon powinniście wiedzieć o wszystkim. A teraz się pożegnaj.

— Czy pani nie zechciałaby poczekać do powrotu ojca?

Juna potrząsnęła głową.

— Jak mogłabym się przeprawić na drugi brzeg rzeki?

— Ja panią przewiozę łódką.

— Wie pani co? — podjęła Juna impulsywnie. — Za następnym razem, gdy pani będzie w Londynie, musi mnie pani odwiedzić. Ja tam mieszkam. Wieczorami zwykle bywa u mnie młodzież. Niech pani nie myśli, że zdradzę przed ojcem jej przybycie.

Fleur skinęła głową.

Przyglądając się jej, jak ruchem wiosel pędziła łódkę, Juna myślała:

— Bardzo ładna i ślicznie zbudowana. Nigdy nie myślałam, by Soames miał tak ładną córkę. Tworzyłaby z Jonem śliczną parę.

Instykt kojarzenia par był u Juny zawsze żywotny, mimo że w sercu jej własnym przymierał ustawicznym głodem. Stała na brzegu i przyglądała się Fleur, wiosłującej zpowrotem. Dziewczyna odjęła rękę od wiosła, by skinąć nią na pożegnanie; wówczas Juna z jakimś bólem w sercu poczęła iść ociężałe ścieżką po-



między łąkami i rzeką. Oto dwoje młodych Ignących do siebie jak uganiające za sobą jętki, a miłość niby słońce, grzejące i przepromieniające je do głębi!... A jej młodość!... Tak dawno już, gdy Phil i ona... A potem? Nic!... potem już nikt nie był całkowicie tym, którego ona pragnęła. Tak więc wogóle, wogóle nigdy tego nie zaznała. Ale jakież to węzeł zadzierzgnął się dookoła tych dwojga młodych — jeżeli oni naprawdę zakochali się w sobie, jak utrzymuje Holly — i czego zdaje się lękać jej ojciec, Irena i bodajże sam Soames! Jakież węzeł — i jaka jednocześnie przegroda! I tęsknota do przyszłości i jakaś jakby wzgarda dla tego, co przeminęło, będąca zaczynem elementu ruchu, drgnęła w sercu, które zawsze wierzyło, że to, czego się samemu pożąda, jest ważniejszym od tego, czego sobie nie życzą drudzy. Przez dłuższą chwilę, wśród ciepłego, letniego ukoju przyglądała się liljom wodnym, listkom wikliny i wynurzającym się z wody rybom; wdychała zapach trawy i słodycz łąki, przemyśliwając nad tem, czy potrafiłaby naprowadzić kogoś na drogę szczęścia. Jon i Fleur! Dwoje kulawych kacząt — rozkoszne, żółte, nieopierzone kaczątka! Jakaż wielka szkoda! A pewno dałoby się coś zrobić! Nie należy zasypiać gruszek w popiele. Ruszyła dalej — i zziajana, zgrzana i skwaszona, dostała się wreszcie do stacji.

Tego wieczora, wierna popędowi do bezpośredniości działania, która odstręczała od niej wielu ludzi, odezwała się do ojca:

— Wiesz, tatku, pojechałam zobaczyć się z młodą Fleur. Wydała mi się bardzo, bardzo miłą i pociągającą. No i cóż? prawda, że to niedobrze chować głowę pod skrzydło?

Zaskoczony tem Jolyon odstawił na bok swój kleik jęczmienny i począł kruszyć leżącą przy nim kromkę chleba.

— Po tobie można się spodziewać czegoś podobnego — odpowiedział. — Czy pamiętałaś, czyją ona jest córką?

— Czy już nie można pogrzebać martwej przeszłości? Jolyon uniósł się.

— Pewnych rzeczy niepodobna pogrzebać.

— Z tem się nie zgadzam — odparła Juna. — To właśnie stoi na zawadzie wszelkiemu szczęściu i postępowi. Ty nie rozumiesz dzisiejszego pokolenia, tatusiu. Ono już nie troszczy się o rzeczy przebrzmiałe. Czemu sądzisz, że to sprawa tak ogromnie ważna, iż Jon dowie się czegoś o swej matce? Któż to dziś zwraca uwagę na sprawy tego rodzaju? Prawa o małżeństwie są dziś takie same, jakie były wówczas, gdy Soames i Irena nie mogli dostać rozwodu i gdy ty musiałeś w to wkroczyć. Myśmy się obruszali, oni zaś nie, wobec czego nikogo to obchodzić nie będzie. Małżeństwa bez przyzwoitej możliwości wyzwolenia się jest jedynie pewnego rodzaju niewolnictwem; ludzie nie powinni być własnością jedni drugich. Dziś każdy to widzi. I cóż z tego, że Irena przełamała takie lub owe prawa?

— Jeżeli kto, to ja nie powinienem temu się sprzeciwić — podjął Jolyon; — lecz to zgoła inna sprawa. Tym razem w grę wchodzi uczucia ludzkie.

— Prawda, że wchodzi — zawołała Juna — ludzkie uczucia tych dwojga młodych.

— Moja droga — odrzekł Jolyon, zlekka podrażniony; — przecież głupstwa.

— To nie głupstwa. Jeżeli okaże się, że oni naprawdę mają się ku sobie, to czemuż przeszłość ma być zawadą dla ich szczęścia?

— Nie ty przeżywałaś tę przeszłość. Ja ją przeżywałem... uczuciami mej żony... mojemi nerwami i imaginacją... jak tylko przeżywać może ten, kto oddany jest komuś całą duszą.

Juna również zerwała się z miejsca i zaczęła przechadzać się niespokojnie; nagle odezwała się:

— Gdyby ona była córką Filipa Bosinney'a, pewnoby cię lepiej rozumiała. Irena go kochała, a nie kochała nigdy Soamesa.

Z piersi Jolyona dobył się głęboki dźwięk, podobny do głosu, jakim wieśniaczki włoskie nawołują muły. Serce w piersi tej zaczęło bić jak młotem — on jednakże nie zwracał na to uwagi, dawszy się już zupełnie ponieść swym uczuciom.

— Widzę, jak mało się na tem rozumiesz. Ani ja, ani Jon, o ile go znam, nie zważałby na stare dzieje miłosne; tak jest, ale tym razem wchodzi w grę rzecz zgoła inna; jest to brutalność związku bez miłości. Ta dziewczyna jest córką człowieka, który kiedyś był właścicielem matki Jona, niby jakiej czarnej niewolnicy. Nie możesz zażegnać tego upióra... nawet nie próbuj tego, Juno! Przed nami stoi pytanie, czy mamy obaczyć Jona związanego z krwią i kością tego człowieka, który posiadał matkę Jona wbrew jej woli. Niema tu co obwijać rzeczy w bawelnę; chciałbym jasno postawić sprawę. Ale teraz dłużej już mówić nie mogę, bo inaczej przez całą noc nie będę mógł się położyć.

I położywszy rękę na sercu, Jolyon odwrócił się od córki plecami i jał się przyglądać nurtowi Tamizy.

Juna, która miała taką naturę, iż nie dostrzegała gniazda szerszeni, póki nie wetknęła w nie głowy, była naprawdę przerażona. Podeszła ku ojcu i ujęła go pod ramię. Nie przekonana o słuszności jego stanowiska, ani o własnym błędzie — to bowiem nie leżało w jej naturze — w każdym razie uległa głębokiemu wrażeniu niezbitego i oczywistego faktu, że sam temat rozmowy źle oddziaływa na ojca. Ocierała się policzkiem o jego ramię i nic nie mówiła.

Przewiółszy swą starszą kuzynkę na drugi brzeg, Fleur nie wracała wprost do domu, lecz wpłynęła pomiędzy szuwary, na przestrzeń zalaną blaskiem słonecznym. Ukojna piękność godziny popołudniowej na krótko oczarowała osobę niebardzo skłoną do marzeń i poetyczności. Na polu, za skarpem, przy którym zatrzymała się jej łódka, maszyna ciągniona przez siwego konia przewracała świeży pokos siana. Fleur z zachwytem przyglądała się kaskadom trawy przelewającym się poprzez koła — takie się wydawały chłodne i świeże! Chrząst i świst zlewały się z szelestem wiklin i topól oraz z turkaniem synogarliczki w istny śpiew rzeki. Wszędy po bokach, w głębokiej zielonej wodzie, wiły się z prądem, trącąc się wzajem z sobą, długie wodorosty do żółtych żmij podobne. Srokate bydło na drugim brzegu rzeki stało w cieniu, ociężałe wymachując ogonami. Był to czas popołudniowego snu i rozmarzenia. Fleur wydobyła listy Jona. Nie było tam kwiecistych wylewności, lecz jedynie przegląd rzeczy widzianych i głównych wypadków; wszystkie jednak były przesycone miłą jej wielce tęsknotą i kończyły się niezmiennie: „Twój Kochający J.“ Fleur nie była sentymentalna, jej pożądania były zawsze konkretne i skoncentrowane, lecz w ciągu tych kilku tygodni oczekiwania niewątpliwie cały zapas poezji, jaki tylko posiadała córka Soamesa i Anetki, skupił się koło jej wspomnień o Jonie. Wszystkie one wiązały się z trawą i pąkowiec, z kwiatami i wodą. Radowała się nim w zapachach, jakie chłonęła marszczącym się noskiem. Gwiazdy umiały w nią wmawiać, że oto stoi koło niego w geograficznym środku Hiszpanji, zaś wczesnym rankiem rosiste pajęczyny, mgliste rozbłyski i zapowiedzi jawiącego się dnia w stokach ogrodu były dla niej uosobieniem samego Jona.

Gdy była zajęta lekturą tych listów, przepłynęły koło niej ruchem majestatycznym dwa łabędzie, za którymi

w równych odstępach ciągnął się sznurek młodych łabędziat — flotylla szarych psotników. Fleur schowała listy, wzięła się do wiosel i wkrótce przybiła do przystani. Idąc naprzelaj przez łąkę, rozmyślała nad tem, czy ma opowiadać ojcu o wizycie Juny. Jeżeli nie opowie, a ojciec dowie się o tem od szafarki, gotów Bóg wie co o tem pomyśleć. Zresztą dawało jej to jeszcze jedną sposobność do wybadania go w sprawie waśni rodzinnej. Wyszła więc na gościniec, by spotkać się z ojcem.

Soames poszedł był obejrzeć skrawek gruntu, na którym miejscowe powagi zamierzały zbudować sanatorjum dla piersiowo chorych. Wierny wrodzonemu indywidualizmowi, nie brał najmniejszego udziału w sprawach lokalnych, kontentując się placeniem należności pieniężnych, które wciąż rosły w górę. Tym razem jednak wobec wspomnianego niebezpiecznego projektu nie mógł pozostać obojętnym. Teren, o którym mowa, znajdował się o jakie pół mili od jego domu. Soames w zupełności godził się z poglądem, że trzeba walczyć z gruźlicą, jednakże miejsce owo źle było na cel ten wybrane — należało rzecz tę urządzić gdzieś dalej. Trzymał się zasady wspólnej wszystkim nieodrodnym Forsytom, że ułomności jakiegokolwiek rodzaju spotykane u innych ludzi nie powinny zaprzętać mu głowy i że państwo powinno spełniać swą powinność, nie naruszając przytem zgoła naturalnych korzyści zdobytych przezeń lub odziedziczonych. Franciszka, najbardziej wolnomyślna z rówieśnej mu generacji Forsytów (wyjąwszy, oczywiście, tego draba Jolyona) zapytała go pewnego razu, swoim zwyczajem, złośliwie:

— Widziałeś kiedy, Soamesie, nazwisko Forsytów zamieszczane na liście składek?

Jak było tak było, w każdym razie sanatorjum przyniosłoby okolicy niedobrą sławę. Soames przeto gotów był każdej chwili podpisać petycję, zwróconą przeciwko

projektowi budowy. Powracając do domu, właśnie przeżuwał w myśli tę świeżo powstałą decyzję, gdy obaczył Fleur, idącą na jego spotkanie.

Ostatnimi czasy okazywała mu większą niż zwykle serdeczność, a ciche chwile spędzane z nią wśród letniej pogody działały nań krzepiąco i odmładzająco. Anetka wciąż wyjeżdżała do miasta to w jednej sprawie to znów innej, przeto ojciec mógł przebywać z Fleur niemal tyle, ile sobie życzył. Ma się rozumieć, że młody Mont nabrał zwyczaju przyjeżdżania do nich motocyklem co drugi dzień w odwiedziny. Dzięki Bogu, zgolił sobie doszczętnie szarlatana! Wraz z koleżanką Fleur, bawiącą właśnie w tym domu, oraz z jakimś młodzikiem z sąsiedztwa, zawsze po kolacji tworzyli w hallu dwie pary pod muzykę elektrycznej pianoli, która bez niczyjej pomocy wygrywała foxtroty, okazując zdziwienie błyskiem swej wyrazistej powierzchni. Także i Anetka od czasu do czasu przesuwała się wdzięcznie w ramionach któregoś z młodych mężczyzn. Zaś Soames, podchodząc ku drzwiom salonu, przekrzywił nos nieco w bok i przyglądał się im, oczekując uśmiechu Fleur, przesłanego w jego stronę; potem wracał do swego fotelu koło kominka, by przeczytać *Times* lub inną gazetę, podającą cenniki obrazów. Fleur ani razu nie okazała jego oczom najmniejszego nawet śladu wspomnień o dawnych swych kapryсах.

Gdy dogoniła go na zapyłonym gościńcu, ujął ją pod ramię i tak szli dalej.

— Czy wiesz, tatusiu, kto tu był u ciebie? ... Ta osoba nie mogła czekać dłużej! ... No, zgadnij!

— Nie potrafię zgadnąć — odrzekł Soames z niechęcią. — Któż to był?

— Twoja kuzynka, Juna Forsyte.

Soames, ogłuszony tą wieścią, ścisnął mocniej ramię córki.

— Czegóż *ona* chciała?

— Nie wiem. W każdym razie było to jakby wylamaniem się z praw rodzinnej niezgody. Czy nie tak?

— Niezgody? Co za niezgody?

— Tej, która istnieje w twojej wyobraźni, ojczulku drogi. Soames wypuścił jej ramię z objęcia. Czy ona sobie z niego szydzi, czy też stara się pociągnąć go za język?

— Domyślałam się, że chciała u mnie kupić jakiś obraz — odezwał się nakoniec.

— Nie wydaje mi się. Może to był poprostu afekt rodzinny.

— Ona jest jedynie kuzynką — burknął Soames...

— I córką twojego nieprzyjaciela.

— Co przez to rozumiesz?

— Przepraszam, mój drogi; chciałam powiedzieć, że był on kiedyś nieprzyjacielem.

— Nieprzyjacielem! — powtórzył Soames. — To stare dzieje. Nie wiem, skąd zdobywasz takie wiadomości.

— Od Juny Forsyte.

Miała w tej chwili jakby natchnienie, że jeżeli ojciec pomyśli, iż ona wie o wszystkim lub znajduje się o włos od prawdy, tedy nie będzie tail przed nią niczego.

Soames był zaskoczony, jednakże Fleur za nisko oceniła jego ostrożność i upór.

— Jeżeli wiesz — rzekł chłodno — więc czemu zamęczasz mnie pytaniami?

Fleur spostrzegła, iż się omyliła w rachubach.

— Nie chcę cię zamęczać, tatusiu. Nacóż mi więcej wiedzieć, jak ty powiadasz? Nacóż wiedzieć cokolwiek o tej „małej tajemnicy“ — — *je m'en fiche*, jak powiada Profond?

— Ten drab! — rzekł Soames glucho.

Ten „drab“ grał tego lata doprawdy jakąś poważną, choć niewidzialną rolę — ponieważ już nie pojawił się powtórnie. Od owej niedzieli, kiedy to Fleur zwróciła uwagę na jego kocie spaceru po łące, Soames myślał o nim wiele, zawsze wiążąc osobę jego z Anetką — choć po temu nie miał innej przyczyny, jak ta, iż żona stała się od pewnego czasu o wiele powabniejszą niż dawniej. Jego instynkt posiadania, subtelniejszy, mniej formalny i bardziej elastyczny po przeżyciach wojennych, zachował całe podłoże dawnej nieufności i lęku. Jak, spoglądając na spokojną i miłą rzekę amerykańską zdaje sobie człowiek sprawę, iż tam w mule może czai się z rozwartą paszczką aligator, nie odróżniający się od pierwszej lepszej kłody drzewnej — podobnie i Soames spoglądał na rzekę własnej swej egzystencji, podświadomie wy-czuwając w niej osobę Monsieur Profonda, jednakże wzbraniając się dostrzec coś więcej niż cień jego paszczy. W omawianej tu epoce swego życia miał faktycznie wszystko czego tylko pragnął i był w tej mierze szczęśliwy, ile mu tylko pozwalała jego natura. Zmysły jego już się uspokoiły; uczucia znajdowały całkowity upust w przywiązaniu do córki; zbiory jego cieszyły się rozgłosem; pieniądze zdołał ulokować wspaniale; zdrowie miał przepyszne, co najwyżej czasami dolegała mu wątroba; jak dotąd, nie zaczął jeszcze troskać się poważnie, co stanie się z nim po śmierci — a skłonny był myśleć, że poprostu nic się nie stanie. Podobny był do jednego ze swych fantów wartościowych o złożonych brzegach; zdzieranie pozłótki przez przyglądanie się czemuś, czego widoku mógł uniknąć, było (czuł to instyktownie) rzeczą opaczną i nie prowadzącą do niczego. Te dwa drobne utrapienia — kapryśność Fleur i pyszczek Monsieur Profonda — wytrącały go z równowagi nawet wtedy, gdy umyślnie przytulał do nich swą głowę.



Owego wieczoru Przypadek, który nawiedza i najlepiej zabezpieczonych Forsyte'ów, włożył w ręce Fleur nitkę, po której dojść można było do kłębka tajemnicy. Ojciec przyszedł na kolację, nie wziąwszy z sobą chusteczki, a właśnie zdarzyła mu się potrzeba wytarcia nosa.

— Przyniosę ci chusteczkę, tatusiu! — zawołała Fleur i pobiegła na górę. W torebce — widocznie starej, bo okrytej spłowiałym jedwabiem — którą zaczęła przetrząsać, były dwie przegrody; w jednej z nich znajdowały się chusteczki, druga była zapięta i zawierała coś twardego i płaskiego. Fleur, wiedzioną dziecinną pustotą, odpięła tę przegrodę. Była tam ramka, a w niej zobaczyła Fleur fotografię swoją własną z lat dziecińczych. Wpatrzyła się w tę fotografię, zachwycona tem wyobrażeniem samej siebie. Fotografia obsunęła się pod jej drżącym paluszkiem — a pod spodem ukazała się druga fotografia. Fleur ściągnęła ją jeszcze więcej wdół i ujrzała twarz młodej, bardzo przystojnej kobiety w bardzo staroświeckiej sukni wieczornej. Rysy tej twarzy wydały się Fleur skądś znajome. Zasuńawszy zpowrotem swoją fotografię na dawne miejsce, wydobyla jedną z chusteczek i zeszła nadół. Dopiero na schodach zdołała sobie uświadomić, skąd twarz ta jest jej znana. Napewno — napewno matka Jona! Pewność ta uderzyła w nią jak młot. Stała cicho, oszołomiona przyływem myśli... A jakże, jakże!... Ojciec Jona poślubił kobietę, którą chciał wziąć za żonę jej ojciec... może nawet uwiódł mu ją, wydarł podstępnie... Potem, nie chcąc pokazać po sobie, że wykrada ojcu tajemnicę, zaniechała dalszych domysłów i weszła do jadalnego pokoju, powiewając jedwabną chusteczką.

— Wybrałam najmiększą, tatusiu.

— Hm! — rzekł Soames. — Tych chusteczek używam tylko, gdy mam katar. Ale mniejsza o to!

Wieczór ten zszedł Fleur na wiązaniu z sobą różnych

ubiegłych faktów. Przypomniała sobie, jaki to wyraz miała twarz jej ojca wówczas w cukierni — był to wyraz przy całej swej obcości i chłodzie istotnie poufały i dogłębny, wyraz naprawdę dziwny. Widocznie ojciec bardzo kochał tę kobietę, skoro — pomimo że ją utracił — chował jej fotografię przez tyle lat u siebie. Nieubłagane, po prokuratorsku, umysł jej zajął się zkolei badaniem stosunku ojca do jej rodzonej matki. Czy on ją naprawdę kiedy kochał? Fleur miała co do tego silną wątpliwość. Jon był synem kobiety, którą on naprawdę kiedyś kochał... Wobec tego zapewne nie powinien być przeciwnym temu, by kochała go własna córka; do tego tylko należało się przyzwyczać.

I westchnienie szczerej ulgi uwięzło w fałdach szlafrocza, który poczęła zdejmować przez głowę.

### ROZDZIAŁ III

### S P O T K A N I A

Człowiek młody dorywczo tylko i zgoła przygodnie dostrzega u kogoś cechy starości. Tak więc i Jon przed swoim powrotem z Hiszpanji nigdy naprawdę nie zdawał sobie sprawy z tego, że ojciec jego jest już stary. Twarz Jolyona czwartego, wyniszczona oczekiwaniem, wprost zatrwożyła chłopca — tak była zwiędła i wyżółkła. Maską spokoju, jaką ojciec stale przysyłał swe oblicze, wykrzywiła się nieopanowanym wzruszeniem przy spotkaniu się z żoną i synem, tak, iż Jon nagle sobie uświadomił, jak ten ojciec musiał głęboko odczuwać pustkę rozłąki. Bronił się jednakże myślą:

— No, przecież nie ja chciałem tego wyjazdu!

Okazywanie względów ludziom starszym przez młodzież było wówczas rzeczą niemodną, jednakże Jon bynajmniej nie był typowo nowoczesnym młodzieńcem.

Ojciec jego był zawsze „tak miły“ dla niego, to też nie miłym było uczucie, że trzeba przystąpić do natychmiastowego leczenia wszystkich przeżyć ojca z okresu sześciomiesięcznej samotności.

Gdy ojciec spytał:

— No i cóż, stary, jakże ci się podobał Goya? — Jon poczuł przykre wyrzuty sumienia. Wielki Goya istniał dlań tylko jako twórca postaci, przypominającej Fleur.

W noc po powrocie, udając się do łóżka, Jon pełen był głębokiej skruchy; obudził się zaś pełen różnych przewidywań. Był to dopiero dzień piąty lipca, a pierwsze spotkanie z Fleur umówione było na dziewiątego. Miał spędzić trzy dni w domu, zanimby powrócił do gospodarowania. Musiał coś wymyślić, żeby się z nią zobaczyć.

W życiu mężczyzn jest nieublagany rytm, wywołany potrzebą noszenia spodni, któremu nie mogą odmówić racji bytu nawet najbardziej rozmiłowani w synach rodzice. Na drugi dzień przeto Jon pojechał do miasta, a uczyniwszy zadość sumieniu załatwieniem pilnych spraw na Conduit Street, skierował się w stronę Piccadilly; — Stratton Street, gdzie znajdował się *jej* klub, przylegała tuż do Domu Devonshire. Musiałby to być chyba przypadek, żeby Fleur miała teraz być w klubie, jednakże Jon z bijącym sercem włókł się przez Bond Street, z zazdrością obserwując wyższość innych młodych mężczyzn nad jego osobą. Ci z taką pewnością siebie, z taką swobodą i niefrasobliwością paradowali w swych ubraniach — byli naprawdę ludźmi dorosłymi! Nagle ogarnęła go myśl uporczywa, że Fleur chyba już zapomniała o nim zupełnie. Zagłębiony przez tyle tygodni we własnym swym uczuciu, dotąd nie pomyślał o takiej możliwości. Na myśl tę osunął mu się kąciki

ust, ręce zwilżyły się potem... Fleur młodzieńcza powabem — zniewalająca uśmiechem — Fleur nieporównana! Była to chwila przykra i ciężka — jednakże Jon piastował w duchu wielkie postanowienie, że musi mieć siłę, by zmierzyć się z wszelką przeciwnością! Taką to poważną refleksją przejął się przed szybą wystawową jakiegoś sklepu antykwarycznego, gdzie oprócz słońca i kilku szarych cylindrów nie było nic godnego uwagi w tę porę, gdy ruch handlowy w Londynie obumiera. Jon ruszył w dalszą drogę i właśnie gdy mijał zakręt, mający go poprowadzić w stronę Piccadilly, natknął się na Vala Dartie, śpieszącego w stronę Iseum Club, którego członkiem został niedawno.

— Hallo, młodzieńcze! Gdzież to tak dążysz?

Jon zarumienił się.

— Byłem właśnie u krawca.

Val przyjrzał mu się od stóp do głów.

— To mi się podoba! Zajdę tutaj po papierosy; potem pójdziemy gdzie na jakie śniadanko.

Jon podziękował mu. Od Vala spodziewał się dostać jakieś wiadomości o *niej!*

Sytuacja polityczna Anglii, ta nocna zmora prasy i mężów stanu, zgoła w innej perspektywie przedstawiała się sprzedawcom tytoniu, do których sklepu obaj weszli.

— Tak, panie łaskawy; akurat takie same papierosy, jakie zwykł był brać ode mnie pański ojciec. Na Boga! Pan Montague Dartie był tu stałym klientem od roku... niechże sobie przypomnę... od roku, gdy Melton zwyciężył w Derby. Tak, był on jednym z najlepszych mych klientów. — Lekki uśmiech rozjaśnił twarz tytoniarza. — Wiele ci mi on dał napiwków, hej! Zdaje mi się, że brał dwieście takich, o, na tydzień... z roku na rok... i nigdy nie palił innych. Bardzo dobry pan, dawał mi

dobry obrót w mym handlu. Zgryzłem się, gdym się dowiedział, że go taka rzecz spotkała. Brak mi takich klientów, jak pański ojciec.

Val uśmiechnął się. Śmierć jego ojca zamknęła rachunek, ciągnący się dłużej może, niż jakikolwiek inny. W kręgu dymu, wypuszczanego z papierosa tak sędziwej marki, wydało się Valowi, że znów widzi twarz swego ojca, smagłą, przystojną, wąsami przysłoniętą, nieco puciołowatą — w jedynym nimbie, jaki sobie zdobyła. Bądź co bądź, ojciec jego cieszył się tu swojego rodzaju sławą, jak człowiek wypalający dwieście papierosów tygodniowo, dający napiwki... i zawsze miał rachunek bieżący! Dla swego sprzedawcy tytoniu był wprost bohaterem! I taką sławę też warto było dziedziczyć!

— Płacę gotówką — odezwał się. — Ile się należy?

— Dla syna pana Montague'a, i to gdy się płaci gotówką... dziewięć szylingów sześć pensów. Pana Montague'a nigdy nie zapomnę. Nierazci on ze mną stał i gawędził dobre pół godziny. Teraz nie mamy wielu takich jak on... każdy tak się śpieszy na łeb na szyję. Wojna źle wpłynęła na obyczaje, panie łaskawy... Źle wpłynęła. Widzę, że i pan był na wojnie.

— Nie! — odparł Val, uderzając się w kolano. — Dostałem to jeszcze w wojnie poprzedniej. Zdaje mi się, że sobie tem uratowałem życie. Nie życzysz sobie papierosów, Jonie?

Jon, zlekka zawstydzony, mruknął:

— Wiesz, że nie palę.

I obaczył, że kupcowi wykrzywiły się usta, jakgdyby nie wiedział, czy ma powiedzieć:

— Mocny Boże!

Czy też:

— Teraz na pana kolej!

— Masz rację — rzekł Val. — Wstrzymuj się, póki

możesz. Będiesz tego potrzebował, gdy ci się coś tego da we znaki. A więc, czy to ten sam tytoń?

— Ten samiuśki, panie łaskawy; trochę droższy, i tyle. Dziwna to potęga... to imperjum brytyjskie... Zawsze to powiadam.

— Proszę mi przysyłać co tygodnia setkę takich papierosów. Oto adres. Rachunek proszę załączać raz na miesiąc. Chodźmy już, Jon.

Jon z ciekawością wszedł do Iseeum. Nie był dotąd nigdy w klubie londyńskim — jeżeli nie liczyć śniadań, spożywanych czasem w „Hotch-Potch“<sup>1)</sup> w towarzystwie ojca. Iseeum, wygodne i bezpretensjonalne, nie posuwało się z prądem czasu — taka rzecz była niepodobieństwem, póki w komitecie zasiadał Jerzy Forsyte, którego kulinarna pomysłowość była zawsze pod kuratelą. Klub sprzeciwiał się stanowczo przyjmowaniu nuworyszów, to też Jerzy Forsyte, chcąc wprowadzić Prospera Profonda, musiał rzucić na szalę cały swój *prestige* oraz hymny pochwalne ku czci owego jakoby „tęgiego sportsmena“.

Właśnie ci dwaj jedli razem śniadanie, kiedy do pokoju weszli Val z Jonem. Jerzy skinął na nich palcem. Przysiedli się do ich stołu — Val świdrując oczyma i uśmiechając się czarująco, Jon zaś sznurując usta i nadobnie wodząc onieśmielonym wzrokiem. Ten stolik w kącie miał w sobie cechę jakiegoś uprzywilejowania, jakgdyby przy nim jadali jacyś mistrze cechu lub tajnych związków; Jon był oszołomiony tą hipnotyzującą atmosferą. Kelner o zapadłych szczękach, ilekroć się pojawiał, okazywał zawsze istic wolnomularską uległość względem zwierzchników. Wpatrywał się niejako w każde drgnienie ust Jerzego Forsyte'a, z jakąś jakby sympatją chwytając przelotne jego spojrzenia, z lubością śledził

---

1) „Bigos hultajski.“

poruszenia ciężkich sreber z godłami klubu. Jego ramię galonem okryte i jego poufały głos wprost przeraziły Jona, doszedłszy doń tak cicho i niespodziewanie.

Jerzy raz tylko zagadnął Jona:

— Twój dziadek dał mi raz trochę forsy... A jak się on wspañiale znał na cygarach!

Potem już ani on, ani też żaden z mistrzów nie zwracał uwagi na chłopaka, czemu ten zresztą rad był zupełnie. Cała rozmowa obracała się dokoła hodowli, cech i cen koni. Jon przysłuchiwał się w roztargnieniu, dziwiąc się, jak to można tyle mądrości pomieścić w głowie. Nie mógł przytem oderwać oczu od ciemnego mistrza cechu, który przemawiał tak rozważnie, tak dowodnie i nieodparcie — używając słów tak ciężkich, dziwacznych, z uśmiechu poczętych.

Naraz, gdy chłopak myślał o niebieskich migdałach, z ust owego jegomościa posłyszał słowa:

— Chciałbym widzieć, jak pan Soames Forsyte zajmuje się końmi.

— Stary Soames! Ten człowiek jest nieczuły na takie rzeczy!

Jon musiał użyć całej swej mocy, by nie oblać się pasem, gdy ciemny mistrz cechu mówił dalej:

— Jego córka to powabna mała panienka. Pan Soames to człowiek trochę staroświecki. Chciałbym widzieć, jak mu się pewnego dnia przydarzy coś milego.

Jerzy Forsyte wyszczerzył zęby w uśmiechu.

— Niech się pan nie martwi; on nie jest tak nieszczęśliwy, jak się zdaje. On nigdy nie pokaże po sobie, że coś go cieszy... bo a nuż ktoś starałby się mu to odebrać. Stary Soames! Kto się sparzył na gorącym, ten na zimne dmucha!

— Wiesz co, Jon — rzekł Val pośpiesznie — jeżeli skończył, pójdziemy napić się kawy.

— Kto są ci panowie? — zapytał Jon, gdy już byli na schodach. — Niedosłyszałem...

— Stary Jerzy Forsyte jest najbliższym kuzynem twojego ojca i mego wuja Soamesa; on przesiaduje stale w tym klubie. Drugi jegomość, Profond, to dziwaczna figura. Coś mi się zdaje, że on się kręci koło żony Soamesa.

Jon spojrział na niego, przerażony.

— Ależ to byłoby okropne! — ozwał się. — To jest... chciałem powiedzieć... byłoby to okropne dla Fleur.

— Nie sądź, że Fleur bardzo się tem przejmuje. Ona jest bardzo nowoczesna.

— Ależ to jej matka!

— Masz jeszcze zielono w głowie, Jonie.

Jon poczerwieniał.

— Różne bywają matki! — wyjąkał gniewnie.

— Masz rację — odpowiedział Val tonem nagłym — ale dziś już nie bywa tak, jak bywało, gdym jeszcze miał twoje lata. Dziś jest dewizą: „Kto wie, czy jutro żyć będziemy.“ To właśnie miał na myśli stary Jur, mówiąc o Soamesie. On to nie myśli o tem, by go jutro śmierć czekała.

Jon rzucił wartkie pytanie:

— Jakąż to sprawę miał on z moim ojcem?

— Ściśle poufną, mój Jonie. Posłuchaj mej rady i zostaw tę sprawę w spokoju. Nic ci z tego nie przyjdzie, że się dowiesz. Czy pozwolisz likieru?

Jon potrząsnął głową.

— Nie lubię, gdy ludzie tają coś przed kimś — mruknął — a potem podrzwają sobie z niego, że ma zielono w głowie.

— No dobrze, możesz spytać Holly. Jeżeli *ona* ci nic nie powie, tedy pewnie uwierzysz, że robi się to tylko dla twego dobra.

Jon powstał.



— Muszę już odejść. Dziękuję ci za śniadanie.

Val uśmiechnął się do niego napół ze smutkiem, jednakże w duchu nieco go bawiła ta czupurność i rozdrażnienie chłopca.

— Doskonale! Dowidzenia w piątek!

— Jeszcze niewiadomo — bąknął Jon.

Istotnie nie wiedział. Ta konspiracja milczenia przeprowadzała go do rozpacz. To traktowanie go jako dzieciaka było dla niego wprost upokarzające! Powlókł się zpowrotem na Stratton Street. Teraz jednakże zdecydował się pójść do jej klubu, choćby miał się narazić na wieść najgorszą!... Na jego zapytania dano mu odpowiedź, że panny Forsyte niema w klubie — i może przyjdzie dopiero później. Bywała tu często w poniedziałki, ale dokładniejszej informacji dać mu nie umiano. Jon zapowiedział, że jeszcze tu przyjdzie; następnie, zapuściwszy się w aleje Green Park'u, znalazł odpoczynek pod jednym z drzew. Słońce świeciło jasno, a lekki wietrzyk szumiał w listowiu lipy; jednakże chłopak, leżąc pod lipą, czuł w sercu ból dotkliwy — taki mrok zdawał się gromadzić wokół jego szczęścia.

Ponad zgielkiem ulicznym wyróżnił się głos „Wielkiego Bena“, wydzwanającego trzecią godzinę. Dźwięk ten potrafił w chłopcu jakąś nutę. Dobywszy ćwiartkę papieru, Jon począł na niej coś gryzmolić ołówkiem. Napisał już jedną i błędził okiem po trawie, szukając natchnień do drugiego wiersza, gdy naraz coś twardego dotknęło jego ramienia — była to zielona parasolka. Ponad nim stała Fleur we własnej osobie!

— Mówiono mi, żeś był i że masz powrócić. Zaraz sobie pomyślałam, że pewno cię tu znajde. I znalazłam... prawda, że to pyszne!

— Och, Fleur! Myślałam, żeś już zapomniała o mnie!

— Przecież ci mówiłam, że nie zapomnę!

Jon ujął mocno jej ramię.

— Zawiele szczęścia naraz! Ale chodźmy stąd!

Ciągnął ją prawie przemocą przez ten mądrze uregulowany park, póki nareszcie nie udało mu się znaleźć jakiegoś zacisznego miejsca, gdzie mogli usiąść i trzymać się wzajemnie za ręce.

— Czy nikt nie podgląda? — spytał Jon, zapatrzony w jej powieki i pochylony ku jej policzkom.

— Jest tam jakiś młody idjota, ale można go nie brać w rachubę.

W Jonie zbudziła się odrobinka współczucia — dla młodego idjoty.

— Czy wiesz, że miałem porażenie słoneczne? Nie donosiłem ci o tem.

— Naprawdę! Czy było to coś poważnego?

— Nie. Mama to prawdziwy anioł. A tobie nic się nie zdarzyło?

— Nic... Chyba to, że podobno odkryłam, co poróżniło nasze rodziny, Jonie.

Serce Jona poczęło bić gwałtownie.

— Zdaje mi się, że mój ojciec chciał ożenić się z twoją matką... a tymczasem dostał ją twój ojciec.

— Och!

— Znalazłam jej fotografię; była w ramce poza moją fotografią. Oczywiście, jeżeli on ją bardzo kochał, to rzecz ta musiała go doprowadzać chyba do szaleństwa. Co sądzisz?

Jon namyślił się chwilę.

— Myślę, że nie... jeżeli matka wołała mego ojca.

— A dajmy na to, że byli z sobą zaręczeni?

— Gdybyśmy tak my byli zaręczeni i gdybyś ty przekonała się, że kochasz kogoś więcej niż mnie, byłbym zdruzgotany, ale nie stawałbym ci na zawadzie.

— Ja zaś uczyniłabym w tym wypadku zgoła inaczej. Nie powinienes ze mną nigdy tak postąpić, Jonie!

— Na Boga! Ani mi to przez myśl nie przeszło!

— Nie zdaje mi się, by ojciec był naprawdę kiedykolwiek przywiązany do mej matki.

Jon zamilkł. Przyszły mu na myśl słowa Vala oraz dwóch mistrzów w klubie.

— Widzisz, my tego nie wiemy — mówiła dalej Fleur; — a może to był jakiś wstrząs bardzo silny. Może matka źle odnosiła się do niego. U ludzi to bywa.

— Moja matka tegoby nie zrobiła!

Fleur wzruszyła ramionami.

— Zdaje mi się, że niewiele wiemy o naszych ojcach i matkach. Oglądamy ich tylko przez pryzmat ich stosunku do nas samych... jednakże oni też musieli się rozmaicie odnosić do różnych ludzi jeszcze przed naszym urodzeniem... i ponoć wielu było tych ludzi. Widzisz przecie, że oboje są już starzy. Spójrz na swojego ojca... głowę trzech oddzielnych rodzin!

— Czy w tym okropnym Londynie — krzyknął Jon — niema takiego miejsca, gdziebyśmy mogli zostać sam na sam?

— Chyba w taksówce!

— Bierzmy więc taksówkę!

Gdy już wsiedli, Fleur nagle zapytała:

— Czy wybierasz się zpowrotem do Robin Hill? Chciałabym zobaczyć to miejsce, gdzie ty mieszkasz, Jonie. Ja nocuję u ciotki, ale zdążyłabym jeszcze wrócić na kolację. Do domu, oczywista rzecz, nie wejść.

Jon wpatrzył się w nią, pełen zachwytu.

— Wyśmienicie! Dojdziemy do wyřębu, skąd widać całą miejscowość. Nie spotkamy nikogo. O czwartej będziesz miała pociąg.

Bożek własności oraz podlegli mu Forsytowie, wielcy i mali, zbijacze bąków, urzędnicy, handlowcy i fachowcy, odrabiali jeszcze — jak warstwy pracujące — siedem godzin swych zajęć powszednich, to też tych dwoje przedstawicieli czwartego pokolenia jechało bez skrę-

powania próżnym wagonem pierwszej klasy, zakurczonym i wygrzany od słońca; dla tamtych bowiem wszystkich był to jeszcze pociąg zawczesny.

Jechali w błogiem milczeniu, trzymając się za ręce. Na stacji nie zobaczyli nikogo prócz tragarzy oraz kilku chłopów nieznanymi Jonowi. Wyszli na dróżkę, pachnącą kurzem i miodową patoką.

Dla Jona — który był już pewny Fleur i nie miał przed sobą rozłąki — była to cudowna przechadzka, bardziej czarowna niż przechadzki po Wzgórzach lub nad brzegiem Tamizy. Była to miłość wśród mgły — jedna z tych barwnych kart żywota, gdzie każde słowo i uśmiech, i każde, choćby najlżejsze, ich dotknięcie wzajemne były naksztalt złotych, czerwonych i niebieskich motylków, kwiatuszków i ptasząt wplecionych pomiędzy tekst pisany — było to szczęsne zjednoczenie się, bez myśli o przyszłości — — trwające trzydzieści siedem minut. W godzinie podoju dotarli do wyrębu. Jon nie chciał jej doprowadzać w obręb folwarku — jeno do miejsca, gdzie Fleur mogła widzieć pole, wznoszące się ku ogrodowi, oraz dom stojący poza niem. Skierowali się ku kępie modrzewi — i naraz na zakręcie ścieżki natknęli się na Irenę, siedzącą na ławce ze starych dylów.

Różne bywają rodzaje wstrząsów; jedne z nich działają na rdzeń pacierzowy, inne na nerwy, inne na wrażliwość moralną, inne wreszcie — potężniejsze i bardziej trwałe — na godność osobistą. Takiego właśnie wstrząsu doznał Jon, zetknąwszy się z matką w tych właśnie okolicznościach. Nagle uświadomił sobie, że popełnia jakąś niedelikatność. Przywieść tu Fleur zupełnie otwarcie — na to zgoda! Ale przywlec ją tu chyłkiem, w ten sposób! Trawiony wstydem, starał się okazać tyle bezczelności, na ile pozwalała mu jego natura.

Fleur uśmiechała się, w sposób nieco wyzywający. Wyraz zdumienia na twarzy Ireny ustąpił niebawem

miejsca obojętnej, acz nieco wyniosłej, uprzejmości. I nie kto inny, tylko właśnie matka Jona zagaiła rozmowę:

— Bardzo się cieszę, że panią widzę. Bardzo to ładnie ze strony Jona, że pomyślał o przywiezieniu pani do nas.

— Myśmy nie mieli zamiaru wchodzić do domu — wykrztusił z siebie Jon. — Chciałem tylko pokazać Fleur miejsce naszego zamieszkania.

Matka odpowiedziała spokojnie:

— Czy pani nie pozwoli do nas na herbatę?

Uświadamiając sobie niezręczność sytuacji, wynikłą z jego światowego nieobycia, Jon posłyszał odpowiedź Fleur:

— Bardzo pani dziękuję. Muszę przed kolacją jeszcze wrócić do domu. Spotkałam Jona przypadkiem w mieście i przyszło nam na myśl, że byłaby to wielka uciecha, gdybym mogła przyjrzeć się jego domowi.

Jak ta dziewczyna umiała panować nad sobą!

— Wszystko pięknie i ładnie, ale pani *musi* zostać na herbacie. My panią odwieziemy na stację. Mąż mój bardzo się ucieszy, gdy będzie mógł panią widzieć.

Wyraz oczu matczynych, które przez chwilę spoczęły na twarzy syna, zniżył Jona aż do samej ziemi — niby robaka jakiego. Gdy matka zaczęła iść ku domowi, prowadząc Fleur za sobą, on włókł się nieśmiało, niby dziecko, za niemi obiema, wiodącemi tak swobodną rozmowę o Hiszpanji, o Wansdon i o domu wznoszącym się z ponad drzew i trawiastego zbocza. Przyglądał się bacznie szermierce ich oczu, chłonących wzajem siebie — dwie istoty najbardziej przezeń kochane w całym świecie.

Na widok ojca, siedzącego w cieniu dębu, Jon zgóry już przeżył całą niesławę i utratę godności osobistej, na jaką zasłużył w oczach tego człowieka smukłego, sędziwego i eleganckiego, w którego postawie beztroskiej (nogę miał założoną na nogę) uwydatniało się tyle uro-

czystego spokoju. Czuł już delikatną ironję, jaka miała odbić się w jego uśmiechu i głosie.

— To Fleur Forsyte, Jolyonie; Jon przywiózł ją, żeby przyjrzała się naszemu domowi. Zasiądźmy zaraz do podwieczorku... żeby jeszcze mogła zdążyć na pociąg. Jonie, bądź tak dobry, powiedz, żeby podawano herbatę i zatelefonuj po samochód.

Zostawienie Fleur sam na sam z jego rodzicami tworzyło sytuację dziwną, jednakże — jak niewątpliwie przewidywała matka — narazie kładło kres dalszym klęskom, wobec czego Jon pobiegł pędem do domu. Oto teraz nie będzie mu nigdy danem widzieć się z Fleur bez świadków, a przecie nawet nie umówili się co do dalszych spotkań!... Gdy powrócił pod osłoną dziewczyn służebnych i filiżanek z herbatą, już pod drzewem nie było ani śladu jakiegokolwiek skrępowania — cały kłopot przeszedł teraz na niego, jednakże bynajmniej przez to się nie zmniejszył. Rozmawiano o galerji na Cork Street.

— My ludzie starej daty — mówił ojciec — ogromnie bylibyśmy radzi dowiedzieć się, czemu to nie potrafimy poznać się na wartości nowej sztuki; pani i ty, Jonie, winniście nam to wyjaśnić.

— Zdaje się, że sztuka ta ma jakoby charakter satyryczny... czy tak? — wyraziła się Fleur.

Na twarzy ojca wykwitł uśmiech.

— Satyryczny? O, zdaje mi się, że jest w tem jeszcze coś więcej. Co ty o tem sądzisz, Jonie?

— Nie wiem doprawdy nic o tem — zająknął się Jon.

Twarz ojca nagle sposepniała.

— Młodzi są już znużeni nami, naszemi ideałami i bożyszczami. „Precz z nimi, powiadają, wytepić ich... rozkruszyć ich bożyszczka! I powrócmy znów — do nicości!“ I dalibóg, że to czynią! Jon jest poetą. On też wejdzie w to koło i będzie deptał po tem, co z nas

pozostało. Własność, piękno, sentyment... wszystko to czczy dym! Dziś niewolno nam posiadać niczego, nawet uczuć! Wszystko to stoi na zawadzie — Nicości!

Jon słuchał, stropiony, niemal urażony słowami ojca, w których wyczuwał sens jakiś, nie dający się jeszcze uchwycić. Przecież on nie chciał deptać po niczem!

— Nicość jest bóstwem dnia dzisiejszego — ciągnął dalej Jolyon; — powracamy tam, gdzie przed sześćdziesięcioma laty stanęli Rosjanie, gdy rzucali hasła nihilizmu.

— Nie, tatusiu — zawołał nagle Jon — my jedynie chcemy *żyć*, tylko nie wiemy, jak... ze względu na przeszłość. W tem cała rzecz!

— Do paralusza! — ozwał się Jolyon — to głęboka uwaga, Jonie. Czy twoja własna? Przeszłość!... Stare własności, stare namiętności... i ich poklosie. Ale zapalmy papierosy.

Zauważywszy, że matka podniosła rękę szybko ku ustom, jakgdyby chciała coś uciszyć, Jon poczęstował obecnych papierosami. Podał ogień ojcu, potem Fleur, nakoniec zaś sam wziął się do palenia. Czyżby doznał owego wstrząsu, przed którym Val go ostrzegał? Dym był błękitny, gdy chłopak się nie zaciągał, a szary gdy się zaciągnął. Jonowi w smak poszło swędzenie, wyczuwane w nosie, oraz poczucie równości z osobami starszemi; cieszył się, że nikt nie powie: „A więc zaciąłeś!“ Czuł się nie tak już młodym jak dawniej.

Fleur spojrzała na zegarek i powstała z krzesła. Irena weszła z matką do domu. Jon pozostał z ojcem, łykając dym papierosa.

— Odprowadź ją do samochodu, mój stary — ozwał się Jolyon — a gdy już odjedzie, poproś matkę, żeby do mnie przyszła.

Jon wyszedł. Zaczekał w hallu, a następnie pomógł Fleur wsiąść do samochodu. Nie było czasu i można-

ści na wymianę słów — ledwo że go starczyło na uścisk dłoni.

Przez cały wieczór Jon oczekiwał, że go ktoś o coś zagadnie. Jednakże nikt nie zagadnął go o nic. Może nawet nic się nie stało...

Udając się na spoczynek, spotkał się z samym sobą w lustrze toaletki. Nie mówił nic, i milczało też jego odbicie — jednakże i on, i ono wyglądali tak, jakgdyby tem więcej tajemnic kryło się w ich myślach.

## ROZDZIAŁ IV NA GREEN STREET

Niewiadomo, czy wrażenie, że Prosper Profond jest niebezpieczną osobą, należało przypisać gotowości, z jaką ofiarował Valowi klaczkę Mayfly; czy też uwadze Fleur: „On się zachowuje tak, jak właściciele traktjerni; wciąż krąży i krąży cichaczem wokoło“; czy durnemu zapytaniu, zwróconemu pod adresem Jacka Cardigana: „Co z tego komu przyjdzie, że będzie się trzymał przyzwoić?“ — czy może poprostu temu, że był cudzoziemcem, czyli — jak się teraz mówić zwykło — obcym. Natomiast wiadomo było, że Anetka wyglądała niezwykle uroczo oraz, że Soames sprzedał mu obraz Gauguin'a, a następnie podarł czek w kawałki, tak iż sam Monsieur Profond oświadczył:

— Nie dostałem tego małego obrazu, który kupiłem od pana Forsyte.

Chociaż patrzano nań podejrzliwie, jednakże bywał stale w wiecznie zielonym domku Winifredy na Green Street, na każdym kroku okazując dobroduszną tępotę, której nikt nie poczytywał za naiwność — to bowiem określenie zgoła nie pasowało do osoby M. Prosper Profonda.



Winifreda w dalszym ciągu uważała go za „zajmującego“ i posyłała mu wciąż bileciki tej treści:

— Proszę przyjść; będziemy mieli „frajdę“.

Poczytywała sobie za cechę żywotności używanie wyrażań z języka potocznego.

Tajemniczość, którą wedle powszechnego mniemania miał być otoczony, wynikała stąd, że on jakoby wszystko widział, wszystko słyszał i poznał, wszystkim się zajmował i we wszystkim tem nie znalazł niczego — to było zgoła rzeczą nienaturalną. Angielski typ sceptycyzmu był dobrze znany Winifredzie, która zawsze obracała się w sferach hołdujących modnym hasłom; sceptycyzm ten nadawał zawsze jakieś piętno lub znamię, na którem zawsze można było zyskać cośniewoś. Atoli nie widzieć zgoła *niczego* w jakiejś rzeczy — i to nie dla pozy, ale dlatego, że naprawdę w niczem nie było niczego — było to zgoła nie po angielsku; co zaś nie było w zasadzie angielskie, to mimowoli odczuwało się jako coś niebezpiecznego, a nawet prawie że nieprzyzwoitego. Nawet Winifreda, w sercu zawsze wierna naturze Forsytów, zdawała sobie sprawę, że tego rodzaju dziwaczny sceptycyzm nie prowadzi do niczego, więc nie powinien wcale mieć miejsca. Monsieur Profond w istocie cudactwo swoje zanadto uzewnętrzniał w kraju, który płaszczkiem przyzwoitości osłaniał podobne drażliwe sprawy.

Gdy Fleur, powróciwszy co tchu z Robin Hill, przybiegła na kolację, „dziwadło“ stało już w oknie saloniku Winifredy i wyglądało na ulicę z taką miną, jakgdyby nie dostrzegąło tam niczego. Fleur wpatrzyła się w kominiek, przybierając taką minę, jakgdyby widziała płomień, którego tam nie było.

Monsieur Profond odszedł od okna. Był w stroju wieczorowym — miał białą kamizelkę, a w dziurce od guzika tkwił kwiat biały.

— Doprawdy, panno Forsyde — odezwał się —

ogromnie się cieszę, że panią widzę. Czy zdrów pan Forsyde? Mówilem dzisiaj, że chciałbym zrobić mu małą przyjemność. On się czemś gryzie.

— Pan tak sądzi?

— Gryzie — powtórzył Monsieur Profond, gardłowo wymawiając dźwięk r.

Fleur obróciła się w kółko.

— Chce pan wiedzieć — spytała — co prawil oby mi przyjemność?

Jednakże słowa: „Wiadomość, że pan wyniósł się na cztery wiatry“ zamarły na jej ustach, gdy spostrzegła wyraz jego twarzy. Widać było wszystkie jego piękne białe zęby, dziwnie wyszczerzone.

— Dziś w klubie slyszalem o dawnych jego strapieniach.

Fleur otwarła oczy szeroko.

— Co pan przez to rozumie?

Monsieur Profond poruszył swą gładko wylizaną głową, jakgdyby chciał osłabić i zbagatelizować wypowiedziane przed chwilą oświadczenie.

— To jeszcze było przed urodzeniem się pani; to mała sprawa.

Fleur czuła wprawdzie, że Profond, umyślnie przeszedł na inny temat, ażeby zatuszować przed nią własną rolę w zgryzotach ojca; jednakże nie mogła oprzeć się odruchowi nerwowej ciekawości.

— Proszę mi powiedzieć, co pan slyszal.

— POCO? — mruknął Monsieur Profond — przecież pani zna całą tę historję.

— Pewnie, że znam. Chciałabym jednak wiedzieć, czy pan przypadkiem nie slyszal wieści fałszywych.

— Pierwsza żona jego — bąknął Monsieur Profond.

Stłumiwszy w sobie sprzeciw: „On nigdy w pierw nie był żonaty“ — spytała:

— No i cóż z nią było?

— Pan Jerzy Forsyde opowiadał mi, że pierwsza żona ojca pani wyszła później za jego kuzyna Jolyona. Myślę, że musiała to być mała nieprzyjemność. Widziałem jej syna... ładny chłopak!

Fleur spojrzała w górę — kręciło się jej w głowie. Monsieur Profond, djabelsko okropny, kręcił się przed jej oczyma. Więc to... było przyczyną! Największym wysiłkiem, na jaki wogóle dotąd potrafiła się zdobyć, udało się jej zatrzymać w miejscu tę tańczącą figurę. Nie umiała powiedzieć, czy on to zauważył. W tejsze chwili weszła do pokoju Winifreda.

— Aha! jesteście już tu oboje! Ja z Imogeną miałyśmy dziś popołudniu przemiłe chwile w bazarze dziecięcym.

— Jakich dzieci? — zapytała Fleur machinalnie.

— Komitetu „Ratujcie dzieci“. Przynoszę taki na-  
bytek, moja droga. Stary wyrób ormiański... jeszcze przedpotopowy. Chciałabym słyszeć pańskie zdanie o tem, panie Prosperze.

— Ciociu — szepnęła nagle Fleur.

Taki był ton w jej głosie, że Winifreda przysunęła się do niej jak mogła najbliżej.

— Co się stało? Czy się czujesz niedobrze?

Monsieur Profond przed chwilą cofnął się do wnęki okiennej, skąd nie mógł podsłuchać ich rozmowy.

— Ciociu... on... on mi opowiedział, że tatuś już przedtem raz był żonaty. Czy to prawda, że ona się z nim rozwiodła i wyszła za ojca Jona Forsyde'a?

Choć Winifreda była matką czterech młodych lato-  
rośli, jednakże nigdy w życiu nie czuła się bardziej za-  
anbarasowaną jak w tej chwili. Twarz siostrzenicy taka  
była blada, oczy tak ciemne, głos tak stłumiony i pełen  
naprężenia!...

— Ojciec twój nie życzył sobie, byś o tem wiedziała

— odpowiedziała z całym spokojem, na jaki mogła się

zdobyć. — Takie rzeczy się zdarzają. Nieraz mówiłam, że powinien opowiedzieć ci rzecz całą.

— Och! — na taką tylko odpowiedź zdobyła się Fleur, jednakże Winifreda poklepała ją za to po ramieniu... po drobnem, krzepkiem ramieniu, tak białem i wdzięcznym! Nigdy nie umiała powstrzymać się od pochwalnego spojrzenia i gestu, gdy szło o synowicę, która już w sam raz nadawała się do zamążpójścia — jednakże chyba nie za chłopczyne — Jona...

— Myśmy o tem oddawna zapomnieli... tak to było dawno! — rzekła. — Chodźmy na kolację!

— Nie, ciociu! Czuję się niebardzo dobrze. Czy mogę pójść na górę?

— Moja droga! — rzekła półgłosem Winifreda, zaniepokojona — chyba nie bierzesz sobie tego do serca? Przecież jeszcze nie wstąpiła należycie w świat! Ten chłopak jest jeszcze dzieckiem!

— Jaki chłopak?... Mnie tylko głowa boli. Ale z tym panem nie mogłabym wytrzymać przez wieczór dzisiejszy.

— No dobrze, dobrze! — odrzekła Winifreda; — idź i połóż się do łóżka. Poślę ci bromu i pogadam z Prosperem Profondem. Co go nadało rozgłaszać te sprawy? W każdym razie sądzę, iż lepiej się stało, żeś się o tem dowiedziała.

Fleur uśmiechnęła się.

— Tak — odparła i wymknęła się z pokoju.

Gdy szła na górę, w głowie się jej kręciło, w gardle czuła jaką dziwną, palącą suchość, a w piersi trzepotał jakiś lęk i niepokój. Dotychczas ilekroć opanowała ją choćby przelotna obawa, zawsze można było dorozumieć się, jaki to ciężar spoczywa na sercu. Już same wrażenia popołudniowe były dogłębne i drażniące — nadmiar zaś przyszło owo straszne odkrycie, z którego naprawdę rozboleła ją głowa. Nic dziwnego, że ojciec w takim sekrecie przechowywał ową fotografię poza fotografią

jej własną? Wstydził się, że ją przechowuje! Ale czy mógł nienawidzić matkę Jona, a mimo to przechowywać jej fotografie?

Przycisnęła ręce do czoła, usiłując rozjaśnić sobie wszystko. Czy oni powiedzieli Jonowi?... Czy jej wizyta w Robin Hill zmusiła ich do odstonienia mu prawdy? Wszystko się spiknęło ku temu! Ona o tem wiedziała — wszyscy wiedzieli — z wyjątkiem może jednego Jona!

Chodziła tam i zpowrotem, gryząc wargę i rozmyślając z desperacką zawziętością. Jon kochał swą matkę... jeżeli więc oni mu wszystko powiedzą, jakże on się zachowa wobec tego? Nie umiała na to dać odpowiedzi... Ale jeżeli nie powiedzieli mu nic... to czy ona nie powinna... nie mogłaby zdobyć go dla siebie... wyjść za niego, zanim się on dowie o wszystkim? Odgrzebała wspomnienia z Robin Hillu. Przypomniła sobie twarz jego matki — której bierny wyraz, powściągliwość i uśmiech, ciemne oczy i jakby przypudrowane włosy napełniały ją zakłopotaniem; potem twarz jego ojca — uprzejmą, przygnębiającą, ironiczną. Czuła instynktownie, że oboje wzbraniałoby się opowiedzieć Jonowi całą prawdę, wzbraniałoby się nawet go zadrasnąć — bo doprawdy ta wiadomość zadrasnęłaby go dotkliwie!

Należało zatem uprzedzić ciotkę, żeby nie mówiła ojcu, iż ona już wie o wszystkim. Dopóki nie podejrzewano ani jej ani Jona, że są już wtajemniczeni we wszystko, póty była jeszcze możliwość zatarcia śladów i dopięcia wszelkich zamierzeń. Jednakże czuła się niemal powalona o ziemię swem osamotnieniem. Wszyscy podali sobie ręce przeciwko niej... wszyscy! Było tak, jak powiedział Jon: — i on i ona pragnęli żyć, tymczasem na zawadzie stawała im przeszłość — przeszłość, której nie rozumieli i w której nie brali udziału! Ach,

co za hańba!... Naraz przysła jej na myśl Juna; może ona zechciałaby im pomóc? Albowiem Juna, bądź co bądź, wywarła na niej wrażenie osoby sympatyzującej z ich miłością, zrymającej się na przeszkody.

Jednakże naraz Fleur pomyślała instynktownie:

— Nie chcę zdradzać się przed nikim, nawet przed nią. Nie ważę się na to! Chcę mieć Jona... mieć go wbrew wszystkim na świecie!

Wniesiono zupełną oraz ulubione pigułki Winifredy, zabezpieczające od bólu głowy. Połknęła jedno i drugie. Niebawem ukazała się i sama Winifreda. Fleur rozpoczęła kampanję od słów następujących:

— Wiesz co, ciociu, nie życzę sobie, by ludzie myśleli, że ja się kocham w tym chłopcu. Przecież ledwo miałam sposobność widzieć go na oczy!

Winifreda, choć doświadczona, nie była *fine*, to też rzeczoną uwagę przyjęła z widoczną ulgą. Ponieważ dla młodego dziewczęcia niemiłą — oczywiście — rzeczą była wiadomość o skandalu rodzinnym, przeto zabiegliwa ciotka postawiła sobie za zadanie umniejszyć znaczenie całej sprawy; do zadania tego była niepospolicie uzdolniona, „wzrósłszy“ przystojnie pod opieką ojca-wygodnisia i matki, której nerwów nie wolno było drażnić, następnie zaś przeżywszy lat wiele jako żona Montague'a Dartie. Dzięki temu jej opowieść była majstersztykiem niedomówień. Pierwsza żona ojca Fleur była wielką wietrzną i lafiryndą. Nawinał się jej potem pewien młokos, dla którego porzuciła ojca Fleur. Potem po latach, gdy wszystko już — już miało się znów załagodzić, ona zadała się z ich kuzynem Jolyonem, wobec czego ojciec — rzecz prosta — był zmuszony rozwieść się z żoną. Obecnie — mówiła dalej Winifreda — nikt już o tem nie pamięta, poza najbliższą rodziną. Kto wie zresztą, czy nie stało się, jak tylko stać się mogło najlepiej: oto ojciec ma dziś Fleur, Jolyon

i Irena są podobno bardzo szczęśliwi, a ich syn jest ładnym chłopcem.

— A o tem, jak Val dostał Holly, także jest cała historia... możeś słyszała?

Lejąc balsam takich słów, Winifreda jednocześnie klepała bratanicę po ramieniu, myśląc:

— Mile bobo!

Poczem wróciła do Prospera Profonda, który pomimo swej niedyskrecji był tego wieczoru bardzo „zajmujący“.

Przez parę minut po odejściu ciotki, Fleur zostawała pod materialnym i duchowym wpływem bromu. Ale wnet powróciła rzeczywistość. Ciotka w opowiadaniu swem pominęła wszystko, co miało treść istotną i zasadniczą — wszystkie uczucia, nienawiść, miłość, nieubłaganą zawziętość serc roznamiętnionych... Fleur, która tak niewiele zaznała życia i tknęła się jedynie rąbka miłości, spostrzegła jednakże instynktem, że słowa mają tylko nikły związek z faktem i uczuciem, jak moneta niewielką ma styczność z chlebem, który się za nią kupuje.

— Biedny ojciec! — myślała. — I ja biedna! Biedny Jon! Ale mniejsza o wszystko... ja muszę go mieć!

Z okna swego pokoju, zasnutego już mrokiem, dostrzegła „tego człowieka“, wychodzącego z drzwi na dole i „wykradającego się“ precz. Gdyby matka i on... jak wpłynęłoby to na jej sprawę? Niewątpliwie ojciec jeszcze ściślej przygarnąłby się do niej, tak iż wkońcu zgodziłby się na wszystkie jej żądania albo tem prędzejby się pogodził z tem, co ona zrobiła bez jego wiedzy.

Wzięła z doniczki, stojącej na oknie, bryłkę ziemi i z całej siły cisnęła ją za znikającą postacią Profonda. Bryłka upadła za blisko, jednakże sama czynność rzutu dała Fleur pewną satysfakcję.

Z Green Street nadpłynął powiew powietrza, przesyconego niemiłym zapachem nafty.

## ROZDZIAŁ V

### SPRAWY CZYSTO FORSYTOWSKIE

Soames, przybywszy do miasta w zamiarze udania się pod wieczór na Green Street i zabrania stamtąd Fleur, przeżuwał w sobie myśli poważne. Nie przyjmując udziału w sprawach administracyjnych, rzadko obecnie odwiedzał stolicę, jednakże miał własny pokój u „Cuthcotta Kingsona i Forsyte'a“ oraz specjalnego biuralistę — i w połowie brał na siebie trud kierowania czysto Forsytowskiemi sprawami. Właśnie podówczas było z niemi dość krucho — nadeszła ważna chwila rozporządzenia się własnością domu. Soames załatwiał sprawę majątku swego ojca i stryja Rogera, a w pewnej mierze także i stryja Mikołaja. Jego zręczność, znajomość rzeczy a nadewszystko rzetelność w sprawach monetarnych zrobiły z niego jakgdyby autokratę we wszystkich związanych z tem kwestjach. Gdy Soames myślał o danej rzeczy, najlepiej było oszczędzić sobie niepotrzebnego trudu myślenia o tem samem. On niejako brał na siebie odpowiedzialność za nieodpowiedzialny tryb życia licznych Forsytów trzeciego i czwartego pokolenia. Jego współpowiernicy, tacy jak kuzynowie Roger i Mikołaj, powinowaci Tweetyman i Spender, lub mąż jego siostry Cecylji, wszyscy darzyli go pełnem zaufaniem; on podpisywał pierwszy, a inni podpisywali wszystko co on podpisał — i nikt nie stracił na tem ani pensa; owszem, wszyscy na tem zyskiwali niejednego pensa, a Soames zaczął przewidywać zamknięcie pewnych wierzytelności.

Przechodząc przez bardziej rozgorączkowane części City w stronę najzaciszniejszej ustroni Londynu, przeżuwał w sobie myśli. Z pieniędzmi było nader kuso, a moralność niezmiernie się rozluźniła! Wszystko to rezultat wojny. Banki nie udzielały pożyczek, ludzie raz wraz łamali i zrywali umowy. Była jakaś dziwna



atmosfera i jakiś wyraz twarzy ludzkich, który mu się nie podobał. Kraj cały zdawał się być jakimś zaczarowanym kręgiem szulerki i bankructwa. Pocięzać się można było myślą, że ani on, ani żaden z poruczonych mu majątków nie miał lokaty, któraby mogło naruszyć coś mniej warjackiego, jak państwowa amortyzacja lub podatek od kapitału. Jeżeli Soames wierzył czemukolwiek, to przede wszystkim temu, co nazywał „angielskim, zdrowym rozsądkiem“ — czyli zdolności osiągnięcia zamierzeń drogą taką lub owaką. Mógł — jak poprzednio ojciec jego Jakób — mówić, że nie wie, ku czemu rzecz dana idzie, jednakże w głębi serca nigdy nie wierzył, by szła ku czemuś. Gdyby owa zdolność w nim spoczęła beczynnienie, żadna sprawa nie ruszyłaby się prosto... a ostatecznie był on tylko Anglikiem takim, jak inni, tak w cichości ducha przywiązany do tego co posiadał, że zdawał sobie sprawę, iż nigdyby się z daną rzeczą nie pożegnał, nie dostawszy wzamian czegoś o mniej więcej równej wartości. Jego umysł był zasadniczo ekwilibrystyczny w sprawach materialnych, a regułą mu było poczytywać stosunek do państwa za coś niezwalzonego w społeczeństwie złożonym z istot ludzkich. Biorąc jako przykład samego siebie, czuł, iż jest zupełnie w porządku. Powodziło mu się dobrze — ale czy to mogło komu szkodzić? Nie jadał przecie dziesięć razy dziennie — odżywił się tak skromnie, a może i skromniej, jak człowiek niezamożny. Nie trwożył pieniędzy na żadne zdrożności, nie chłonał w siebie więcej powietrza niż ktokolwiek, nie pijał więcej, dajmy na to, wody, niż mechanik lub portjer. Prawda, że miał wokoło siebie wiele cacek, jednakże one przez sam swój wyrób dały niegdyś komuś zatrudnienie — no, i ktoś przecie musiał ich używać. Kupował obrazy — przecie należało popierać i ośmielać sztukę. Był, doprawdy, przygodnym kanałem, przez który przepływały pienią-

dze, dając zarobek pracującym. Cóż w tem mogło być nagannego? Pieniądze przez niego użyte miały obrót prędszy i bardziej pożyteczny, niż gdyby miały być użyte przez państwo i przez gromadę urzędników łasych na pieniądze. Co się zaś tyczy tego, co oszczędzał rocznie — to miało obrót taki sam, jak to czego nie oszczędzał, gdyż szło na coś zdrowego i pożytecznego. Państwo nie płaciło mu remuneracji za to, że dysponował swojemi lub cudzemi pieniędzmi — *on to robił wszystko za darmo.*

Po wkroczeniu w ową zatoń zupełnej ciszy trapiła go szczególnie myśl, że zgraja niesumiennych Trustów i innych kombinacyj zasypywały rynek towarem wszelkiego rodzaju i utrzymywały sztuczną zwyżkę cen. Tacy wyzyskiwacze systemu indywidualistycznego byli tymi łotrami, co powodowali cały skweres — to też było niejaka satysfakcją widzieć, jak te ryby nie chcąc w jednej chwili pograżać wszystkiego na dno, wpadały nakoniec do sadzawki, skąd wędrowały już wprost do kotła z zupą.

Biuro „Cuthcotta Kingsona i Forsyte’a“ zajmowało parter i pierwsze piętro jednego z domów po prawej stronie. Wchodząc do swego pokoju, Soames pomyślał:

— Byłby już czas się przemalować.

Stary jego funkcjonarjusz Gradman siedział, jak zawsze, przy ogromnem biurku z nieprzeliczonemi szufladami. Jego zastępca stał koło niego, trzymając kartę od komisjonera z wyliczeniem inwestycji, w które włożone zostały zyski ze sprzedaży domu na Bryanston Square, stanowiącego własność Rogera Forsyte’a. Soames wziął ten papier i rzekł:

— Vancouver City Stock... Hm! Dziś to spadło w cenie!

Stary Gradman odpowiedział z odcieniem lekkiego przymilania się w swym skrzypiącym głosie:

— Ta—ak! ale dziś wszystko spadło, panie Soamesie. Zastępca sekretarza oddalił się.

Soames przypiął wspomniany dokument do pęku innych papierów i powiesił kapelusz na kołku.

— Chciałbym przejrzeć swój testament i intercyzę ślubną, panie Gradman.

Stary Gradman, posunąwszy się aż do samej krawędzi swego obrotowego krzesła, wyciągnął dwa akta z dolnej szuflady po lewej stronie. Wyprostowawszy się, podniósł twarz, okoloną siwym zarostem, a bardzo zaczerwienioną od wysiłku schylania się tak nisko.

— Oto kopje, panie łaskawy.

Soames wziął je do ręki. Naraz przyszło mu na myśl, że Gradman miał niemało podobieństwa z silnym przegatym brysiem podwórzowym, którego trzymano stale na łańcuchu koło magazynu, a gdy go pewnego razu na usilną prośbę Fleur spuszczo z łańcucha, pokąsał kucharkę i został zabity. Gdyby tak spuścić Gradmana z łańcucha, czy i on pokąsałby kucharkę?

Pohamowawszy tę myśl żartobliwą, Soames rozwinął intercyzę ślubną. Nie zaglądał do niej przez lat osiemnaście — od czasu, gdy przerobił testament po śmierci ojca i narodzeniu Fleur. Chciał zobaczyć, czy znajdowały się tam słowa „przez czas zamełcia“. Tak jest, były! Dziwnem mu się wydało to wyrażenie, jakgdyby pochodne od „zamętu“! Była tam mowa o piętnastu tysiącach funtów (płatnych bez potrącania taksy dochodowej) należących się Anetce, dopóki była pozostała jego żoną i następnie przez czas wdowieństwa „dum casta“... znów słowa staroświeckie i nieco dwuznaczne, ale mające gwarantować prowadzenie się matki Fleur. Testament rekompensował tę sumę rentą tysiąca funtów rocznie na tychże warunkach. Doskonale! Soames oddał kopje Gradmanowi, który wziął je, nawet nie spojrzawszy w górę,

przekręcił krzesło, włożył papiery zpowrotem do właściwych szuflad i zaczął w dalszym ciągu sumować cyfry.

— Panie Gradman! Nie podoba mi się położenie naszego kraju; jest tu dużo ludzi bez żdźbła zdrowego rozsądku. Chciałbym znaleźć jakiś sposób, któryby mógł zabezpieczyć pannę Fleur przed wszystkim, cokolwiek może się zdarzyć.

Gradman postawił na bibule cyfrę 2.

— Ta—ak! — odpowiedział — sytuacja jest kiepska!

— Nie wchodzi tu w grę zwykła niechęć do przedwczesnego biegu wypadków.

— Nie—e! — odrzekł Gradman.

— Dajmy na to, że Partja Pracy przyjdzie do rządów, albo coś jeszcze gorszego! Nad tych sfiksowanych ludzi niema gorszego nieszczęścia! Przypatrzmy się Irlandji!

— Ach! — ozwał się Gradman.

— Przypuśćmy, że zrobię zapis na jej imię, pozostawiając sobie dożywocie, wtedy nie będą mogli mi nic zabrać prócz procentu... chyba, że zmienią ustawę.

Gradman poruszył głową i uśmiechnął się.

— A—ach! — ozwał się. — Oni tego nie zro—obia!

— Nie wiem — mruknął Soames. — Ja im nie wierzę.

— Ale, proszę pana, na to, ażeby zarządzenia stały się prawomocne, potrzeba aż dwóch lat.

Soames parsknął. Dwa lata! Miał przecież dopiero sześćdziesiąty szósty rok życia!

— To niema nic do rzeczy. Napisz pan bruljon zapisu, któryby całą mą majątność przelewał w równych działach na dzieci panny Fleur, z zastrzeżeniem dożywocia najpierw dla mnie, a następnie dla niej, i dodaj pan klauzulę, że w wypadku gdyby zdarzyło się coś co by przerwało jej dożywocie, wspomniane dożywocie przechodzi na rzecz opiekunów, z używaniem na jej korzyść... w zupełnej od nich zależności.

Gradman zaskrzypiał:

— To w pańskim wieku nieco za wielka ostateczność; pan traci kontrolę...

— To moja sprawa — ozwał się ostro Soames.

Gradman zapisał na skrawku papieru:

— Dożywocie... dywersja dożywocia... absolutna zależność... — i dodał: — Jacy opiekunowie? Jest tu młody pan Kingston... jest to człek miły i stateczny.

— Tak, on może być jednym. Potrzeba mi trzech. Teraz niema Forsyte'a, któryby odwoływał się do mnie.

— A młody pan Mikołaj? On jest w barze. Daliśmy mu akta.

— On nigdy nie podpali Tamizy — zauważył Soames.

Na twarzy Gradmana, tłustej od niezliczonych kotletów baranich, pojawił się uśmiech. Uśmiech człowieka, nawykłego przesiadywać całymi dniami.

— Można się tego spodziewać w jego wieku, panie Soamesie.

— Czemu? Ile on sobie liczy? Czterdziestkę?

— Ta—ak! To jeszcze człek zupełnie młody.

— Dobrze, wciągnij go pan do tego. Chciałbym mieć jednak kogoś, ktoby był osobiście zainteresowany. Nie widzę nikogo takiego.

— A co pan powie o panu Walerym? Przecież on już wrócił do kraju?

— Val Dartie? On?... Z takim ojcem?

— No—o! — mruknął Gradman. — Przecież on od siedmiu lat nie żył... statut przeciw niemu...

— Nie! — odrzekł Soames. — Nie podoba mi się to powinowactwo.

Podniósł się. Gradman ozwał się nagle:

— Jeżeli przyjdzie do obliczania podatków z kapitału, to dojdą oni i do pełnomocników, panie łaskawy; tak więc pan na tem nic nie zyska. Na pańskim miejscu jabym się jeszcze zastanowił.

— To prawda — rzekł Soames — jeszcze się zastanowię. Ach... ale cóż z panem Tymoteuszem? Jak się przedstawia sprawa?...

— Już przygotowałem zupełny spis inwentarza jego majątności; sprzęty i obrazy mają taką wartość, że wiemy na czym się opierać. W każdym razie będę się martwić, gdy on umrze. Mój Boże! Toć to lata, gdym widział pana Tymoteusza po raz pierwszy!

— Nie możemy żyć wiecznie! — rzekł Soames, zdejmując kapelusz.

— Nie—e! — odrzekł Gradman — zawsze jednak to szkoda... ostatni ze starej rodziny! Czy mam zająć się sprawą tego zajścia na Old Compton Street? Te organa bezpieczeństwa... to kiepsko funkcjonują.

— Zajmij się pan tem. Muszę iść do panny Fleur i zdążyć jeszcze na czwartą. Dowidzenia, panie Gradman.

— Dowidzenia, panie Soamesie. A jak panna Fleur?...

— Dziękuję, dobrze, tylko trochę za wiele się bawi.

— Ta—ak! — zaskrzypiał Gradman. — Młoda krew! Soames wyszedł, rozmyślając:

— Poczciwy Gradman! Gdyby był młodszy, dopuściłbym go do pełnomocnictwa. Doprawdy niema nikogo, na kim mógłbym polegać w prawdziwym interesie.

Porzuciwszy tetryczną i matematyczną ścisłość oraz niedorzeczną ciszę tego zakątka, Soames pomyślał nagle:

— Przez czas zameźcia! Czemuż to nie wydalają takich nicponiów jak Profond, zamiast ciężko zarobkujących Niemców?

I zdumiał się głębią zmartwienia, które mogło w nim wywołać myśl tak niepatrjotyczną. Jednakże w tem właśnie była rzecz cała! Nigdy nie można było mieć ani chwili prawdziwego spokoju! Zawsze coś się kryło za każdą sprawą!

I skierował się w stronę Green Street.

W dwie godziny później (według zegarka) Tomasz Gradman, kręcąc się w swem ruchomem krześle, zamknął ostatnią szufladę biurka i wetknąwszy w kieszeń kamizelki pęk kluczy tak potężny, iż utworzył się wielki jakby guz po stronie wątroby, wyczyścił rękawem stary swój cylinder, wziął parasol i wyszedł na ulicę. Krótki, gruby, opięty ściśle w stare surducisko, szedł w stronę targowicy Covent Garden. Nigdy nie zaniedbał owej codziennej przechadzki do kolejki elektrycznej na Highgate, a po drodze rzadko omieszkwał załatwić jakąś tranzakcję co do jarzyn i owoców, przyczem zazwyczaj nie obeszło się bez krytyk. Rodziły się nowe pokolenia, zmieniały kapelusze, staczano wojny, Forsytowie wymierali, jednakże Tomasz Gradman, wierny i siwy, wciąż odbywał swe spacery codzienne i codziennie kupował warzywa. Czasy nie były takie jak dawniej: syn stracił nogę — nie dawano już takich małych, wygodnych koszyczków plecionych do noszenia towaru — a te kolejki elektryczne były rzeczą bardzo wygodną — jednakże stary nie uskarżał się na nic. Zdrowie mu służyło pomimo wieku, a po pięćdziesięciu czterech latach służby prawniczej dostawał okrągłe osiemset funtów rocznie, przyczem nieco martwiły go opóźnienia, jako że były to przeważnie procenty od rent, wyglądające przy całej konwersji własności Forsytów niby coraz to bardziej wysychające źródło, zwłaszcza wobec rosnącej drożyzny utrzymania. Jednakże nie było czem się martwić — „Dobry Bóg stworzył nas wszystkich“ — tak zwykł był mawiać Gradman; — posiadanie domu w Londynie (nie wiedział, coby powiedzieli pan Roger lub pan Jakób, gdyby widzieli, że dom ten tak sprzedano) zdawało się wskazywać na brak wiary; atoli pan Soames... trafił się. Życie należy do terażniejszości, a co będzie za lat dwadzieścia jeden... tak daleko sięgać niepodobna... bądź co bądź on sam trzymał się jeszcze tego na zdro-

wiu... a panna Fleur była ślicznem maleństwem... ona wyjdzie zamąż... lecz teraz wielu ludzi nie ma dzieci... on sam miał pierwsze dziecko mając lat dwadzieścia dwa... a pan Jolyon, ożeniony w tym roku gdy on bawił w Cambridge, miał w tym samym roku dziecko... mocny Boże! Było to jeszcze w r. 1869, na wiele lat przedtem zanim stary pan Jolyon — doskonały rozjemca własności — odebrał testament od pana Jakóba... o tak, mój Boże! Były to te czasy, gdy kupowali majątności na prawo i lewo, a żaden z tych *khaki*, potrącających siebie wzajemnie, nie miał tu nic do gadania... ogórki były po dwa pensy, a melon... och, te dawne melony, co to rozplywały się w ustach! Pięćdziesiąt lat minęło, jak wszedł do biura pana Jakóba i jak pan Jakób ozwał się do niego:

— No, Gradman, jesteś jeszcze młokosem... bierz się dobrze do rzeczy, a nim się spostrzeżesz, będziesz zarabiał pięćset funtów rocznie.

I Gradman pracował, czcił Boga, służył Forsytom i pożywił się co wieczór jarzynami... Kupiwszy numer *John Bulla* — choć bynajmniej nie godził się z tem pismem — wszedł do windy kolejki elektrycznej wraz ze swym pakiecikiem owiniętym w zwykły bronzowy papier i pogrążył się niebawem we wnętrzościach ziemi.

## ROZDZIAŁ VI

### PRYWATNE ŻYCIE SOAMESA

Po drodze na Green Street przyszło na myśl Soamesowi, że powinien zająć do Dumetriusa na Suffolk Street w sprawie Bolderby Old Crome. Doprawdy warto było stoczyć wojnę, byle posiadać Bolderby Old Crome, choćby w stanie obecnego upadku! Stary Bolderby umarł, syn i wnuk polegli — majątek objął kuzyn, za-



mierzający sprzedać tę posiadłość, czy to ze względu na sytuację panującą w Anglii, czy też (jak mówili inni) ze względu na trapiącą go astmę.

Jeżeli Dumetrius już położył na tem swą rękę, cena mogła stać się wygórowana; przeto dla Soamesa, zanimby sam pokusił się o kupno, koniecznością było dowiedzieć się, czy już go nie uprzędził Dumetrius. Wobec tego ograniczył się do omawiania z Dumetriusem tej ważnej kwestji, czy teraz, gdy przyszła moda na obrazy, które są wszystkim możliwem, tylko nie obrazami, przyjdzie czas na Monticelliego, oraz jaka jest przyszłość Johnsa. Dopiero na odchodnem dodał, jakby przypadkowo:

— A więc pan ostatecznie nie zamierza kupić Bolderby Old Crome?

Dumetrius — jak to Soames przewidywał — odparł z dumą wyścigowego zwycięzcy:

— O! ja je kupię, panie Forsytel!

Drganie jego powieki umocniło Soamesa w postanowieniu, by kropnąć bezzwłocznie list do nowego Bolderby i udzielić mu rady, że jedynym uczciwym sposobem sprzedania Old Crome było unikanie wielkich kupców. Powiedział więc:

— No, więc dowidzenia!

I wyszedł pozostawiając Dumetriusa własnym jego domysłem.

Na Green Street dowiedział się, że Fleur wyszła z domu i że nie będzie jej przez cały wieczór; miała spędzić jeszcze jedną noc w Londynie. W przygnębieniu wsiadł do dorożki i pojechał do pociągu.

Okolo szóstej przyjechał do swego domu. Powietrze było ciężkie, komary gryzły, słychać było grzmoty. Zabrawszy listy, poszedł na górę, do swej garderoby, aby oczyścić się z naleciałości londyńskich.

Poczta była nieciekawa. Jakiś przekaz, jakiś rachunek za sprawunki, zrobione przez Fleur. Jakiś cyrkularz w sprawie wystawy rytownictwa. Jakiś list, zaczynający się od słów:

„Szanowny Panie!

Czuję się w obowiązku...

Wyglądało to na zagajenie jakiejś niemiłej sprawy. Spojrzał od razu na podpis. Nie było go wcale! Nie dowierzając, przerzucił stroniczkę i obejrzał każdy rozek. Nie występując na widowni publicznej, Soames nigdy nie otrzymywał anonimowych listów — to też pierwszą myślą jego było podrzeć to pismo jako rzecz niebezpieczną; drugą zaś myślą było przeczytać go jako coś nad miarę niebezpiecznego.

„Szanowny Panie!

Czuję się w obowiązku zawiadomić Pana, że nie będąc zainteresowany w stosunku łączącym Pańską żonę z pewnym cudzoziemcem...”

Doszedłszy do tego miejsca, Soames machinalnie zatrzymał się i począł przyglądać się stempelowi pocztowemu. O ile zdołał zgłębić nieprzeniknioną tajemnicę, w jaką spowila ją zwierzchność pocztowa, było tam coś, co kończyło się na „sea“, a w środku miało literę „t“. Chelsea? Nie? Battersea? Być może! Zaczął czytać dalej:

„Ci cudzoziemcy wszyscy są jednakowi. Do licha z tą hałastrą! Ten, o którym piszę, widuje się z Pańską żoną dwa razy w tygodniu. Wiem o tem z bezpośredniego źródła... a widzieć, jak ktoś rogi przygotowuje Anglikowi, to oburza mnie do żywego! Niech

pan się przyjrzy, czy nie mówię prawdy. Nie mieszałbym się do tego, gdyby nie to, że w sprawę wdał się parszywy cudzoziemiec.

Z poważaniem...“

Wrażenie, z jakim Soames wypuścił list z ręki, podobne było temu, jakiegoby doznał, gdyby, wszedłszy do sypialni, znalazł w niej pełno karaluchów. Prostactwo bezimiennosci nadawało całemu zdarzeniu nader przykre zabarwienie. Co najgorsza jednak, to, że cięń ten zawsze snuł mu się w tajnikach myśli, jeszcze od owego wieczoru niedzielnego, gdy Fleur wskazała na Prospera Profonda, włóczącego się po łące i nazwała go „skradającym się kotem“. Czyż nie w związku z tem, właśnie tegoż dnia, odczytywał swój testament i intercyzę ślubną? A teraz ten bezimienny opryszek, który najoczywiściej nie liczył na inny zysk poza wyładowaniem swej złości na cudzoziemców, wywłókł wszystko z tej ciemności, w której Soames radby rzecz całą zostawić. Taką to wiadomość o matce Fleur wciskano mu gwałtem... w takim wieku życia! Podniósł list z dywanu, przedarł na pół, ale naraz, gdy oba strzępy ledwie że się trzymały wąskim pasemkiem grzbietu, przestał drzeć i przeczytał ponownie list cały. W ową chwilę powziął jedną z najsilniejszych decyzji w swem życiu. Postanowił sobie, że nie da się przywieść do drugiego skandalu. Nie! Jakkolwiekby wypadł jego ostateczny sąd w tej sprawie, — a rzecz ta wymagała wielkiej przezorności i skrupulatnej rozwagi — nie chciał popełnić niczego, coby mogło urazić Fleur. Po powzięciu tego postanowienia był już panem siebie i zabrał się do mycia. Ręce mu drżały, gdy je wycierał... Nie chciał skandalu, jednakże trzeba coś przedsięwziąć, by zapobiec takiemu stanowi rzeczy! Udał się do pokoju żony i stanął, rozglądając się wo-

koło. Nawet mu nie przeszło przez głowę, by szukać czegoś, co by świadczyło przeciwko niej a tem samem dawało mu prawo do jakichkolwiek względem niej pogroźek. Tu nie znajdowało się żadne corpus delicti — na to była ona zbyt praktyczna! Myśl o pilnowaniu jej odrzucił, zanim jeszcze wyklula mu się w głowie — zbyt dobrze bowiem pamiętał poprzednie swe doświadczenie w tym względzie. Nie! Nie miał innych dowodów, tylko ten podarty list od jakiegoś bezimiennego opryszka, którego bezczelne wtrącanie się do spraw czyjegoś życia prywatnego przejmowała Soamesa silną odrazą. Uczynić użytek z tego listu było dlań rzeczą wstrętną, jednakże mógł zdobyć się i na to. Całe szczęście, że Fleur nie było dziś w domu!

Stukanie do drzwi zbudziło go z bolesnych rozmyślań.

— Pan Michał Mont, proszę jaśnie pana, jest w salonie.

— Nie... — odparł Soames — ależ tak! Zaraz schodzę nadół.

Było to coś, co mogło na parę minut nieco go rozewnać!

Michał Mont, ubrany we flanele, stał na werandzie i palił papierosa. Widząc wchodzącego Soamesa, odrzucił papieros i przejechał ręką po włosach.

Soames żywił ku temu młodzieńcowi dziwne wprost uczucie. Był to młokos nieustatkowany, hałaśliwy (gdyby go mierzyć miarą dawnych zasad), jednakże w tych osobliwych, wesółych sposobach wypowiedania jego sądów było coś, co w pewnej mierze mogło się podobać.

— Proszę wejść — ozwał się Soames. — Czy pan pił podwieczorek?

Mont wszedł do domu.

— Myślałem, proszę pana, że Fleur już powróciła; cieszę się jednak, że jej tu niema. Rzecz w tem, że ja... ja... jestem okropnie w niej zakochany... tak zako-

chany, że pomyślałem sobie, iż lepiej panu o tem powiedzieć. Prawda, że to trochę po staroświecku... przychodzić najpierw do rodziców, ale myślę, że pan mi to wybaczy. Byłem u mego ojca; odpowiedział mi, że gdy sprawę ułożę, to on do mnie przyjedzie. On, prawdę mówiąc, prawie że sprzyja tej myśli. Mówiłem mu o pańskim Goyi.

— Aha! — ozwał się Soames, głosem nieopisanie oschłym. — On prawie że sprzyja?...

— Tak, proszę pana... a pan?

Soames uśmiechnął się blado.

— Widzi pan — ciągnął dalej Mont, obracając w ręce kapelusz słomkowy, podczas gdy jego włosy, brwi i nawet uszy jakgdyby podnosiły się z ekscytacji; — gdyby pan był przeszedł wojnę, nie mógłby pan nic poradzić na to, że jest się tak rozgorączkowanym i prędkim.

— Do żeniaczki, a potem do rozwodu — kończył zwolna sens Soames.

— Nie z Fleur, panie łaskawy. Niech pan sobie wyobrazi, że jest pan na mojem miejscu.

Soames odchrząknął. Ten sposób ujęcia sprawy był argumentem dość silnym.

— Fleur jeszcze jest za młoda — odrzekł wymijająco.

— O nie, panie szanowny. W dzisiejszych czasach ludzie ogromnie szybko posuwają się w latach. Mój ojciec wydaje mi się zupełnie jeszcze dzieckiem. Jego aparat myślowy nie posunął się naprzód ani o włos. Ale prawda, że on jest Baronight; to go powstrzymuje.

— Baronight? — powtórzył Soames. — Cóż to takiego?

— Bart,<sup>1)</sup> panie łaskawy. I ja kiedyś będę Bart. Ale ja to przeżyję.

<sup>1)</sup> Skrócenie, zam. *baronet*, tytuł stawiany po nazwisku.

— Niech więc pan sobie pójdzie i przeżyje to wszystko — rzekł Soames.

Mont odrzekł tonem błagalnym:

— O, nie, panie szanowny! Muszę tu szwendać się wokoło, a nie będę miał psiego szczęścia. Jednakże sądzę, że pan pozwoli Fleur czynić, co się jej podoba. Madame udziela mi swego pozwolenia.

— Naprawdę? — ozwał się Soames chłodno.

— Ale pan chyba nie daje mi odpawy? — to mówiąc, młodzian spojrział tak smętnie, że aż Soames uśmiechnął się.

— Wolno panu uważać się za bardzo posuniętego w latach — rzekł — jednakże mnie pan wydaje się jeszcze młokosem. Paplać zawczasu o wszystkim, to nie dowód dojrzałości.

— Święta prawda, panie łaskawy; przyznaję panu rację co do naszego wieku. Ale żeby pan wiedział, że myśle o interesie... otóż dostałem zajęcie.

— Miło mi słyszeć o tem.

— Zawarłem spółkę z pewnym nakładcą; mój rodzic wpłacił udział.

Soames zatkał sobie ręką usta; o mało co nie wyrwało mu się:

— A niech tam Bóg ma tego nakładcę w swej opiece!

Począł szaremi oczyma badać rozgorączkowanego młodzieńca.

— Nie mam niechęci do pana, panie Mont, jednakże Fleur jest dla mnie wszystkim na świecie... Wszystkiem... czy pan rozumie?

— Tak jest, rozumiem, proszę pana. Jednakże i dla mnie jest ona wszystkim na świecie.

— Możliwe. Rad jestem w każdym razie, że pan mi to powiedział. A teraz sądzę, że niema już o czem mówić.

— Wiem, że to zależy od niej, proszę pana.

— Zdaje się, że jeszcze długo będzie od niej zależało.

— Pan nie jest usposobiony zachęcająco — rzekł Mont nagle.

— Nie — odrzekł Soames; — moje życiowe doświadczenie nauczyło mnie, że nie należy się śpieszyć w kojarzeniu związków między ludźmi. Dobranoc, panie Mont. Nie powiem Fleur tego, co mi tu pan powiedział.

— Och! — wymamrotał głucho Mont; — doprawdy rozbiłbym sobie głowę z tęsknoty za nią. Ona wie o tem doskonale.

— Przypuszczam.

To mówiąc, Soames wyciągnął ku niemu rękę. Nastąpił uścisk dłoni, dany jakby w roztargnieniu, ciężkie westchnienie, a niebawem rozlegający się stuk motocykla wywołał wizję kłębow kurzawy oraz łamiących się kości.

— Młode pokolenie! — pomyślał Soames ociężale i wyszedł na łąkę. Ogrodnicy niedawno odeszli od kośby i czuć było jeszcze woń świeżo ściętej trawy — powietrze naładowane elektrycznością tłoczyło wszystkie zapachy ku samej ziemi. Niebo miało odcień purpurowy — to pole rysowały się czasami sylwetami. Parę łódek przejeżdżało przez rzekę, widocznie zamierzając dopaść co rychlej schronienia przed burzą.

— Trzy dni pięknej pogody — pomyślał Soames — a potem burza!

Gdzie była Anetka? Prawdopodobnie z tym drabem... była przecie młodą kobietą! Uderzony dziwnym powabem tej myśli, wszedł do letniego pawilonu i usiadł. Było faktem — na który on się godził — że Fleur znaczyła dlań tyle, iż żona schodziła na plan drugi i znaczyła niewiele, bardzo niewiele. Francuzka — nigdy nie była czemś więcej jak panią domu, na co zresztą Soames stał się zupełnie obojętny! Rzecz dziwna, jak mimo zakorzenionego w nim przywiązania do równowagi oraz

do zabezpieczenia wszelkiej lokaty, okazywał się zawsze monomanem na punkcie swych uczuć. Najpierw Irena — teraz zaś Fleur. Wyczuwał to teraz podświadomie, wyczuwał, że kryje się w tem jakieś dziwne niebezpieczeństwo. Raz go to doprowadziło do rozbicia i do skandalu, ale teraz!... teraz winno go to oszczędzić! Ze względu na Fleur nie życzył sobie jakiegokolwiek dalszego skandalu. Gdyby tylko udało mu się odnaleźć tego bezimiennego autora listu, jużby go nauczył, żeby się nie wtrącał w nieswoje sprawy i nie mącił wody, która powinna była pozostać w dawnym zastoju!...

Daleki błysk — głuchy łoskot — i ciężkie krople deszczu zaczęły dudnić po drewnianym dachu nad głową Soamesa. Nie zwracał na to uwagi, kreśląc palcem jakieś zygzaki na zakurzonej powierzchni małego, prostą sztuką wykonanego stolika.

Przyszłość Fleur!

— Pragnę dla niej wszelkiego dobra i szczęścia — myślał. — Poza tem nic mnie już w życiu nie obchodzi!

Sięgnął ręką w górę i zerwał gałązkę wiciokrzewu, którego cała kępa zasłaniała okno. Kwiaty rosły i opadały — natura dziwną zaiste była rzeczą! Grom huczał i łomotał, posuwając się wzdłuż rzeki na wschód, nagle błyskawice migotały przed oczyma Soamesa; wierzchołki topól ostrym, ciemnym konturem rysowały się na niebie, nawalny deszcz chrząścił i dudnił, spowijając domek, w którym Soames siedział w zadumie.

Gdy burza minęła, opuścił swe schronienie i po mokrej ścieżce podążył nad brzeg rzeki.

Dwa łabędzie wynurzyły się z ukrycia pomiędzy szuwarem. Ptaki te były mu dobrze znane. Stał, przyglądając się dostojęństwu, rysującemu się w krzywiźnie białych szyj i brzydkich, jakby węzowych, głów.

— Nie mając powagi... cóż pocznę? — pomyślał. A przecie należało wziąć się do rzeczy całą siłą pary,



aby nie zaszło coś gorszego. Anetka powinna lada chwila powrócić (gdziekolwiekby się obracała w tej chwili), gdyż już zbliżała się pora wieczery; wobec perspektywy bliskiego z nią spotkania oraz trudniej było zorjentować się, co i jakim tonem należało jej powiedzieć. Nowa i raniąca myśl przyszła mu naraz do głowy. A gdyby tak ona zażądała swobody, by mogła poślubić tego draba! No, jeżeliby tego żądała, to daremne jej zabieg! Nie poto on się z nią zenił! Przesunął mu się przed oczyma obraz Prospera Profonda — i to go upewniło na duchu. To nie kandydat do stanu małżeńskiego! Nie! nie... Gniew zajął miejsce chwilowego zadrażnienia.

— Lepiej żeby mi nie wchodził w drogę — pomyślał. Ten pokurcz wyobrażał sobie...! — Ale co wyobrażał sobie Prosper Profond? Z pewnością nic takiego, do czego by można przywiązywać wagę. A jednak było w tem coś, co w świecie ma znaczenie zgoła realne — wyuzdana niemoralność, sceptycyzm, skradający się za zdobyczą. To wyrażenie: *Je m'en fiche!* Anetka przejęła właśnie od niego. Fatalny drab! Mieszkaniec kontynentu, kosmopolita — wykwit współczesności! Gorszych słów potępienia nie mógł już znaleźć Soames na niego.

Łabędzie odwróciły głowy i patrzyły poza niego, w pewną odległość od siebie. Jeden z nich wydał lekki syk, zamerdzał ogonkiem, skręcił, jakgdyby poruszony sterem, i odpłynął. Drugi popłynął za nim. Ich białe ciała, ich wyniosłe szyje znikły mu z oczu. Zawrócił w stronę domu.

Anetka, ubrana do kolacji, siedziała w salonie. Idąc na górę, Soames myślał:

— Piękny jest, kto pięknie się prowadzi.<sup>1)</sup>

Pięknie się prowadzić! Z wyjątkiem uwag o firankach

---

<sup>1)</sup> Przysłowie angielskie.

w salonie i o niedawnej burzy, doprawdy nie było tematu do rozmowy podczas posiłku, odznaczającego się pełnią obfitości i doborem jakości. Soames nie pił nic. Po kolacji udał się za żoną i znalazł ją leżącą na sofie w salonie, pomiędzy dwoma oknami francuskimi i palącą papierosa. Leżała przechylona wtył, prawie nawznak, w krótkiej, czarnej sukni, założywszy nogę na nogę i przymrużywszy niebieskie oczy; z jej czerwonych, wyrazistych ust snuł się dym szaro-niebieski. Kasztanowe jej włosy przepasane były wstążką; na nogach miała najcieńsze jedwabne pończochy i buciki na bardzo wysokich obcasach, ukazujących jej podbicie. Sprzęt mogący być ozdobą każdego pokoju!... Soames, trzymając rozdarty list w ręce, wetkniętej głęboko w boczną kieszeń zakietu, odezwał się:

— Zamknę okno; wilgoć wdziera się do pokoju.

Zamknął okno i stanął przed Davidem Coxem, zdobiącym przyległą ścianę, wykładaną w kremowego koloru boazerję.

O czem ona myślała? Soames nigdy w życiu nie rozumiał kobiety — z wyjątkiem Fleur — a i tę jeszcze niezawsze rozumiał! Serce biło mu prędko. Postanowił jednak teraz to zrobić — chwila była odpowiednia. Odwróciwszy się od Davida Coxa, wyjął z kieszeni przedarty list.

— Patrz, com dziś otrzymał.

Oczy jej rozwarły się, wpatrzyły się w niego i zniechęciły.

Soames wręczył jej list.

— Wprawdzie rozdarty, ale można go przeczytać.

I odwrócił się znów do Davida Coxa (był to widok morski, w dobrym tonie), ale bez większego wzruszenia.

— Ciekawym, co ten drab porabia w tej chwili? — pomyślał. — Jeszcze go przyzraszę!

Kącikiem oka widział Anetkę sztywnie trzymającą list; jej oczy poruszały się to w jedną, to w drugą stronę pod jej ściemniałymi rzęsami i zmarszczonymi ciemnymi brwiami. Upuściła list na ziemię, zlekka zadrżała, uśmiechnęła się i rzekła:

— Brudne...!

— Zgadzam się całkowicie — rzekł Soames. — To ponizające. Czy to prawda?

Przygryzła czerwoną wargę dolną.

— A gdyby i była prawda, to co?

Była bezczelna!

— Czy to wszystko, co masz do powiedzenia?

— Nie.

— No, więc mów!

— I cóż przyjdzie z mówienia?

Soames mroźnym głosem odpowiedział:

— Zatem przyznajesz się?

— Nie przyznaję się do niczego. Jesteś za głupi, by się o coś pytać. Człowiek taki, jak ty, nie powinien o nic się pytać. To niebezpieczne.

Soames przeszedł się dokoła pokoju, ażeby pohamować wzbierający w nim gniew.

— Czy przypominasz sobie — rzekł, zatrzymując się przed nią — czem byłaś, nim wziąłem cię za żonę? Prowadziłaś rachunki restauracyjne!

— A czy pamiętasz, że byłam o połowę młodsza od ciebie?

Soames uchylił się od przykrego zetknięcia się z jej wzrokiem, wracając znów do Davida Coxa.

— Nie mam zamiaru rzucać słowami, jak piłką. Domagam się, żebyś zaprzestała tej... przyjaźni. Zajmuję się tą sprawą jedynie ze względu na Fleur.

— Ach, Fleur!

— Tak — odparł Soames z uporem; — Fleur! Ona jest zarówno twojem jak i mojem dzieckiem.

— Grzecznie to z twej strony, że mi choć tyle przyznajesz!

— Czy zrobisz to, co ci mówię?

— Nie mam zamiaru odpowiadać ci na to.

— Muszę zatem wziąć się do ciebie ostrzej.

Anetka zaśmiała się.

— Nie, Soamesie — odpowiedziała. — Jesteś bezradny. Nie mów rzeczy, których będziesz później żałował.

Na czole Soamesa żyły nabrzmiały od gniewu. Otworzył usta, żeby wyładować z siebie to uczucie — ale nie potrafił. Anetka mówiła dalej:

— Takich listów już nie będzie... obiecuję ci. Chyba to wystarczy.

Soames zachnął się. Czuł, że ta kobieta, która zasługiwała na Bóg wie jaką karę, traktuje go jak dziecko.

— Gdy dwoje ludzi pobrało się i żyją tak jak my z sobą, Soamesie, to lepiej, żeby sobie dawali spokój wzajemnie. Są rzeczy, których nie wyciąga się na światło dzienne, żeby się z nich ludzie nie śmiali. Uspokój się przeto... już nie przez wzgląd na mnie, ale na samego siebie. Ty już się starzejesz... ja jeszcze nie. Dzięki tobie urządziłam się bardzo praktycznie.

Soames, który przeszedł przez wszelkie stadja dławiącego bólu, powtórzył głosem tępym:

— Domagam się, żebyś dała spokój tej przyjaźni.

— A jeśli tego nie zrobię?

— Wtedy... wykreślę cię z testamentu.

Jakoś to niebardzo zdawało się trafiać do celu. Anetka roześmiała się.

— Będziesz żył długo, Soamesie.

— Ty... ty... jesteś złą kobietą — ozwał się nagle Soames.

Anetka wzruszyła ramionami.

— Innego jestem zdania. Prawda, że pożycie z tobą zabiło we mnie rzecz niejedną... jednakże nie jestem

złą kobietą. Jestem rozsądna... ot wszystko! I ty taki będziesz, gdy dobrze przemyślisz rzecz całą.

— Zobaczę się z tym człowiekiem — rzekł Soames pośpiesznie — i ostrzeżę go.

— *Mon cher*, jesteś śmieszny. Ty mnie nie potrzebujesz, masz mnie tyle, ile sobie tylko życzysz... i chcesz, by reszta mej istoty obumarła doszczętu. Nie przyznaję się do niczego, jednakże nie chcę być obumarłą w moim wieku, Soamesie; lepiej więc uspokój się, mówię ci szczerze. Ja ze swej strony nie będę wywoływała skandalu... ani mi się śni! Teraz zaś nie mam ochoty mówić dłużej, choćbyś nawet stawał na głowie.

Sięgnęła do stolika, na którym leżała jakaś powieść francuska; otworzyła ją i zagłębiła się w czytaniu. Soames przyglądał się jej, ogłuszony zamętem uczuć. Myśl o tamtym człowieku sprawiała, iż niemal stała mu się potrzebną ta kobieta — i oto odsłoniła się istota ich stosunku, budząca zgrozę w kimś, kto mało oddawał się filozofji retrospektywnej. Nie mówiąc już ni słowa, wyszedł na górę, do swej galerji obrazów... Oto skutki ożenku z Francuzką!... A przecie, gdyby nie ona, nie byłoby na świecie i Fleur!... Anetka służyła za środek, wiodący do celu.

— Ona ma rację — myślał; — nie mogę nic na to poradzić. Nawet nie mogę dowiedzieć się, czy w tem jest coś naprawdę.

Instynkt samozachowawczy ostrzegał go, by zamknąć wszystkie zawory i stłumić ogień brakiem powietrza. Póki nie wierzyło się, że w danej rzeczy coś się kryje, póty naprawdę nic w niej nie było.

Tej nocy udał się do jej pokoju. Przyjęła go w sposób najbardziej rzeczowy, jakgdyby pomiędzy nimi nic nie zaszło. Wracając do swego pokoju, czuł się dziwnie spokojny. Jeżeli ktoś woli czegoś nie widzieć, nie ma potrzeby patrzeć. A on wołał nie patrzeć... taki miał

plan co do przyszłości. Niczego tam nie można było się dopatrzeć... niczego...

Otworzywszy szufladę, wy dobył z torebki chusteczkę i fotografię Fleur. Przypatrzywszy się jej nieco, wysunął ją z ramki i ukazała się druga fotografia — stara fotografia Ireny. Gdy stał tak przy oknie, wpatrując się w jej rysy, za oknem pohukiwać zaczęła sowa.

Sowa hukala; szkarlatne pnące róże zdały się gęstnieć w barwie; skądś nadpływał zapach lipowego kwiecica. Boże! Tamto — to było coś zgoła innego! Namiętność... wspomnienie! Pył!

## ROZDZIAŁ VII

### JUNA BIERZE SIĘ DO RZECZY

Pewnego wieczoru w pracowni Juny Forsyte na brzegu Tamizy koło Chiswick można było zastać kogoś, kto był w jednej osobie rzeźbiarzem, Słowianinem, dawnym mieszkańcem Nowego Jorku, egoistą i człowiekiem bez pieniędzy. Wieczorem szóstego lipca Borys Strumolowski — którego parę dzieł znajdowało się tu na wystawie, ponieważ były one narazie zbyt postępowe, by miano je wystawiać gdzieindziej — zaczął czuć się dobrze wśród tej ustronnej i jakby chrystusowej ciszy, która przedziwnie dostrajała się do jego młodzieńczej, okrągłej, szerokoszczękowej fizjognomji, okolonej jasnymi włosami, przyciętymi nad czołem jak u dziewczyny. Juna знаła go od trzech tygodni — i wciąż jeszcze wydawał się jej istnem wcieleniem genjuszu, nadzieją przyszłości, niby jakąś gwiazdą wschodu, zbłąkaną na nieczuły zachód. Aż do owego wieczoru ograniczał się do wspomniania swych wrażeń ze Stanów Zjednoczonych, których pyłu jeszcze nie otrząsnął ze swych stóp; kraj ten, jego zdaniem, był tak barbarzyński, iż jemu — artyście

— nie udało się sprzedać ani jednego dzieła a nawet popadł w podejrzenie u policji; kraj to był (powiadał) bez swoistej rasy, bez wolności, równości i braterstwa, bez zasad, tradycji, smaku, słowem, bez duszy. Na szczęście, rzucił już tę przebrzydłą krainę i przeniósł się do innej ziemi, gdzie można było żyć pomyślnie. Juna w chwilach swej samotności przyczepiała się doń liściowicie, stając przed jego dziełami, które określono jej kiedyś jako budzące grozę, lecz mocarne i symboliczne! Ten człowiek uwieńczony aureolą jasnych włosów niby postać z wczesno-włoskiego malowidła i pochłonięty swym genjuszem do tego stopnia, że nie uznawał nikogo poza sobą (jedyna zaiste cecha, po której można poznać prawdziwego genjusza), był przecie też „kulawem kaczącem“! Myśl o tem wzruszała do głębi jej gorące serce, niemal usuwając całkowicie nabok Pawła Posta. Przystąpiła więc Juna do oczyszczania galerji, by zapelnąć ją arcydziełami Strumolowskiego. Zaraz na wstępie spotkały ją trudności. Paweł Post tupał nogami, Vospovitch sypał ostre docinki. Z całą emfazą genjuszu, którego im jeszcze nie odmówiła, zażądali, by im wolno było co najmniej przez sześć dalszych tygodni korzystać z jej galerji. Mówili, że prądy amerykańskie, wciąż jeszcze nadpływające, niebawem odpłyną i nie będzie z nich śladu. Prąd amerykański był ich prawem, jedyną nadzieją, ich zbawieniem — skoro w tej „bydlecej“ krainie nikt nie troszczył się o sztukę. Juna ustąpiła wobec tej demonstracji. Koniec końców, Borys ani się domyślał, że oni ciągnęli pełny zysk z prądów amerykańskich, któremi on tak pomiatał.

W wspomniany wieczór ona wyluszczyła to wszystko Borysowi, gdy nie było innych świadków rozmowy prócz Hannah Hobdey, rozmiłowanej w średnowieczu rysowniczkii piórkiem, oraz Jimmy'ego Portugala, wydawcy pisma „Neo-Artist“. Wyluszczała mu to z ową raptowną

poufałością, jakiej w jej gorącym i szlachetnym sercu nie zdołało nigdy wystudzić zetknięcie się ze światem artystów nowoczesnych. Nie przerywała jego chrystusowej zadumy — bądź co bądź — przez dwie minuty zgóra, nim zaczęła wodzić niebieskimi oczyma to w lewo to w prawo sposobem podobnym temu, w jaki kot wymachuje ogonem.

On odrzekł, że to właśnie charakteryzuje Anglję, najbardziej samolubną krainę na świecie, krainę, która wysłała krew innych krajów, znieprawiała serca i mózgi Irlandczyków, Hindusów, Egipcjan, Burów i Birmańczyków, co najdoskonalszych ras świata... Tyrańską, obłudną Anglję! Tego wszystkiego oczekiwał, przyjeżdżając do kraju, gdzie klimat jest wciąż mglisty, a ludzie wszyscy są handlarzami, ślepyi na czar sztuki i pograżonymi w geszefciarstwie i w najgrubszym materializmie. Widząc, że Hannah Hobdey pomrukuje: „No! no!“ a Jimmy Portugal śmieje się zcicha, Juna poczerwieniała na twarzy i palnęła niespodzianie:

— A więc pocóż pan tu przyjeżdżał? Myśmy pana nie zapraszali.

To pytanie było w takiej sprzeczności z tem, czego można było się po Junie spodziewać, że Strumolowski wyciągnął rękę i sięgnął po papierosa.

— Anglja nigdy nie potrzebuje idealistów — odpowiedział.

Jednakże w Junie obruszyła się jakaś angielskość pierwotna, jakgdyby nagle powstało z łoża poczucie sprawiedliwości cechujące starego Jolyona.

— Przychodźcie tu do nas, by ciągnąć z nas co tylko można, a potem nas lżycie — odezwała się. — Jeżeli to uważacie za zabawkę, to my inaczej zapatrujemy się na to.

W tej chwili odkryła to, co już przed nią odkryli inni — mianowicie, jaka to gruboskórność osłania nie-



kiedy myślową głębię ludzi genialnych. Młoda i szlachetna twarz Strumołowskiego stała się nagle wciele-  
niem szyderstwa.

— Ciągnąć, tu nikt nie ciągnie... bierze się tylko to co się należy... dziesiątą część tego co się należy. Pani pożałuje tych słów, panno Forsyte.

— O nie! — ozwała się Juna. — Nie pożałuje.

— Aha! Na tem znamy się dobrze, my artyści... wy nas przyjmujecie, by zabrać nam wszystko co tylko można. Ja od was niczego nie potrzebuję! — I wypuścił nosem cały obłok dymu z papierosa, otrzymanego od Juny.

Z zamętu zelzonego wstydu wyłonił się mroźny powiew decyzji:

— Doskonale, więc może pan zabierać swoje manatki!

Ale w tejże chwili pomyślała:

— Biedny chłopak! Gnieździ się na poddaszu, a pewnie nie ma na taksówkę... I jeszcze wobec tych ludzi... nie, to byłoby wstrętne!

Strumołowski gwałtownie potrząsnął głową; włosy jego, mocne, lśniące i zbite jak złota blacha, nie rozwiały się.

— Nie mogę żyć samem powietrzem — odpowiedział głosem piszczącym — często bywałem do tego zmuszony... dla sztuki. To wy, burzujecie, zmuszacie nas do wydawania pieniędzy.

Słowa te uraziły Junę, jak kamyk, pod same zebro... Po wszystkiem co zrobiła dla sztuki, po całym wzywaniu się w kłopoty sztuki oraz kulawych kacząt — spotkało ją oto coś podobnego! Właśnie silila się na należyta odpowiedź, gdy drzwi się otwarły i Austriaczka zamruczała:

— Jakaś młoda panienka, *gnädiges Fräulein*.

— Gdzie?

— W małej jadalni.

Rzuciwszy okiem na Borysa Strumołowskiego, na Hannah Hobdey i Jimmy'ego Portugala, Juna nic nie odrzekła i wyszła, wytracona z równowagi. Wszedłszy do małej jadalni, przekonała się, że młodą panią była Fleur — nieco blada, ale niezmiernie urocza. W tym momencie rozczarowania miło było Junie, tak homeopatycznej z natury, miło było powitać kulawe kaczątko swojskiego chowu.

Nie ulegało wątpliwości, że Fleur przybyła tu ze względu na Jona, a przynajmniej w celu zasięgnięcia języka. Juna w tej chwili wyczula, że asystowanie komuś było jedyną znośną rzeczą.

— A więc nie zapomniałaś przyjść — rzekła.

— Tak! Jakie miluchne mieszkanko! Ale proszę się mną nie krępować, jeżeli masz gości.

— Ależ wcale nie! — odparła Juna. — Pozwolę im przez chwilę smażyć się we własnym sosie. Czy przyszedł w sprawie Jona?

— Mówiłaś mi, że uważasz, iż nie należy przed nami niczego taić. Otóż i doszłam całej prawdy!

— Och! — westchnęła Juna bezmyślnie. — Prawda, że rzecz niemila?

Stały po obu stronach małego, nienakrytego stolika, przy którym Juna brała posiłek. Na stoliku stał wazon, pełny maków islandzkich; Fleur podniosła rękę i trącała je palcem, okrytym rękawiczką. Juna nagle spodobała się jej suknia nowego kroju, ujęta w ornament na biodrach i zwężona koło kolan — zachwycająca modrą barwą lnu kwitnącego.

— Ona pozuje do obrazu — pomyślała Juna. Jej mały pokoik o białe tynkowane ścianach, z kafłową, czerwoną, staroświecką podłogą i kominkiem, z czarno malowanym zakratowanym oknem, przez które zukosa wsączały się ostatki światła słonecznego, nigdy nie wy-

dawał się jej tak czarującym jak teraz, gdy ożywiła go swym urokiem ta młoda osoba o śniadawej, zlekka zmarszczonej twarzy. Z nagłą żywością przypomniała sobie Juna, jak sama wyglądała powabnie w owe zamierzchłe dni, kiedy jej serce oddane było Filipowi Bosinneyowi, zmarłemu już kochankowi, który zerwał z nią, żeby raz na zawsze unicestwić zależność Ireny od ojca tej oto dziewczyny. Czy Fleur wiedziała i o tem?

— No, i cóż zamierzasz począć? — zapytała.

Upłynęło chwil parę, zanim Fleur zdobyła się na odpowiedź.

— Nie chcę, żeby Jon cierpiał. Muszę raz jeszcze z nim się zobaczyć i położyć kres wszystkiemu.

— Chcesz położyć kres wszystkiemu!

— A któż to uczyni, jak nie ja?

Nagle Fleur wydała się oczom Juny niewymownie zgnębiona.

— Myślę, że masz rację — mruknęła. — Wiem, że mój ojciec jest tego zdania; jednakże... nigdy nie uczyniłabym tego sama. Nie mogę pogodzić się z tem, by wszystko miało tak zostać.

Jak poważną i rozważną wydawała się ta dziewczyna! Jak nie było znać wzruszenia w jej głosie!

— Ludzie pewno pomyślą, żeś zakochana.

— Może nie jesteś?

Fleur wzruszyła ramionami.

— Mogłabym się domyśleć — mówiła sobie Juna w głębi ducha — to córka Soamesa... rybeńka! A jednakże... on!...

— Do czegoż zatem ja jestem ci potrzebna? — ozwała się z pewną niechęcią.

— Czy mogłabym widzieć się tu z Jonem, gdy będzie przejeżdżał do Holly? On przyjedzie, jeżeli pošlesz mu dziś zawiadomienie. Potem zaś może będziesz łaskawa zawiadomić spokojnie swą rodzinę w Robin Hill, że wszyst-

ko załatwione i że niema potrzeby opowiadać Jonowi dziejów jego matki.

— Doskonale! — rzekła Juna zwięźle. — Napiszę natychmiast, a ty bądź tak dobra przesłać to pocztą. Jutro o wpół do trzeciej. Mnie samej nie będzie w domu.

Usiadła przy maluchnem biurczku, ustawionem w jednym z kątów. Gdy skończyła pisać i obejrzała się za siebie, Fleur jeszcze palcem w rękawicze dotykała maków.

Juna naśliniła znaczek.

— No, masz tutaj. Jeżeli nie jesteś zakochana, to niema o czem mówić.

Fleur wzięła liścik.

— Dziękuję serdecznie!

— Ależ to zimnokrwista istotka! — pomyślała Juna. Jon, syn jej ojca, kochał bez wzajemności... córkę Soamesa! To, było upokarzające!

— Czy to wszystko?

Fleur skinęła głową. Ozdoby jej sukni trzęsły się i drżały, gdy pijanym krokiem szła ku drzwiom.

— Dowidzenia!

— Dowidzenia!... mała lalusi! — mruzczała Juna, zamykając drzwi. — Ta rodzina!

I wróciła do pracowni. Borys Strumołowski odzyskał Chrystusowy spokój, a Jimmy Portugal potępiał wszystkich, prócz tych, dla których wydawał pismo *Neo-Artist*. Wśród potępionych znalazł się i Eryk Cobbley oraz kilka innych genialnych „kulawych kacząt“, które w tym lub owym czasie stały na pierwszym planie w repertuarze uwielbień i filantropji Juny. Przejęta odrazą i niesmakiem, podeszła do okna, ażeby puścić z wiatrem te nikczemne słowa.

Gdy nakoniec Jimmy Portugal skończył swa filippikę i odszedł w towarzystwie Hannah Hobdey, Juna usiadła przy Strumołowskim i przez pół godziny darzyła go ma-

cierzyńską pieczołowitością, obiecując mu co najmniej miesiąc amerykańskiego przyływu; to też gdy oddalał się, nimb jego lśnił w niepokalanej zaności.

— Pomimo wszystko — pomyślała Juna — Borys jest naprawdę niezwykłym człowiekiem.

## ROZDZIAŁ VIII

### KĘS MIĘDZY ZĘBAMI

Świadomość, że się rozpoczyna akcja przeciwko wszystkim, jest dla niektórych natur pewnego rodzaju ulgą moralną. Fleur, opuszczając dom Juny, nie czuła wyrzutów sumienia. Wyczytując wyrok potępiający i niechęć w błękitnych oczach swej małej krewniaczki, cieszyła się, że ją oszukała, i czuła wżgardę dla Juny za to, że ta podtatusiała idealistka nie zmiarkowała, jaki cel przywiódł Fleur do niej.

Doprawdy, trzeba już z tem skończyć!... Wkrótce pokaże się im wszystkim, że się dopiero zaczęło! Na myśl tę Fleur uśmiechała się sama do siebie, siedząc na szczycie autobusu odwożącego ją do Mayfair. Wkrótce jednak uśmiech ten zamarł, zdarty spazmami przewidywań i niepokojów. Czy ona potrafi dać sobie radę z Jonem? Wzięła ten kęs w zęby, ale czy potrafi nakłonić i jego, by uczynił to samo? Ona znała prawdę i prawdziwe niebezpieczeństwo zwłoki — on nie wiedział ani o jednym ani o drugim; w tem właśnie leżała cała różnica.

— Przypuśćmy, że mu to powiem — myślała — czy to naprawdę będzie pewniejsza droga?

Ten podły los nie ma prawa niweczyć ich miłości — tego winien sobie Jon zdać sprawę. Nie mogą przecie na to pozwolić. Ludzie zawsze w czas pewien godzą się z dokonanym faktem. Od tej refleksji filozoficznej

— dość głębokiej na wiek jej młody — przeszła do innych, nie tak filozoficznych, rozważań. Jeżeliby namówiła Jona do rychłego i tajnego małżeństwa... to i cóż wtedy?... Jon nienawidził kręactwa... A więc może byłoby lepiej powiedzieć mu wszystko? Jednakże poryw ten zmroziło przypomnienie twarzy jego matki. Fleur zlekła się. Matka miała nad nim władzę, większą niż ją mieć mogła ona sama. I któż mógłby powiedzieć? Zbyt wielkie byłoby ryzyko! Pograżona głęboko w tych odruchowych kalkulacjach minęła Green Street i dojechała do Hotelu Ritz. Wsiadłszy tam, wróciła nazad w stronę Green Parku. Burza obmyła wszystkie drzewa; ociekały jeszcze wodą. Ciężkie krople spadały na jej suknię. Ażeby ich uniknąć, przeszła na drugą stronę, przed samym frontem klubu Iseeum. Spojrzawszy przypadkowo w górę, spostrzegła Monsieur Profonda, stojącego wraz z jakimś wysokim panem we wnęce okna. Skręciwszy w Green Street, posłyszała, że ktoś woła ją po imieniu — i ujrzała „łazika“ podchodzącego ku niej. Zdjął przed nią kapelusz — błyszczący cylinder, do jakiego zawsze czuła szczególną odrazę.

— Dobry wieczór, panno Forsyde. Czy nie mogę dla pani uczynić jakiej małej rzeczy?

— Owszem, niech pan przejdzie na drugą stronę.

— Powiadam pani!... Czemu pani mnie nie lubi?

— Ja?... pana?...

— Tak to wygląda.

— No tak... więc dlatego, że pan we mnie wzbudził myśl, iż na świecie żyć nie warto.

Monsieur Profond uśmiechnął się.

— Ależ, panno Forsyde, proszę się nie martwić! Niechże sobie tak i będzie! Nic nie trwa wiecznie.

— Niektóre rzeczy trwają — zawołała Fleur — przynajmniej u mnie... zwłaszcza sympatje i antypatje.

— No, to mnie naprawdę czyni nieszczęśliwym.

— Sądziłabym raczej, że pana wogóle nic nigdy nie zdoła uczynić szczęśliwym lub nieszczęśliwym.

— Nie lubię robić przykrości drugim. Wybieram się w podróż na innym małym jachcie.

Fleur spojrzała nań zaskoczona.

— Dokąd?

— W małą podróż na morza południowe lub gdzieś indziej — odrzekł Monsieur Profond.

Fleur doznała ulgi, a jednocześnie czuła jakby jakąś zniewagę. Oto człowiek ten niedwuznacznie dawał poznać, że zrywa z jej matką. Jakąż miał on czelność, że zerwawszy raz już czyjeś węzły, ważył się teraz na nowe zerwanie?

— Dobranoc, panno Forsyde! Proszę się ode mnie kłaniać pani Dartie. Dalibóg, nie jestem tak zły, jak się zdaje. Dobranoc!

Fleur zostawiła go tak, stojącego z podniesionym w górę kapeluszem. Obejrawszy się ukradkiem, zobaczyła, że szedł — poważnie i z miną niewiniątka — zpowrotem w stronę klubu.

— On nie umie nawet kochać z przekonaniem — pomyślała. — Co teraz zrobi matka?

Tej nocy miała wiele snów niemiłych. Wstała ociężała i niewypoczęta, i odrazu zabrała się do studjowania almanachu Whitakera. Kto ma w sobie krew Forsytów, ten instynktownie odczuwa, że fakty bywają prawdziwem kołem udręki w każdej sprawie i sytuacji. Być może, iż udałoby się jej przezwyciężyć skrupuły Jona, jednakże bez dokładnej maszynerji, któraby zdołała doprowadzić do skutku ich desperacką decyzję, wszystko nie zdało się na nic. Z nieocenionej księgi dowiedziała się, że oboje muszą mieć lat dwadzieścia jeden, by móc stanąć o sobie; inaczej, potrzebne było czyjeś zezwolenie, w danym wypadku zgoła nieosiągalne... Potem zgubiła się we wskazówkach, odnoszących się do licencyj, certyfi-

katów, zastrzeżeń, dystrykcji, aż nakoniec doszła do wyrazu „krzywoprzysięstwo“. Jednakże to wszystko było zgola niedorzeczne! Któż mógłby naprawdę myśleć o tem, że podają fałszywe daty metrykalne, by pobrać się z miłości?...

Ledwie przegryzłszy coś na śniadanie, wróciła znów do Whitakera. Im więcej zagłębiała się w niego, tem mniej czuła się pewną — aż wkońcu, od niechcenia przrzucając kartki, doszła aż do Szkocji. Tam, jak się okazało, można się pobrać bez tych wszystkich głupich restrykcji. Dość było tylko pojechać tam i zamieszkać przez 21 dni, potem zaś mógł przyjechać Jon... i w obecności dwóch świadków oświadczyliby, że się pobierają z sobą... i, co więcej, pobraliby się naprawdę! Tak, to byłoby najlepsza droga do celu! I naraz Fleur zaczęła sobie przypominać dawne swe koleżanki szkolne. Oto w Edynburgu mieszkała Mary Lambe, zawołana figlarka! Pozatem mieszkał tam i jej brat. Możliwy więc zamieszkać u Mary Lambe, która wraz z bratem mogłaby służyć jej za świadka. Fleur dobrze wiedziała, że niektóre jej rówieśniczki uznałyby to wszystko za niepotrzebną fatygę, jako, że wystarczyłoby wyjechać jej wraz z Jonem kędyś daleko, a potem oświadczyć rodzinie:

— Jesteśmy sobie poślubieni przez naturę, teraz powinniśmy wziąć ślub wobec prawa.

Jednakże Fleur zbyt wiele miała w sobie krwi Forsytowskiej, by nie odczuć niewłaściwości podobnego postępku — bała się stanąć przed ojcem, gdyby o tem pomyślał. Zresztą nie wierzyła, by Jon zdobył się na coś podobnego; miał on bowiem o niej tak wysokie mniemanie, że nie należało tegoż uszczuplać. Nie! lepiej było zamieszkać u Mary Lambe, zwłaszcza, że sama pora roku zachęcała do tego, by udać się do Szkocji. Nabrawszy już większej otuchy, spakowała się, minęła



się z ciotką i wsiadła do autobusu, jadącego w stronę Chiswick. Przyjechała za wcześnie, wobec czego udała się do Kew Gardens. Nie znalazła spokoju wśród kwiatowych rabatów, drzew opatrzonych etykietami i szerokich, zielonych przestrzeni; zjadłszy przeto parę bułeczek, nasmarowanych rybim pasztetem, i wypiwszy szklanekę kawy, wróciła na Chiswick i zadzwoniła do Juny. Otworzyła drzwi Austrjaczka i poprosił ją do „małej jadalni“. Teraz, gdy Fleur wiedziała na co narażona jest wraz z Jonem, tęsknota za nim wzrosła dziesięciokrotnie, jakgdyby on był zabawką o ostrych kantach lub o trującej farbie, jaką usiłowano jej nieraz zabrać w dzieciństwie. Jeżeli nie uda się jej osiągnąć zamierzeń i dostać Jona w niepodzielne posiadanie, to ta strata będzie dla niej śmiercią prawie. Taką czy owaką drogą — ona musiała i chciała go zdobyć!

Ponad czerwonym piecem ceglany wisiało okrągłe, ścienne lustro z bardzo starego szkła. Stała przed niem, przyglądając się własnemu odbiciu — widziała, że jest blada i że ma jakby cienie pod oczami; przez jej nerwy przebiegały ustawiczne, krótkie drgania. Naraz posłyszała dzwonek. Podkradłszy się ku oknu, zobaczyła Jona. Stał na przedprożu, gładząc włosy i wargi, jakgdyby i on starał się zapanować nad drganiem nerwów.

Usiadła w jednym z dwóch krzeseł trzcinowych, tyłem do drzwi, a gdy wszedł, zagadnęła go odrazu:

— Usiądź, Jonie, chciałabym z tobą pomówić poważnie.

Jon usiadł za stołem przy jej boku. Ona, nie patrząc na niego, mówiła dalej:

— Jeżeli nie chcesz mnie stracić, musimy się pobrać niezwłocznie.

Jon westchnął.

— Czemu? Czy stało się coś nowego?

— Nie, ale wyczułam to w Robin Hill i pomiędzy moją rodziną.

— Ale... — zajęknął się Jon — w Robin Hill... wszystko poszło tak gładko... i nie robiono mi żadnych wymówek.

— W każdym razie chcą nam przeszkodzić. Mówiła mi to twarz twojej matki... i mojego ojca.

— Czy widziałaś go od tego czasu?

Fleur skinęła głową. Cóż komu szkodzić mogło parę dodatkowych kłamstewek?

— Ale — oponował gorąco Jon — nie wiem, jak oni mogą po tylu latach żywić podobne uczucia?

Fleur spojrzała na niego.

— Pewnie już niedość mnie kochasz.

— Niedość cię kocham! Ależ... ja...

— Wobec tego polegaj na mnie zupełnie.

— I nic im nie mówić?

— Nic... aż dopiero po wszystkim.

Jon zamilkł. O ileż starszym wydawał się jej teraz, niż w owym dniu — jakie dwa miesiące temu, gdy ujrzała go po raz pierwszy. Starszym zgoła o dwa lata!

— To bardzo zaboli mamę — zauważył.

Fleur cofnęła rękę.

— Zostawiam ci wolny wybór. Wóz albo przewóz.

Jon przechylił stół, opierając go o same kolana.

— Ale czemuż im tego nie powiedzieć? Oni chyba nie mogą nam przeszkodzić, Fleur!

— Mogą! Powiadam ci, że mogą!

— Jakim sposobem?

— Zapomocą nacisku pieniężnego... lub innego nacisku... Jesteśmy całkowicie zależni od nich w tych rzeczach. Mnie już brak cierpliwości, Jonie.

— Ale w ten sposób ich oszukujemy.

Fleur wstała.

— Ty chyba mnie nie kochasz... w przeciwnym razie

nie wahałbyś się ani na chwilę. „On albo losu swego zbył się lęka...”

Podniósłszy ręce ku jej kibici, Jon zmusił Fleur, by usiadła. Ona jęła mówić pośpiesznie:

— Ułożyłam już wszystko. Musimy tylko wyjechać do Szkocji. Gdy już się pobierzemy, oni wnet się z tem pogodzą. Ludzie zawsze godzą się z faktem dokonanym. Czy tego nie widzisz, Jonie?

— Ale tak boleśnie ich ranić!

Aha! więc on woli raczej *ja* urazić, niż ich!

— A więc dobrze! pozwól, że sobie pójdę!

Jon wstał i plecami zasłonił drzwi.

— Nie wątpię, że masz rację — rzekł powoli — ale chciałbym to rozważyć!

Widziała, że kipią w nim uczucia, które chciałby wyrazić — jednakże ani myślała przyjść mu z pomocą. W tej chwili nienawidziła samej siebie i omal i jego nie znienawidziła. Czemuż to ona ma czynić wszelkie zabiegi, by ubezpieczyć miłość ich dwojga? To niepięknie! Wtem ujrzała jego oczy, pełne uwielbienia i zgryzoty.

— Nie patrz tak, Jonie! Przecież ja tylko... nie chcę cię utracić!

— Nie możesz mnie utracić, póki mnie pragniesz.

— Owszem, owszem, mogę.

Jon położył ręce na jej barkach.

— Fleur, ty wiesz o czemś, i nie chcesz mi tego powiedzieć!

Było to właśnie owo bezpośrednie pytanie, którego tak się lękała. Spojrzała mu prosto w oczy i odpowiedziała:

— Nie.

Spaliła mosty za sobą; cóż to jednak znaczyło wobec faktu, że oto *jego* sobie zdobędzie! On jej przebaczy!... I zarzuciwszy mu ręce na szyję, pocałowała go w usta. W tej chwili osiagnęła nad nim przewagę! Czowała to

w biciu jego serca, wtórzacem jej sercu, i w przymknięciu jego powiek.

— Chcę się upewnić! Chcę się upewnić! — szeptała.  
— Obiecuj!

Jon nie odpowiadał. Twarz jego osłonięta była ciszą niezmiernego niepokoju. Wkońcu ozwał się:

— Zdaje się, że ich to zaboli. Muszę nieco pomyśleć, Fleur. Muszę pomyśleć.

Fleur wysunęła mu się z objęć.

— Och! dobrze, dobrze!

I naraz wybuchnęła płaczem — co był skutkiem rozczarowania, wstydu i nadmiernego naprężenia nerwów. Nastąpiło pięć minut przykrego bólu i rozpacz. Rozrzewnienie Jona i jego wyrzuty sumienia nie miały granic — jednakże nie obiecywał niczego. Ona miała chęć krzyknąć:

— Dobrze więc... skoro mnie nie kochasz... to do widzenia!

Jednakże nie mogła na to się zdobyć. Od dzieciństwa nawykła do samowolnego postępowania — i oto zaskoczył ją i wpoprzek stanął jej zamysłem ten sprzeciw młodzika tak czulego i tak jej oddanego. Chciała go odepchnąć od siebie... spróbować, co można osiągnąć gniewem i oziębłością... i znów zdobyć się na to nie mogła. Świadomość, że oto zamierzała rzucić go naoslep w wir rzeczy nieodwołalnych, osłabiła wszystko — osłabiła szczerłość uporu i szczerłość namiętności; nawet pocałunki nie miały tego powabu, jakiego w nich pożądała. To burzliwe, choć krótkie, spotkanie zakończyło się bez ostatecznych decyzji.

— Czy można herbaty, *gnädiges Fräulein*?

Odrąciwszy Jona od siebie, zawołała:

— Nie, dziękuję pani! Właśnie odchodzę!

I zanim mógł ją powstrzymać, wybiegła z pokoju i znalazła się na ulicy.

Szła ukradkiem, ocierając zczzerwienione, poplamione policzki — strwożona, gniewna, do ostateczności nieszczęśliwa. Tyle wysiłków i udreki kosztowało ją podżeganie Jona do czynu — jednakże nie udało się uzyskać ani cienia stanowczej decyzji, a choćby i obietnicy! Lecz im mniej pewna i bardziej ryzykowna była przyszłość, tem głębiej w sam miąższ serca zapuszczała swe włósniki „wola posiadania“ — niby jakiś pasorzyt wgryzający się w swe podłoże!

Na Green Street nie było nikogo. Winifreda z Imogeną poszły na jakieś przedstawienie, o którym jedni mówili, że jest alegoryczne, drudzy zaś, że „bardzo pieprzne (wie pan co?)...“ Ten właśnie drugi взгляд skłonił Imogenę i Winifredę do pójścia na to widowisko.

Fleur wyjechała do Paddington. Dech cegielni w West Drayton i woń późnych sianokosów, wbiegając do wagonu, muskały łagodnie jej twarz, jeszcze zacierwienioną. Kwiaty wpierv zdawały się zapraszać ją, by je zerwała — teraz wszystkie wydawały się kolczate i parzące. Atoli ów kwiat złocisty w wieńcu kłosianym wydawał się jej zawziętemu umysłowi jeszcze piękniejszym i jeszcze bardziej godnym pożądania.

## ROZDZIAŁ IX

### OLIWA DO OGNIA

Przybywszy do domu, Fleur znalazła w nim atmosferę tak osobliwą, że wniknęła ona nawet w zamkniętą strefę jej własnych spraw życiowych. Matka przebywała wciąż w niedostępnych okopach marzenia, ojciec zaś w altanie obrosłej winem dumął nad losami tego świata. Ani ona ani on nie rzucili, nawet psu, najmniejszego słówka.

— Czy to z mego powodu? — myślała Fleur. —  
A może to poszło o Profonda?

Spytała najpierw matkę:

— Co to się stało tatusiowi?

Matka odpowiedziała wzruszeniem ramion.

Potem zwróciła się Fleur i do ojca:

— Co się stało mamie?

Ojciec odpowiedział:

— Co się stało? Cóżby się stało? — i obrzucił ją  
bystrem spojrzeniem.

— Mówiąc nawiasem — mruknęła Fleur — Mon-  
sieur Profond wybrał się w „małą“ podróż jachtem,  
kędyś na morze południowe.

Soames ją przyglądać się gałązce, na której jako  
żywo nie było winogron.

— To wino kiepsko się jakoś rozwija — odezwał się.  
— Był tu młody Mont. Pytał mnie o rzecz jedną, doty-  
czącą ciebie.

— Och! jak ci się on podoba, tatku?

— On... on jest wytworem... jak wszyscy ci młodzi  
ludzie dzisiejsi.

— A jakżeś ty był w tym wieku, ojczulku?

Soames uśmiechnął się ponuro.

— Myśmy pracowali, a nie myśleliśmy wciąż jeno  
o zabawie... o lataniu, jeździe rowerem i miłostkach.

— Czyś ty nigdy nie wdawał się w intrygi miłosne?

To mówiąc, starała się nie patrzeć na niego, jednakże  
widziała go w dostatecznej mierze. Twarz jego blada  
poczerwieniała, a brwi, w których ciemny odcień zmie-  
szał się już z siwizną, ściągnęły się mocno.

— Nie miałem czasu ani ochoty na zalecanki.

— Może miałeś jakąś wielką namiętność...

Soames przyjrzał się jej uważnie.

— Tak... jeżeli chcesz wiedzieć... i była mi ona  
wielkiem szczęściem.

Ruszył dalej, posuwając się koło rur z ciepłą wodą. Fleur cicho, na palcach, poszła za nim.

— Opowiedz mi o tem, ojczulku!

Soames okrył się maską wielkiego spokoju.

— I cóżbyś chciała, w swoim wieku, dowiedzieć się o tych sprawach?

— Czy ona żyje?

Skinął głową.

— I zamężna?

— Tak.

— Czy to aby nie matka Jona Forsyta? I ona była dawniej twoją żoną...

Słowa te wypowiedziane zostały w błysku intuicji. Jego obronne stanowisko pochodziło zapewne z obawy, by Fleur nie wiedziała o tej zadawnionej ranie, drażniącej jego dumę. Jednakże zdumiała się i przeraziła — widząc i słysząc, że ktoś tak spokojny i sędziwy, jak jej ojciec, wzdryga się jakby rażony ciosem, a w głosie jego przebija się nuta dotkliwego bólu!

— Kto ci to powiedział? Jeżeli ciotka...! Nie mogę na to pozwolić, by plotkowano o tem zdarzeniu.

— Ależ, ojczulku — ozwała się Fleur łagodnie — przecież to takie dawne czasy!

— Dawne czy niedawne, ale ja...

Fleur zaczęła gładzić go po ramieniu.

— Staralem się zapomnieć — wybuchnął nagle — nie życzę sobie, by mi to przypominano.

A następnie, jakgdyby dając upust jakiemuś długiemu i utajonemu rozdrażnieniu, dodał:

— W dzisiejszych czasach ludzie nie rozumieją tego. Tak jest, naprawdę wielka namiętność! Nikt tego odczuć nie umie.

— Ja umiem — ozwała się Fleur prawie szeptem.

Soames, który wpierw odwrócony był do niej plecami, teraz zwrócił się w jej stronę.

— Co też mówisz? Takie dziecko jak ty!

— Możem i ja ją odziedziczyła, ojczulku.

— Co?

— I to... widzisz... względem jej syna...

Soames pobladł jak ściana, a Fleur wiedziała, że sama też nie wygląda lepiej. Stali, wpatrując się wzajemnie w siebie, wśród nadpływających fal gorąca, woniących surowym zapachem ziemi, geranjum w doniczkach, i winorośli płaczących się silnie z sobą.

— To warjactwo! — rzekł nakoniec Soames przez zęby.

Nie poruszając się prawie, mruknęła:

— Nie gniewaj się, ojczulku. Nie mogę na to nic poradzić.

Jednakże nie widać było po nim, by się gniewał; był tylko raniony, raniony głęboko.

— Myślałem — wyjąkał — że ta błazenada poszła już całkowicie w niepamięć.

— O nie! spotęgowała się dziesięciokrotnie!

Soames uderzył nogą w rurę kaloryferu. Ten bezradny ruch wzruszył Fleur, która nie miała żadnej — najmniejszej nawet — obawy przed ojcem.

— Tatusieńku! — przemówiła. — Sam wiesz, że jak co być musi, to już musi!

— Musi! — powtórzył Soames. — Sama nie wiesz, co mówisz. Czy ten chłopak też dowiedział się o wszystkim?

Krew uderzyła jej do policzków.

— Jeszcze nie.

Odwrócił się znów od niej i przekrzywiwszy nieco jedno ramię, stał wpatrując się uporczywie w przegięcie rury.

— Zgoła mi się to nie podoba — rzekł nagle. — Nie może być dla mnie nic przykrzejszego. Syn tego draba! To... to... przewrotność!



Zauważyła — niemal podświadomie — że nie powiedział „syn tej kobiety“; i znów intuicja zaczęła w niej swą robotę.

Czy duch owej wielkiej namiętności przyczał się gdzieś w jakimś zakątku jego serca?

Wsunęła rękę pod ramię ojca.

— Ojciec Jona jest już zupełnie stary i schorowany.

Widziałam go.

— Ty...?

— Tak, byłam tam razem z Jonem. Widziałam ich oboje.

— No, i cóż oni na to?

— Nic. Byli bardzo uprzejmi.

— Tak, oni są tacy...

Rozpoczął znów przyglądać się zgięciu kaloryfera, poczem nagle odezwał się.

— Muszę to przemyśleć... Pomówię z tobą jeszcze wieczorem.

Zrozumiała, że na tem kończy się ich rozmowa, więc wymknęła się cicho, pozostawiając ojca wciąż jeszcze zajętego oglądaniem kaloryfera. Weszła do ogrodu, między krzaki malin i porzeczek, nie miała jednakże chęci do jedzenia. Dwa miesiące temu — jakże lekko było jej na sercu! A nawet dwa dni temu — zanim Prosper Profond powiedział jej o wszystkim. Teraz czuła się uwikłaną w sieci — namiętności, przybranych praw, przygnębień i buntowniczych odruchów — w pęta miłości i nienawiści. W tym mrocznym momencie bezotuchy wydało się jej, pomimo całej wrodzonej tężyzny i wytrzymałości ducha, że niema sposobu ocalenia. Jakże to rozwikłać — jak uzależnić od swej woli bieg wypadków i osiągnąć cel serdecznych pożądań?

I naraz, na rogu wysokiego żywopłotu bukszpanowego, natknęła się na matkę, idącą szybkim krokiem i trzymającą jakiś list w ręku. Jej piersi podnosiły się

w ciężkim oddechu, oczy były szeroko rozwarte, na policzkach wystąpiły rumieńce.

— Aha! Ten „mały“ jacht!... Biedna matka! — przyszło Fleur do głowy.

Anetka spojrzała na nią przerażonym wzrokiem i rzekła:

— *J'ai la migraine.*

— Jestem bardzo zmartwiona, mamo.

— O tak! Ty... i twój ojciec... umiecie się martwić!

— Ależ, mameczko... naprawdę jestem zmartwiona.

Wiem, jakie to uczucie.

Anetka ze zdumienia szerzej jeszcze otworzyła oczy, aż białka zabłysły nad tęczęwkami.

— Biedne niewiniątko! — powiedziała.

Jej matka — wykazująca zazwyczaj tyle opanowania i trzeźwego rozsądku — przemawiała i patrzyła na nią w ten sposób! To było niepokojące! Ojciec, matka — i ona sama!... A przecie dwa miesiące temu zdawało się, iż wszystkim trojgu nie brak nic do szczęścia.

Anetka zmięła w ręce list. Fleur wiedziała, że powinna udać, jakoby tego nie zauważyła.

— Czy mogę coś ci poradzić na ten ból głowy, mamusiu?

Anetka potrząsnęła ową zbolaną głową i odeszła, kłyszac się w biodrach.

— To okropność — myślała Fleur — a ja się cieszyłam! Och! ten człowiek! I pocóż to ludzie wkradają się w cudze gniazda, zakłócając ich spokój i harmonję? Zdaje mi się, że on już się nią znudził. I cóż go do tego przywiodło, że się znudził moją matką? Cóż go przywiodło?

Na tę myśl, tak naturalną i tak osobliwą zarazem, roześmiała się krótko, spazmatycznie. Powinna była, oczywiście, być uradowaną, ale z czego tu się radować? Ojciec

zgoła się tem nie przejmował!... A może matka się przejmowała?

Weszła do sadu i usiadła pod drzewem czereśni. W górnych konarach szeleścił wiatr; niebo, widziane poprzez szczeliny listowia, było mocno błękitne i zawleczone białymi obłokami, jakie tworzą niemal nieodłączną akcesorję nadrzecznego krajob azu. Pszczoły chroniąc się od wiatru, pobrzękiwały cicho, a na bujną trawę padał cień głęboki z drzew owocowych zasadzonych przez ojca Fleur przed dwudziestoma pięciu laty. Ptaki prawie pocichły, kukułki przerwały swą śpiewkę, tylko synogarlice ozywały się jeszcze gruchaniem. Szelest liści, pobrzęk pszczół i owo gruchanie nie nadługo były ukojeniem jej rozdasanych nerwów. Przycupnąwszy — z łokciami wspartemi na kolanach — poczęła snuć plany. Należało przywieść ojca do tego, by wspierał ją w jej działaniu. Czyż mógł mieć jakieś skrupuły, gdy szło o jej szczęście? Przez dziewiętnaście niemal lat swego życia mogła aż nadto się upewnić, że jedyną rzeczą, o którą naprawdę ojciec się troszczył, było jej szczęście, jej przyszłość. Powinna więc jedynie przekonać go, że przyszłość jej nie może być szczęśliwa bez Jona. On uważał to za niemądry kaprys. Jakże niemądrzy są ludzie starsi, sądząc, że umieją określić stan uczuć ludzi młodszych od siebie! Czyż on się nie przyznał sam do tego, że w latach młodszych żywił miłość namiętą? Powinien tedy był zrozumieć!...

— On gromadzi dla mnie pieniądze — myślała — ale co mi z tego, gdy nie będę szczęśliwa?

Pieniądze — i wszystko co za nie kupić można — nie przynoszą szczęścia. Szczęściem darzy jedynie miłość. Wołookie stokrotki, które ogródkowi nadawały niekiedy wygląd taki rozmarzony, rosły dziko i szczęśliwie — i miały w swem życiu radosne chwile.

— Nie powinni byli nazywać mnie Fleur — rozmy-

ślała — jeżeli nie chcą mi dać takich chwil rozkwitu i nie pozwalają, bym była w te chwile szczęśliwa.

Wszak nie było przeszkód istotnych, takich jak nędza lub choroba — jedynie tylko jakiś sentyment, upiór nieszczęsnej przeszłości! Jon miał rację. Ci starzy ludzie nie uznają niczyich praw do życia! Robią omyłki, dopuszczają się zbrodni — i chcą, żeby dzieci wyplącały dług przeszłości!

Wiatr przycichł; komary poczęły gryźć dotkliwie. Fleur wstała, uszczknęła gałązkę wiciokrzewu i weszła do domu.

Wieczór był parny, tak iż Fleur i jej matka musiały włożyć cienkie, blade sukienki. Kwiaty na stole przy kolacji też były blade. Jakaś powszechna bladość uderzyła Fleur. Błada była twarz jej ojca, ramiona jej matki; blade były boazerje ścian, przybladł szary welwetowy kilimek, cień lampy, a nawet i zupa przybrała odcień jakiś bladawy. W całym pokoju nie było ani jednej plamki kolorowej. Nie było nawet wina w bladych szklankach — bo nikt go nie pił. Co nie było blade, miało barwę czarną — a więc ubranie ojca, odzież służącej, piesek spoczywający ociążale na parapecie okna; zczerniały nawet kremowe desenie na firankach. Przez okno wleciała éma — i ona też była blada. I cisza jakaś nieledwie żałobna towarzyszyła całej wieczery, wśród tego gorąca.

Gdy Fleur chciała po kolacji wyjść za matką, ojciec przywołał ją do siebie.

Usiadła koło niego przy stole i odpiawszy bladą gałązkę wiciokrzewu, przytknęła ją do nosa.

— Myślałem o tem... — przemówił.

— Tak, kochany?

— Jest mi niewymownie przykro omawiać tę sprawę, ale na to niema rady. Nie wiem, czy zdajesz sobie sprawę z tego, czem jesteś dla mnie... Nie mówiłem nigdy

o tem... uważałem to za rzecz zbyteczną... ale... ale ty jesteś mi wszystkim. Twoja matka... — tu zatrzymał się, wpatrując się w szklaną wenecką czarękę do obmywania rąk po obiedzie.

— Tak?

— Ty jesteś mą jedyną pociechą... skarbem mych oczu. Nigdy nie miałem... nie pragnąłem nigdy niczego, odkąd tyś na świat przysła.

— Wiem o tem — bąknęła Fleur.

Soames zwilżył wargi.

— Może myślisz, że w tej sprawie mogę pójść ci na rękę i pomóc ci w czemkolwiek. Mylisz się bardzo. Jestem... jestem bezradny.

Fleur nie odzywała się.

— Abstrahując już od moich własnych uczuć — mówił dalej Soames tonem bardziej już stanowczym — musisz wiedzieć, że tamci dwoje nie odpowiadają za żadne z moich przyrzeczeń. Oni... oni mnie nienawidzą, jak nienawidzi się tego, kogo się skrzywdziło.

— Ale on... Jon...

— On jest ich ciałem i krwią, ich jedynym dzieckiem. Prawdopodobnie on jest dla niej tem, czem ty dla mnie. Z tem już kwita.

— Nie! — zawołała Fleur. — Nie, ojczulku!

Soames oparł się o tylną poręcz krzesła, tworząc obraz bladej cierpliwości, jakgdyby zdecydował się nie okazywać po sobie najmniejszego wzruszenia.

— Słuchaj! — rzekł. — Ty chcesz przeciwstawić uczucia dwóch miesięcy... tak, dwóch miesięcy... uczuciom żywionym przez trzydzieści pięć lat! I cóż zamierzasz przez to osiągnąć? Dwa miesiące... pierwszą miłośćkę, parę spotkań, kilka przechadzek i pogawędek, dwa lub trzy całusy... to stawiasz przeciw... przeciw wszystkiemu, czego nie możesz sobie wyobrazić... czego nie wyobrazi sobie nikt, kto tego nie przeżył. Bądźże roz-

sądna, Fleur! To tylko takie sezonowe durzenie sobie głowy... nic więcej!

Fleur potargala gałązkę wiciokrzewu w drobne, niekształtne strzępy.

— Durzeniem sobie głowy jest właśnie pozwalanie na to, by przeszłość stawiała się nam zawadą. Cóż nas może obchodzić przeszłość?... Teraz idzie o nasze życie, nie o wasze.

Soames podniósł rękę do czoła, na które nagle wystąpił pot perlisty.

— Czyjem jesteś dzieckiem? — ozwał się. — A czyjem on? Przeszłość wiąże się z terażniejszością, a przyszłość z jedną i drugą. Od tego nie można się uwolnić.

Fleur nigdy wpierw nie słyszała sentencji filozoficznych z ust ojca. Słowa powyższe nawet w obecnem podnieceniu uczyniły na niej silne wrażenie. Oparła łokcie na stole, podtrzymując dłońmi podbródek.

— Ależ, ojczulku, zastanów się nad tem trzeźwo. My chcemy się pobrać. Pieniądzy mamy dość i nic nie stoi na przeszkodzie prócz sentymentu. Przeszłość należy po-grzebać, tatusiu.

Odpowiedzią na to było westchnienie.

— Zresztą — dodała Fleur łagodnie — ty chyba nie będziesz stawiał nam przeszkód.

— Gdyby to ode mnie zależało — odpowiedział Soames — przypuszczam, iż nie starałbym się wam przeszkadzać. Jednakże nie ja mam prawo stanowienia w tej sprawie. Chciałbym ci to wytłumaczyć, póki nie jest jeszcze zapóźno. Jeżeli nadal będziesz mniemała, że tą drogą coś uzyskasz i jeżeli będziesz podsycala to uczucie, wówczas tem cięższy będzie cios, gdy się przekonasz, że to wszystko daremne.

— Ach! — krzyknęła Fleur. — Pomóż mi, tatusiu. Sam wiesz przecie, że ty jedynie możesz mi pomóc.

Soames w przerażeniu wykonał gest odmowny.

— Ja? — odparł z goryczą. — Pomóc?... Jestem przecie przeszkodą... głównym powodem i przeszkodą... czy nie tak prawią wieści? Ty masz moją krew w żyłach.

To mówiąc, powstał z krzesła.

— Tak jest... oliwa dolana do ognia. Jeżeli będziesz trwała w uporze, to winę później przypiszesz samej sobie. No, no! nie bądźże nierozsądna, moje dziecko... moje jedyne dziecko!...

Fleur oparła czoło o jego ramię.

Taki w niej wrzał zamęt uczuć i myśli — jednakże nie należało okazywać go po sobie. Nie, nie, pod żadnym warunkiem!

Oderwała się od ojca i wyszła w szarzyznę zmroku — silnie wzburzona, lecz nie przekonana. Wszystko w niej było jakieś nieuchwytnie i niezdecydowane, niby kształty i cienie rozsypane po ogrodzie. Silnie rysowała się tylko rzecz jedna — chęć posiadania, osiągnięcia tego, co zamierzyła.

Jakaś topola ostrym kończarem wrzynała się w ciemno-błękitne niebo, godząc w jakąś jasno świecącą gwiazdę. Rosa przemoczyła buki Fleur i dreszczem zimnym musnęła jej odsłonięte ramiona. Coś pociągnęło Fleur nad brzeg rzeki — stanęła tam, przyglądając się smudze księżycowej na mroczniejącej toni. Nagle poczuła zapach dymu tytoniowego, a z wody wyłoniła się biała postać, jakby wyczarowana przez księżyc. Był to młody Mont w flanelowym kostjumie, stojący na dnie swej łodzi. Posłyszała lekkie syczenie papierosa, rzuconego w wodę.

— Panno Fleur — ozwał się głos — proszę nie znęcać się nad nieszczęsnym. Czekam tu od wielu godzin.

— Na co?

— Proszę wejść do mej łodzi.

— Nie mam ochoty.

— A czemu nie?

— Nie jestem wodnicą-rusalką.

— Czy pani nie ma w sobie ani źdźbła romantyczności? Proszę nie być do cna nowoczesną, panno Fleur!  
Ukazał się na ścieżce o jaki sążeń od swej rozmówczynie.

— Proszę się oddalić!

— Fleur, ja cię kocham... Fleur!

Fleur zaśmiała się.

— Niech pan wróci — rzekła — gdy nie spełni się moje pragnienie...

— A co jest pani pragnieniem?

— Niech pan spyta kogo innego.

— Fleur — ozwał się Mont, a głos jego brzmiał jakoś dziwnie; — nie szydź ze mnie! Nawet psy, przeznaczone do wiwisekcji, zasługują na przyzwoite traktowanie, zanim się im zada cios stanowczy.

Fleur potrząsnęła głową, a wargi jej drżały.

— No, nie powinien mnie pan napawać strachem. Proszę dać mi papierosa!

Mont poczęstował ją papierosem, sam też wziął jednego i zapalił oba.

— Nie chcę mówić andronów — odezwał się — ale proszę sobie wyobrazić wszystkie androny, jakie kiedykolwiek wygadywali ludzie zakochani, dodawszy do tego garść moich własnych andronów.

— Dziękuję panu, tak sobie to właśnie wyobrażałam. Dobranoc!

Stali przez chwilę naprzeciwko siebie w cieniu akacji, której kwiecie prześwietlał równie biały blask księżyca, a dym papierosów kłębił się pomiędzy nimi w powietrzu.

— Czy nie można po imieniu: „Michale Mont?“ — zapytał.

Fleur raptownie zwróciła się w stronę domu. Na łące zatrzymała się, by spojrzeć poza siebie. Michał Mont wymachiwał rękoma — widziała, jak wywijał niemi



nad głową, a następnie powiewał chustką pośród kwiecia akacjowego, oblanego księżycem. W tej chwili dobiegło do niej jego wołanie:

— Czarowna! czarowna!

Fleur wzdygnęła się. Nie mogła mu przecie nic poradzić, miała dość własnych strapięń i kłopotów.

Na werandzie znów zatrzymała się nagle. Matka siedziała przy swem biurku w salonie, zupełnie osamotniona. Wyraz jej twarzy nie miał w sobie nic godnego uwagi, prócz zupełnej zakamieniałości... jednakże wyglądała na osamotnioną, pozbawioną czyjegós towarzysztwa!

Fleur wyszła na górę. Przed drzwiami swego pokoju przystanąła na chwilę. Słysząc było kroki ojca, przechadzającego się tam i zpowrotem po galerji obrazów.

— O, tak — pomyślała — czarująca! Ach, Jonie!

## ROZDZIAŁ X

### DECYZJA

Gdy Fleur wyszła z pokoju, Jon wlepił oczy w Austrjaczkę. Była to kobieta chuda o ciemnej twarzy i zakłopotanej minie, jaką tylko może mieć osoba, która podpatrzyła wszystkie odłamki szczęścia, oddalone niegdys od niej przez los zawistny.

— Nie potrzeba herbaty? — zapytała.

Wyczuwając rozczarowanie w jej głosie, Jon mruknął:

— Nie... naprawdę... dziękuję...

— Mała szklanka... już gotowy... Mała szklanka i cygarety...

Fleur poszła sobie! Oto czekały go godziny zgryzoty i wątpliwości! W przykrem poczuciu niewłaściwego tonu uśmiechnął się i rzekł:

— Dobrze... dziękuję pani.

Przyniosła mu mały czajnik z herbatą, dwie filiżanki oraz srebrną papierošnicę na małej tacy.

— Może cukier? Panna Forsyte ma duzo cukier... ona kupuje mój cukier... i mojego przyjaciel... Panna Forsyte jest bardzo dobry pani. Ja bardzo cieszę, że mogę jej służyć. Pan jest jej brat?

— Tak — odpowiedział Jon, zapalając drugiego papierosa w swem życiu.

— Bardzo młoda brat — zaseplenila Austrjaczka z nikłym, trwoźnym uśmieszkiem, który przypomniał mu merdanie psiego ogona.

— Czy mogę pani nałóżyć cukru? — zapytał Jon. — I czemu pani nie usiądzie?

Austrjaczka potrzęsnela głową.

— Pański ojciec jest bardzo mila staruszek... najmilsza staruszek, jaka ja widzialam w życiu. Czy on jest już zdrowsza?

Słowa te spadły na Jona, niby jakiś wyrzut.

— Owszem, zdaje mi się, że się czuje zupełnie dobrze.

— Chcialabym go znowu zobaczyć — paplała Austrjaczka, kładąc rękę na sercu; — on ma taka dobra serce.

— Tak — odpowiedział Jon. I znów słowa te wydały mu się wyrzutem.

— On nigdy nie robi nikomu zaden przykrość, a uśmiecha się tak lagodnie.

— Tak?

— On patrzy na panna Forsyte czasem tak zabawnie. Ja opowiedziala mu mój cały historja; on jest taka *sympathisch*. Pański matka... ona jest bardzo mila i dobry?

— Tak, bardzo.

— On ma jej *Photographie* na swój toaletka. Bardzo piękny.

Jon haustem wychylił herbatę. Ta kobieta, ze swoją

zafrasowaną twarzą, wyglądała jak mężobójczyni-recydywistka.

— Dziękuję pani — odezwał się. — Muszę już odejść. Czy mogę... czy mogę zostawić to pani?

Z pewnem wahaniem położył na tacy banknot dziesięcioszylingowy i podążył ku drzwiom. Posłyszał westchnienie Austrjaczki, więc wybiegł czempredzej z domu. Miał jeszcze czas do odejścia pociągu, a przez całą drogę do Wiktorji obserwował kolejno twarze wszystkich przechodniów — jak to zwykli czynić ludzie zakochani — żywiąc nadzieję wbrew wszelkiej nadziei. Dotarłszy do Worthing, nadał swój bagaż na kolejkę lokalną, a sam zaczął iść poprzez Wzgórza do Wansdon, starając się marszem tym otrząsnąć z siebie bolesną swą niepewność. Póki szedł wartkim krokiem, mógł rozkoszować się pięknnością zielonych zboczy, mógł, kładąc się dla odpoczynku na zielonej trawie, podziwiać urodę dzikiej róży i przysłuchiwać się trelom skowronka. Jednakże walka podniet wewnętrznych — tęsknota za Fleur i nienawiść oszustwa — jedynie pozornie przycichła, tlejąc jeszcze w głębi.

Gdy dochodził do starego kamieniołomu w Wansdon, nie czuł się lepiej na duchu niż w chwili, gdy wyruszył w drogę. Było to mocą i jednocześnie słabością Jona, że każdą sprawę ujmował jednakowo silnie z obu końców. Do domu doszedł akurat w chwili, gdy rozbrzmiewał pierwszy dzwonek na kolację. Rzeczy Jona, nadane koleją, już wniesiono na górę. Wykąpał się pośpiesznie i zszedł nadół, gdzie zastał Holly samą. Val pojechał do miasta i miał wrócić dopiero ostatnim pociągiem.

Od czasu, gdy Val poradził Jonowi, by spytał siostry, jaki był powód waśni rodzinnej, zdarzyło się rzeczy tak wiele — wyznanie Fleur w Green Park'u, jej wizyta w Robin Hill, dzisiejsze spotkanie — że zdawało się, iż niema już o co pytać. Mówił więc o Hiszpanji, o swem

porażeniu słonecznem, o koniach Vala, o zdrowiu ojca. Holly przeraziła go wzmianką, iż zdrowie ojca podobno przedstawia się nienajlepiej; przypuszczenie to wyraziła na podstawie dwukrotnej wizyty w Robin Hill. Ojciec wydał się jej niesłychanie osłabionym, niekiedy nawet zboliałym, jednakże stale wzbraniał się mówić o sobie.

— Ojciec jest ogromnie kochany i dobry... prawda, Jonie?

Jon, czując, że sam nie zasłużył na miano kochanego i dobrego, odpowiedział:

— Owszem! bardzo!

— Odkąd go pamiętam, zawsze był wprost doskonałym ojcem.

— Tak — odpowiedział Jon, bardzo ujęty za serce.

— On nigdy się nikomu nie narzucał i zawsze był dla wszystkich wyrozumiały. Nigdy nie zapomnę, jak podczas wojny burskiej pozwolił mi jechać do Afryki Południowej, kiedyś zakochała się w Valu.

— To było jeszcze zanim ożenił się z mamusią, prawda? — zagadnął Jon nagle.

— Tak. A czemu o to pytasz?

— Eh, nic... Tylko czy to prawda, że ona była wprawdzie zaręczona z ojcem Fleur?

Holly odłożyła łyżkę i podniosła oczy, wpatrując się weń badawczo i ostrożnie. Co mogło być chłopcu wiadomem? Może wiedział tyle, że najlepiej byłoby wyznać mu i resztę? Nie mogła się zdecydować. Chłopak wydawał się znekany i duchowo naprężony, przytem jakby starszym... ale mogły to być skutki porażenia słonecznego.

— Coś takiego było istotnie — odpowiedziała. — Myśmy jednak byli zagranicą, więc nie wiedzieliśmy o niczem.

Nie była w stanie ryzykować. Tajemnica nie była jej, ale cudza. Zresztą obecnie nie umiała dobrze rozpoznać

jego uczuć. Przed jego wyjazdem do Hiszpanji była przekonana, że chłopak jest zakochany... jednakże chłopcy są tylko chłopcami... a przecież upłynęło siedem tygodni — i to jeszcze zajęte przez pobyt w Hiszpanji.

Widziała, iż on zdaje sobie sprawę, że chciała go zbyć byle czem, więc dodała:

— Czy miałaś jaką wiadomość od Fleur?

— Tak.

Twarz jego w tej chwili więcej jej powiedziała, niż najlepiej opracowane wyjaśnienia. A więc on nie zapomniał!

Ozwała się bardzo spokojnie:

— Fleur jest bardzo powabna i wdzięczna, Jonie... ale... wiesz... Valowi i mnie niebardzo ona przypada do gustu.

— Czemu?

— Uważamy, że ma naturę nazbyt „władczą“.

— „Władczą?“ Nie wiem, co przez to chcesz powiedzieć... Ona... ona... — odtrącił talerzyk z deserem, wstał i podszedł do okna.

Holly wstała również i objęła go ramieniem.

— Nie gniewaj się, Jonie, kochanie moje. Chyba rozumiesz, że nie możemy wszyscy widzieć danej osoby w tem samym oświeceniu? Wiesz, ja sędzę, że każdy z nas ma jedną lub dwie osoby, które najlepiej wyczuwają, co jest w nas, i umieją to zużytkować. Dla ciebie, jak sędzę, taką osobą jest matka. Raz widziałam wyraz jej twarzy, gdy czytała twój list... był to wprost cudowny widok. Ona jest chyba najpiękniejszą kobietą, jaką widziałam... wiek nie miał na nią prawie żadnego wpływu.

Twarz Jona złagodniała, potem znów przybrała wyraz mroźny. Wszyscy... wszyscy spiknęli się przeciwko Fleur i przeciw niemu! Wszystko to tylko wzmacniało zew, jakim brzmiały słowa Fleur:

— Polegaj na mnie... bierz ślub ze mną, Jonie!

Tu, gdzie przeżył z nią ów czarowny tydzień, z każdą minutą rósł przemożny urok jej czaru, rósł w sercu ból, że jej tu niema, że brak jej obecności, przepajającej pokój, ogród, a nawet samo powietrze magiczną siłą. Czyż on będzie zdolny żyć tutaj i nie widzieć jej wcale? I zamknął się w swym pokoju, kładąc się wcześniej do łóżka. Nie uczyniło go to — w myśl przysłowia angielskiego<sup>1)</sup> — „szczęśliwym, bogatym i mądrym“, ale przywiodło mu na myśl wspomnienie Fleur w jej fantastycznym stroju. Słyszał, jak nadjeżdżał Val — wyładowywano samochód, potem znów zapadła cisza nocy letniej — — tylko gdzieś daleko pobekiwały owce, a przelatujące lelki skrzeczały przeraźliwie. Jon wychylił się z okna. Chłodna tarcza księżycowa... ciepłe powietrze... ławice wzgórz, jakby srebrem zalane! Drobne istoty skrzydlate... szmer rzeki... pnącze szkarłatnych róż!... Boże!... jakże to wszystko bez niej było puste i bezduszne! Powiedziano w Piśmie świętem: „Porzucisz ojca i matkę i pójdiesz za — Fleur!“

Niechże mu wolno będzie zerwać się, pójść i powiedzieć im wszystko! Nie zdołają mu przeszkodzić, by ją poślubił... i nie będą chcieli mu przeszkadzać, gdy dowiedzą się o jego uczuciach! Tak! Trzeba pójść!... ośmielić się... i powiedzieć wszystko... Fleur nie miała racji!

Lelek przestał skrzeczeć, owce pomilkły. Jedynym głosem w ciemności był szmer rzeki. A Jon spał w swym łóżku, wyzwolony od najgorszego z życiowych nieszczęść — niezdecydowania!

---

<sup>1)</sup> Early to bed and early to rise, makes a man healthy, wealthy and wise — kto wcześniej kładzie się spać i wcześniej wstaje, bywa szczęśliwy, bogaty i mądry. (Przyp. tłum.)

## ROZDZIAŁ XI

### TYMOTEU SZ PROROKUJE

W dniu odwołanego rendez-vous w Galerji Narodowej wypadła druga rocznica zmartwychwstania tego, co jest Anglji chlubą i sławą — krótko mówiąc: cylindra. Uroczystość na Lord's Ground, którą wojna spędziła z pola, teraz znów podniosła flagi jasne i ciemnobłękitne, okazując każdą niemal cechę ubiegłej przeszłości. Tutaj, w przerwach obiadowych, widać było wszelkie gatunki kapeluszków damskich i jeden gatunek kapeluszków męskich, osłaniających najróżnorodniejsze typy twarzy, zbratane z „klasami wyższymi“. Pilny obserwator z rodu Forsytów pewnoby wyróżnił na wolnych lub niezajętych miejscach pewną liczbę płaskich kapeluszków, te jednakże rzadko ukazywały się na murawie; stara szkoła — albo szkoły — mogła jeszcze lubować się tem, że proletarjat dotąd nie pomyślał o płaceniu wymaganej półkorony.

Pomiędzy wieloma Forsytami, przybywającymi się na Lord's Ground bądź osobiście, bądź przez pełnomocników, znalazł się i Soames z żoną i córką. Nie był w żadnej ze szkół, ani w Eton, ani w Harrow, nie zajmował się grą w cricketa; chciał tylko pokazać suknię Fleur i nosić swój cylinder — paradować w nim znowu spokojnie i dosyta pomiędzy równymi sobie. Szedł spokojnie, wiedząc Fleur między sobą i Anetką. Z temi dwiema, o ile mógł zauważyć, nie mogła się mierzyć żadna z obecnych tu kobiet. Umiały chodzić i trzymać się postawnie; w ich urodzie była jędrność i proporcja — ach, te nowoczesne kobiety nie mają ani postawy, ani piersi, ani niczego!... Nagle przypomniał sobie, z jaką to upojną dumą chodził przy boku Ireny w pierwszych latach swego pierwszego małżeństwa... jak jadali śniadanie w czworokonnym powozie, na którego

nabycie matka Soamesa namówiła ojca, bo uchodziło to wtedy za „szykowne“... i jak Montague Dartie stale przebierał miarkę w picciu. Przypuszczał, że ludzie jeszcze piją dużo, jednakże nie było już tego rozmachu w picciu, jaki był dawniej. Przypomniawszy sobie Jerzego Forsyte'a — którego bracia, Roger i Eustachy, byli w Harrow i Eton — jak zasiadał na koźle karety wymachując jasnyniebieską flagą w jednej ręce, a ciemnoniebieską w drugiej i krzyczał: „Étroow-Harrton!“ akurat wtedy, gdy wszyscy już pocichli (zawsze błazen był z niego!)... Hm! dawne czasy... Irena w szarej jedwabnej sukni, haftowanej najbledszą zieloną barwą... Spojrzał boczkiem na twarz Fleur. Taka bezbarwna... bez blasku... bez ożywienia! To ta miłostka tak się na niej odbiła... hm, zła sprawa!... Spojrzał dalej na swą żonę; była trochę bardziej podmalowana niż zwykle, trochę skrzywiona szydyczko... choć, o ile miarkował, nie miała z czego podrwiwać. Brak Profonda przyjmowała z dziwnym jakimś spokojem... a może to było tylko udawanie?

Przeszedłszy się przed pawilonem, szukali stolika Winifredy w namiocie Bedouin Club'u. Klub ten został założony w celach podróźniczych przez jakiegoś jego mościa o starem szkockiem nazwisku, którego ojciec nieco dziwnym trafem zwał się Lewi. Winifreda zapisała się tu nie dlatego, jakoby sama podróźowała, lecz ponieważ instynkt mówił jej, że klub tej nazwy i pod egidą takiego założyciela powinien zajść daleko; jeżeli więc ktoś nie zapisze się doń odrazu, nie będzie miał potem sposobności tego uczynić. Namiot klubowy z tekstem koranu na tle pomarańczowem oraz z małym zielonym wielbłądem wyhaftowanym u wnijscia, był na całym polu największą osobliwością. Opodal zastali Jacka Cardigana w ciemno-niebieskiej przepasce, podbijającego piłkę laską bambusową celem wskazania, jak należy ją trafiać. Wprowadził przybyłych do środka. W kącie zajęтым



przez Winifredę zgromadzili się: Imogena, Benedykt z młodą małżonką, Val Dartie bez małżonki, Maud z mężem; gdy Soames usiadł wraz z żoną i córką, pozostało jeszcze jedno miejsce niezajęte.

— Oczekuję Prospera — ozwała się Winifreda — ale on tak jest zajęty swym jachtem.

Soames rzucił ukradkowe spojrzenie. Twarz żony ani drgnęła! Widać było, że nie wiedziała, czy „ten drab“ przyjdzie czy nie. Nie uszło też jego bacności, że i Fleur przyglądała się matce. Jeżeli Anetka nie liczyła się z jego uczuciami, mogła przynajmniej zważać na uczucia Fleur!...

Rozmowa, wielce różnorodna i dorywcza, była wkońcu synkopowana przez Jacka Cardigana, rozprawiającego o *mid-off'ie*.<sup>1)</sup> Wyliczał wszystkich „wielkich *mid-off'ów*“ od najdawniejszych czasów, jakgdyby byli oni stanowczym elementem rasowym w składzie narodowości brytyjskiej. Soames uporał się właśnie z potężnym homarem i wziął się do pasztetu z gołębi, gdy wtem posłyszał słowa:

— Spóźniłem się o małą troszkę, pani Dartie — i spostrzegł, że nie było już miejsc pustych przy stole. „Ten drab“ siedział między Anetką a Imogoną. Soames nie przerywał jedzenia, od czasu do czasu rzucając jakieś słowo Maud albo Winifredzie. Wokoło rozbrzmiewała głośna gawęda, wśród której wyróżnić można było słowa Profonda:

— Myślę, że pani się myli, pani Forsyde... Ja... ja się założę, że panna Forsyde zgadza się ze mną.

— W czym? — wybiegł z za stołu wyraźny głos Fleur.

— Mówię, że młode dziewczęta są takie same, jakie były zawsze... jest tylko bardzo mała różnica.

<sup>1)</sup> Stanowisko niektórych graczy w *cricket'cie*.

— To pan aż tyle wie o nich?

Ta cięta odpowiedź obila się o uszy wszystkich, a Soames poruszył się niespokojnie na swem zielonem krześle.

— No, ja nie wiem... myślę, że oni zawsze pragną swych małych celów, i myślę, że je zawsze osiągają.

— Doprawdy!

— Ależ, Prosperze! — wtrąciła się Winifreda — weź pan pod uwagę panny na ulicach... panny, które pracowały dla wojny, te drobne podlotki sklepowe... ich maniery teraz doprawdy uderzają w oczy.

Przy słowie „uderzają“ Jack Cardigan zaniechał swych wywodów. Wśród powszechnego milczenia Profond mówił dalej:

— Dawniej było to wewnątrz, dziś na wierzchu... ot i wszystko.

— Ale ich zasady moralne! — zawołała Imogena.

— Równie moralne, jak były dawniej, tylko lepiej dostosowują się do okoliczności!

Powiedzenie to, zawierające ukrytą treść cyniczną wywołało lekki śmiech Imogeny, szerokie otwarcie ust Jacka Cardigana i skrzyp krzesła Soamesa. Winifreda ozwała się:

— Zbyt czarno to osądzasz, panie Prosperze.

— A co pani powie, pani Forsyde? Czy pani nie sądzi, że natura ludzka zawsze jest jednaka?

Soames stłumił w sobie nagłą chęć, by wstać z miejsca i kopnąć tego draba. Posłyszał odpowiedź żony:

— Natura ludzka w Anglii nie jest taka sama jak gdzieindziej w świecie.

— Aha! zaczęły się jej przeklęte drwinki!

— No tak, ja niebardzo jeszcze znam ten kraj...

— Dzięki Bogu! — pomyślał Soames.

— ... Jednakże powiedziałbym, że wszędzie tu gotowało się pod pokrywką. My wszyscy pragniemy przyjemności... i zawsześmy jej pragnęli.

A bodajby tego lotra! Jego cynizm był... był obrażający!

Po śniadaniu podzielono się na pary i rozpoczęła się przechadzka dobrze robiąca na trawienie. Zbyt dumny, by obserwować żonę, Soames wiedział jednak, że poszła włóczyć się z „tym drabem“. Fleur poszła z Valem; wybrała go pewnie dlatego, że pozostawał w bliższej zażyłości z owym chłopakiem. Soames za towarzyszkę miał Winifredę. Przez parę minut szli, nieco zdyszani i ociężali po jedzeniu, wśród jasnej, wirującej fali, aż wkońcu Winifreda westchnęła:

— O gdyby się tak cofnąć o lat czterdzieści, mój stary!

Przed oczyma jej duszy przewijał się długi, niekończący się orszak jej własnych sukien zabawowych, opłaconych z pieniędzy jej ojca, celem uchronienia się od powracającego chronicznie kryzysu.

— Było to, koniec końców, bardzo zajmujące. Czasami nawet pragnę, żeby Monty powrócił. Co ty myślisz o dzisiejszych ludziach, Soamesie?

— Śmieszny brak stylu. Jego zanik rozpoczął się z nastaniem rowerów i samochodów... wojna dokonała reszty.

— Ciekawam co nadejdzie jeszcze? — ozwała się Winifreda, głosem sennym od wspomnień pasztetu z gołąbków. — Nie dałabym głowy, czy jeszcze nie powrócą krynoliny i koki. Przypatrz się tej sukni!

Soames potrząsnął głową.

— Są pieniądze, ale niema wiary w rzecz żadną. Nie odkładamy niczego na przyszłość. Ci najmłodszy... u nich tylko: życie krótkie, więc weselmy się!

— Ależ to kapelusze! — ozwała się Winifreda. — Sama nie wiem... gdy się pomyśli o ludziach pozabijanych i t. d. na wojnie, to doprawdy to wszystko jest trochę dziwne. Niema kraju... Prosper powiada, że

prócz Ameryki wszystko zbankrutowało... a przecież Amerykanie zawsze od nas brali wzór ubierania się.

— Czy ten drab — rzekł naraz Soames — naprawdę wyjeżdża na morza południowe?

— O, tego, gdzie jedzie Prosper, napewno nikt nie odgadnie!

— *On*, za pozwoleniem, jest właśnie znakiem czasu — burknął Soames.

Winifreda schwyciła go mocniej za ramię.

— Nie odwracaj głowy — rzekła cichym głosem — ale popatrz w prawo... ku pierwszemu rzędowni trybuny.

Soames powiódł oczyma, ile tylko mógł, we wskazanym kierunku. Jakiś mężczyzna w szarym cylindrze, o siwej brodzie, chudych, wyźółkłych i pomarszczonych policzkach i pewnej wytworności postawy, siedział tam obok kobiety w zielonym kostjumie, której ciemne oczy w niego właśnie były utkwione. Soames czemprędzej zniżył wzrok aż ku swym stopom. Jakże śmiesznie posuwały się jego nogi, jedna za drugą! Głos Winifredy szepnął mu w ucho:

— Jolyon wygląda marnie, ale ma zawsze styl. *Ona*, prócz włosów, nie zmieniła się wcale.

— Czemu opowiedziałas Fleur o całej tej sprawie?

— Nie mówiłam. *Ona* sama to wymyszkowała. *Ona* zawsze dowie się tego, na co zagnie parol.

— No, i jest cały galimatjas. *Ona* się zadurzyła w tym chłopaku.

— Oj, mała niecnota! — mruknęła Winifreda. — *Ona* próbowała i mnie do tego wciągnąć. Cóż mam zrobić wobec tego, Soamesie?

— Kierować się biegiem wypadków.

Milcząc posuwali się naprzód, między niemal zwartą cizbą.

— Doprawdy! — ozwała się nagle Winifreda —

to wygląda niemal na zrzadzenie losu! ... tylko że to takie staromodne! Patrz! oto Jerzy i Eustachy!

W teje chwili stanęła przed niemi sążnista postać Jerzego.

— Hallo, Soamesie! — ozwał się Jerzy. — W tej chwili spotkałem Profonda z twoją żoną. Dogonisz ich, gdy przyspieszysz kroku. Czy chodzilesz odwiedzić staro-  
Tymoteusza?

Soames skinął głową; za chwilę rozłączyły ich dwie potężne fale tłumy.

— Zawsze lubiłam Jerzego — rzekła Winifreda. — On taki zabawny!

— Ja nigdy go nie lubiłem — odrzekł Soames. — Gdzie twoje krzesło? Ja pójdę na swoje miejsce. Fleur pewno jest tam ztyłu.

Odprowadziwszy Winifredę do jej krzesła, Soames odnalazł swoje, widząc woddali biegnące małe, białe postacie, słysząc trzask przyborów krykietowych, nawoływania i odzwy. Fleur i Anetki nie było ani śladu! Od tych dzisiejszych kobiet niczego nie można było oczekiwać! Miały prawo głosowania, były „emancypowane“!... A więc Winifreda chciałyby się cofnąć i przeżyć znów całą tę historję z Dartie'm? Odzyskać przeszłość... siedzieć tu tak, jak siedziało się w r. 1883 i 1884-ym, zanim przekonał się, że jego pożycie z Ireną zostało zmarnowane i udaremnione, zanim jej zawziętość rozjarzyła się do tego stopnia, że pomimo najlepszych chęci nie mógł patrzeć na to przez palce. Widok jej z „tym człowiekiem“ wskrzesił w duszy Soamesa wszystkie wspomnienia. Nawet teraz nie mógł zrozumieć, czemu okazała się tak mało praktyczną. Mogła kochać innych mężczyzn — miała to już w sobie!... jemu tylko jednemu, którego powinna była kochać, odmówiła serca... Gdy oglądał się myślą wstecz, wydawało mu się — jakimś fantastycznym sposobem — że całe to nowo-

czesne rozluźnienie węzłów małżeństwa (choć formy tegoż i prawa były te same co wtedy, gdy brał z nią ślub) wyszło właśnie z dokonanej przez nią rewolty; zdawało mu się — w rojeniach wyobraźni — że to ona rozpoczęła to wszystko i że dzięki niej wszelkie uczciwe posiadanie czegokolwiek wygasło wkońcu lub było w stanie dogasania. Wszystko poszło od niej! A teraz... ładna sytuacja! Ogniska domowe! Jakoż mogą one istnieć bez wzajemnej przynależności? Prawda, że i on sam nie posiadał nigdy prawdziwego ogniska domowego!... ale byłoż to jego winą?... Czynił przecie co było w jego mocy. A nagrodą za to... było tych dwoje siedzących razem na trybunie... i ta sprawa z Fleur!

Znużony samotnością, pomyślał:

— Nie będę już czekał dłużej! Niech sobie one same szukają drogi do hotelu... jeżeli mają zamiar tam wracać!

I przywoławszy dorożkę z poza obrębu placu, wydał zlecenie:

— Proszę mnie zawieźć na Bayswater Road!

Stare ciotki nigdy go nie zawiodły. Dla nich był zawsze mile widzianym gościem. Choć one już stamtąd odeszły, jednakże był tam jeszcze Tymoteusz!

W otwartych drzwiach sieni stała Smitherka.

— Pan Soames! Ja właśnie wyszłam trochę odetchnąć. Kucharka *tak* się ucieszył!

— Jak się miewa pan Tymoteusz?

— Jakiś nieswój ostatnimi czasy, panie szanowny; gadał, gadał bardzo wiele. Akurat dziś rano powiada: „Mój brat Jakób już się starzeje.“ Jego myśl gdziesik błądzi, panie Soamesie, a potem to on o nich opowiada... niepokoi się o ich fundusze. Jednego dnia powiada: „Mój brat Jolyon nie patrzy na konsolę“... i w tem cały jakby się zatopił. Proszę wejść, panie Soamesie, proszę wejść!

— Dobrze — mruknął Soames. — Na parę minut.

— Nie — mruknęła Smither w sieni, gdzie powietrze miało wyjątkową świeżość — nie byliśmy bardzo z niego zadowoleni przez cały ten tydzień. Dawniej ciastka zostawiał sobie na koniec obiadu, teraz zaś, od poniedziałku, zaczął je zajadać na samym początku. Jeżeli pan kiedy obserwował psa spożywającego swój posiłek, panie Soamesie, to on zawdy naprzód zjada danie mięsne. Zawsześmy to uważały za dobry znak, że pan Tymoteusz w swoim wieku zostawia deser na sam koniec, jednakże teraz wydaje się, jakoby stracił panowanie nad sobą... to też nic dziwnego, że na resztę jadła ani nie spojrzy. Doktor nic sobie z tego nie robi, ale — tu Smither potrząsnęła głową — on jakoby myśli, że powinien zjeść toto nasampierw, bo mu później nie dadzą. I to i jego gadanie bardzo nas niepokoi.

— Czy powiedział może coś ważnego?

— Niemilo mi to mówić, panie Soamesie, ale on coś tam sobie wymiarkował przeciwko testamentowi. Stał się bardzo zgryźliwy i zrzędnym... a po tylokrotnem... codziennem... wyciąganiu testamentu przez lata całe wygląda to trochę zabawnie. Jednego dnia powiada: „Oni chcą mych pieniędzy!“ Ukłuło mnie to, gdyż, jakem to mu powiedziała, jestem pewna, że nikt nie jest chciwy na jego pieniądze. I aż przykro słuchać, że on w tym wieku myśli jeszcze o pieniądzach. Zdobyłam się na odwagę. „Wie pan, panie Tymoteuszu,“ powiadam, „moja kochana pani“ (to jest panna Anna Forsyte, która mnie wzięła do służby, panie Soamesie), „ta, to nigdy nie myślała o pieniądzach“ (powiadam), „to było w jej charakterze.“ On popatrzył na mnie w sposób niewypowiedzianie śmieszny i odpowiedział oschle: „Nikt nie potrzebuje mego charakteru.“ Pomyśleć sobie, że on wygaduje takie rzeczy! Czasami jednak mówi zgoła śadnie i trzeźwo!

Soames, który dotąd wpatrywał się w stary oleodruk obok wieszaka na kapelusze, myśląc: „To teraz poszło w cenę!” — mruknął:

— Chcę iść na górę i odwiedzić go, moja Smither.

— Kucharka jest przy nim — odpowiedziała Smither z ponad swego gorsetu — będzie bardzo rada pana widzieć.

Soames zaczął wchodzić powoli na górę, myśląc:

— Nie chciałbym dożyć tego wieku.

Na drugim piętrze zatrzymał się i zastukał do drzwi. Były otwarte i z poza nich widać było okrągłą zażyłą twarz kobiety mniej więcej sześćdziesięcioletniej.

— Pan Soames! — ozwała się kobieta. — A jakże! Pan Soames!

Soames skinął głową:

— Bardzo mi miło cię widzieć! — i wszedł do pokoju.

Tymoteusz siedział na łóżku, podparty poduszką. Ręce miał splecione na piersi, a oczy utkwione w sufit, gdzie widać było muchę, stojącą do góry nogami. Soames stanął u nog łóżka, wpatrując się w niego.

— Stryju Tymoteuszu — odezwał się, podnosząc głos — stryju Tymoteuszu!

Tymoteusz oderwał wzrok swój od muchy i przeniósł go na gościa. Soames widział, jak zbieleły język starca posuwał się po ciemnawych wargach.

— Stryju Tymoteuszu — odezwał się powtórnie — czy mogę być ci w czem pomocny? A może chciałbyś mi coś powiedzieć?

— He? — chrząknął Tymoteusz.

— Przyszedłem, by cię doglądnąć... zobaczyć, jak się tu miewasz i czy wszystko w porządku.

Tymoteusz kiwnął głową. Widać było, że starał się oswoić ze zjawiskiem, stojącym przed nim w tej chwili.

— Czy masz jakieś życzenia?



— Nie — odpowiedział Tymoteusz.

— Jestem Soames... wiesz przecie... twój bratanek Soames Forsyte... syn twojego brata, Jakóba.

Tymoteusz kiwnął głową.

— Radbym ci czemś usłużyć lub dopomóc.

Tymoteusz dał mu znak ręką. Soames podszedł bliżej ku niemu.

— Ty... ozwał się Tymoteusz głosem, który zdawał się mieć wygasłe już brzmienie — ty... powiedz im wszystkim... powiedz im wszystkim — tu postukał palcem po ramieniu Soamesa — żeby się trzymali... żeby się trzymali... konsule idą w górę!

I kiwnął głową trzykrotnie.

— Doskonale! — odpowiedział Soames. — Powiem im to.

— Tak! — rzekł Soames i zapatrzywszy się znów w sufit, dodał: — O, ta mucha!

Tknięty dziwnem uczuciem, Soames spojrział na dobroduszną, tłustawą twarz kucharki, całą pomarszczoną od ustawicznego stania przy kuchennym piecu.

— To jemu daje setne przyjemności, panie łaskawy! — objaśniła kucharka.

Tymoteusz zaczął coś mrużyć, ale mówił najwyraźniej sam do siebie, to też Soames wyszedł wraz z kucharką.

— Chciałabym panu zrobić krem goździkowy, jak za dawnych czasów, panie Soamesie; pan tak lubił ten przyśmak. Dowidzenia łaskawemu panu; to naprawdę była przyjemność.

— Troszcz się o niego; on już naprawdę bardzo stary.

I potrząsnąwszy jej zgarbioną dłonią, zszedł nadół. Smither jeszcze przewietrzała się w sieni.

— Co pan myśli o nim, panie Soamesie?

— Hm! — mruknął Soames. — On stracił zmysł czucia.

— Tak — odrzekła Smither — bałam się, że pan to

sobie pomyśli, przyszedłszy wprost ze świata i widząc go takim.

— Smither — ozwał się Soames — my wszyscy jesteśmy twoimi dłużnikami.

— Och, nie, panie Soamesie, proszę tak nie mówić! To przecie przyjemność! On jest człowiekiem tak niezwykłym...

— No, dowidzenia! — rzekł Soames, wsiadając do taksówki.

Dotarłszy do hotelu na Knightbridge, wszedł do salonu ich kwatery i zadzwonił, żeby mu przyniesiono podwieczorek. Anetki ani Fleur nie było. Znów go nawiedziło poczucie samotności. Ach, te hotele! Jakież to dziś olbrzymie, potworne landary! Pamiętał czasy, gdy nie było nic większego nad Longa lub Browna, Morley'a lub Tavistock'a... Hotele i kluby — kluby i hotele! Dziś niema im końca! I Soames, który niedawno na zabawie przyglądał się cudowi tradycji i ciągłości, zapadł w dumania o zmianach, jakie dokonały się w tym Londynie, w którym przyszedł na świat przed sześćdziesięcioma pięcioma laty. Czy konsolle pójdą w górę, czy nie, w każdym razie Londyn stał się okropną posiadłością! Drugiej takiej nie było w całym świecie, z wyjątkiem chyba Nowego Jorku! W gazetach dzisiejszych było istne kłębowisko hysterji, ale kto, jak Soames, mógł pamiętać Londyn z przed lat sześćdziesięciu i mógł mu się teraz przyjrzeć ponownie, uświadamiał sobie płodność i elastyczność bogactwa. Trzeba było tylko mieć głowę na karku i iść ku temu bogactwu wytrwale. Ba! przecież pamiętał jeszcze kocie łby na bruku i przegniłą słomę na dnie dorożek! A stary Tymoteusz... ileżby ten człowiek mógł naopowiadać, gdyby jeszcze zachował świeżość pamięci! Rzeczy różne mogły się przeinaczać, ludzie przechodzili i kładli się w grobie, lecz oto wciąż był Londyn i Tamiza, dalej zaś imperjum brytyjskie i krańce

świata. „Konsole idą w górę.“ Nie byłoby to dlań najmniejszą niespodzianką! Był z tego rodzaju ludzi, co obliczał wszystko... I co tylko było buldogowości w Soamesie, wszystko to na chwilę wyjrzało z jego siwych oczu, póki uwagi jego nie zwrócił oleodruk jakiegoś obrazu z czasów wiktoriańskich. Hotel zakupił trzy tuziny tego śmiecia! Stare oleodruki ze scenami myśliwskimi lub „postępkami hulaków“, znajdujące się po starych gospodarach, warte były widzenia — ale to sentymentalne tałalajstwo... no, wiktorianizm przeminął! „Powiedz im, żeby się trzymali!“ powiedział stary Soames. Ale czegoż mieli się trzymać w tym nowoczesnym bałaganie „zasad demokratycznych?“ Ba, nawet prywatna własność była zagrożona! Na myśl, że prywatna własność mogłaby zaginać, Soames odsunął od siebie filiżankę z herbatą i podszedł do okna. Ależ to wybryk niezgodny z naturą, by ten tłum, snujący się po ulicy, miał zagarnąć na własność kwiaty, drzewa i wody Hyde Parku! Nie, nie! Prywatnej własności podlegało wszystko, co było godne posiadania. Świat postradał nieco swego zdrowego rozsądku, jak psy czasami podczas pełni księżyca, tracą zdrowy zmysł i wychodzą na nocne łowy; jednakże świat, jak pies, wiedział, gdzie był chleb, nasmarowany masłem, i ciepłe legowisko i niewątpliwie powróci do jednego ogniska, jakie posiadać warto, t. j. do własności prywatnej. Świat przeżywał chwilowo drugi okres dzieciństwa, jak stary Tymoteusz — zaczął zjadać nasamprzód smakolyki!

Posłyszał za sobą jakiś głos i zobaczył, że weszła żona wraz z córką.

— Nareszcie wróciliście! — odezwał się.

Fleur nie odpowiadała. Stała przez chwilę, przyglądając się jemu i swej matce, poczem przeszła do swej sypialni. Anetka nalala sobie sama szklankę herbaty.

— Wyjeżdżam do Paryża, do mej matki, Soamesie.

— Och, do matki?

— Tak.

— Na jak długo?

— Nie wiem.

— A kiedy wyjeżdżasz?

— W poniedziałek.

Czyż ona naprawdę wyjeżdżała do matki? Rzecz dziwna, jak było mu to obojętne! I dziwna, jak ona zdawała sobie sprawę, że ta jego obojętność będzie trwała póty, póki nie dojdzie do skandalu. I naraz pomiędzy nią a samym sobą ujrzał wyraźnie twarz widzianą tegoż popołudnia — twarz Ireny!

— Czy potrzeba ci będzie pieniędzy?

— Dziękuję; mam dosyć.

— Doskonale. Daj nam znać, kiedy powracasz.

Anetka upuściła ciastko, trzymane w palcach, i spojrzawszy przez przyczernione rzęsy, spytała:

— Czy mam dać *maman* jakie polecenie?

— Wyrazy szacunku ode mnie.

Anetka wyciągnęła się, podparłszy się w boki rękoma i powiedziała po francusku:

— Jakież to szczęście, żeś ty mnie nigdy nie kochał, Soamesie!

Powstawszy, wyszła z pokoju. Soames rad był, że powiedziała to po francusku — zdawało mu się, że nie potrzebuje na to odpowiadać. Znowu pojawiła się przed nim owa druga twarz — blada, ciemnooka, wciąż jeszcze piękna! I naraz przeszedł po nim dreszcz gorący, jak-gdyby obsypały go iskry, wypryskujące ze stosu tlejącego zarzewia. Oto Fleur zadurzyła się w *jej* chłopcu! Co za dziwaczny zbieg okoliczności! Jednakże... czy to był znowu taki zbieg okoliczności? Człowiek szedł ulicą, cegła spadła mu na głowę... ach, to niewątpliwie był przypadek! Ale to, co teraz... „Odziedziczone“ — powiedziała mu córka. Ona... ona „trzymała się!“

ROZDZIAŁ I

STARY MŁYŃCZAK I COŚKI PO ŚWIECIE

Dziś jest dzień wielki, dzień, który dla nas ma być wielkim dniem, dniem, który ma być dniem wielkim.

CZEŚĆ III



## ROZDZIAŁ I

### STARY JOLYON CHODZI PO ŚWIECIE

**D**wojaka pobudka skłoniła Jolyona do tego, by oświadczyć żonie przy śniadaniu:

— Pojedźmy na Lord's Ground.

„Pożądaniem“ było coś, coby mogło przytłumić niepokój, jaki przeżywali oboje przez sześćdziesiąt godzin od czasu, jak Jon przyprowadził do nich Fleur. „Pożądaniem“ też było wszystko to, co mogło ukoić bolesne odruchy wspomnień w człowieku, mogącym utracić je na zawsze!

Przed laty pięćdziesięciu ośmiu Jolyon został uczniem Eton, z kapryśnej woli starego Jolyona, chcącego kanonizować go choćby za cenę największych kosztów. Rok po roku chodził na Lord's Ground ze Stanhope Gate wraz z ojcem, którego młodość upłynęła niegdyś na grze w *cricket'a*. Stary Jolyon z całą otwartością opowiadał o pełnych uderzeniach, o „ściętych“ piłkach, o chybieniach, a młody Jolyon z naiwnym snobizmem młodzieńczym drżał z trwogi, by ktoś nie posłyszał słów jego rodzica. Jedyne w tej wzniosłej materji krykietowej zwykł był ulegać zdenerwowaniu, albowiem ojciec — noszący podówczas krymskie bakiembarty — czynił na nim wprost wrażenie jakiegoś ideału. Był to czas, kiedy jeszcze nie narodziła się demokracja.

O jedno pokolenie później, mając przy sobie własnego syna, Jolly'ego, zapiętego po harrow'sku na guziki z wyobrażeniem bławatków (wskutek kaprysu starego Jo-

lyona wnuk tegoż był kanonizowany nieco mniejszym kosztem), znowuż Jolyon doświadczył gorącości i dwustronnych namiętności owego dnia; powróciwszy do chłodu i do zagonów truskawkowych Robin Hillu oraz do poobiedniego bilardu, chłopak dopuszczał się najokropniejszych fałszów w toczeniu kulami, próbując wydawać się znużonym i dorosłym. W owe dwa dni każdego roku przebywał sam na sam ze swoim synem, ten po tej, ten po tamtej stronie... a demokracja dopiero się narodziła!

Tak więc wykopał skądś szary cylinder, wypożyczył od Ireny mały skrawek bladoniebieskiej wstążki i ostrożniuteńko, nie gorączkując się, jadąc to samochodem, to pociągiem, to taksówką, dotarł do Lord's Ground. Tutaj siedząc koło Ireny, odzianej w łakowego koloru suknię z wąskimi wypustkami po brzegach, przyglądał się zabawie i czuł w sobie dreszcz lat dawnych.

Gdy minął ich Soames, cały dzień poszedł już na marne. Twarz Ireny wykrzywiła się przez zaciśnięcie ust. Niemilo było siedzieć tu razem z Soamesem, a może i z jego córką, powracającą wciąż przed ich oczy, jak perjodyczny ułamek dziesiątyny. Odezwał się więc Jolyon:

— No, moja droga, jeżeli się już napatrzyłaś dosyta... to pójdziemy!

Wieczorem Jolyon czuł się wyczerpanym. Nie chcąc, by żona poznała to po nim, czekał, aż rozpoczęła grać, a wtedy wymknął się do gabinetu. Otworzył okno, by nabrać powietrza; potem otworzył i drzwi, by mógł słyszeć nadpływającą muzykę. Siedząc w starym fotelu ojcowskim, przymknął oczy i wsparł głowę o brunatną, wypłowiałą skórę. Niby ów pasaż z sonaty Cezara Francka, było jego życie z nią, boskie — trzecie — wzruszenie! A teraz ta sprawa z Jonem... sprawa zgoła kiepska! Zaniesiony w najgłębszy zakątek świadomości,



nie wiedział prawie, czy oto nie jest to snem, iż czuje zapach cygara i że niemal dostrzega swego ojca w mroku przed zamkniętymi oczyma. Kształt ten formował się, znikał i znów się formował... W tem krześle, w którem teraz siedział, widział Jolyon swego ojca, czarno odzianego, z nogą założoną na nogę; widział wielkie białe wąsy i przepaściste oczy, wyzierające z pod sklepienia czoła i niejako wypatrujące jego oczu, niejako przemawiające: „Czy ty patrzysz na to spokojnie, Jo? Od ciebie przecie zależy decyzja. *Ona* jest tylko kobietą!“ Och, jak poznawał ojca swego w tem właśnie powiedzeniu! Jak z nią zmartwychwstał cały wiek wiktoriański! I oto jego odpowiedź: „Nie, ja się tego uląkłem... boję się urazić ją i Jona i samego siebie. Jestem przecie odważny... a tego się boję!“ Ale stare oczyska, o tyleż starsze, o tyle młodsze od jego oczu, odpowiadały na to: „To twoja żona, twój syn, twoja przeszłość. Pokieruj tem wszystkim, mój synu!“ Był to zlecenie ducha, tulającego się po świetle?... Czy może tylko instynkt ojca, żyjący nadal w potomku? I znów nadpłynął zapach cygara — płynął ze skórzanego obicia fotelu, przesyconego ongi dymem... Tak! tak! Trzeba tem pokierować, napisać do Jona i wyłożyć mu wszystko czarno na białem!

I raptem Jolyon zaczął odдыchać z trudnością, czując, że go coś dusi w gardle, jakgdyby serce nagle mu obrzękło. Wstał więc i wyszedł na powietrze. Gwiazdy iskrzyły się jasnym blaskiem. Przeszedł przez taras koło węgła domu, aż wkońcu przez okno salki muzycznej ujrzał przy fortepianie Irenę. Światło lampy padało na jej przyprószone włosy. Wydawała się zagłębiona w myślach. Jej ciemne oczy wpatrzone były kędyś przed siebie, ręce leżały bezwładnie. Jolyon spostrzegł, że podniosła te ręce i przycisnęła je do piersi.

— To Jon tak jej myśli teraz zaprzęta — pomyślał. — Jon i tylko Jon! Ja umieram dla niej... to rozumiałe!

I strzegąc się, by go nie zauważyła, wycofał się ukradkiem.

Nazajutrz, po źle przespanej nocy, zasiadł do zamierzonej roboty. Pisał z trudnością, często przemazując to i owo.

### „Najdroższy mój chłopczel!

Jesteś już natyle dorosły, by zrozumieć, jak trudno jest ludziom starszym zwierzać się przed młodszymi... Zwłaszcza, gdy ci starsi — jak Twoja matka i ja, choć jej nigdy nie wyobrażam sobie inaczej, jak tylko młodą — całe serce oddadzą temu, przed kim mają się spowiadać. Nie powiem, iżbyśmy się akurat poczuli do grzechu (zdaje mi się, że ludzie rzadko poczuwają się do niego w tem życiu), lecz wielu ludzi pomawia nas właśnie o grzech, a nasze postępowanie, słuszne czy niesłuszne, w skutkach swych istotnie czyniło nas jakoby winnymi. Rzecz w tem, mój drogi, że oboje mamy przeszłość, którą zamierzyłem teraz Ci opowiedzieć, ponieważ ona w sposób tak przykry i dotkliwy odbija się na twojej przyszłości. Wiele, bardzo wiele lat temu, bo jeszcze w r. 1883, gdy matka Twoja miała zaledwie lat dwadzieścia, spadło na nią wielkie i długotrwałe nieszczęście, a mianowicie wyszła niefortunnie zamąż — nie, nie za mnie, mój Jonie. Nie mając własnego grosza i trzymana pod władzą macochy — bliskiej krewniaczki biblijnej Jezabeli — była bardzo nieszczęśliwa w pożyciu domowem. Ożenił się z nią ojciec Fleur, a mój kuzyn, Soames Forsyte. Ten prześladował ją bardzo uporczywie, choć trzeba mu przyznać, że był ogromnie w niej zakochany. W ciągu tygodnia matka Twoja poznała, iż popełniła straszną omyłkę. Nie była to jego wina; zawinił tu mylny jej sąd — jej nieszczęście.“

Dotąd Jolyon zachowywał pewne pozory ironji, jednakże w dalszym ciągu poniósł go sam temat listu.

„Jonie, chciałem Ci to wyjaśnić, ile potrafię (a jest to rzecz bardzo trudna), czemu to przypisać należy, że takie małżeństwa zdarzają się tak łatwo. Ty oczywiście powiesz: „Jeżeli ona go prawdziwie nie kochała, to jakże mogła wyjść za niego?“ Miałbyś rację, gdyby tu nie wchodziło w grę kilka dość przykrych okoliczności. Z tej początkowej omyłki wynikły następnie wszystkie strapienia, kłopoty i tragedje, więc też muszę Ci to wytłumaczyć, o ile potrafię. Widzisz, Jonie, w owych czasach, a nawet po dziś dzień (i doprawdy, pomimo całego bajania o uświadamianiu nie widzę, jakby to mogło być inaczej) większość dziewcząt w chwili zamążpójścia zgoła nic nie wie o seksualnej stronie życia. Nawet te, które wiedzą, co to znaczy, nie *doświadczyły* przecie tego. To właśnie niedoświadczenie, pomimo całej werbalnej wiedzy, jest przyczyną wszelkich różnic i nieporozumień. W ogromnej liczbie małżeństw — a do nich należało małżeństwo Twej matki — dziewczęta nie są i nie potrafią być pewne, czy kochają poślubionego przez siebie mężczyznę; istotę małżeństwa poznają dopiero po akcie skojarzenia. Otóż w wielu, może w większości wątpliwych wypadków akt ten staje się silniejszym węzłem i spójnią, jednakże w innych wypadkach — a to właśnie było z Twoją matką — jest on rewelacją omyłki, zaburzeniem dotychczasowego uroku. W życiu kobiety nie ma większego tragizmu, jak taka rewelacja, wyrazistsza z każdym dniem i nocą. Ludzie gruboskórni i bezmyślni skłonni są śmiać się z takiej omyłki i mówią: „Tyle hałasu o nic!“ Ludzie, ciaśni i samolubni, umiejący osądzać życie drugich jedynie miarą własnego życia, skłonni są potępiać tych, którzy popełnili

ową tragiczną omyłkę, skazywać ich na dożywotnie więzienie, które sami sobie zbudowali. Znasz przysłowie: „Jak sobie pościelesz, tak się wyśpisz!“ Jest to przysłowie grubjańskie, niegodne prawdziwego gentlemena w najlepszym znaczeniu tego słowa; nie mogę się zdobyć na silniejsze wyrazy potępienia. Nie jestem człowiekiem, co się nazywa, moralnym, ale nie chciałbym wobec Ciebie, mój drogi, używać słów, któreby kazały Ci myśleć lekko o obowiązkach i umowach, w jakie masz wchodzić. Niech Bóg bron! Jedynie chcę, na mocy życiowego doświadczenia, pouczyć Cię, że ci, którzy potępiają ofiary owych tragicznych omyłek i nie chcą im dopomóc, są istotami nieludzkimi, a raczej byliby niemi, gdyby zdołali zrozumieć, co czynią. Ale oni nie rozumieją! Dajmy im spokój! Są u mnie równie wyklęci, jak ja napewno jestem wyklęty w ich oczach. Musiałem powiedzieć to wszystko, gdyż chcę dać Ci stanowisko, z którego byś mógł osądzać swą matkę, Ty zaś jesteś jeszcze młodzieńcem i nie wiesz, co to życie. A więc dalej, do opowieści! Po trzech latach wysiłku, zmierzającego do tego, by stłumić w sobie owo wzdraganie (chciałem powiedzieć: „odrazę“, a nie byłoby to słowo za silne, gdyż wzbranianie się przeradza się w podobnych okolicznościach szybko w odrazę), po trzech latach, stanowiących istną katorgę dla wrażliwej, estetycznie wrażliwej natury Twojej matki, poznała człowieka, który się w niej zakochał. Był architektem, stawiającym ten sam dom, w którym my teraz mieszkamy... budował go na mieszkanie dla niej i dla ojca Fleur... miało to być nowe więzienie dla niej, w miejsce owego, które dotąd zamieszkiwali w Londynie. Ten fakt grał, być może, pewną rolę w tem, co później wynikło. Jak było, tak było, w każdym razie i ona się w nim zakochała. Chyba nie potrzebuję Ci wyjaśnić, że czło-

wiek nie wybiera, w kim się ma zakochać. To przychodzi samo z siebie. Otóż i przyszło. Wyobrażam sobie (choć nigdy mi tego nie mówiła), jaka to walka musiała się w niej toczyć, ponieważ, mój Jonie, matka Twoja wychowana była surowo i bynajmniej nie miała lekkich poglądów... o, nie! W każdym razie, było to uczucie niepohamowane. Potem zaszła straszna tragedia. Muszę Ci ją opowiedzieć, gdyż inaczej nie zrozumiałbyś istotnej sytuacji, z którą masz obecnie się zmierzyć. Mąż jej — Soames Forsyte, ojciec Fleur — w pewną noc, właśnie w okresie największej jej namiętności dla tego młodego mężczyzny, jął przemocą dochodzić swoich praw nad nią. Nazajutrz ona spotkała kochanka i powiedziała mu o tem. Czy on dopuścił się samobójstwa, czy też zabił się przypadkiem, tegośmy się nigdy nie dowiedzieli; dość, że się tak stało. Pomyśl sobie, co czuła Twoja matka w ten wieczór, gdy posłyszała o jego śmierci. Ja przypadkiem widziałem ją w tę chwilę. Twój dziadek posłał mnie, bym jej przyniósł pomoc jaką taką. Ledwom ją zobaczył, gdyż mąż jej zatrzasnął mi drzwi przed nosem... jednakże nigdy nie zapomniałem tego wyrazu jej twarzy — i widzę go dziś jeszcze wyraźnie. Nie byłem jeszcze wtedy w niej zakochany (do tego doszło dopiero po 12 latach), ale nigdy nie wyszło mi to z pamięci. Mój kochany chłopcze, niełatwo to pisać o tych rzeczach... i niemiło. Ale, widzisz, musiałem. Matka Twoja cała żyje Tobą tylko. Nie chcę pisać źle o Soamesie Forsyte... i nie myślę źle o nim. Przez długi czas go żałowałem... może i teraz żałuję. Wedle sądu świata ona była w błędzie, a on w swych prawach. On kochał ją — po swojemu. *Ona była jego własnością.* Taki on ma pogląd na życie... ludzkie uczucie i serce... uważa je za własność. To nie jego wina... to już przyniósł z sobą na świat. Dla mnie

jest to pogląd wstrętny... z tem już się urodziłem! O ile Ciebie znam, czuję, że dla Ciebie musi to być również wstrętne. Ale pójdźmy dalej. Matka Twoja w ową noc uciekła z domu; przez dwanaście lat żyła samotnie, bez żadnego towarzystwa, aż w r. 1899 mąż jej (jak widzisz, był on jeszcze wciąż jej mężem, bo nie dał jej rozwodu, a ona oczywiście nie miała prawa się rozwieść) zaczął sobie podobno zdawać sprawę z braku potomstwa i rozpoczął długie starania i zakusy, by powróciła do niego i dała mu potomka. Ja, według testamentu Twego dziadka, byłem wówczas jej plenipotentem i obserwowałem całą sprawę. Wówczas to przywiązałem się do niej — i to gorąco. Jego nalegania coraz to się wzmagaly — aż pewnego dnia ona przybiegła tu do mnie i wprost powierzyła się mej opiece. Jej mąż, który był poinformowany o każdym jej kroku, starał się nas rozłączyć, wyciągając sprawę rozwodową, a może i naprawdę myśląc o tem... nie wiem... w każdym razie nasze nazwiska zostały urzędowo złączone. To zdecydowało sprawę. Ona dostała rozwód, wyszła za mnie i Ty przyszedłeś na świat. Żyliśmy w zupełnej szczęśliwości... przynajmniej ja... a zdaje mi się, że i matka też była szczęśliwa. Soames, wkrótce po rozwodzie, poślubił matkę Fleur... i Fleur przyszła na świat. Oto cała historia, Jonie. Opowiedziałem Ci ją ze względu na afekt, który — jak widzimy — zacząłeś żywić dla córki tego człowieka; rozwijając w sobie ten afekt, musiałbyś doszczętnie zniweczyć szczęście swej matki, a może i swoje własne. Nie mówię już o sobie, gdyż ze względu na wiek mój nie będę już długo ciężarem tej ziemi, zresztą to, co mógłbym wycierpieć, miałyby swe źródło jedynie w myśli o niej — i o Tobie. Natomiast co do Ciebie, mam jedno pragnienie — byś sobie uświadomił, że uczucia zgrozy i wstrętu,

o jakich mówiłem powyżej, nie mogą ulec zatarciu lub zapomnieniu. Uczucia te żyją w niej po dziś dzień. Akurat wczoraj na Lord's Ground spotkaliśmy przypadkiem Soamesa Forsyte'a. Jej twarz — gdybyś mógł ją widzieć, przekonałaby Cię o prawdziwości słów mych powyższych. Myśl o tem, że Ty chcesz poślubić jego córkę, jest dla niej prawdziwą zmorą. Przeciw Fleur osobiście nic powiedzieć nie mogę, jak tylko to, że jest ona jego córką... ale gdybyś ją poślubił, dzieci Twoje byłyby wnukami nie tylko Twojej matki, ale i Soamesa — człowieka, który kiedyś był właścicielem Twojej matki, jak bywali właściciele niewolników. Pomyśl, co by to oznaczało. Przez takie małżeństwo wstąpiłbyś do obozu, którego branką była niegdyś matka i w którym gorycz przeżarła jej serce. Jesteś dopiero na progu życia, dziewczynę tę znasz ledwie od dwóch miesięcy... i jakkolwiek głęboką byłaby w Twym mniemaniu ta miłość, radzę Ci zerwać z nią natychmiast. Nie przysparzaj matce dotkliwego bólu i upokorzenia na resztę dni jej życia. Przecież — pomimo, że mnie wydaje się wiekuiście młodą — liczy ona już sobie lat pięćdziesiąt siedem. Prócz nas dwóch, nie posiada ona nikogo na tym świecie... wkrótce będzie miała tylko Ciebie. Zdobądź się na odwagę, Jonie, i porzuć swe zamysły. Nie stawiaj zapory pomiędzy nią a Tobą, nie rzucaj cienia smutku, nie rozdzieraj jej serca! Bądź zdrow, mój drogi chłopcze, i jeszcze raz przebac mi, iż Ci tym listem zadaję niewątpliwie ból dotkliwy. Pragnęliśmy Ci go oszczędzić, ale ta Hiszpanja — jak się zdaje — nie wysłała Ci na dobre...

Twój zawsze kochający Cię ojciec

JOLYON FORSYTE.“

Zakończywszy tę spowiedź, Jolyon długo siedział, podparwszy ręką wychudły policzek i odczytywał list od deski do deski. Niektóre szczegóły wydały mu się zbyt drażliwe, gdy pomyślał, że Jon będzie to odczytywał; to też w pewnej chwili omal że nie podarł całego listu w strzępy. Opowiadanie takich rzeczy chłopcu — i to własnemu synowi — opowiadanie o nich w związku z własną żoną i matką tego chłopaka — wydało się jego powściągliwej duszy Forsytowskiej rzeczą okropną. Atoli jakoż bez omówienia tego wszystkiego można było postawić Jonowi przed oczy całą prawdę, uświadomić głębię całego rozłamu, dotkliwość niewygojonej rany? Jakoż bez tych szczegółów można było owo tłumienie miłości chłopięcej? Równie dobrze mógłby nie pisać wcale tego listu!

Złożył list we czworo i włożył go do kieszeni. Była to — dzięki Bogu — sobota! — do następnego wieczora zatem był jeszcze czas na przemyślenie całej sprawy... bo nawet gdyby teraz wysłać list, to i tak nie doszedłby Jona wcześniej, jak w poniedziałek. Zwłoka ta przyniosła mu dziwną ulgę, a bądź co bądź faktem było, że list wysłany czy nie wysłany — był już gotowy.

W plantacji róż, która zastąpiła miejsce dawnej pa-prociarni, ujrzał Irenę, przystrzygającą i obcinającą ga-łązki. Widząc ją — jak mu się zdawało — zawsze krzą-tającą się przy pracy, zazdrościł jej w tej chwili, że sam prawie całe życie spędził bezczynnie. Wstał z miejsca i podszedł ku niej. Koronkowy czepeczek, związany pod brodą, przytrzymał i osłaniał jej włosy, a owalna jej twarz o ciemnych jeszcze brwiach wyglądała bardzo młodo.

— Te zielone muchy bardzo dokuczają w tym roku, chociaż tak jest chłodno! Wyglądasz mi na zmęczonego, Jolyonie.

Jolyon wyjął z kieszeni swe zeznanie.



— Pisałem teraz rzecz taką... zdaje mi się, żeś powinna to przejrzeć.

— Do Jona?

Twarz jej się zmieniła, stając się niemal dziką.

— Tak! Już po morderstwie...

Podał jej ów list i jął się przechadzać pomiędzy różami. W czas jakiś, widząc, że kończyła czytać i że stoi bezsłowna, trzymając arkusik przy sobie, podszedł znów ku niej.

— No, i cóż?

— Wybornie ułożony. Lepiej nie można. Dziękuję ci, drogi.

— Czy niczego nie chciałabyś w nim opuścić?

Potrząsnęła głową.

— Nie! on powinien wiedzieć wszystko... jeżeli ma zrozumieć.

— I ja to myślałem... ale... ja tego nienawidzę.

Miał poczucie, że nie cierpi tego bardziej niż ona. O sprawach seksualnych łatwiej mu przychodziło wspominać wobec kobiety, niż wobec drugiego mężczyzny — ona zaś była zawsze bardziej naturalna i szczerą, nie mając jego głębokiej, Forsytowskiej skrytości.

— Ciekawam, czy on zrozumie nawet i teraz, Jolyonie? On jest tak młody... i fizyczne sprawy naszej natury napęłniają go lękiem i odrazą.

— Ten lęk wziął on po moim ojcu... ten był w tych sprawach nieśmiały jak panna. Może lepiej byłoby napisać wszystko na nowo i powiedzieć poprostu, że nienawidziłaś Soamesa?

Irena potrząsnęła głową.

— Nienawiść — to tylko słowo, które niczego nie tłumaczy, nie uzasadnia. Nie, lepiej będzie tak, jak jest.

— Dobrze. Wyślę list jutro.

Podniósł twarz swoją ku jej twarzy i w obliczu wielu, pnączami zasnutych okien wielkiego domu, ucałował ją gorąco.

## ROZDZIAŁ II

### W Y Z N A N I E

Tego samego dnia pod wieczór Jolyon drzemał w starym fotelu. Na kolanie trzymał otwartą *La Rotisserie de la Reine Pedauque*, a w sam raz przed zaśnięciem błąkała mu się po głowie myśl:

— Czy kiedy będziemy czuli prawdziwą sympatję do Francuzów? Czy oni będą kiedy darzyć nas prawdziwą sympatją?

Sam osobiście zawsze lubił Francuzów, ich dowcip, ich smak, ich kuchnię. Irena i on wiele razy odwiedzali Francję przed wojną, gdy Jon był w szkole prywatnej. Romans Jolyona z nią — jego ostatni i najtrwalszy romans — zawiązał się w Paryżu. Jednakże ci Francuzi... nie mógł ich lubić Anglik, który nie spoglądał na nich niejako okiem nieskrepowanego estetyzmu! I z tą melancholijną konkluzją zapadł w głęboką drzemkę.

Gdy obudził się, ujrzał Jona, stojącego między nim a oknem. Chłopak najwidoczniej przyszedł z ogrodu i czekał na jego przebudzenie. Jolyon uśmiechnął się, jeszcze napół rozespany. Jakiż to miły smyk — mądry, przywiązany, wytworny!

Naraz poczuł w sercu przykry wstrząs i dreszcz jakiś przebiegł mu po ciele... Jon!... To wyznanie!... Z wysiłkiem zapanował nad sobą.

— Skąd tu się wziąłeś, Jonie?

Jon schylił się i ucałował go w czoło. Jolyon teraz dopiero zauważył dziwny wyraz na twarzy chłopca.

— Przyszedłem coś ci powiedzieć, tatusiu.

Jolyon całą swą mocą starał się stłumić uczucia, huczące i tłoczące się nawałą w jego piersi.

— Dobrze, siadaj, mój stary. Widziałeś się z matką?

— Nie.

Rumieńce zakłopotania na twarzy chłopca ustąpiły

miejsca bladeści. Usiadł na poręczy starego fotela, podobnie, jak niegdyś sam Jolyon zwykł był siadać koło swego ojca, wygodnie schowany w zaciszach starego sprzętu. Zwykł był tu przesiadywać aż do czasu, gdy doszło do zerwania się stosunków pomiędzy nimi... Czyżby teraz nadeszła chwila podobnego zerwania z rodzonym synem? Przez całe życie brzydził się, jak trucizną, wszelkimi awanturami, unikał zwad, szedł spokojnie własną drogą i nie stawiał przeszkód innym. Tymczasem teraz — jak się zdawało — u samego kresu życia czekała go awantura cięższa i przykrzejsza od wszystkich, jakich unikał dotychczas. Okrył przyłbicą swe wzruszenie i czekał na przemówienie syna.

— Tatusiu — rzekł Jon zwolna. — Fleur i ja mamy zamiar się pobrać.

— Ohoho! — pomyślał Jolyon, dysząc z trudnością.

— Wiem, że tobie i mamusi nie podoba się ten zamiar. Fleur powiada, że mamusia była zaręczona z jej ojcem, zanim tyś wziął mamusię za żonę. Ja, prawdę mówiąc, nie wiem, jak to tam było, w każdym razie to chyba bardzo dawne dzieje. Ja ją kocham, tatusiu, a ona powiada, że jest mi wzajemna.

Jolyon wydał z siebie dziwny głos, w którym śmiech jednoczył się z jękiem.

— Masz dopiero lat dziewiętnaście, Jonie, ja zaś liczę ich siedemdziesiąt dwa. Jakże możemy rozumieć się wzajemnie w tego rodzaju sprawach?... he?

— Ty kochasz mamusię, tatku, więc musisz zdawać sobie sprawę z tego, co ja czuję. Prawda, że to nieładnie... pozwalać, by stare jakieś, przedawnione sprawy stawały wpoprzek naszemu szczęściu?

Postawiony niemal w obliczu ułożonego przez siebie wyznania, Jolyon postanowił wedle możliwości unikać tego środka działania. Złożył rękę na ramieniu chłopca.

— Słuchaj, Jonie! Mógłbym zbyć cię paroma słowami o tem, że oboje jesteście za młodzi, że sami nie wiecie dobrze, czego chcecie i t. p. — Ty jednak nie słuchałbyś nawet tego, a zresztą nie trafiałoby to w sedno sprawy... Młodość, niestety, leczy się sama. Z lekkim sercem mówisz o „tych dawnych sprawach“, nie wiedząc nic zgoła (do czego się szczerze przyznajesz, co się właściwie zdarzyło. Otóż, czy dałem ci kiedy powód do tego, byś miał wątpić o mej miłości do ciebie lub nie ufać memu słowu?

W innej, mniej kłopotliwej chwili możeby go ubawiła rozterka, wywołana jego słowami — porywczy uścisk chłopca, mający na celu rozpędzenie wszelkich ojcowskich powątpiewań co do punktów powyższych i malujący się na jego twarzy lęk co do dalszych wniosków, snujących się z tego zapewnienia; teraz jednakże mógł mu być jedynie wdzięczny za to uściśnienie.

— Dobrze, zatem możesz wierzyć temu, co ci mówię. Jeżeli nie zaniechasz tej miłości, unieszczęśliwisz matkę do końca jej życia. Wierz mi, mój drogi, że przeszłość, jakkolwiekby ona była, nie da się pogrzebać... nie da się naprawdę...

Jon zerwał się z poręczy fotelu.

— Ta dziewczyna — pomyślał Jon — staje mu przed oczyma... namiętna... piękna... urocza!...

— Nie mogę, ojcze... Jakże mogę to zrobić... dlatego tylko, że ty tak mówisz?... Doprawdy nie mogę!

— Jonie, gdybyś znał te dzieje, spełniłbyś bez wahania mą prośbę... i przyznałbyś mi rację. Czy nie możesz mi uwierzyć?

— Jakże potrafię powiedzieć ci, co myślę? Powiem ci, tatku, że kocham ją ponad wszystko w tym świecie.

Jolyonowi twarz drgnęła i z boleścią wycedził słowa:

— Czy więcej, niż matkę swoją, Jonie?

Z twarzy chłopca i jego zaciśniętych pięści Jolyon domyślił się, jakie naprężenie i jaka walka uczuć wywiązały się w tem młodocianem sercu.

— Nie wiem — wybuchnął wkońcu Jon — nie wiem! Ale zrzec się Fleur dla niczego... dla jakiejś przyczyny, której pojąć nie mogę... dla czegoś, do czego doprawdy ani w połowie nie przywiązuję uwagi... to mnie... to mnie każe...

— ... uważać nas za niesprawiedliwych... nieuprawnionych, by stawiać zapory... tak!... ale to lepsze niż przewlekanie nadal tej sytuacji...

— Nie mogę. Fleur mnie kocha i ja ją kocham. Chciałeś, żebym ci wierzył, a czemu *ty* mnie, tatku, nie wierzysz? My nie chcemy wiedzieć o niczem... nie chcemy, by to czyniło jakąś różnicę. Sprawi to tylko, że będziemy jeszcze więcej kochali ciebie i matkę.

Jolyon wsadził rękę do kieszeni napierśnej, ale wyjął ją zpowrotem pustą i siedział, przywierając język do zębów.

— Pomyśl, Jonie, czem była dla ciebie matka! Ona prócz ciebie nie ma już nikogo... ja już długo nie pożyję.

— Czemu nie? To nieładnie tak... Czemu nie?

— Dlatego — odrzekł Jolyon niemal chłodnie — że doktorzy powiedzieli mi, iż nie pożyję... i kwita.

— Och, tatusiu! — krzyknął Jon i wybuchnął łzami.

Ten wybuch płaczu u chłopca, który od dziesiątego roku życia nigdy nie okazywał się płakną, wzruszył Jolyona ogromnie. Zrozumiał w całej pełni, jak strasznie tkliwem było serce chłopca, jak bardzo będzie on cierpiał w tym względzie i wogóle w swem życiu. I wyciągnął rękę bezradnie — nie życząc sobie, wprost nie śmiejąc powstać.

— Mój drogi — ozwał się — daj spokój... bo i ja się rozbeczę za twoim przykładem!

Jon stłumił łkanie i stał spokojnie z twarzą odwróconą.

— I cóż teraz? — pomyślał Jolyon. — Cóż mu jeszcze powiem, by go wzruszyć?

I ozwał się głośno:

— Ale powiem ci jeszcze nawiasem, nie mów nic o tem wszystkim matce. Ona i tak dość ma strachu o ciebie. Zdaję sobie sprawę z tego, jak się teraz czujesz... ale, Jonie, ty znasz matkę i mnie natyle, by upewnić się, że nie chcemy dla błażej przyczyny niszczyć twego szczęścia... co więcej, drogi mój chłopcze, nam na niczem nie zależy, jak tylko na twojem szczęściu... to jest, mnie chodzi o szczęście twoje i matki, jej zaś o ciebie chodzi przedewszystkiem. A teraz właśnie toczy się gra o przyszłość was obojga.

Jon odwrócił się. Twarz miał śmiertelnie bladą, oczy jego zdały się płonąć kędyś w głębi czaszki.

— I cóż to jest takiego? Cóż to jest doprawdy? Proszę nie zostawiać mnie w tej nieświadomości!

Jolyon, widząc się pobitym, znów wetknął rękę w kieszeń na piersi i siedział tak przez całą minutę, przyknaawszy oczy i dysząc ciężko.

— Miałem już wpierv parę długich chwil do namysłu... parę gorzkich momentów... ale oto nadszedł moment najgorszy!

Poczem wyciągnął z kieszeni rękę wraz z listem i rzekł z dziwnem jakimś znużeniem:

— Wiesz, Jonie, gdybyś dziś nie przyjechał, to zamierzeniem mojem było przesłać ci to. Chciałem cię oszczędzić... oszczędzić matki i siebie samego... ale widzę, że to na nic się nie zda. Przeczytaj to, a ja może sobie pójdę do ogrodu.

I ruszył się, by powstać.

Jon, wzięwszy list, ozwał się pośpiesznie:

— Nie, ja pójdę!

I wyszedł w tejże chwili. Jolyon opadł znów w głąb fotelu. Wielka mucha zaczęła z brzękiem latać dokoła niego jakby z wściekłością. Brzęk ten był mu jakby czemś swojskiem, przerywał pustkę ciszy... Dokądże to poszedł chłopak, by czytać list? Ten okropny list... tę okropną historję! Sprawa cała tak okrutna... i dla niej... i dla Soamesa... dla tych dwojga dzieci... dla niego samego wreszcie!... Serce w nim dudniło, przejmując go bólem. Życie... jego miłości... jego trud... jego piękno... jego dolegliwości... i jego kres!... duży okres czasu... i ładny okres czasu, pomimo wszystko... aż wkońcu żałuje człowiek, że wogóle się urodził... Życie... wyniszcza człowieka, jednakże nie napawa go tęsknotą do śmierci... w tem właśnie całe zło! Błąd w tem, że się ma serce!

Znów nadleciała z brzękiem błękitna mucha — wnosząc do pokoju cały skwar i gwar i zapach lata — tak, nawet zapach — dojrzałych owoców, wyschłych traw, soczystych krzewów — mleczną woń krów. I oto kędyś tam wśród tych zapachów Jon czyta ów list, odwracając i mnąc jego stronicę w niepokoju i trwodze — — i rozdzierając nad nim serce! Myśl ta ukłuła Jolyona dotkliwie. Jon był chłopięciem tak czulego serca, rozserdecznionem aż do szpiku kości, a przytem tak skrupulatnem!... Postąpiono z nim tak nieładnie, tak okropnie nieładnie! Jolyon przypomniał sobie, jak raz odezwała się doń Irena: „Nie było jeszcze na świecie dziecka tak kochającego i kochanego jak Jon.“ Biedny, mały Jon! Te kilka godzin letniego popołudnia rozbija w pył jego świat cały! Młodzi ludzie zwykli brać wszystko tak poważnie i nieustępliwie!

Poruszony i dręczony wizją młodości, która rzecz każdą bierze tak poważnie, Jolyon wstał z fotelu i podszedł do okna. Chłopca nie było nigdzie widać. Jolyon

wyszedł przed dom. Jeżeli można było w tej chwili dopomóc chłopcu, należało to uczynić!

Minął zaporę krzaków, zajrzał do ogrodu — ani śladu Jona! Nie było go i tam, gdzie brzoskwinie i morele zaczynały nabrzmiewać i nabierać kolorów. Ominął ciemne kliny cyprysów i wszedł na łąkę. Gdzież to udał się ten chłopak? Może pobiegł w chaszczę — kędy zwykł był niegdyś urządzać łowy?... Jolyon ruszył dalej, wpoprzek pokosów siana, które miano w poniedziałek ustawiać w stogi, a nazajutrz potem zwozić — o ileby dopisała pogoda. łąkę tę często przecinali razem, trzymając się za ręce... gdy Jon był jeszcze małym chłopięciem. A bodajże to!... Złoty wiek przeminął podówczas, gdy miało się lat dziesięć!

Tak rozmyślając, Jolyon doszedł do stawu, nad którego jasną czerwonawą powierzchnią tańczyły muchy i komary — — i wszedł w chaszczę. Było tam chłodno, pachnęło modrzewiem. I tu także nie było Jona!

Zawołał. Nie było odpowiedzi! Usiadł na kłodzie drzewnej, zdenerwowany, zaniepokojony, zapominając o własnych swych fizycznych dolegliwościach. Czuł, że źle postąpił, pozwalając chłopcu oddalić się z listem; powinien był od pierwszej chwili nie spuszczać go z oka! Przejęty wielką trwogą, powstał z miejsca, by puścić się w dalsze poszukiwania. Koło zabudowań gospodarskich zawołał znowu i zajrzał do ciemnej obory. W chłodzie, wśród zapachu wanilji i amoniaku, zdala od much dokuczliwych, trzy aldernejskie krowy spokojnie żuły zjedzoną strawę; po niedawnym udoju oczekiwały wieczora, kiedy miano je znów wypuścić na dolny ugór. Jedna z nich odwróciła ociężałą głowę, błyskając dużym okiem; Jolyon dostrzegł ślinę wyciekającą z szarego pyska bydlęcia. W nerwowem rozdrażnieniu dostrzegał wszystko z namiętą wyrazistością — — wszystko to w swoim czasie uwielbiał i starał się malować — jako



dziwo światłocienia i barwy. Nic dziwnego, że legenda umieściła Chrystusa w żłobie — czyż można sobie wyobrazić większą uległość i przywiązanie, jak w oczach i księżycowo-białych rogach krowy przezuwającej strawę pośród ciemnego półmroku?

Zawolał znowu. Ani słowa odpowiedzi! Przebiegł znów zpowrotem chaszczę, minął staw, wdarł się na wzgórze. Przyszło mu na myśl, że byłby to zaiste dziwny zbieg okoliczności, gdyby Jon zakosztował smaku swego odkrycia właśnie koło tego lasku, gdzie matka jego i Bosinney niegdyś wyznali sobie nagle swą miłość... i tam, gdzie on sam w ów poranek niedzielny, gdy wrócił z Paryża, uświadomił sobie — siedząc na tej właśnie kłodzie — że Irena stała mu się wszystkim w świecie. Byłby to zaiste trafny postępek Ironji, gdyby właśnie w tem miejscu zdarła zasłonę z oczu syna Ireny! Jednakże jego tu nie było! Gdzież on mógł się udać? Trzeba odnaleźć nieboraka!

Blask słoneczny, który nadpłynął w tej chwili, ostrzej uwydatnił jego rozigranym zmysłom całą piękność popołudnia, wysokich drzew i wydłużających się cieni, sinawych i białych obłoków, zapach siana i gruchanie turkawek — — oraz smukłe, gibkie kształty kwiatów. Jolyon doszedł do ogrodu róż — a piękno róż w tem nagle słonecznem oświetleniu wydało mu się zaziemskim. „*Powstań, Hiszpanie!*“ Dziwne dwa słowa!... Przy tym krzaku czerwonych róż ona wpierv stała... stała, czytając, aż doszła do decyzji, że Jon winien wiedzieć o wszystkim! I oto już on wie o wszystkim! Czyżby jej decyzja była mylną?

Schylił się i uszczknął kwiat jeden. Kwietne płatki otarły się o jego nozdrza i drżące wargi... Nie było rzeczy tak miękkiej, jak aksamit płatków różanych... jedynie... tylko jedna szyja... jej... Ireny!...

Poszedł naprzelaj przez murawę, w górę zбочa

w stronę dębu. Lśnił jeno czubek drzewa, gdyż nagły blask słoneczny zniknął poza domem; poniżej ścielił się gęsty cień, pełen błęgiego chłodu... bo Jolyon był zgrzany niezmiernie. Zatrzymał się na chwilę, chwyciwszy się ręką za sznur huśtawki... Jolly... Holly... Jon!... Jakże stara huśtawka! I nagle uczuł, że jest strasznie... śmiertelnie chory...

— No... za bardzo się forsowałem! — pomyślał. — Za bardzo... na Jowisza!

Chwiejnym krokiem doszedł do tarasu, wygramolił się na schody i zatoczył się pod ścianę domu. Oparł się o nią, dysząc, z twarzą ukrytą w witkach wiciokrzewu, o który oni oboje tak dbali, by im osładzał nadpływające do mieszkania powietrze. Woń ta zmieszała się z uczuciem okropnego bólu:

— Moja ukochana! — myślał. — Mój chłopiec!

Z ogromnym wysiłkiem przedostał się przez szklane drzwi do swego pokoju i opadł w fotel starego Jolyona. Leżał tam notatnik, a przy nim ołówek. Jolyon pochwycił go, nakreślił jakieś słowo na otwartej stronie... Ręka mu się osunęła bezwładnie... A więc to tak miało być... tak?...

Potem był jakiś wielki ból, co aż skręcał... i wielka ciemność...

### ROZDZIAŁ III

#### I R E N O ! . . .

Z listem w ręku opuściwszy pokój, Jon przejęty trwogą i niepewnością przebiegł wzdłuż tarasu i ominął węgiel domu. Oparłszy się o ścianę osnutą pnączami, rozdarł kopertę listu. List był tak długi, tak długi! Zwiększyło to jeszcze strach chłopca. Zaczął czytać pośpiesznie. Gdy doszedł do słów: „Poślubiła ojca Fleur“ — świat cały zawirował mu przed oczyma. Wpobliżu było okno

— Jon przelazł przez nie, minął salkę muzyczną i hall, i udał się na górę, do swojej sypialni. Zwilżając sobie twarz zimną wodą, siedział na łóżku i czytał dalej, rzucając każdą przeczytaną kartkę na łóżko poza siebie. Pismo ojca łatwo dawało się odczytywać — znał je doskonale, chociaż nigdy jeszcze nie otrzymał listu ani w ćwierci równie długiego. Czytał go z uczuciem przygnębienia — ledwie że pracując wyobraźnią. W pierwszym odrazu czytaniu pojął, jakiego bólu musiał doznawać ojciec, pisząc list taki. Upuściwszy ostatnią kartkę, w jakiejś duchowej i moralnej bezradności począł znów wszystko czytać od początku. Wszystko to wydało mu się niesmacznem... martwem i wstrętnem. Naraz przeszedł przez niego gorący prąd zgrozy i wzburzenia. Jego matka! Ojciec Fleur! Wziął znów list do ręki i odczytywał go machinalnie. I znów owładnęło nim uczucie, że wszystko to było niedorzeczne i wstrętne... jakże inną była jego miłość! Ten list mówił, że jego matka... i jej ojciec!... Okropny list!

Własność! Mogliż więc być mężczyźni, którzy patrzyli na kobiety jako na swoją własność? Zaczęły się przed nim cisnąć twarze widziane na ulicy lub na wsi... twarze czerwone, flądrowate... tępe i posępne... sztywne i suche... gwałtowne i namiętne... setki i tysiące twarzy! Jakże mógł dociec, co myśleli lub robili ludzie o takich twarzach? Podparł głowę rękoma i zajęczał. Jego matka! Podniósł list i odczytał znowu:

— Uczucia zgrozy i wstrętu... żyją w niej po dziś dzień... dzieci twoje... wnukami... człowieka, który kiedyś był właścicielem twej matki, jak bywali właściciele niewolników...

Wstał z łóżka. Ta okropna, mroczna przeszłość, która się przyczaiła, by zamordować obopólną miłość jego i Fleur, była czemś ważnem i prawdziwem — inaczej ojciec nie pisałby tego.

— Czemuż nie powiedzieli mi tego właśnie — myślał — w tym dniu, kiedy po raz pierwszy ujrzałem Fleur? Wiedzieli przecie, że mam ją widywać. Bali się... a teraz... teraz... na mnie się to skrupiło!

Dotknięty zbyt dotkliwą boleścią, by móc myśleć lub rozumować, wczuł się do najciemniejszego kąta pokoju i usiadł na podłodze... niby jakieś nieszczęśliwe zwierzątko. W mroku było mu lżej na sercu, a podłoga... miał wrażenie, że się wróciły dni dawne, gdy się na niej bawił, staczając srogie bitwy. Siedział tu skulony, z rozwichrzonymi włosami, z rękoma splecionymi na kolanach — sam nie wiedział, jak długo.

Z tego ogłuszenia i tępoty obudził go brzęk drzwi, otwierających się od strony pokoju matki. W czasie jego nieobecności pozamykano okna jego pokoju i przysłonięto okienicami, więc z miejsca, gdzie siedział, mógł jedynie słyszeć szelest kroków matczynych, aż wkońcu z poza łóżka obaczył ją samą stojącą przed jego toaletką. W rękę trzymała jakiś przedmiot. Stłumił dech w sobie, mając nadzieję, że go nie dostrzeże i odejdzie. Widział, jak dotykała rzeczy stojących na stole, jakgdyby widziała w nich coś cennego, a potem zwróciła się do okna — biała od stóp do głów jak widmo. Dość było najmniejszego skrętu jej głowy, a musiała go dostrzec! Jej wargi wyszeptały:

— Ach, Jonie!

Mówiła sama do siebie; ton jej głosu zaniepokoił serce Jona. W jej rękę dostrzegł Jon małą fotografię. Podniosła ją ku światłu, przyglądając się. Znal tę fotografię — była to jedna z tych, które zawsze nosiła w woreczku — przedstawiających go jako młodego jeszcze chłopaczka. Serce biło mu prędko i mocno. Ona, jakby posłyszała to bicie, nagle odwróciła oczy i ujrzała Jona. Wydała stłumiony okrzyk, przyciskając fotografię do piersi; wówczas Jon ozwał się:

— Tak, to ja.

Ona podeszła do łóżka i usiadła na niem, tuż obok syna, wciąż jeszcze przyciskając ręce do piersi; stopami wparła się pomiędzy arkusiki listu, które zsunęły się na podłogę. Dostrzegła te białe kartki i uchwyciła się dłońmi silnie za krawędź łóżka. Tak siedziała, posągowo sztywna, utkwivszy w synu ciemne oczy. Nakoniec przemówiła:

— Widzę, że już wiesz o wszystkim, Jonie.

— Tak jest.

— Widziałeś się z ojcem?

— Tak.

Zapanowało dłuższe milczenie, wkońcu matka znów się odezwała:

— Moje ty kochanie!

— Tak, wszystko to prawda...

Doznawał w tej chwili tak gwałtownych i tak sprzecznych wrażeń, iż nie ośmielał się poruszać — — czuł odrazę, rozpacz, a przytem jednocześnie tęsknił do kojącego dotknięcia jej ręki na swem czole.

— I cóż teraz zamierzasz uczynić?

— Sam nie wiem.

Znów nastąpiła dłuższa cisza, poczem Irena wstała z miejsca. Stała przez chwilę, nieruchomo i bezśownie, następnie zlekka ruszyła ręką i odezwała się:

— Kochanie moje... mój chłopaku najdroższy, nie myśl o mnie... myśl o sobie samym...

I obszedłszy łóżko wokoło, powróciła do swego pokoju.

Jon odwrócił się — i zwinąwszy się niemal jak jeź w kłębek, wcisnął się w kąt między dwiema ścianami.

Upłynęło chyba jakie dwadzieścia minut, gdy zbudził go nagle jakiś krzyk, dochodzący z dołu, od strony tarasu. Zerwał się z miejsca, przerażony jak dziecko. Krzyk ozwał się ponownie:

— Jon!

To matka wołała! Wybiegł z pokoju, zbiegł ze schodów i przez pusty pokój jadalny wpadł do gabinetu. Matka klęczała przed starym fotelem, w którym leżał nawznak jego ojciec, biały jak ściana, z głową zwieszoną na piersi; jedna ręka, ściskająca silnie ołówek, spoczywała na rozwartym notatniku. W całej postaci był spokój jakiś dziwny, jakiego nigdy w niej nie widywało się dawniej.

Irena, posłyszawszy kroki syna, odwróciła się gwałtownym ruchem i rzekła:

— Och... Jonie... on już nie żyje... nie żyje!!

Jon przypadł ku ojcu i przechyliwszy się przez poręcz fotelu, na której niedawno siedział, musnął wargami czoło leżącego. Zimne było jak lód! Jakże to możliwe — jakże możliwe, by ojciec już nie żył, skoro zaledwie przed godziną...! Matka obejmowała rękoma kolana zmarłego i tuliła je do piersi.

— Czemuż... czemuż mnie przy nim nie było? — posłyszał jej szept. Naraz ujrzał na otwartej stronie notatnika nakreślone koślawo ołówkiem jedyne słowo:

— Ireno!

I uczył się złamanym na duchu. Po raz pierwszy zdarzyło mu się widzieć śmierć ludzką, a jej niedająca się wysławić cisza wymazała z jego świadomości wszelkie inne wrażenia... a więc wszystko inne było tylko wstępem do tego oto, co ujrzał w tej chwili!... Cała miłość i życie, radość, obawa, wszelkie wzruszenie, światło i piękno to tylko przedproże tej straszliwej, białej ciszy. Uczyniło to na nim okropne wrażenie; wszystko nagle wydało mu się małym, nietrwałym i lichym. Wkońcu zdołał zapanować nad sobą, powstał i podniósł matkę:

— Mateńko! nie płacz... mateńko!

W kilka godzin później, gdy zarządzono wszystko co potrzeba i gdy matka położyła się spać, zobaczył ojca leżącego samotnie na łóżku, przykrytego białym prze-

ścieradłem. Stał długi czas, przypatrując się tej twarzy, na której nigdy nie widziało się gniewu, lecz zawsze tylko lekki kaprys i uprzejmość.

— Być uprzejmym i trzymać się aż do końca... oto wszystko! — posłyszał raz z ust ojca. Jakże przedziwnie stosował się tatko do tej filozofji! Teraz dopiero Jon rozumiał, że ojciec oddawna wiedział, iż będzie miał śmierć nagłą — wiedział i nic nie mówił... Jął z nieśmiałym jednocześnie i pełnym uwielbienia szacunkiem wpatrywać się w zmarłego. Własne jego zmartwienia wydały mu się małemi, gdy patrzył w to oblicze. A to słowo nakreślone na stronicy notatnika! To słowo pożegnalne!... Teraz matka nie miała w świecie nikogo, oprócz niego, Jona!

Podszedł całkiem blisko ku tej martwej twarzy — nie zmienionej, a przecie zmienionej całkowicie. Pewnego razu słyszał, jak ojciec mówił, że nie wierzy w to, by świadomość miała trwać po śmierci, albo jeżeliby trwała, to jej trwanie mogłoby się ciągnąć jedynie do naturalnego kresu tkwiącej w ciele żywotności; zatem jeżeli żywot cielesny przerwany został przez nagły wypadek, nadużycie lub gwałtowną chorobę, to świadomość może jeszcze istnieć dopóty, póki wedle niezakłóconych praw natury miałyby wygasnąć doszczętnie. Ta teoria bardzo zastanowiła Jona, bo pozatem nie zdarzyło mu się jej słyszeć z ust niczyich. Gdy serce w ten sposób wypowiedziało posłuszeństwo, tedy z pewnością nie była to rzecz całkiem naturalna! Być może więc, że świadomość jego ojca była z nim tu, w tym pokoju. Ponad łóżkiem wisiał portret dziadka. Może i jego świadomość też żyła tu jeszcze... także i jego brata... jego brata przyrodniego, który zmarł w Transvaalu. Może zgromadzili się wszyscy dokoła tego łóżka?... Jon ucałował ojca w czoło i wykradł się pocichu do swego pokoju. Drzwi tego pokoju, wiodące do sypialni matki, otwarte

były naościęż. Matka widocznie tu zachodziła, bo wszystko było dla niego przygotowane, nawet ciepłe mleko i paczka biszkoptów, a listu nie było już na podłodze. Wziął się do jedzenia i picia, patrząc jak dogasały resztki światła. Nie starał się spoglądać w przyszłość — wpatrywał się tylko w ciemne gałęzie dębu, widoczne na poziomie jego okna, i miał takie uczucie, jakoby życie nagle ustało... Raz w ciągu nocy, przewracając się na drugi bok wśród ciężkich snów, spostrzegł koło łóżka jakąś postać cichą i białą. Wzdrygnął się i zerwał się z pościeli.

Posłyszał głos matki:

— To tylko ja, Jonie najdroższy!

Jej biała ręka przesunęła się po jego czole, odchylając zlekka wtył jego głowę — i biała postać znikła znowu.

Samotny!... Zapadł znów w ciężki sen — i śniło mu się, że widzi imię swej matki pełną po łóżku.

#### ROZDZIAŁ IV

### SOAMES ROZMYŚLA

Ogłoszenie w *Times'ie* donoszące o śmierci Jolyona nie wywarło zbyt wielkiego wrażenia na Soamesie. A więc zmarł ten zawalidroga! W życiu ich obu nie było nigdy takiego okresu, w którymby się nie zatraciła miłość pomiędzy nimi. Ten rankor, z gorącej krwi wynikły, oddawna już utartym płynął korytem w sercu Soamesa, tak iż ten nie pozwalał sobie na nowe jego wybuchy, uważając tę śmierć rychłą jedynie za pewnego rodzaju poetycką nemesis. Przez dwadzieścia lat ten drab cieszył się odziedziczoną po nim żoną i majątkiem — i oto już nie żył na świecie! Wzmianka pośmiertna, która ukazała się wkrótce potem, była — jego zda-



niem — dla Jolyona zbyt pochlebna! Mówiła o „sumien-  
nym i miłym malarzu, którego dzieła należy uważać  
za typowe dla najświetniejszego rozwoju sztuki akwa-  
relistycznej w okresie późno-wiktorjańskim“. Soames,  
który prawie machinalnie stawiał wyżej Mole’a, Mor-  
pina i Caswella Baye i zawsze parskał głośno, gdy na-  
równi z nimi stawiano któreś z dzieł kuzyna, przewrócił  
z łoskotem stronę *Timesa*.

Tego dnia rano miał udać się do miasta w sprawach  
forsytowskich i zgóry już uświadamiał sobie spojrzenie  
Gradmana — boczkim z poza okularów. Stary kancelista  
wionął jakby tchem żalostnego współczucia, jakby woniał  
starych dni. Niemal było słyhać jak myślał:

— Pan Jolyon... ta—ak... akurat w moim wieku...  
i zmarł... mój Ty Boże! Pewnie, że ona musi to odczu-  
wać... Ła—adna to była kobieta... co ciało, to ciało!  
Dali o nim wzmiankę w gazetach. Pomyśleć sobie!

Atmosfera, jaką on wytwarzał, sprawiła iż Soames  
z wyjątkową szybkością załatwił pewne kontrakty i kon-  
wersje.

— A jak z tym zapisem na pannę Fleur, panie  
Soamesie?

— Przyszła mi lepsza myśl do głowy — odpowiedział  
Soames zwięźle.

— O—och! jakże się cieszę. Byłem zdania, że pan  
trochę zbyt się pośpieszył. Czasy się zmieniają.

Soamesa zaczęła niepokoić myśl, jakie wrażenie na  
Fleur mogła wyrzucić śmierć Jolyona. Nie był pewny,  
czy ona wie o tym wypadku — wiedział, że rzadko  
zaglądała do dzienników, a już nigdy nie interesowała  
się kroniką urodzin, ślubów i zgonów.

Zakończywszy sprawy urzędowe, podążył na Green  
Street na śniadanie. Winifreda była niemal posepna.  
Jack Cardigan złamał nasadę wozu (o ile można było

zrozumieć) i na pewien czas nie był „w dobrym tonie“; ona nie mogła nawyknąć do tej myśli.

— Czy Profond wogóle wyjeżdżał? — ozwał się nagle Soames.

— Wyjechał — odpowiedziała Winifreda — ale do kąd... tego nie wiem.

Tak, w tem sęk — nie da się nic powiedzieć! Ale nie tego chciał się dowiedzieć. Listy od Anetki przychodziły z Dieppe, gdzie mieszkała razem z matką.

— Przypuszczam, że widziałas nekrolog tego kuzynaszka?

— Tak — odpowiedziała Winifreda. — Żał mi... jego dzieci. On był bardzo miłym człowiekiem.

Soames wydał z siebie dziwny nieco głos. Myśl o starej głębokiej prawdzie — że ludzi sądzi się na tym świecie raczej według tego, jacy oni byli, niż wedle tego, co zrobili — wdzierала się i dobijała nieznosnie do wrót jego umysłu.

— Wiem, że tak o nim głosił przesąd powszechny — mruknął.

— Trzeba mu oddać sprawiedliwość teraz, gdy już umarł.

— Radbym mu był wpiery oddać sprawiedliwość — ozwał się Soames — jednakże nigdy nie miałem do tego sposobności. Czy macie tu może „poczet baronetów“?

— Tak, stoi na dolnej półce.

Soames wziął grubą czerwoną księgę i jął przewracać stronicę.

— Mont... Sir Lawrence, 9-ty Baronet, ur. 1620, st. s. Geoffrey'a, 8-go Bta i Lawinji, c. Sir Charles'a Muskhama Bt z Muskhama Hall, Shrops: pośl. 1890 Emilję, c. Conway'a Charwella Esq. z Condaford Grange k/Oxon; 1 syn, dziedzic Michał Conway, ur. 1895, 2 córki. Rezydencja: Lippinghall Manor, Folwell, Bucks, Klu-by: Snooks: Coffee House: Aéroplane. Patrz Bidlicott.

— Hm! — ozwał się. — Znałaś ty kiedy jakiego wydawcę?

— Stryja Tymoteusza.

— Mam na myśli osobę żyjącą.

— Monty znał jednego w klubie. Kiedyś przypro-  
wadził go tu na obiad. Monty, trzeba ci wiedzieć, zawsze  
zamyślał napisać książkę o tem, jak na wyścigach zrobić  
majątek. Starał się zainteresować tego człowieka.

— No i...?

— Założył się z nim o konia... o dwa tysiące. Juże-  
śmy potem nie widzieli tego człowieka. O ile pamię-  
tam, był to przystojny mężczyzna.

— Czy koń zwyciężył?

— Nie... zdaje mi się, że dobiegł ostatni. Wiesz  
przecie, że Monty był co do tego nadzwyczaj ostrożny.

— Ostrożny? — zapytał Soames. — Czy widzisz  
jaki związek między młokosowatym baronetem i wy-  
dawcą?

— Teraz ludzie wyprawiają różne rzeczy — odpowie-  
działa Winifreda. — Głównie chodzi o to, aby nie próżno-  
wać. Całkiem inaczej było w naszych czasach — wtedy  
starano się nic nie robić. Sądzę jednak, że czasy te jeszcze  
wrócą.

— Ten młody Mont, o którym mówię, jest bardzo za-  
kochany w Fleur. Ja, owszem, nie miałbym nic prze-  
ciwko temu, gdyby to położyło kres całej tamtej awan-  
turze.

— Czy to człowiek w dobrym stylu? — zapytała  
Winifreda.

— Pięknością nie grzeszy; jest dość miły, choć głowę  
ma nieco rozwichrzoną. Zdaje mi się, że ma ładny  
kawalek ziemi. Wygląda na szczerze przywiązanego...  
choć nie wiem...

— Nie — mruknęła Winifreda — to sprawa bardzo  
trudna. Zawsze uważałam, że najlepiej wcale się nie

wtrącać. Z Jackiem tyle jest mitręgi; teraz nie możemy wyjechać, aż dopiero gdy skończą się zajęcia bankowe. Pójdę do parku, przyjrzeć się ludziom... ich widokiem zawsze można się rozerwać.

— Gdybym był tobą — rzekł Soames — byłbym miał domek na wsi i nicbym sobie nie robił ze strajków i urlopów.

— Wieś mnie nudzi — odpowiedziała Winifreda — a strajk kolejowy podziałał mi bardzo na nerwy.

Winifreda słynęła zawsze z zimnej krwi.

Soames pożegnał się. Przez całą drogę do Reading rozmyślała nad tem, czy ma opowiedzieć Fleur o śmierci ojca tego chłopaka. To, że Jon stał się niezależny i miał do przełamania tylko opór matki, bynajmniej nie zmieniło sytuacji. Niewątpliwie miała mu teraz przypaść w udziale znaczna suma pieniędzy, a może i dom — ów dom, budowany dla Ireny i niego — dom, którego architekt stał się przyczyną jego domowej ruiny!... Gdyby córka jego, Soamesa, miała być panią tego domu... byłaby to prawdziwie poetycka nemezys! Na tę myśl Soames zaśmiał się zlekka, niewesoło. Dom ten miał niegdyś, w myśl jego, być ogniskiem zespalającem słabnący ich związek, siedzibą jego dzieci, któreby mu dała Irena, wprowadziwszy się w to osiedle!... Jej syn i Fleur!... Ich dzieci miały być niejako wykwittem związku pomiędzy nim i Ireną!

Teatralność tej myśli była jego zdrowemu rozsądkowi zgoła niemiłą. Mimo to — teraz, gdy Jolyona nie było już na świecie — było to chyba najłatwiejsze i najzyskowniejsze wyjście z kłopotliwego położenia. Połączenie dwóch fortun forsytowskich — miało w sobie urok pewnego konserwatyzmu. I ona — Irena — powróciłaby znów do niego... Nonsens! Niedorzeczność! Wybił sobie zaraz tę myśl z głowy.

Przybywszy do domu, posłyszał stuk kul bilardowych.

Przez okno dojrzał młodego Montę, leżącego na parapacie bilardu. Fleur, wsparta na kijach bilardowych, patrzyła z uśmiechem na grę. Jakaż ona była piękna! Nic dziwnego, że ten smyk tracił dla niej głowę... Phi! tytuł... ziemia! W dzisiejszych czasach nie tak łatwo o kogoś, kto ma ziemię... a może jeszcze trudniej o kogoś, kto ma tytuł. Starzy Forsytowie zawsze mieli pewnego rodzaju pogardę dla tytułów, jako rzeczy nieco dalekich i sztucznych — nie warty kosztu, jaki się w nie łoży, i wymagających zachodów wobec wysokiej władzy. Soames pamiętał, że wszyscy oni mieli w różnej mierze to uczucie. Swithin w okresie największej swej ekspansywności był raz na oficjalnym jour fixe; wyszedł stamtąd, mówiąc, że już tam nigdy nie pójdzie — „pomiędzy tych smarkaczy“. Podejrzewano go, że wyglądał zbyt okazale w swych krótkich spodniach. Soames pamiętał, jak jego rodzona matka pragnęła pokazać się w modnym towarzystwie i jak jego ojciec z niezwykłą stanowczością tupnął nogą. Naco też było komu to mizdrzenie się... ta niepotrzebna strata czasu i pieniędzy... to na nic niepotrzebne!

Instynkt, który Brytyjską Izbę Gmin uczynił główną potęgą państwa i utrzymywał ją na tem stanowisku, poczucie, iż własny świat jest zupełnie dobry i nieco lepszy od innych, ponieważ to był ich świat — instynkt ten chronił starych Forsytów od „bzdurstw“, jak zwykł był wyrażać się Mikołaj, ilekroć dokuczał mu reumatyzm. Pokolenie Soamesa, bardziej usamowolnione i ironizujące, ustrzegło się dzięki wspomnieniu krótkich spodni Swithina. Natomiast trzecie i czwarte pokolenie, jak Soamesowi się zdawało, śmiało się ze wszystkiego.

W każdym razie nic to nie szkodziło, że młody chłopak był dziedzicem majątku i tytułu — na co zresztą nie było rady.

Soames wszedł spokojnie do pokoju w chwili, gdy

Mont odłożył kij, nie zrobiwszy karambola. Zwrócił uwagę na oczy młokosa, wpatrzone we Fleur, na którą teraz przypadła kolejność gry; malujące się w nich ubóstwienie niemal go wzruszyło.

Zatrzymała się, waząc kij na zgięciu lewej ręki i potrząsnęła pękiem ciemno-kasztanowych włosów, równo przypiętych w grzywkę.

— Nigdy mi się nie uda!

— Niema czego się obawiać!

— Więc dobrze! — uderzyła kijem, wprawiając w ruch kulę. — O, jak...!

— Nie wiecie się! Niema się czem przejmować!

W tej chwili ujrzeni Soamesa. Ten ozwał się:

— Ja będę za was zapisywał.

Siadł na wysokim krześle pod tabliczką, wypoczywając w niem wygodnie i ukradkiem studjując twarze obojga młodych. Gdy gra się skończyła, Mont podszedł ku niemu.

— Ja zacząłem. Prawda, że interes to dziwna gra? Przypuszczam, że pan dość napatrzył się ludzkiej naturze.

— Owszem.

— Może wolno mi będzie powiedzieć, co ja zauważyłem: ludzie są na złej drodze, gdy ofiarują mniej, niż zdolni są dać z siebie; powinni ofiarować więcej i potem odrabiać zaległości.

Soames podniósł wysoko brwi.

— A jeżeli to „więcej“ zostało przyjęte?

— To nie znaczy tu ani trochę w tej sprawie — odrzekł Mont; — więcej popłaca zniżka ceny niż jej podnoszenie. Dajmy na to, że ofiarujemy jakiemuś autorowi dobre warunki — on naturalnie je przyjmuje; po dokładnem rozpatrzeniu sprawy, przekonywamy się, że nie możemy książki wydać z należytym zyskiem i uwiadamy o tem autora. On zaufał nam, ponieważ okazaliśmy się dla niego wspaniałomyślnymi, przeto staje

się potulny, jak owieczka, i nie ma do nas urazy. Jeżeli jednak ofiarujemy mu na początku kiepskie warunki, on ich nie przyjmuje, przeto chcąc go pozyskać, musimy je podwyższyć, a na dobitkę on będzie nas uważał za skończonych skąpczuchów.

— Spróbuj pan kupować obrazy wedle tej metody; — oferta przyjęta stanowi kontrakt... czy pan o tem nie słyszał?

Mont zwrócił głowę w stronę Fleur, stojącej przy oknie.

— Nie — odezwał się — a oby tak było! Wobec tego sprawa inaczej się przedstawia. Zawsze winno się zwalniać z umowy człowieka, który chce być z niej zwolniony.

— Jako reklama? — spytał Soames oschle.

— Prawda, że tak bywa istotnie; ja jednakże biorę to jako zasadę.

— Czy pańska firma pracuje na takich zasadach?

— Jeszcze nie — odrzekł Mont — ale do tego dojdzie.

— A oni sobie pójdą...

— Nie, nie, panie łaskawy. Robię najróżnorodniejsze obserwacje i wszystkie tylko potwierdzają moją regułę. W interesie zawsze niedocenia się natury ludzkiej, wskutek czego ludzie pozbawiają się wielu zysków i przyjemności. Oczywiście musi się być wtedy zupełnie szczerym i otwartym, ale o to nietrudno, jeżeli się tylko tak czuje. Im bardziej ktoś jest ludzkim i wspaniałomyślnym, tem większe ma szanse w interesie.

Soames powstał.

— Czy pan jesteś wspólnikiem?

— Niespełna od sześciu miesięcy.

— Reszta firmy powinna czempredzej wycofać się ze spółki.

Mont zaśmiał się.

— Zobacz pan — odrzekł. — Ma właśnie zajść wielka zmiana. Zasada władna zamknęła swój interes.

— Co? — spytał Soames.

— Dom jest do wynajęcia! Dowidzenia panu! Już odchodzę.

Soames patrzył, jak córka podała Michałowi rękę, jak skrzywiła się, gdy ten ścisnął rękę jej zbyt silnie; posłyszał też wyraźnie westchnienie wychodzącego młodzieńca. Po chwili Fleur odeszła od okna, wodząc palcem po mahoniowej krawędzi bilardu. Przyglądając się jej, Soames zgadywał, że zamierzała zadać mu jakieś pytanie. Doszedłszy do ostatniej bandy bilardowej, objęła ją palcem i podniosła oczy w górę.

— Czyż to ty, tatusiu, do tego się przyczynił, że Jon przestał do mnie pisać?

Soames potrząsnął głową.

— Więc ty nie wiesz o niczem? — zapytał. — Jego ojciec umarł tydzień temu.

— Och!

Na jej przerażonej i zachmurzonej twarzy dostrzegł nagle usiłowanie zrozumienia, co się święci.

— Biedny Jon! Czemuś ty mi o tem nie mówił, ojczulku?

— Nigdy nie wiem, co mam zrobić! — rzekł Soames z wolna; — ty nie masz do mnie zaufania.

— Miałabym je, gdybyś chciał mi dopomóc, tatusiu najdroższy.

— A możebym i dopomógł.

Fleur złożyła rękę.

— Och, kochany... gdy czegoś pragnie się strasznie, wtedy nie myśli się o innych ludziach. Nie gniewaj się na mnie!

Soames wyciągnął rękę przed siebie, jakgdyby chciał się uchronić od obryzkania błotem.

— Ja rozmyślałem — odezwał się. Doprawdy, skąd



mu się wzięło na ustach takie słowo? — Czy młody Mont znów ci dokuczał?

Fleur uśmiechnęła się.

— Och, Michał! On zawsze dokucza, ale to tak dobry człowiek... nie zważam na niego.

— Tak, tak, ale ja czuję się porządnie zmęczony — rzekł Soames. — Pójdę zdrzemnąć się przed kolacją.

Poszedł do galerji obrazów, położył się na kozetce i zamknął oczy. Straszna odpowiedzialność... Ta dziewczyna... Straszna odpowiedzialność!... Pomóc... Jakże jej mógł pomóc. Nie mógł przecie odmienić faktu, że był jej ojcem. Albo że Irena!... Cóż to mówił Mont... jakieś bzdurstwa o władaniu... instynkcie... o zamknięciu interesu... Do wynajęcia? Och, głupstwo!

Duszne powietrze, naładowane zapachem słodyczki ławkowej, rzeki i róż, przytłoczyło jego świadomość i uspiło ją zupełnie.

## ROZDZIAŁ V

### IDÉE FIXE

*Idée fixe*, która więcej razy uszła rękom sprawiedliwości, niż jakakolwiek inna postać ludzkiego bezprawia, nigdy nie ma więcej wytrzymałości i rozmachu, niż wtedy, gdy przybiera gwałtowne pozory miłości. Dla płotów, rowów i drzwi, dla istot ludzkich bez *idées fixes*, inaczej mówiąc, dla wózków dziecięcych oraz ich zawartości, ssącej dopiero swe *idées fixes*, a nawet dla innych ludzi chorych na tę uporczywą chorobę — *idée fixe* miłości nie okazuje głębszego zainteresowania, tylko biegnie z oczyma zwróconemi wgląd ku własnemu światłu, niepomna wszelkich innych gwiazd. Ci ludzie sfiksowani, którzy szczęście ludzkie zasadzają na swej sztuce, na wiwisekcji psów, na nienawiści do cudzoziemców, na płaceniu taksy dodatkowej, na zdobyciu

fotela ministerjalnego, na nadawaniu rozpędu kołom, na propagandzie przeciw-rozwodowej, na skrupułach sumienia, na tematach słów greckich, dogmatach religijnych, paradoksach i wyższości ponad wszystkimi (łącznie z innymi symptomatami manji wielkości) — wszyscy ci są istotami stałymi w porównaniu z tym lub tą, którego, lub której *idée fixe* jest posiadanie „jej“ lub „jego“. I chociaż Fleur w owe chłodne letnie dni wiodła niefrasobliwe i trzpiotowate życie młodej Forsytówny, którą stać było na kupowanie nowych sukienek i której całem zajęciem była rozrywka, jednakże była na to wszystko zgoła obojętna. Ilekroć udawała się do miasta, tęskniła i tęskniła do księżycy, który żeglował na chłodnym niebie ponad rzeką lub Green Parkiem. Co więcej, listy Jona, owinięte w czerwony jedwab, nosiła stale na sercu, co w czasach, gdy gorsety poszły w zaniechanie, gdy sentyment doznawał takiej wzgardy, a komody wyszły z mody, było chyba najwyraźniejszym dowodem jej sfiksowania.

Dowiedziawszy się o śmierci Jolyona Forsyte'a, napisała list do Jona. W trzy dni później, po powrocie z pikniku nad rzeką, otrzymała odpowiedź. Był to pierwszy list jego od czasu spotkania się w mieszkaniu Juny. Otworzyła list ten niepewnie, a czytała go z przerażeniem.

„Po naszym ostatnim widzeniu się z sobą dowiedziałem się wszystkich szczegółów, dotyczących przeszłości. Nie chciałem Ci tego mówić — myślę, że wiedziałaś o wszystkim, gdyśmy się spotkali u Juny. Ona mówi, żeś wiedziała; jeżeli to prawda, Fleur, tedy powinnaś była powiedzieć mi o tem. Przypuszczam, że słyszałaś tylko to, co dotyczyło twego ojca; ja zaś słyszałem to, co dotyczy mej matki. Ach, to okropne! Teraz, gdy ona jest w takim smutku, nie mogę czynić niczego, coby ją bolało jeszcze więcej. Tęsknię naprawdę

ustawicznie za tobą, ale nie wierzę teraz, byśmy mieli kiedykolwiek należeć do siebie... jest pewna siła na-  
zbyt wielka, która nas rozdziela.“

Tak! Wydało ją jej oszustwo... Ale czuła, że to Jon jej darował. Natomiast to, co on wspominał o swej matce, wywoływało drżenie w jej sercu i omdłałość jakąś w jej nogach.

Pierwszym jej odruchem było odpisać zaraz na list, drugim — nie odpowiadać nań wcale. Te odruchy ustawicznie wznawiały się w niej w ciągu dni następnych, jednocześnie z rosnącą rozpaczą. Nie darmo była córka swego ojca. Upór, któremu Soames zawdzięczał byt swój i swoje rozbicie, stanowił też rdzeń i jej istoty, choć przystrojony koronkową robotą francuskiego wdzięku i zwinności. Instynktownie odmieniała czasownik „mieć“ zawsze z zaimkiem „ja“. W każdym razie kryła się z wszelkimi objawami wzrastającej rozpacz, i jakby nic, oddawała się wszelkim rozrywkom nad rzeką, na jakie tylko jej pozwalały wichury i słoty nie pogodnego lipca — i pewnie żaden „młokosowaty baronet“ nigdy nie zaniedbywał tak zawzięcie zajęć publicystycznych, jak czynił to jej duch opiekuńczy, Michał Mont.

Dla Soamesa jej zachowanie było zagadką. Dał się niemal w błąd wprowadzić tej beztroskiej wesołości. Niemal — albowiem nie uszedł jego baczności wzrok jej, często zapatrzony w jakąś nicość, oraz blask lampy, przesączaający się nieraz późno w noc z jej pokoju. O czym to ona rozmyślała i dumiała w te godziny, gdy już winna była spać w najlepsze? Nie odważał się zapytać, co działo się w jej duszy — i ona też, od czasu owej krótkiej rozmowy w sali bilardowej, nie zwi-rzała mu się z niczem.

Wśród tej milczącej sytuacji zdarzyło się, że Wini-freda zaprosiła ich na drugie śniadanie, proponując, czyby nie poszli razem na „miłą sztukę p. t. Opera ze-

bracza“ i czyby nie wzięli z sobą jakiego mężczyzny, by razem utworzyć czwórkę? Soames, który nie miał specjalnej ochoty wybierać się do teatru, przyjął propozycję, gdyż Fleur gotowa była pójść wszędzie. Pojechali więc autem, zabierając z sobą Michała Monta, który był w siódmym niebie a Winifredzie wydał się „bardzo zajmującym“. „Opera żebracza“ wprawiła Soamesa w ambaras. Publiczność była niewytworna, a sama rzecz bardzo cyniczna. Winifreda była „zaintrygowana“ kostjumami, a i muzyka nie wydała jej się brzydką; poprzedniego wieczoru przybyła za wcześnie na balet rosyjski i znalazła scenę zajętą przez śpiewaków, którzy przez całą godzinę bledli i mdleli ze strachu, by przez jakąś nieuwagę nie zmylić tonu. Michał Mont był zachwycony wszystkim, a wszyscy troje byli ciekawi, co też Fleur o tem myśli. Ale Fleur nie myślała o tem wcale. Jej *idée fixe* stała na scenie, śpiewała razem z Polly Peachum, tańczyła z Jenny Diver, układała mimikę wraz z Filch, a gesty i pozy wraz z Lucy Lockit, całowała, ścisłała i kupletowała wraz z Macheathem. Wprawdzie wargi jej się uśmiechały, ręce klaskały, jednakże stara komiczna sztuka nie czyniła na niej większego wrażenia, — jakgdyby była to rzecz jakaś patetyczna, niby jakaś „rewja“ nowoczesna. Gdy wsiedli do samochodu, by powrócić do domu, bolało ją to, że koło niej na miejscu Michała Monta nie siedzi Jon. Gdy przy jakimś wstrząsie samochodu ramię młodzieńca niby przypadkiem otarło się o nią, myślała jedynie: „Gdybyż to było ramię Jona!“ Gdy jego wesół głos, hamowany jej bliskością, wzbijał się ponad turkot samochodu, uśmiechała się i odpowiadała, myśląc jednocześnie: „Gdyby to był głos Jona!“ A gdy raz posłyszała jego słowa: „Panno Fleur, pani w tej sukni wygląda jak anioł prawdziwy!“ — odpowiedziała:

— Więc panu się ona podoba?

A myślała jednocześnie:

— O, gdyby Jon mógł ją widzieć!

W czasie tej przejażdżki powzięła postanowienie, iż uda się do Robin Hill i zobaczy się z Jonem — sam na sam; w tym celu weźmie samochód, nie mówiąc zawczasu o niczem ani Jonowi, ani ojcu! Upłynęło już dziewięć dni od chwili otrzymania jego listu — nie mogła czekać dłużej. Tak, trzeba jechać w poniedziałek! Ta decyzja usposobiła ją dobrze w stosunku do młodego Monta. Mając przed sobą jakieś widoki, można było od biedy znosić jego obecność i odpowiadać mu na pytania. Niechby sobie został na obiedzie, zalecał się do niej jak zwykle, tańczył z nią, ścisnął jej rękę, wzdychał — czynił, co mu się podobało! Bywał dla niej utrapieniem tylko wtedy, gdy się wtrącał do jej *idée fixe*. Współczuła z nim nawet, o ile w tym właśnie czasie było rzeczą możliwą współczuć z kimkolwiek, prócz samej siebie. Przy obiedzie rozprawiał — z większym niż zazwyczaj ferworem — o jakiejś tam „śmierci zapewnionych mandatów“. Ona niebardzo uważała, za to ojciec zdawał się przysłuchiwać z wielką uwagą i z uśmiechem, oznaczającym sprzeciw, jeżeli nie oburzenie.

— Młodsze pokolenie nie myśli już tak, jak pan; prawda, panno Fleur?

Fleur wzruszyła ramionami — do młodszego pokolenia należał przecie Jon, a ona nie wiedziała, co on myślał.

— Młodzi ludzie będą myśleć tak jak ja, gdy dojdą do mojego wieku, panie Mont. Natura ludzka się nie zmienia.

— Racja, panie łaskawy, jednakże formy myślowe zmieniają się z latami. Dochodzenie własnego interesu jest formą myślową, która już przemija.

— Doprawdy! Myślenie o własnym interesie, panie Mont, nie jest formą myślową, ale instynktem.

...Tak! gdy szło o Jona!

— Ale czemuż jest czyjś własny interes, panie łaskawy? W tem właśnie rzecz cała! Interes *każdego* jest jego własnym interesem. Czy nie tak, panno Fleur?

Fleur tylko uśmiechnęła się.

— W przeciwnym razie — dodał Mont — dochodzi do rozlewu krwi.

— Ludzie tak mawiali już od niepamiętnych czasów

— Ale pan przyzna, że poczucie własności już wymiera?

— Powiedziałem, że raczej wzrasta wśród tych, którzy nic nie posiadają.

— Dobrze, niechno pan patrzy na mnie. Jestem dzie-dzicem ordynacji majątkowej. Mnie to niepotrzebne; jutro zrzeknę się ordynacji.

— Jeszcze nie jesteś pan żonaty i nie wiesz pan, co mówisz.

Fleur spostrzegła, że oczy młodzieńca z pewną ża-łością zwróciły się na nią.

— Czy pan na serjo myśli o tym ożenku?... — zaczął.

— Społeczeństwo jest zbudowane na małżeństwie — te słowa wyszły nagle z pomiędzy zaciśniętych warg jej ojca; — na małżeństwie i jego konsekwencjach. Czy pan życzy sobie dalszej rozmowy na ten temat?

Mont przybrał minę roztargnioną. Milczenie zapano-wało nad stołem, zastawionym łyżkami z herbem For-syte'ów (bazantem o naturalnych barwach), i pod alabastrowym kloszem, kryjącym światło elektryczne. Na dworze, ponad rzeką, ściemniał się wieczór, nasycony ciężką wilgocią i słodkimi zapachami.

— W poniedziałek! — myślała Fleur. — W ponie-działek!

## ROZDZIAŁ VI

### W DESPERACJI

Smutne i puste były dla jedyne go, pozostałego przy życiu, Jolyona Forsyte'a, owe tygodnie, które nastąpiły po śmierci jego ojca. Konieczne formalności i ceremonje — odczytanie testamentu, oszacowanie stanu majątkowego, rozdział zapisów — odbyły się jakby ponad głową osoby niepełnoletniej. Ciało Jolyona zostało spalone. Zgodnie z jego żądaniem, nikt nie asystował przy tym obrzędzie, ani nie nosił żałoby po zmarłym. Sukcesja jego majątności, w pewnej mierze unormowana testamentem starego Jolyona, zostawiała wdowie po nim posiadanie Robin Hillu wraz z dożywotnią rentą dwóch tysięcy pięciuset funtów rocznie. Ponadto oba testamenty w sposób nieco skomplikowany dążyły wspólnie do tego, by zapewnić zarówno w chwili obecnej jak i na przyszłość każdemu z trojga dzieci Jolyona równy udział w majątku dziadka i ojca, z tem, że Jon jako mężczyzna ma mieć kontrolę nad swym kapitałem, gdy dojdzie lat dwudziestu dwóch, natomiast Juna i Holly będą miały w swych kapitałach udział jedynie duchowy, żeby ich dzieci mogły być fizycznymi spadkobiercami. Gdyby Juna i Holly nie miały dzieci, ich kapitał miał przejść na Jona, o ile ten je przeżyje. Ponieważ zaś Juna miała lat pięćdziesiąt, a Holly bezmała czterdzieści, tedy było rzeczą niemal jasną, że gdyby nie srogość taksy dochodowej, młody Jon mógłby być człowiekiem równie bogatym, jak niegdyś jego dziadek w chwili śmierci. Wszystko to dla Jona było obojętne, a dla matki wystarczające. Juna załatwiła wszystkie sprawy — pozostawione przez zmarłego w zupełnym porządku. Gdy ta się oddaliła i tych dwoje pozostało sam na sam w wielkim domu, sam na sam ze śmiercią jednoczącą ich z sobą ściśle, Jon przeżywał dni bardzo smutne, odczuwając

w głębi ducha niesmak i niezadowolenie z siebie samego. Matka przyglądała mu się w cierpliwym smutku, w którym jednak tała się jakaś instynktowna duma, jakgdyby chowała na później swą obronę. Gdy matka uśmiechała się, Jon czuł w sobie gniew, że śmiech jego własny, przesłany jej w odpowiedzi, jest taki oporny i nienaturalny. On jej nie sądził ani potępiał; wszystko to było zanadto odległe — nawet na myśl mu nie przyszło, by miał czynić coś podobnego. Nie! był tak oporny i nienaturalny, ponieważ ze względu na nią nie mógł mieć tego, czego pragnął. W tem wszystkim jedna była ulga — mianowicie wielki skweres w związku z dorobkiem ojca; dorobku tego nie można było powierzać Junie, choć ona ofiarowała się z pomocą. Zarówno Jon jak i jego matka czuli dobrze, że gdyby Juna zabrała z sobą teki ojca, jego niewystawione i niedokończone obrazy, puścizna ta spotkałaby się z taką oziębłością ze strony Paula Posta i innych bywalców jej mieszkania, że nawet jej gorące i zapalne serce mogłoby się przytem zmrozić doszczętnie. Na staroświeckiem swem podłożu i w samym swym rodzaju robota malarska Jolyona przedstawiała się dobrze, więc oboje nie mogli pogodzić się z myślą, by dzieła te miały być wydane na pośmiewisko. Wystawa pośmiertna jego dzieł była minimalną daniną wdzięczności, jaką spłacić mogli pamięci ukochanego człowieka; na przygotowaniach zatem do tej wystawy spędzali razem wiele godzin. Jon nabrał dla ojca dziwnego szacunku, który wzrastał z każdym dniem. Wśród tych przetrząsań ujawniała się przed oczyma chłopca owa spokojna uporczywość, z pomocą której przeciętny talent jego ojca przeobrażał się w prawdziwą indywidualność. Była tam wielka masa dzieł o rzadkiej ciągłości w pogłębianiu i osiąganiu wizji. Pewno, że żadne z dzieł nie doszło wielkiej głębi i nie osiągnęło wielkiej wyżyny — jednakże dzieło samo, jakie ono



tam było, było staranne, sumienne i skończone. Przypominając sobie, jak to ojciec nie okazywał nigdy ani śladu jakichkolwiek uroszczeń czy pretensjonalności — z jaką skromnością mówił o swych własnych wysiłkach i nazywał siebie „amatorem“, Jon nie mógł oprzeć się uczuciu, że naprawdę nigdy nie znał swego ojca. Zasadą jego ponoś było — brać siebie na serjo, ale nie naprzykrzać się innym przez uświadamianie im tego. W tem wszystkim było coś, co przemawiało do chłopca, każąc mu przyłączać się całą duszą do zasłyszanego kiedyś zdania matki:

— Była to natura prawdziwie subtelną. Cokolwiek czynił, zawsze z tem łączyła się myśl o innych. Kiedy zaś powziął decyzję, która mogła wywołać sprzeciw, nie okazywał przytem wielkiego wahania... prawda, że zupełnie nie w duchu wieku? Dwa razy w życiu musiał iść przeciwko wszystkiemu i wszystkim — a przecież bynajmniej go to nie rozgoryczyło.

Jon ujrzał wtedy łzy, płynące jej po twarzy — choć starała się w tejże chwili odwrócić ją od niego. Śmierć męża znosiła tak spokojnie, że Jon wpieryw niekiedy myślał, iż niebardzo cios ten odczuła. Teraz dopiero, gdy jej się przyglądał, czuł, jak dalece brakło mu godności i panowania nad sobą, będącego cechą zarówno jego matki jak i ojca. Podszedł do niej cicho i objął jej kibić ramieniem. Pocałowała go szybko, lecz namiętnie, i wyszła z pokoju.

Pracownia, w której sortowali obrazy i zaopatrywali je w napisy, była kiedyś salą szkolną Holly, przeznaczoną dla jej jedwabników, suszonej lawendy, ćwiczeń muzycznych oraz innych przedmiotów nauczania. Teraz — mimo że koniec lipca niebardzo się pięknie zapowiadał od północy i wschodu — ciepłe i senne powietrze wpływało między zdawna spłowiałe, fioletowe kotary płócienne. Ażeby nieco powetować minioną chwałę, Irena

umieściła wazon czerwonych róż na zapaćkanym farbami stole. Wazon ten oraz ulubiony kot Jolyona, który wciąż wysiadujący w opustoszałej rezydencji, były to jedyne barwne plamy w tej zrujnowanej, pospępnej pracowni.

Jon, który stojąc przy oknie północnem, wdychał w siebie powietrze przesycone tajemniczą wonią dojrzałych poziomek, posłyszał turkot nadjeżdżającego samochodu. Znowu ci prawnicy w sprawie jakiejś tam błahostki! Czemu ten zapach tak jest jakoś boleśnie dotkliwy? I skąd on pochodzi?... przecież z tej strony domu nie było wcale grządek z poziomkami... Od-ruchowo wyjął z kieszeni ćwiartkę papieru, złożoną we czworo i napisał na niej parę oderwanych słów. Ciepło zaczęło rozchodzić mu się po piersi; długo zacierał ręce, wreszcie zanotował sobie co następuje:

Gdybym mógł stworzyć piosenkę małą,  
co by mi serce uspokoiła!  
Utworzyłbym ją z najmniejszych rzeczy:  
z wiotkiego puchu przekwitłych mleczy,  
z szelestu drobnej deszczu kropelki,  
ze szmeru skrzydeł, z pluśnięcia skrzelki,  
z mrużenia kota, z wróblích conceptów,  
z wszelkich, jakiebym słyszał, poszeptów,  
z podmuchów wiatru wśród gęstwiny zielnych  
i z oddalonych pobrzęków pszczelnych.  
Piosenkę lekką, wdzięczną, powiewną,  
jak kwiat lub jakby motyl skrzydlaty.  
A gdybym widział, iż się rozwija,  
puściłbym — lotną i śpiewną!

Powtarzał sobie jeszcze półgłosem cały wiersz, stojąc przy oknie, gdy posłyszał, że ktoś go woła po imieniu. Obróciwszy się, ujrzał Fleur. Zdumiony tym widokiem, zrazu nie mógł ani się ruszyć ani przemówić, a jej bystre, żywe spojrzenie wprawiało w zachwyt jego serce. Po chwili podszedł w stronę stołu, mówiąc:

— Jak to pięknie z twojej strony, żeś przyszła!

Ona cofnęła się, jakgdyby uchylając się przed jego ciosem.

— Chciałam widzieć się z tobą — odezwała się — i wskazano mi, że tu jesteś... ale mogę stąd wyjść natychmiast.

Jon oparł się o krawędź stołu, zawałanego farbą. Twarz Fleur i jej figura w plisowanej sukni z tak przerażającą żywością odbiły się na jego siatkówce, że widziećby ją musiał nadal, nawet gdyby w tej chwili runął na podłogę.

— Wiem, że powiedziałam ci nieprawdę, Jonie. Zrobiłam to jednak z miłości.

— O tak... tak!... Ale to nic!...

— Nie odpowiedziałam ci na list... bo i pocóż... nie było na co odpowiadać... Natomiast chciałam widzieć się z tobą.

Wyciągnęła obie dłonie i Jon uściskał je ponad stołem. Starał się coś powiedzieć, jednakże cała jego uwaga wysilała się na to, by nie sprawić bólu jej rękoma. Jej ręce były tak miękkie i delikatne, jego zaś (czuł to) tak były twarde! Ona ozwała się prawie z wahaniem:

— Ta stara historia... byłaby tak okropna?

— Tak.

W jego głosie również brzmiała nuta wahania.

Fleur cofnęła ręce z jego uścisku.

— Nie myślałam, żeby w dzisiejszych czasach chłopcy byli tak przywiązani do mamusinego fartuszka.

Jon podniósł głowę do góry, jakgdyby poniósł cios.

— Och! Ja nie chciałam, Jonie. Jakąż straszną rzecz powiedziałam! — i szybkim ruchem podeszła tuż ku niemu. — Jonie, mój drogi, ja nie chciałam...

— No, no, nic się nie stało.

Złożyła obie ręce na jego ramieniu i przycisnęła do nich swe czoło. Rondo jej kapelusza dotknęło jego

szy i Jon czuł, iż drżało — jednakże, jakby rażony paralizem, nie dawał żadnej odpowiedzi. Ona puściła jego ramię i odsunęła się.

— Dobrze, pójdę sobie, skoro mnie nie chcesz. Jednakże nigdy nie myślałam, że się mnie wyrzekniesz.

— Nie wyrzekłem się — zawołał Jon, nagle, jakby przychodząc do życia. — Nie mogę! Spróbuję jeszcze raz!

Oczy jej błyszczały. Przysunęła się ku niemu.

— Jon... ja ciebie kocham! Nie zrzekaj się mnie! Jeżeli się mnie wyrzekniesz... to sama nie wiem... tak czuję się zrozpaczona! I cóż znaczy... ta cała przeszłość... w porównaniu z *tem*?...

Przycisnęła się dość silnie. Zaczął całować jej oczy, jej policzki, jej wargi. Całując ją, widział atoli jednocześnie arkusiki owego listu, spadające na podłogę jego sypialni... bladą, martwą twarz ojca... matkę klęczącą przed zwłokami. Szept Fleur:

— Nakłoń ją!... Obiecuj!... Ach, Jonie, spróbuj! — wydawał mu się dziecinnym. Czuł się dziwnie jakos starym.

— Obiecuję! — mruknął. — Ale... ale ty nie rozumiesz.

— Ona chce zniszczyć nasze życie, tylko dla...

— Dla... czego?

Znów to wyzwanie w jego głosie. Nie odpowiedziała, tylko zaplotła ramiona dokoła niego. Odwzajemniał się jej pocałunkami za pocałunki — lecz gdy już się poddawał, zaczynała działać w nim trucizna — trucizna ojcowskiego listu. Fleur nie wiedziała o niczem, nie rozumiała — źle osądzała jego matkę... przyszła z obozu nieprzyjacielskiego! Tak była miła — i on ją tak kochał — jednakże nawet teraz, w jej uścisku, nie mógł w sobie zagłuszyć słów Holly:

— Myślę, że ona ma naturę żądną posiadania... —  
oraz słów matki:

— Mój kochany chłopcze, nie myśl o mnie... myśl o sobie samym!

Gdy odeszła, niby jakiś sen oszalamiający, pozostawiając swój wizerunek na jego żrenicach, pocałunki na jego wargach, a taki ból w jego sercu, Jon oparł się o framugę okna, przysłuchując się turkotowi unoszącego ją samochodu. Jeszcze trwał ów zapach, jakoby przejrzałych poziomek, jeszcze pobrzmiwały drobne szmery lata, które miały się złożyć na jego pieśń, jeszcze snuła się cała ona zapowiedź młodości i szczęścia w trzepotliwej, rozkołysanej i dyszącej porze lipcowej — a serce jego oto było rozdarte, tęsknota wzmagająca się w swej mocy, a nadzieja, choć wzniesiona wzwyż, jednakże opuściła oczy, jakgdyby w zawstydzeniu. Okropne czekało go zadanie! Jeżeli Fleur była zrozpaczona, to i on był w rozpacz — patrząc na kołyszące się wierzchoły topól, na przesuwające się białe obłoki, na blask słoneczny, kładący się na trawie.

Czekał tak do wieczora — do kolacji, która przeszła niemal w milczeniu — do chwili, gdy matka grać mu zaczęła... czekał i czekał, czując, iż ona wie, czego on oczekuje. Pocałowała go i poszła na górę, a on wciąż jeszcze czekał, przyglądając się światłości księżycowej, latającym ómom oraz całej tej niejawie kolorów, która wkrada się w mrok nocy i usiewa go plamami! Ileżby dał za to, by cofnąć się w przeszłość — o jakie trzy miesiące wstecz — albo też posunąć się naprzód, o całe lata w przyszłość. Teraźniejszość, z tą nieubłaganą, okrutną koniecznością decyzji — w jedną lub drugą stronę — wydawała mu się czemś wprost nie do zniesienia. Teraz o wiele wyraźniej, niż przedtem, uświadamiał sobie, co musiała odczuwać jego matka... jakgdyby cała opowieść zawarta w owym liście była ja-

kimś jadowitym zarodkiem, przynoszącym niejako gorączkę partyzantki, tak, iż wprost wyczuwał, że oto stały przeciwko sobie dwa obozy — matki i jego z jednej strony, z drugiej zaś Fleur i jej ojca. Być może, iż ta stara tragedia posiadania i nieprzyjaźni była już rzeczą martwą, jednakże rzeczy martwe bywają zaraźliwe i trujące, póki czas nie wygładzi ich doszczętnie. Czuł, iż nawet miłość jego osłabła, pozbyła się iluzyj a nabrała więcej cech ziemskich — wkradła się w nią zdradziecka, przyczajona wątpliwość, czy aby Fleur, za wzorem swego ojca, nie pragnie być właścicielką. Wątpliwość ta, nieobleczona w kształty wyraziste, niby jakieś skradające się widmo, potwornie niegodziwa, czołgała się w żarze jego wspomnień, tchem zabójczym kaziła żywość i wdzięk owej uroczej twarzy i postaci, nie mając na tyle realnego bytu, by przekonać go w swej obecności, jednakże dostatecznie realna, by wydrzeć mu wiarę pozbawioną wszelkich zastrzeżeń. A właśnie wiara bez zastrzeżeń była dla Jona, nie mającego jeszcze lat dwudziestu, sprawą zasadniczą. Miał w sobie jeszcze młodzieńczą żądzę, by dawać wszystko oburącz, a nie brać wzamian niczego — dawać chętnie komuś, kto w sobie miał taką jak on impulsywną wspaniałomyślność. Ona miała ją z pewnością!... Wstał z krzesła pod oknem i powlókł się do wielkiego, upiornie szarego pokoju, którego ściany były obwieszane wysrebrzonymi płótnami. Ten dom — jak mówił ojciec w przedśmiertnym liście — zbudowany był na to, by jego matka mieszkała tu... z ojcem Fleur! Wyciągnął rękę w półmroku, jakgdyby chciał pochwycić majaczącą przed nim rękę zmarłego. Zaciśnął silnie dłoń, starając się wyczuć chude, zanikłe kędyś palce ojca, uściskując je mocno i upewnić się, że... że jest przy boku ojca. Łzy uwiecznione pod powiekami, wywoływały w nim wrażenie, że ma oczy oschłe i spieczzone gorączką. Podszedł zpowrotem w stronę okna.

Jakoś ciepłej, spokojniej, nie tak niesamowicie było tam na dworze, gdzie wisiał w niebie złoty księżyc, niedawno po pełni. Swoboda nocy miała w sobie jakieś ukojenie. O, gdybyż on i Fleur spotkali się byli na jakiejś odludnej wyspie — bez przeszłości — za mieszkanie mając przyrodę! Jon miał wciąż wielkie wyobrażenie o bezludnych wyspach, gdzie rosną drzewa chlebowe, a błękit wód rozlewa się ponad ławą koralu. Noc była pełna głębi, pełna swobody — był w niej jakiś powab, jakaś ponęta, jakaś obietnica — jakaś ucieczka przed siłami zdradzieckimi, przed miłością! Osesek, przywiązany do mamusinego fartuszka!... Policzki zapalały mu rumieńcem. Zamknął okno, ściągnął story, zgasił światło i wyszedł na górę.

Drzwi jego pokoju były otwarte, paliło się światło. Matka, jeszcze w sukni wieczorowej, stała koło okna. Gdy Jon wszedł, odwróciła się i rzekła:

— Usiądź, Jonie, to pomówimy z sobą.

Usiadła na krześle pod oknem, a Jon na swoim łóżku. Obrócona była do niego profilem; piękno i wdzięk jej figury, delikatność linii brwi, nosa i szyi, jej osobliwa i jakby odległa subtelność, wzruszyły Jona niezmiernie. Jego matka nigdy nie należała do swego otoczenia — weszła w nie niejako skądś zdaleka! I cóż zamierzała mu powiedzieć — jemu, który chciał jej się zwierzyć z tylu rzeczy, kryjących się na dnie jego serca?

— Wiem, że dziś była tu Fleur. Nie jestem wcale zdziwiona.

A zdawało się, jakoby jeszcze dopowiedziała:

— Ona jest córką swego ojca!

W Jonie zdrętwiało serce. A ona spokojnie mówiła dalej:

— Mam list ojca. Podniosłam go owego wieczora

i zatrzymałam przy sobie. Czy chciałbyś dostać go zpowrotem, mój drogi?

Jon potrząsnął głową.

— Ja przeczytałam ten list jeszcze, zanim ojciec ci go wręczył. Wcale to nie usprawiedliwia mojej winy.

— Mamo! — wyrwało się z ust Jona.

— Ojciec to wszystko wyraził bardzo oględnie, jednakże ja wiem, że wychodząc za ojca Fleur, a nie kochając go, uczyniłam rzecz straszną. Nieszczęśliwe małżeństwo, mój Jonie, pociąga za sobą straszne spustoszenie, nie tylko w życiu bezpośrednio zainteresowanej osoby, ale także i osób innych. Jesteś jeszcze bardzo młody, mój drogi, i ogromnie zakochany. Czy sądzisz, że z tą dziewczyną możesz być naprawdę szczęśliwy?

Wpatrzywszy się w jej ciemne oczy, obecnie zciemniałe jeszcze bardziej wskutek bólu, Jon odpowiedział:

— Tak... ach, tak...! o ile ty możesz być szczęśliwą.

Irena uśmiechnęła się:

— Podziw dla piękności i żądza posiadania nie są jeszcze miłością. Oby twój los, Jonie, różny był od mojego... w którym stłumione zostało to co najgłębsze... ciało złączone, a dusza w wojnie!

— Czemużby tak być miało, mamó? Ty myślisz, że ona musi być podobną do swego ojca... tymczasem rzecz ma się całkiem inaczej. Ja przecież go widziałem.

Na wargach Ireny znowu pojawił się uśmiech. W Jonie zakotłowało się — tyle ironji i przeżycia było w tym uśmiechu.

— Ty jesteś stroną dającą, Jonie... a ona biorącą.

Znów ta niegodziwa wątpliwość, ta upiorna niepewność.

— Ona nie jest taka... ona nie jest taka! — powtórzył z mocą. — Tylko, że ja nie potrafiłbym uczynić cię nieszczęśliwą, mamó, teraz... kiedy ojciec...



I przycisnął do czoła obie pięści. Irena wstała.

— Powiedziałaś ci w ów wieczór, żebyś mną się nie krepował. Tak też myślałam naprawdę. Myśl o sobie samym i o swoim szczęściu! Ja potrafię znieść to, co mi pozostało... co sama ściągnęłam na siebie.

Znów okrzyk: „Matko!“ — wydarł się z ust Jona.

Podeszła ku niemu i złożyła dłonie na jego rękach.

— Czy cię boli głowa, kochanie?

Jon potrząsnął głową. Bolało go nie w głowie, lecz w piersi, jakgdyby pękały jej wewnętrzne tkanki, rozdzierane przez dwie miłości.

— Ja zawsze tak samo będę cię kochała, cokolwiekbyś zrobił. Nie stracisz nic...

Pogłaskała go zlekka po włosach i odeszła.

Posłyszał jak zamykała drzwi. Długo leżał, przewracając się na łóżku i tłumiąc oddech; okropne napięcie uczuć zajęło całą głąb jego istoty.

## ROZDZIAŁ VII

### POSELSTWO

Dopytując się o córkę podczas podwieczorku, Soames dowiedział się, że około drugiej wyjechała samochodem. Trzy godziny! Dokądże to wyjechała? Czy do Londynu, nie mówiąc mu ani słowa? Nigdy nie mógł całkowicie przekonać się do samochodów. W zasadzie je uznawał — jako urodzony empirysta i nieodrodny Forsyte — witając każdy nowy objaw postępu słowami:

— No, teraz nie możemy bez nich się obejść.

Jednakże w rzeczy samej uważał je za przedmioty hałaśliwe, wielkie a smrodliwe. Zmuszony naleganiami Anetki nabył wprawdzie samochód — Rollhard o perłowo-szarych poduszkach, z elektrycznym oświetleniem, małemi lustrami, cygarniczkami, wazonami kwietnemi,

cały woniejący benzyną i kwieciem — jednakże tyle nań zważał, co wpierv na swego szwagra, Montague'a Dartie. Maszyna ta niejako stanowiła wcielenie wszelkiego pośpiechu, niepewności i podskórnej kleistości nowoczesnego życia. W miarę jak nowoczesne życie stawało się prędsze, swobodniejsze i młodsze, Soames stawał się coraz starszy, powolniejszy, skrupulatniejszy w myślach i słowach, zupełnie jak niegdyś jego ojciec, Jakób Forsyte. Spostrzegał to niemal sam. Pośpiech i postępek coraz mniej mu się podobały...

Z czterech godzin wkrótce zrobiło się pięć, a Fleur jeszcze nie było. Wszystkie, wiążące się z samochodami, wrażenia jakich Soames doznał bądź osobiście, bądź pośrednio, zakotłowały się w nim teraz i poruszyły wszystkie jego wnętrzości. O siódmej międzymiastowym telefonem połączył się z Winifredą. Okazało się, że na Green Street nie było Fleur. Gdzież więc była? Zaczęły go prześladować wizje córki okutanej w piękną suknię, a zbryzganej krwią i zwałanej kurzem w jakiejś okropnej katastrofie. Poszedł do jej pokoju i zaczął przetrząsać jej rzeczy. Nie wzięła z sobą niczego — ani neseseru, ani klejnotów. To w pewnej mierze przyniosło mu ulgę, jednakże zwiększyło obawę, iż stał się jakiś wypadek. Straszna to rzecz czuć się bezradnym, gdy brak osoby kochanej... Zwłaszcza, że tak niecierpiał wszelkiego rozgłosu i plotek! A cóż pocznie, gdyby nie wróciła o zmierzchu?

O kwadrans na ósmą posłyszał warczenie samochodu. Czując, że wielki ciężar spada mu z serca, Soames zbiegł czempredzej nadół. Fleur wysiadła z samochodu — była blada i wyglądała na znużoną, ale nie stało się jej nic złego.

— Wystraszyłaś mnie. Gdzieżeś była?

— W Robin Hill. Przepraszam cię, tatusiu. Musiałam pojechać. Opowiem ci później.

I pocałowawszy go w przelocie, wybiegła na górę. Soames został w salonie. W Robin Hill? I cóż to mogło wróżyć?

Tematu tego, ze względu na domyślność fagasa, nie mogli roztrząsać przy kolacji. Zdenerwowanie jakie przeszedł Soames, i uspokojenie jakiego doznał, widząc ją całą i zdrową, osłabiły w nim zdolność potępiania jej postępków lub sprzeciwiania się temu, co zamierzała uczynić; przeto w bezwładnym odrętwieniu czekał jej wyjaśnień. Dziwnym trybem chadzało życie. Oto on liczył sobie lat sześćdziesiąt pięć i nie miał już decydującego wpływu na bieg rzeczy, jakgdyby nie stracił czterdziestu lat na utrwalaniu fundamentów bezpieczeństwa i beztroskliwości — zawsze coś weszło mu w paradę!... W kieszeni marynarki był list od Anetki. Miała wrócić za dwa tygodnie. Nie wiedział zgoła co porabiała zagranicą... i nawet cieszył się, że nie wiedział. Jej nieobecność była mu pewną ulgą. Nie mając jej przed oczyma, mógł o niej zapomnieć!... a oto teraz powracała! Nowe zmartwienie! Bolderby Old Crome też przepadło (nabył je Dumetrius), ponieważ ów list anonimowy zakłócił Soamesowi wszystkie myśli. Ukradkiem spoglądając na twarz córki, dostrzegł w niej wyraz jakiegoś napięcia, jakgdyby i ona przyglądała się jakiemuś obrazowi, którego nie mogła kupić. Zaczął niemal tęsknić do tego, by powróciły czasy wojenne. Zmartwienia wówczas nie wydawały się czemś tak dolegliwym.

Z pieśczołliwości głosu Fleur, z wyrazu jej twarzy wywnioskował, że ona chciała czegoś od niego, ale nie była pewną, czy jemu wypadałoby spełnić jej prośbę. Odsunął od siebie niedojedzoną przekąskę i za przykładem córki zapalił papierosa.

Po kolacji Fleur puściła w ruch pianolę. Soamesowi przyszły do głowy najgorsze domysły, gdy zobaczył, że córka usiadła na podnóżku przy jego kolanach.

— Tatusiu, bądź dla mnie dobry — odezwała się, kładąc dłoń swoją na jego ręce. — Musiałam widzieć się z Jonem... on do mnie napisał. On stara się wedle sił przekonać jakoś swą matkę... ja jednakże już nad tem myślałam. Rzecz cała naprawdę od *ciebie* zależy, ojczulku. Gdybyś ty ją przekonał, że nie powinno się już wznawiać żadnych wspomnień przeszłości!... że ja pozostanę twoją, a Jon będzie nadal do niej należał!... że ty nigdy nie potrzebujesz widywać jego ani jej, a ona nie potrzebuje nigdy widywać ciebie ani mnie! Tylko ty możesz ją o tem przekonać, drogi tatusiu, ponieważ tylko ty możesz jej to obiecać. Nie można przecie obiecywać za drugich. Chyba nie będzie dla ciebie rzeczą zbyt krępującą widzieć się z nią akurat teraz... gdy umarł ojciec Jona?

— Zbyt krępującą? — powtórzył Soames. — Cała sprawa jest wprost absurdalna.

— Wiesz co? — rzekła Fleur, nie patrząc w górę. — Ty nawet nie potrzebujesz się z nią widzieć!

Soames milczał. Jej słowa wyraziły prawdę zbyt głęboką, by miał ją przyjąć. Palce Fleur — ciepłe, smukłe, pożądliwe — wcisnęły się między kiść jego ręki. Ta dziewczyna — jego córka — zdolna była wsrubować się nawet w murowaną ścianę!

— I cóż pocznę, gdy ty tego nie zrobisz, ojczulku? — spytała głosem pieściwym.

— Dla twego szczęścia zrobię wszystko — rzekł Soames — ale to nie prowadzi do twego szczęścia.

— Och! prowadzi! prowadzi!

— Tylko nasz spokój... — odrzekł Soames pośpiesznie.

— Już on został zakłócony. Rzecz w tem, by przywrócić dawny spokój... dać jej odczuć, że tu chodzi tylko o *nasze* życie i że nie ma to nic wspólnego z jej

zyciem lub twojem. Ty to potrafisz, ojczulku, wiem, że potrafisz.

— Wobec tego wiesz bardzo wiele — brzmiała głucha odpowiedź Soamesa.

— Jeżeli chcesz, to Jon i ja poczekamy rok cały... a choćby i dwa lata.

— Zdaje mi się — mruknął Soames — że ciebie nie obchodzi to, co *ja* czuję.

Fleur przycisnęła rękę do jego policzka.

— Owszem, obchodzi, tatusiu drogi. Ale ty nie chciałbyś zrobić mnie ogromnie nieszczęśliwą.

Och, jakże ona zrećnie kołowała, byle dopiąć swego! Starając się całą swą mocą wyrobić w sobie przekonanie, że ona dba o niego, nie mógł — nie mógł — nabrać tej pewności. Jedyłą osobą, na której jej zależało i o którą dbała, był ten chłopiec! Czemuż to on, Soames, ma pomagać jej w zdobyciu tego chłopca, który zabijał jej miłość ku rodzonemu ojcu? Czemuż, czemu miał to czynić? Według praw forsytowskich było to głupotą! Z tego niczego nie można było uzyskać... niczego! Oddać ją temu chłopcu! Puścić ją do obozu nieprzyjacielskiego, pod wpływ kobiety, która skrzywdziła go tak głęboko! Zwolna... nieuchronnie... przyjdzie mu utracić ten jedyny kwiat życia! I naraz odczuł, że ręka jego stała się wilgotną. Serce drgnęło mu boleśnie. Nie mógł znieść jej płaczu. Czemprowadził ją do drugą rękę na jej ręce — i znów spadła na nią łza. Tego już nie mógł wytrzymać!

— No, no! — odezwał się. — Pomyślę jeszcze nad tem, i zobaczę, co w mojej mocy. No, no, uspokój się!

Jeżeli to jej koniecznie potrzebne do szczęścia, tedy już niech to uzyska! Nie mógł jej odmówić swojej pomocy. I chcąc uniknąć jej podziękowań, wstał z krzesła i podszedł ku pianoli — która czyniła tyle hałasu. W chwili gdy dochodził do instrumentu, muzyka nagle

urwała się w słabiuchnym pobrzęku. Niegdyś, w latach dziecięcych, unieszczęśliwiała go skrzynka, grająca „Pogodnego kowala“, „Świetny port“, a nakręcana przez matkę w popołudniowe godziny niedzielne. I oto teraz była tu taka sama zabawka, tylko większa i kosztowniejsza, a grająca „Niedzielę policjanta“ i „Niesforne kobiety“, a on sam nie miał czarnej aksamitnej bluzeczki z błękitnym kołnierzem...

— Profond ma rację — pomyślał — nic niema osobliwego w tem wszystkim. Wszyscy posuwamy się ku grobowi!

I po tej zdumiewającej obserwacji wyszedł z pokoju.

Tego wieczoru nie widział już Fleur. Lecz nazajutrz, podczas śniadania, jej oczy śledziły go z wyrazem tak wymownym, którego nie mógł — a nawet nie próbował — uniknąć. Nie! już oto rozstrzygnął całą tę denerwującą sprawę. Pójdzie do Robin Hill — do tego domu dawnych wspomnień. Miłe wspomnienie — to ostatnie! Wspomnienie, jak udawał się tam, by pogrózką rozvodu rozłączyć Irenę i ojca tego chłopca...! Nieraz potem przychodziło Soamesowi na myśl, że ten właśnie jego postępek był spójnią ich związku... I oto teraz wypadło mu kojarzyć związek własnej córki z tym chłopcem!

— Nie wiem, za jakie grzechy zważyło się na mnie to wszystko! — myślał.

Wkrótce już jechał koleją. Dojechawszy do stacji, ruszył długą, wznoszącą się dróżką, prawie taką, jaką pamiętał z przed lat trzydziestu. Zabawne — tak blisko Londynu! Widocznie ktoś uparcie trzymał się tutejszej włości. Ta myśl przyniosła Soamesowi ulgę, gdy posuwał się zwolna wśród żywopłotów, by nie zgrzać się za bardzo, pomimo że dzień był dość chłodny. Cokolwiekby się mówiło i czyniło, posiadłość ziemska miała w sobie coś realnego... nie podlegała zmianom i ka-

prysom. Ziemia i dobre obrazy! Ceny mogły się nieco chwiać, jednakże naogół szły zawsze w górę — warte, by je mieć na stałe w tym świecie, gdzie tyle było nierealności, tanich budowli, zmieniających się mód, taki pęd do życia z dnia na dzień. Francuzi — choć o nich Soames nie miał zbyt dobrego mniemania — mieli może rację co do swej własności włościańskiej. Kawalek ziemi! Ta jej tężyzna i trwałość! Słyszał, jak nazywano właścicieli ziemskich hordą tępych głup-taków; sam młody Mont — szacunku pozbawione djable — nazywał swego ojca zakutym *Morning Post*’owiczem. O, były gorsze rzeczy niż łeb zakuty lub czytanie *Morning Postu*! Był taki Profond ze swą kliką, byli wszyscy ci Labourzyści i gadatliwi politykierzy i „niesforne, niesforne kobietki“! Cała zgraja gorszego tała-tajstwa!... I naraz Soames poczuł, że robi mu się słabo i gorąco, że dreszcz go przechodzi. To poprostu zdenerwowanie wobec czekającego go spotkania... Ciotka Julja powiedziała, że jego nerwy są „dość *sfantygowane*“. Widział już dom pomiędzy drzewami: — dom, którego budowie niegdyś się przyglądał, przeznaczając go na mieszkanie dla siebie i dla kobiety, co teraz tak dziwnym zbiegiem okoliczności mieszkała w nim ze zgoła innym człowiekiem! Począł myśleć o Dumetriusie, o pożyczkach lokalnych i innych sposobach lokaty kapitału. Nie chciał przy tak roztrzęsionych nerwach spotykać się z Ireną. On, który był dla niej na ziemi jako i na niebie przedstawicielstwem sądu ostatecznego, wcieleniem prawowitego właścicielstwa i posiadania miał spotkać się z wcieloną pięknnością, wyłamującą się z pod prawa. Jego godność wymagała, by zachował się zgoła obojętnie podczas tego poselstwa, mającego na celu skojarzenie ich potomstwa, które, gdyby ona spełniła swą małżeńską powinność, byłoby dla siebie rodzeństwem. Przeklęta śpiewka: „Niesforne, niesforne

kobietki“ wciąż kołowała mu w głowie, ale jakoś opacznie, gdyż tony nie szły w niej regularnie. Mijając topole przed domem, pomyślał sobie:

— Jakże urosły! Toż ja je sadziłem!

Na jego dzwonek wyszła służąca.

— Proszę powiedzieć... że przyszedł pan Forsyte, w szczególnie ważnej sprawie.

O ile Irena domyśli się, kto to taki, pewno nie zechce z nim się widzieć.

— U djaska! — pomyślał, drętwiąc od nagłego wstrząsu. — To ci dopiero bryndza!

Służąca powróciła.

— Czy pan nie byłby łaskaw określić bliżej tej sprawy?

— Proszę powiedzieć, że tyczy się to pana Jona — odpowiedział Soames.

I znów znalazł się sam w owym hallu z płytą szarobiałego marmuru, zbudowanym według projektu pierwszego kochanka Ireny. Jakże źle postępowała ta kobieta — kochała dwóch mężczyzn, a nie jego, jej męża! On o tem musi pamiętać, gdy stanie znów naprzeciw niej, twarzą w twarz. I naraz w szparze pomiędzy długimi i ciężkimi kotarami purpurowymi dostrzegł ją, idącą chwiejnym krokiem, jakgdyby z wahaniem. Ta sama, co niegdyś, doskonałość w jej równowadze i linji, ta sama powaga w szeroko rozwartych ciemnych oczach, ten sam głos chłodny, oporny:

— Pan będzie łaskaw wejść!

Przeszedł przez szczelinę kotary. Jak w galerji obrazów i w cukierni, tak i teraz wydała mu się Irena wciąż jeszcze piękną. I od czasu, jak ją poślubił — to jest od trzydziestu sześciu lat — pierwszy raz zdarzyło mu się przemawiać do niej bez legalnego prawa nazywania jej swoją.



Nie nosiła żaloby, co — jak domyślał się Soames — było rezultatem jednego z wielu radykalnych poglądów Jolyona.

— Przepraszam za przybycie — ozwał się Soames posepnie — jednakże sprawę tę musimy koniecznie załatwić w ten lub inny sposób.

— Czy pan nie raczy usiąść?

— Nie, dziękuję.

Gniew z powodu nieszczerzej sytuacji, oraz niecierpliwosć z powodu tych wszystkich ceremonij pomiędzy nimi owładnęły nim niepodzielnie, więc słowa zaczęły sypać się gradem:

— To doprawdy piekielne nieporozumienie. Uczyniłem co w mej mocy, by temu zapobiec. Zdaje mi się, że córka moja jest narwana trochę, ja jednakże przywykłem jej pobłażać... i dlatego tu przyszedłem. Przypuszczam, że pani kocha swego syna.

— Ogromnie!

— A zatem?

— Uzależniam to od jego woli.

Soames widział, że wystrychnęła go na dudka. Zawsze — zawsze — umiała wystrychnąć go na dudka, nawet w owych pierwszych dniach małżeństwa...

— To metoda zgoła niewłaściwa.

— A jednak tak jest.

— Gdyby pani tylko...! Ależ... oni mogliby być...

Soames nie dokończył zdania „bratem i siostrą i nie byłoby tego całego kłopotu“ — jednakże dostrzegł iż wzdrygnęła się, jakby już posłyszała te słowa, więc urwał i podszedł do okna, uderzony nagłym widokiem. Tam na zewnątrz, na dworze, drzewa nie urosły — nie mogły urósć, bo były już stare!

— O ile chodzi o mnie — podjął po chwili — pani może być zupełnie spokojna. Nie pragnę widywać ani pani, ani jej syna, o ile małżeństwo owo dojdzie do

skutku. Młodzi ludzie w dzisiejszych czasach są... są nieobliczalni... jednakże nie ścierpiałbym tego, bym miał córkę widzieć nieszczęśliwą. I cóż mam powiedzieć jej, gdy powrócę do siebie?

— Proszę powiedzieć jej to, co już panu mówiłam, że zależy to od woli Jona.

— Pani się nie sprzeciwia?

— Całem sercem... ale nie ustami.

Soames stanął, gryząc palec.

— Pamiętam pewien wieczór — ozwał się nagle i umilkł po chwili. Co było... co było w tej kobiecie takiego, co nie przystawało do czterech ścian jego nienawiści lub potępienia?

— Gdzie jest on... syn pani?

— Zdaje mi się, że na górze, w pracowni ojca.

— Może pani będzie łaskawa poprosić go nadół.

Widział, jak zadzwoniła. Za chwilę weszła służąca.

— Proszę powiedzieć panu Jonowi, że chcę się z nim widzieć.

— Jeżeli to zależy od niego — odezwał się Soames pośpiesznie, ledwo wyszła służąca — tedy, jak przypuszczam, można to uważać za rzecz pewną, że to nie-naturalne małżeństwo dojdzie do skutku... w tym wypadku będą tu pewne formalności. Z kim mam je załatwić... czy z Herringiem?

Irena skinęła głową.

— Pani nie zamierza mieszkać z nimi?

Irena potrząsnęła głową.

— A co się stanie z tym domem?

— Będzie tak, jak postanowi Jon.

— Ten dom... — rzekł nagle Soames — miałem co do niego nadzieje, gdy rozpoczął jego budowę. Gdyby zamieszkali w nim *oni*... ich dzieci!... Powiadają, że jest w świecie coś, co się zowie Nemesis. Czy pani w to wierzy?

— Tak.

— O! Pani wierzy!

Odszedł od okna i stał tuż koło niej, tak iż była niejako uwięziona wygięciem swego wielkiego fortepianu.

— Zdaje się, że już się z panią nie zobaczę — rzekł zwolna. — Czy pani zgodzi się, byśmy uściśnieli sobie ręce — usta mu drżały i słowa wychodziły z nich spazmatycznie — i zapomnieli o przeszłości?

Wyciągnął dłoń przed siebie. Twarz Ireny przybladła, jej oczy (tak ciemne!) mierzyły się nieruchomo z jego oczyma, ale ręce jej pozostały zaciśnięte.

Soames posłyszał nagły szelest i odwrócił się. Wśród rozchylonej kotary stał Jon. Wyglądał bardzo dziwnie, tak iż z trudnością można było w nim rozpoznać owego młodzika, którego Soames widział kiedyś w galerji obrazów na Cork Street. Był o wiele starszy — w twarzy nie miał wogóle młodzieńczego wyrazu — miał rysy twarde, śmiałe, włosy zwichrzone, oczy głęboko osadzone. Soames zdobył się na wysiłek i odezwał się, podnosząc wargę ni to do śmiechu ni to do drwinki:

— No, kawalerze! Jestem tu w imieniu mej córki. Cała ta sprawa, zdaje się, od twej zależy decyzji. Matka oddała wszystko w twe ręce.

Chłopak wpatrywał się w twarz matki i nic nie odpowiadał.

— Przyszedłem tu jedynie na usilne nalegania mej córki — powtórzył Soames. — Jakąż odpowiedź mam przynieść jej zpowrotem?

Wciąż patrząc w twarz matki, chłopak odrzekł spokojnie:

— Proszę powiedzieć Fleur, że nic z tego nie będzie. Muszę spełnić przedśmiertne życzenie mego ojca.

— Jonie!

— Tak jest, mamó!

Soames, jakby osłupiał, patrzył to na matkę, to na syna, poczem wzięwszy kapelusz i parasol, które złożył był na krześle, ruszył w stronę kotary. Chłopak stanął przy nim, aby go odprowadzić, jednakże Soames już przeszedł poza kotarę. Chrząst pierścieni zasuwejacej się zasłony był dla niego dźwiękiem, uwalniającym go od jakiegoś ciężaru, leżącego mu na piersi.

— A więc tak się sprawa przedstawia! — myślał, wychodząc przez drzwi frontowe.

## ROZDZIAŁ VIII

### POSEPNANAUTA

Gdy Soames oddalał się od domu w Robin Hill, słońce przyćmioną poświatą przedarło się przez szarzyzną chłodnego popołudnia. Do tego stopnia absorbowały go zawsze pejzaże malowane, iż rzadko wyglądał na dwór w tym celu, by szukać na serjo efektów w samej przyrodzie — teraz jednak uderzyła go i zastanowiła ta dziwna, nagle rozbłyśnięta jasność, która przy całej swej posepności wieściła triumf. Było to zgodne ze stanem jego własnych uczuć. Zwycięstwo w kapitulacji! Poselstwo jego spełzło na niczem — jednakże oto oderwał się od owych dwojga ludzi, odzyskał córkę... kosztem jej szczęścia. I cóż na to powie Fleur? Czy uwierzy, że uczynił wszystko, co było w jego mocy? I w tym rozbłysku słonecznym, pałającym na wiązach, leszczynach, berberysach rosnących na łące i wśród tych nieprzejrzaných pól, Soames poczuł trwogę. Ona będzie ogromnie wzburzona! Będzie musiał apelować do jej dumy. Ten chłopak wyrzekł się jej, a oświadczył się po stronie kobiety, która niegdyś wyrzekła się jej ojca! Soames zacisnął pięści. Wyrzekła się... i czemu? Co on jej wyrządził złego? I znów od czuł *malaise* człowieka, który wyobraża sobie samego

siebie w oświetleniu osób drugich — niby pies, co zetknął się ze swoim odbiciem w zwierciadle i jest jednocześnie zaintrygowany i zaniepokojony tą niedosiężną zjawą.

Nie kwapiąc się do domu, zjadł obiad w mieście, u „Conoisseurs“. Gdy zjadał gruszkę, nagle przyszło mu do głowy, że, gdyby nie był pojechał do Robin Hill, chłopak powziąłby może inną decyzję. Pamiętał wyraz jego twarzy, gdy Irena jemu, Soamesowi, wzbraniała się podać rękę. Czyż Fleur dobry zysk wyciągnęła dla siebie, starając się zanadto upewnić swą pozycję?

Do domu przyjechał o wpół do dziewiątej. Gdy samochód wjeżdżał w jedną z bram przejazdowych, rozległ się chrzęstliwy łomot motocykla, przejeżdżającego przez drugą bramę. Był to niewątpliwie młody Mont, zatem Fleur nie była osamotniona. W każdym razie Soames, wchodząc do domu, czuł się nieswojo. W saloniku o kremowych boazerjach siedziała Fleur, wsparłszy łokcie na kolanach a podbródek na splecionych z sobą dłoniach, i wpatrywała się w białą kamelję, zasłaniającą kominek. Soames, rzuciwszy na nią okiem, zanim go dostrzegła, poczuł nowy strach. Cóż ona tam widzi wśród tych białych kamelij?

— Aha, tato!

Soames potrząsnął głową. Język odmówił mu posłuszeństwa. Ależ to mordęga! Ujrzał, że oczy jej się rozszerzyły, a usta drżały.

— I co? co? Prędko, tатku!

— Moja droga — zaczął Soames. — Uczy... uczyniłem, co było w mej mocy, ale...

I znów potrząsnął głową.

Fleur podbiegła ku niemu i ręce złożyła na jego barkach.

— Ona?

— Nie — mruknął Soames; — nie ona, lecz on. Ka-

ziano mi powiedzieć, że to do niczego nie prowadzi... bo on musi spełnić przedśmiertne życzenie ojca.

Objął ją w pól.

— Cicho, cicho, dziecino, nie przejmuj się tą znie wagą z ich strony. Oni są niewarci twego małego pa-luszka.

Fleur wyrwała się z jego uścisku.

— Ty nie... ty nie próbowałeś niczego. Ty... ty zdradziłeś mnie, tatku!

Soames, boleśnie dotknięty, wpatrywał się w jej po-stać, wijącą się przed nim w namiętnym bólu.

— Tyś nie próbował... nie próbowałeś... byłam tak głupia... Nie uwierzę, by on mógł... by mógł!... Dopiero wczoraj!... Ach, czemuż ja ciebie prosiłam!

— Tak — rzekł spokojnie Soames — czemu mnie prosiłaś? Ja tłumilem w sobie uczucia, jakie mną owładły... wbrew własnemu sądowi czynilem co tylko było w mej mocy, by ci dogodzić... i oto jaka spotyka mnie odplata. Dobranoc!

Skierował się ku drzwiom, a drgały w nim wszystkie nerwy.

Fleur skoczyła za nim.

— On mnie się wyrzeka? To chciałeś powiedzieć, oj-czulku?

Soames odwrócił się i zmusił się do odpowiedzi:

— Tak jest.

— Och! — krzyknęła Fleur. — Coś ty zrobił... coś ty mógł takiego zrobić wówczas... przed laty?

Poczucie potwornej naprawdę krzywdy i niesprawie-dliwości zaparło dech Soamesowi, nie pozwalając mu wykrztusić ani jednego słowa. Co *on* zrobił? A co oni jemu zrobili? Z godnością, nie poczuwającą się do żadnej winy, złożył rękę na piersiach i patrzył na córkę.

— Wstyd! — krzyknęła Fleur w roznamiętnieniu.

Soames wyszedł z pokoju. Wolno, z lodowatym spo-

kojem, przeszedł do swej galerji obrazów i jął przechadzać się wśród swych skarbów. Okropność, ach, okropność! Ona została okradziona! I któż to ją okradł?

Stanął spokojnie przed kopją Goyi... Fleur, kwiat jego życia!... przyzwyczajona we wszystkim do samowoli... a teraz nie może osiągnąć swych celów! Odwrócił się ku oknu, by zaczerpnąć powietrza. Światło dnia konało, wschodził księżyc, złote tło było za sylwetami topól... Jakież to dźwięk się odezwał?... To ta maszyna grająca! Posępna nuta, dudnienia i drgawek pełna!... Fleur nakręciła ten instrument... ale w jakim celu? mógł mieć z niego jakąś pociechę?

Dostrzegł jakąś postać, poruszającą się poza łąką, wśród promieni księżycowych, przesianych przez listowie pnących róż i młodych drzew akacjowych. Tak, to chodziła Fleur, snując się tam i zpowrotem. Serce Soamesa drgnęło nagle i jakby omdlało. Cóż ona uczyni wobec tego ciosu? Skądże mu o tem wiedzieć? Byłóż mu cokolwiek wiadomo o niej?... On tylko ją kochał przez całe życie... strzegł jej jak oka w głowie! Poza tem nie wiedział nic... nie miał pojęcia o niczem. Ona tam była... ta nuta posępna wciąż brzmiała... a rzeka błyszczała w miesięcznej poświacie!

— Muszę wyjść — pomyślał.

Zbiegł do salonu, oświetlonego tak, jak go był zostawił, w którym pianola bębniła jakiś walc czy foxtrot czy jak to się podówczas nazywało, i wszedł na werandę.

Gdzie mógłby tu obserwować ją, sam nie będąc przez nią widzianym? Przekradł się przez sad, dążąc do domku przewoźnika. Tak, znalazł się pomiędzy nią a rzeką — i to go nieco uspokoiło. Ona była córką jego i Anetki — chyba więc nie uczyniłaby jakiegoś niemądrego kroku — ale oto było coś... sam nie wiedział, co! Z okna domku przewoźnika widział ostatnią akację oraz trzepo-

tanie sukni Fleur z każdym nawrotem jej nieprzerwanego pochodu. Pianola nareszcie ucichła — dzięki Bogu! Soames przeszedł w stronę przeciwległego okna i jął przyglądać się wodzie, płynącej zwolna poza kępami lilij. Prąd, ocierając się o nie, bulgotał zcicha, srebrząc się w poświacie księżycowej. Nagle Soamesowi przypomniał się ów wczesny poranek, w którym spał na łodzi... wnet po śmierci ojca i po urodzeniu Fleur... prawie, że dziewiętnaście lat temu... Nawet teraz odżywała w nim pamięć tego niezwykłego dlań świata, jaki ujrzał po obudzeniu, oraz dziwnego uczucia, jakiego na widok ten doznał. W owym to dniu wzięła początek druga namiętna jego miłość — ku tej jego dziewczynie, błędzącej teraz pośród akacyj. Jakąż mu ona była pociechą! Na myśl o tem opuściła go wszelka dolegliwość i poczucie urazy. Gdyby zdołał uczynić ją szczęśliwą, nie byłby zważał na nic!... Przeleciała sowa, raz po raz piszcząc głośno; nietoperz przeleciał w pobliżu; światło rozjarzało się i rozprzestrzeniało na wodzie. Jakże długo uwzięła się Fleur spacerować! Podszedł znów do okna i naraz zobaczył ją schodzącą ku brzegowi. Stała bliźutko, na pomoście przystani. Soames przyglądał się jej, splótłszy z sobą ręce. Miałże do niej przemówić? Podniecenie doszło w nim do wielkiego napięcia. Ta cichość jej postaci, jej młodzieńczość, pochłaniająca ją rozpacz i tęknota, to pogrążenie jej — w samej sobie... Będzie ją zawsze pamiętał taką, oblaną księżycem... i ten cichy, słodki popłusk wody i to drzenie liści wierzbowych... Ona wszak miała w świecie wszystko, co tylko mógł on jej dać, z wyjątkiem jednej rzeczy, której nie mogła mieć — przez niego! Opaczność spraw tych kłuła Soamesa boleśnie, jakgdyby ość, uwięzła w gardle.

Z niewymowną ulgą spostrzegł, że Fleur zawracała do domu. Cóżby dał za to, by wynagrodzić jej tę przykrość!



Perły, podróże, konie, innych mężczyzn, wszystko czego by tylko zażądała, oddałby jej za to, byle zatrzeć wspomnienie jej młodej postaci, stojącej samotnie nad wodą! Masz ci! Ona znów nastawiła tę samą melodję! Ależ to istna manja! Pośepna, bębniąca, przytłumiona melodja nadpływała od strony domu. Soames rozumiał niewyraźnie, o co chodzi; zdało mu się, jakby córka mówiła do niego:

— Skonam, jeżeli nie będę miała czegoś, coby pomagało mi tak się przechadzać!

No, jeżeli jej to miało pomagać, to niechże sobie brząka przez całą noc! I znów myszkując nieobaczkiem przez sad owocowy, dostał się zpowrotem na werandę. Zamierzał wejść i pomówić z nią teraz, jednakże wahał się, nie wiedząc, co powiedzieć, i z trudnością starając sobie w pamięci odświeżyć wrażenie, wywołane zawodem w miłości. Powinien był wiedzieć, powinien był przypomnieć sobie — i nie mógł! Wszelkie realne odczucia rozwiały się i znikły — została jedynie pamięć, iż bolało okropnie. Stał tak, stępiąły, wodząc chusteczką po rękach i wargach, które były suche zupełnie. Wyciągając szyję, dostrzegł Fleur; stała tyłem do pianoli, wciąż wydrzeźniającej mu się swą muzyką, skrzyżowała ręce na piersiach a w ustach trzymała zapalony papieros, którego dym na pół zasłonił jej twarz. Wyraz tej twarzy dziwny był dla Soamesa; oczy jej błyszczały i patrzyły błędnie przed siebie, a każdy jej rys był ożywiony jakimś złowieszczym gniewem i szyderstwem. Raz czy dwa razy zdarzyło się Soamesowi widzieć podobny wyraz u Anetki... twarz ta, nazbyt żywa, nazbyt bezpośrednia, nie była w tej chwili twarzą *jego* córki. I Soames nie odważał się wejść, czując, jak daremną byłaby wszelka próba pociechy. Usiadł przeto w cieniu kąta za kominem.

Dziwne figle platał mu los! Nemesis! To dawne, nie-

szczęśliwe małżeństwo! I czemuż to — na miłość Boską? Gdy tak namiętnie pragnął Ireny, a ona zgodziła się... być jego... skądże mógł wiedzieć, że nie będzie go kochała?... Melodja skończyła się i rozpoczęła się na nowo, i znów się skończyła, a Soames wciąż siedział w cieniu, czekając — sam nie wiedział, czego.

Niedopałek papierosa, wyrzucony za okno przez Fleur, spadł na murawę. Soames przyglądał mu się, jak się żarzył i spalał. Księżyc wzniosł się ponad wieżbę topól i wylewał na ogród swą jawę — niejawę. Światło jego nieukojne, tajemnicze, odległe — co Soamesowi zdało się, jak piękność kobiety, która nigdy go nie kochała — usiało nieziemską powłoką kwiaty ogrodowe. Kwiaty! A jego kwiat tak nieszczęśliwy! Ach! Czemuż szczęścia nie można ulokować w pożyczkach lokalnych, wyzłocić mu brzegów, zabezpieczyć go przed zniżką kursu?

Z okna salonu przestało już wylewać się światło. Panowała tam cisza i ciemność. Czy Fleur poszła już na górę? Powstał i skradając się na palcach, zajrzał do środka. Wydawało się, jakoby wyszła istotnie. Wszedł przeto do pokoju. Weranda nie dopuszczała tu księżycowego światła, przeto zrazu nie mógł dostrzec niczego, jak tylko zarysy sprzętów, ciemniejsze od samego mroku. Powlókł się ku oknu, ażeby je zamknąć. Zawadził nogą o fotel i posłyszał westchnienie. A więc ona tu siedziała, skulona i wciśnięta w róg sofy! Ręka mu zawisła w powietrzu. Czy córce potrzeba było jego pociechy? Stał, patrząc w ten kłębek zmiętych sukni, włosów i uroczej młodości, usiłujący po swojemu wygrzebać się ze smutku. Jakże zostawić ją tutaj? Nakoniec dotknął jej włosów i odezwał się:

— Kochanie, idź lepiej spać. Ja o tem jakos pomyślę!

Było to ni w pięć, ni w dziewięć. Ale cóż mógł powiedzieć innego?

## ROZDZIAŁ IX

### POD DĘBEM

Przez chwilę po odejściu gościa, Jon i matka stali nie mówiąc ani słowa, aż raptem Jon przemówił:

— Powinienem był go odprowadzić.

Ale Soames oddalał się już drogą, więc Jon udał się na górę, do pracowni ojca, nie ośmielając się wracać do matki.

Wyraz, jaki pojawił się na jej twarzy w chwili spotkania się z człowiekiem, którego żoną była niegdyś, ostatecznie przypieczętował decyzję, dojrzewającą w duszy chłopca od poprzedniego wieczoru, gdy rozstał się z matką. Był to niejako sztych ostateczny, nadający powziętej idei zupełną realność. Poślubienie Fleur byłoby dla jego matki policzkiem i zdradą wobec zmarłego ojca... nie prowadziło do niczego dobrego! Jon nie miał w naturze najmniejszej nawet obraźliwości; w tej godzinie swej rozterki nie pozwolił sobie na żadne wyrzuty przeciwko rodzicom. Jak na człowieka tak młodego, miał w sobie nieco dziwną zdolność widzenia wszystkiego w pewnej jakby proporcji. Rzecz cała gorzej odbiła się na Fleur, gorzej nawet na matce, niż na nim samym. Cięższą rzeczą, niż porzucić kogoś, było być samemu porzuconym albo też przyczynić się do porzucenia ukochanej przez kogoś osoby. Niewolno mu było utyskiwać, nie chciał też czynić tego! Gdy stał, przyglądając się ociążalym blaskom słońca, miał znowu ową nagłą wizję świata, jaka nawiedziła go w noc poprzednią. Morze za morzem, kraj za krajem, miliony za milionami ludzi — wszystko to pełne własnego życia, energii, radości, smutków i cierpień — wyrzeczeń i rezygnacyj i bojów o byt. Nawet gdyby chciał wyrzec się wszystkiego wzamian za jedną rzecz, której nie mógł osiągnąć, byłby głupi, sądząc, że uczucia jego tyle

znaczą w tak ogromnym świecie, i zachowując się, jak beksiwe dziecko lub człowiek bez taktu. Wyobraził sobie ludzi, którzy nic nie mają — miljony, które straciły życie w wojnie — miljony, którym wojna mało co zostawiła oprócz życia — głodne dzieci, o których czytał — ludzi zwichniętych — więźniów — wszystkie rodzaje ludzi nieszczęśliwych... i wszystko to niewiele mu pomogło. Jeżeli ktoś utraci środki do życia, jakąż pociechę przyniesie mu świadomość, że wielu innych też je stracić musiało? Więcej rozerwała go myśl, by wyruszyć w ten wielki świat, o którym dotąd bodajże nic nie wiedział. Niepodobieństwem wydało mu się pozostawać tu w zamknięciu i ukryciu, gdzie przy całej wygodzie i pomyślności nie było nic do roboty, jak rozmyślać nad tem, co być mogło. Nie mógł wracać do Wansdon — do wspomnień o Fleur. Gdyby ją ujrzał znowu, nie mógłby sobie zaufać — a gdyby tu został, musiałby niewątpliwie z nią się spotkać. Było to nieuchronne, póki jedno było od drugiego niedaleko. Jedyną rzeczą, jaką należało uczynić, było odjechać jak najdalej i najprędzej. Jednakże, jakkolwiek bardzo kochał matkę, nie pragnął wyjeżdżać razem z nią. Niebawem, uświadomiwszy sobie, że myśl taka byłaby brutalna, w desperacji postanowił zaproponować matce wspólny wyjazd do Włoch. Przez dwie godziny w tym pełnym melancholji pokoju, starał się zapanować nad sobą, poczem przystroił się uroczysto do kolacji.

Matka uczyniła to samo. Jedli mało, z pewną powolnością, i rozmawiali o katalogu dzieł ojca. Wystawa była przygotowana na październik i niewiele już było do zrobienia.

Po kolacji matka narzuciła na siebie płaszcz i wyszli razem. Czas jakiś przechadzali się, mało mówiąc ze sobą, aż zatrzymali się w milczeniu przed dębem. Kierując się myślą: „Jeżeli zdradzę po sobie cokolwiek,

zdradzę wszystko.“ — Jon ujął matkę pod ramię i rzekł, jakby całkiem przypadkowo:

— Mamo, pojedźmy do Włoch.

Irena przycisnęła do siebie jego ramię i odpowiedziała też, jakby od niechcenia:

— Bardzo byłoby miło, jednakże myślę, że beze mnie o wiele więcej tam zwiedzisz i zrobisz, niż ze mną.

— Ale ty tu będziesz osamotniona.

— Byłam raz osamotniona przez lat dwanaście zgórą. Zresztą chciałabym być tutaj na otwarciu wystawy ojca.

Jon ścisnął mocniej jej ramię — więc nie zawiódł się!

— Ty nie możesz pozostawać tu samiutka... to za wiele!

— Nie pozostałabym tutaj z pewnością. Zatrzymałabym się w Londynie, a po otwarciu wystawy pojechałabym do Paryża. Ty powinienes spędzić conajmniej rok zagranicą i zobaczyć świat.

— Tak, chciałbym zobaczyć świat i nakreślić sobie zgrubsza jego obraz... ale nie chcę zostawiać ciebie samej.

— Mój drogi, jestem ci tyle przynajmniej winna. Jeżeli dla ciebie lepiej tak będzie, to będzie lepiej i dla mnie. Możebyś tak wyjechał już jutro? Przecież masz paszport.

— Tak, jeżeli mam jechać, to już najlepiej zaraz. Tylko... mam... jeżeli... jeżelibym chciał zamieszkać gdzieś daleko... w Ameryce lub gdzieindziej... czy zechcesz tam przyjechać niezwłocznie?

— Zawsze i wszędzie, gdziekolwiek i kiedykolwiek mnie zawezwiesz. Jednakże nie wzywaj mnie, póki naprawdę nie będę ci potrzebna.

Jon westchnął głęboko.

— Duszę się tu w Anglii.

Stali jeszcze przez parę minut pod dębem, patrząc

w stronę Epsom, otulonego mrokiem wieczornym. Gałęzie zasłaniały przed nimi światło księżycowe, które słało się poza tem wszędzie — na polach hen, w dali i na oknach osnutego pnączami domu, który już wkrótce miał być do wynajęcia...

## ROZDZIAŁ X

### Z A Ś L U B I N Y F L E U R

Gdy w październiku dzienniki donosiły o zaślubinach Fleur Forsyte z Michałem Montem, we wzmiankach tych ledwie wyczuwało się symboliczne znaczenie owego wypadku. W związku prawnuczki „Superior Dosseta“ ze spadkobiercą dziewiątego baroneta był jawny i oczywisty znak owego wzajemnego przenikania się warstw społecznych, które cementuje polityczną równowagę królestwa. Nadszedł czas, gdy Forsytowie mogli pozbyć się wrodzonej im odrazy do „bzdur“ niezgodnych z ich urodzeniem — owszem, przyjąć je jako jeszcze bardziej wrodzoną powinność swych władnych instynktów. Zresztą — trzeba było wspiąć się wyżej, by zrobić miejsce dla tych wszystkich, którzy niedawno się wzbogacili. Podczas owej spokojnej lecz wytwornej ceremonji na Hannover Square, a następnie wśród umeblowania na Green Street, było niepodobieństwem — dla osób niewtajemniczonych — rozeznac drużyny Forsytowskiej od orszaku Montów; tak to daleko odbiegło się od czasów „Superior Dosset“! Czyż w zagięciu spodni, ułożeniu wąsa, akcencie, błysku cylindra było choćby ździebelko różnicy między Soamesem a samym dziewiątym baronetem? Nie byłaż Fleur równie opanowana, bystra, obrotna, olśniewająca, urodziwa i zdecydowana, jak najurodziwsze i najwdzięczniejsze latorośle Mukshamów, Montów lub Charwellów, obecne na tym ślubie? Jeżeli co, to właśnie

te cechy mieli Forsytowie w swych strojach, wyglądzie i obyczajach. Stali się „klasą wyższą“ — i odtąd ich nazwisko miało być formalnie wymieniane w księgach genealogicznych, a pieniądze ich wiązały się z posiadłością ziemską. Czy to było już nieco zapóźno, a płonny instynkt posiadania, ziemia i pieniądze, miały dopiero ulec procesowi stopienia — była to jeszcze kwestja tak zawila, że nie zdołano jej rozwinąć. Bądź co bądź, konsole idą w górę, jak mówił Tymoteusz... Tymoteusz, to ostatnie, niepowiązane ogniwo... Tymoteusz *in extremis* na Bayswater Road...: jak oznajmiała Franciszka. Szeptano też, że ten młody Mont był coś jakby socjalistą; było to bardzo mądrze z jego strony, prawie że przezorność, zważywszy czasy w jakich się żyło. Nie było co martwić się na to konto. Sfery ziemiańskie dopuszczały się niekiedy takich miłych głupstewek, mających na celu własne bezpieczeństwo oraz ograniczających się do teorii — jak to wyraził się Jerzy do siostry Franciszki:

— Wkrótce będą mieć małe, to go uspokoi.

Kościół przybrany białymi kwiatami oraz czemś niebieskiem pośrodku okna od wschodu, miał wygląd niezmiernie czysty i cnotliwy, jakgdyby dla kontrastu z mdławo-posepną frazeologją nabożeństwa. Forsytowie, Haymanowie, Tweetymanowie siedzieli w lewej stali, a Montowie, Charwellowie i Muskhamowie w prawej; natomiast garstka szkolnych koleżanek Fleur i kolegów wojennych Monta gapila się pospołu z obu stron. Orszak zamykało troje dziewcząt wraz z dwoma podwładnymi Monta i starą niańką Fleur.

Holly, która z mężem siedziała w trzecim rzędzie, ścisnęła silniej niż kiedykolwiek jego rękę podczas tego obrzędu. Dla niej, która znała zawikłania tej tragikomedji, najbardziej tragiczny moment tejże był niemal że bolesny.

— Ciekawam, czy Jon się domyśla...

Jon wyjechał był do Kolumbji angielskiej. Holly tego właśnie ranka otrzymała od niego list, po przeczytaniu którego uśmiechnęła się i rzekła:

— Wiesz, Val, Jon jest w Kolumbji i chce zamieszkać w Kalifornji, myśląc, że będzie mu tam przyjemnie.

— Aha! — odrzekł Val. — Więc jemu znów żarty w głowie.

— Kupił majątek i zabiera tam matkę.

— I cóż ona tam będzie robiła?

— Ona poza Jonem nic w świecie nie widzi. I cóż, czy uważasz to za szczęśliwe rozwiązanie sprawy?

Chytre oczy Vala zmrużyły się do wielkości główek od szpilek.

— Fleur nie byłaby dla niego odpowiednia. To dziewczyna rozpieszczona!

— Biedna Fleur! — westchnęła Holly. Tak, dziwne doprawdy było to małżeństwo. Ten młody Mont był dla Fleur oczywiście tylko deską ratunku, uchwyconą naoslep w chwili zatonięcia okrętu. Takie rzucenie się w odmęt nie mogło być — jak utrzymywał Val — czysto zewnętrznem i przypadkowem zdarzeniem. Trudno jednakże było stawiać jakieś twierdzenia, widząc jedynie — i to od tyłu — welon panny młodej, przeto Holly obejmowała okiem ogólny widok chrześcijańskiej uroczystości ślubnej. Osiągnąwszy powodzenie w swej własnej przygodzie miłosnej, miała głęboki lęk i odrazę do małżeństw nieszczęśliwych. W danym wypadku niekoniecznie małżeństwo musiało się kończyć nieszczęściem — jednakże było niewątpliwie zawarte łapu-capu, bez namysłu głębszego; to uświęcanie podobnego związku zapomocą fabrykowanego namaszczenia wobec gromady modnych wolnomyślicieli, wydawało się jej prawie grzechem — o ile grzechy można było



znaleźć w wieku, który zatarł pamięć o nich. Wodziła oczyma to w stronę prałata w stroju kościelnym (był to Charwell — Forsytowie dotąd jeszcze nie wydali z pośród siebie prałata), to w stronę Vala, stojącego koło niej i myślącego zapewne o żrebicy Mayfly. Posunęli się dalej i dostrzegli profil dziewiątego baroneta, zabierającego się właśnie do klękania. Patrząc na piękną fałdę ponad jego kolanami, powstała wskutek podwinienia spodni, Holly pomyślała:

— Val zapomniał podwinąć spodnie!

Powiodła oczyma w stronę klęcznika, w którym z przejęciem usadowiła się zażywna postać Winifredy, potem zaś w stronę Anetki i Soamesa, klęczących jedno koło drugiego. Na wargach Holly pojawił się uśmiech — oto o sześć ławek poza nimi klęczał i Prosper Profond, przybyły z południowych mórz Kanalu La Manche. Tak! Był to „mały“ figiel, cokolwiekby z tego wynikło; w każdym razie odbyło się to w przyzwoitym kościele i nazajutrz miało być opisane w porządnych gazetach.

Zaczęto śpiewać hymn. Holly z poza stalli słyszała dziewiątego baroneta, śpiewającego o zastępach Medów. Małym palcem dotknęła wielkiego palca Vala (oboje trzymali jeden śpiewnik) — i przeszedł przez nią lekki dreszcz, jak przed laty dwudziestoma. Val schylił się i szepnął:

— Czy pamiętasz szczura?

Chodziło o szczura, który w czasie ich ślubu w Kraju Przyładkowym muskał sobie wąsy za stołem rejenta. Holly silnie dwoma palcami ścisnęła wielki palec męża.

Hymn przebrzmiał. Prałat zaczął wywodzić swe popisy krasomówcze. Mówił nowożeńcom o niebezpiecznych czasach, w jakich żyją, i o niegodziwym stosunku Izby Lordów do sprawy rozwodów. Wszyscy — powiadał — są żołnierzami w okopach, narażonymi na ataki gazowe ze strony księcia ciemności,... przeto winni być

odważni. Celem małżeństwa są dzieci, a nie same tylko grzeszne uciechy.

Złośliwy chochlik zatańczył w oczach Holly — rzęsy Vala już kleiły się z sobą. Cokolwiekby się miało zdarzyć, trzeba było niedopuszczyć, by on zachrapał. Uszczypnęła go w łydkę, na co on poruszył się niechętnie.

Kazanie już się skończyło, niebezpieczeństwo minęło. W zakrystji odbywało się podpisywanie aktu — zapanaował swobodniejszy nastrój.

Głos jakiś ztyłu zapytał:

— Czy ona wytrzyma w tym kursie?

— Kto to? — szepnęła.

— Stary Jerzy Forsyte!

Holly z pewną rezerwą przyjrzała się osobie, o której słyszała tak często. Niedawno powróciwszy z Afryki Południowej i nie znając swych krewniaków, każdemu z nich przyglądała się z dziecięcą niemal ciekawością. Jerzy był wielkiego wzrostu i bardzo zwinny; jego oczy, wywołały w niej zabawne wrażenie, że są nieubrane.

— Wyszli! — posłyszała jego głos.

Istotnie nowożeńcy kroczyli właśnie od strony kancelarji parafjalnej. Holly najpierw przyjrzała się twarzy młodego Monta. Jego wargi i uszy poruszały się kurczowo, a wzrok, podnosząc się od szpiców bucików aż ku ręce obejmującej jego ramię, nagle znieruchomiał, jakgdyby wobec szeregu wymierzanych w niego luf karabinowych. Holly miała wrażenie, że młodzian ten jest upojony całą duszą. A Fleur... ach!... tu sprawa przedstawiała się zgoła odmiennie! Panna młoda była doskonale opanowana, piękniejsza niż kiedykolwiek, w swej białej sukni i welonie, zarzuconym na krótko przycięte, ciemnokasztanowe włosy; jej ciemnobraunatne oczy, otwarte szeroko, patrzyły śmiało przed siebie. Tak wszystko wyglądało na zewnątrz — ale co się działo

w jej wnętrzu? Gdy oboje przechodzili, Fleur podniosła powieki — niespokojny błysk białek ocznych utkwił w pamięci Holly, niby trzepotanie skrzydeł uwięzionego ptaka.

Na Green Street przyjęcie urządziła Winifreda, mniej do tego nastrojona niż kiedykolwiek. Prośba Soamesa o użyczenie jej lokalu na tę uroczystość, spotkała ją w momencie głęboko psychologicznym. Było to bowiem w chwili, gdy pod wrażeniem jakiejś uwagi Prospera Profonda Winifreda zaczęła zmieniać swe *empire'y* na umeblowanie ekspresjonistyczne. U Mealarda można było dostać bardzo ciekawe meble z fioletowemi, zielonemi i pomarańczowemi centkami — jeszcze miesiąc czasu i cała przemiana byłaby zupełna; teraz jednak, najbardziej „intrygujące“ rekruty niebardzo jeszcze dotrzymywały kroku starej gwardji. Wyglądało to tak, jakgdyby połowa pułku była w *Khaki*, a połowa w szkarłatnych kaftanach i bermycach. Jednakże silny i układny charakter pani domu popisał się doskonale w urządzeniu salonu, który może więcej, niż myślała, wyglądem swym charakteryzował półbolszewicki imperjalizm jej ojczyzny. W każdym razie był to dzień przygnębiający i na to nie można było poradzić! Oczy gospodyni błędziły pobłażliwie po gronie gości. Soames trzymał się poręczy krzesła w stylu Louis XIV; młody Mont znalazł się za „strasznie zajmującym“ przepierzeniem, którego przeznaczenia nikt dotąd nie umiał jej wyjaśnić. Dziewiąty baronet przypadł gwałtownie do okrągłego, czerwonego stolika (z wszczepionemi pod szkłem skrzydełkami błękitnych motyli australijskich) sąsiadującego bezpośrednio z gabinetem Louis-Quinze. Franciszka Forsyte oblała silnie nowy gzyms z groteskowemi płaskorzeźbami, wykonanemi purpurowo na tle hebanowem. Jerzy For-

syte, pochylony nad starym szpinetem, trzymał w rękę małą niebieską książeczkę, jakgdyby chciał zaraz czynić z kimś zakład. Prosper Profond obracał klamkę otwartych drzwi, czarnych z pawio-błękitnymi panelami, a stojąca obok Anetka podpierała się ramionami pod boki; dwaj Muskhamowie, jakby czując się niedobrze, wcisnęli się pomiędzy kwiaty na balkonie. Lady Mont, smukła i dzielna z pozorów, podniosła pince-nez o długiej rączce i z uwagą, jakgdyby widziała otwierające się niebiosa, przyglądała się kloszowi centralnej lampy, w którym kolor kości słoniowej mieszał się z pomarańczowym, przechodzącym w głęboką magentę. Wszyscy, poprostu wszyscy, zdawali się szukać jakiegoś oparcia. Jedyne Fleur, wciąż jeszcze w swej sukni ślubnej, nie opierała się na niczem, rozrzucając słowa i spojrzenia na prawo i na lewo.

Cały pokój pełny był bulgotu i gwaru rozmowy. Żadna z osób nie słyszała, co mówiła druga, to jednakże bynajmniej nie wadziło, jako że nikt nie czekał na drugiego z odpowiedzią. Nowoczesna rozmowa wydała się Winifredzie zgoła różną od tej, jaką pamiętała z lat swoich młodszych, kiedy to płynęły słowa wolno i półgębkiem. W każdym razie było to „zajmujące“, a przecież o nic innego nie chodziło. Nawet Forsytowie mówili niesłychanie wartko — i Fleur, i Krzysztof, i Imogena, i Patryk, najmłodsza pociecha młodego Mikołaja. Soames, oczywiście, był małomówny, natomiast Jerzy przy szpincetach i Franciszka koło gzymsu wiedli żywą gawędę. Winifreda podążyła w stronę dziewiątego baroneta, który wydał się jej pewnego rodzaju zaciszną przystanią; miał nos wytworny, lekko wygięty, oraz siwe wąsy. Uśmiechając się do niego, rzekła powolnym głosem:

— I cóż? prawda, że miłą mamy chwilę?

Z uśmiechniętych ust starszego pana wystrzeliła nagle

odpowieź, jak wyrzucona silnym prztyczkiem galka chlebowej ośródk:

— Czy pani sobie przypomina u Frazera owo plemię, które zakopuje pannę młodą aż do pasa w ziemię?

Ależ on mówił równie szybko jak wszyscy! Ponadto miał ciemne, żywe oczy, zmarszczone wokół, jak u katolickich księży. Winifreda poznała nagle, że może od niego posłyszeć słowa, którychby jeszcze potem mogła żałować.

— Wesele, to zawsze rzecz zajmująca — mruknęła i ruszyła w stronę Soamesa. Ten milczał ciągle... i Winifreda wnet odgadła powód jego znieruchomienia. Na prawo od niego znajdował się Jerzy Forsyte, na lewo Anetka i Prosper Profond, tak iż Soames nie mógł się ruszyć, by nie widzieć bądź tych dwojga zajętych sobą, bądź też ich odbicia w drwiących oczach Jerzego Forsyte'a; miał też zupełną rację, że nie zwracał na nich najmniejszej uwagi.

— Powiadają, że Tymoteusz dogorywa — ozwał się Soames posepnie.

— Gdzie go pochowacie?

— Na Highgate. — Policzył na palcach. — Będzie więc ich tam dwanaścioro, licząc i wdowy. Jak ci się dzisiaj podoba Fleur?

— Doskonale wygląda.

Soames skinął głową. Istotnie, nigdy nie widział jej piękniejszą, jednakże nie mógł opędić się wrażeniu, że wszystko to jest mocno nienaturalne; wciąż jeszcze miał w pamięci jej postać zmiażdżoną, kryjącą się w rogu sofy. Od owego wieczoru do dnia dzisiejszego nie zwierzyła mu się z niczem. Od szofera dowiedział się, że zrobiła jeszcze jedną wyprawę do Robin Hill i że wróciła z niczem, zastawszy dom pusty — bez żywej duszy. Wiedział też, że otrzymała jakiś list, ale nie wiedział, co było w tym liście — poza tem, że po

jego przeczytaniu Fleur ukryła się w kątku i płakała. Zauważył i to, że nieraz przypatrywała mu się, gdy myślała, że tego nie dostrzeżę, i jakby starała się wciąż jeszcze odgadnąć, co doprawdy on takiego popełnił, iż wyrosła z tego taka ku niemu nienawiść. Tak to było, tak! Po powrocie Anetki wlokło się to nieszczęście przez całe lato, aż pewnego dnia Fleur nagle oświadczyła, że zamierza wyjść za młodego Monta; mówiąc to, okazała ledwie że trochę więcej serdeczności. Zgodził się na to — cóżby przyszło ze sprzeciwów? Bogu wiadomo, że nie chciał w niczem czynić jej naprzekór! Zresztą ten młokos wprost szalał za nią. Prawda, że była w nastroju nieobliczalnym, że była młoda, ogromnie młoda; jednakże, gdyby się jej sprzeciwił, doprawdy nie wiedziałby sam, co by z nią się stało; pewnoby zachciała wziąć się do jakiegoś zawodu, zostać doktorką, adwokatką lub czemś podobnem. Nie miała skłonności do malowania, pisania, muzyki, jedynych — zdaniem Soamesa — zajęć godnych niezamężnej kobiety, jeżeli jej już wypadło czemś się zajmować. Koniec końców, bezpieczniejszą dla niej rzeczą było zamążpójście, gdyż widział aż nadto wyraźnie, jak gorączkową i niespokojną była teraz Fleur w ojczystym domu. Także i Anetka — choć o jej zamiary, o ile je miała, zgola się nie troszczył — okazała się planowi temu przychylną, oświadczając:

— Niech ona wyjdzie za tego młodzieńca. Jest to chłopak wcale miły... wcale nie taki górnołotny, jak się zdaje.

Skąd jej się wzięło takie wyrażenie, tego Soames nie dociekł — w każdym razie jej opinia uspokoiła jego wątpliwości. Jego żona, jakiegokolwiek było jej postępowanie, miała oczy otwarte i niemal przygnębiający zasób zdrowego rozsądku. Zapisał pięćdziesiąt tysięcy na Fleur, zważając na to, by nie było żadnych kolidujących

z tem zapisów w razie, gdyby obrót sprawy nie okazał się pomyślnym. Czy obrót mógł być pomyślny? Wiedział, że nie udało jej się przekabacić tamtego chłopaka. Teraz państwo młodzi mieli jechać na miodowy miesiąc do Hiszpanji... Po jej wyjeździe będzie jeszcze więcej osamotniony... ale później może ona zapomni o wszystkim i wróci znów do niego!

Dumania jego przerwał głos Winifredy.

— Oho! dziw nad dziwy! Juna!

Istotnie Soames ujrzał swą kuzynkę ubraną w *jibbah* (jakiż ona teraz nosiła stroje!) i z włosami wymykającym się z pod przewiązki. Fleur wyszła na jej powitanie i obie znikły im z oczu, przechodząc do klatki schodowej.

— Doprawdy — ozwała się Winifreda — ona wprost dopuszcza się największych niemożliwości! Któżby mógł spodziewać się jej przyjścia!

— Pocóżes ją zapraszała? — mruknął Soames.

— Myślałam, dalibóg, że ona nie przyjmie zaproszenia.

Winifreda zapomniała o tem, że za postępowaniem idzie główna wytyczna charakteru; innemi słowy, nie pamiętała o tem, że Fleur była obecnie „kulawem kaczącym“.

Otrzymawszy jej zaproszenie, Juna z początku pomyślała:

— Nie zbliżę się do nich za nic w świecie!

Dopiero pewnego poranku, obudziwszy się ze snu, w którym widziała Fleur płynącą na łodzi i dającą jej rozpaczliwe znaki, zmieniła swe postanowienie.

Gdy Fleur podeszła do niej, mówiąc:

— Idę zmienić suknie; proszę pozwolić na górę —

Juna bez namysłu weszła na schody. Fleur wprowadziła ją do dawnej sypialni Imogeny, gdzie teraz urządzono toaletę panny młodej.

Juna usiadła na łóżku, chuda i sztywna, jakby w jej

zwiądem i złotem ciele ledwie że duch się kołatał. Fleur zamknęła drzwi i stanęła przed nią, rozebrana z sukni weselnej. Jakże była piękna!

— Pewno pani myśli, że zwarzowała — ozwała się drżącymi ustami — skoro przecie chodzić tu miało o Jona. Jednak co się tem przejmować? Michał chce mnie wziąć za żonę, a mnie już wszystko jedno... w każdym razie w ten sposób wyrwę się z domu.

Zagłębiwszy rękę w stanik na piersiach, wydobyla list.

— Oto co mi pisze Jon.

Juna odczytała:

— Lake Okanagan, British Columbia. Nie wrócę do Anglii. Zawsze serdecznie życzliwy Jon.

— Widzi pani, jak się ona ubezpieczyła — ozwała się Fleur.

Juna oddała jej list.

— Nieładnie to ze strony Ireny — ozwała się — zawsze mówiła Jonowi, że może postępować wedle swego życzenia.

Fleur uśmiechnęła się gorzko.

— Proszę mi powiedzieć, czy ona nie zrujnowała też życia pani?

Juna spojrzała w górę.

— Nikt nie potrafi zrujnować życia, moja droga. To niedorzeczność. Różne rzeczy się zdarzają, lecz my potrafimy się z nich wydostać.

Ku wielkiemu jej przerażeniu Fleur rzuciła się przed nią na kolana, kryjąc twarz w fałdach *jibbah*. Zdławione łkanie doszło do uszu Juny.

— No, cicho, cicho, nie płacz! — jęła uspokajać ją Juna. — Nie takie to straszne!

Jednakże Fleur wcisnęła jeszcze silniej koniec podbródka w jej łydkę, a łkanie stało się jeszcze okropniejsze.



Tak, tak! To przyjść musiało... potem będzie lepiej się czuła! Juna gładziła krótkie włosy tej uroczej główki — wszystkie rozproszone i rozbite w niej uczucia skupiły się w jedno ognisko i przez końce jej palców promieniowały w mózg dziewczęcia.

— Nie poddawaj się temu, moja droga — ozwała się nakoniec. — Nie możemy panować nad życiem, ale możemy z niem się zmagać i odnosić nad niem zwycięstwa. Staraj się to przetrzymać, jak ja niegdyś musiałam... Cierpiałam jak ty i płakałam, jak ty teraz płaczesz... i popatrz na mnie!

Fleur podniosła głowę. Łkanie nagle przeszło w cichy, stłumiony śmiech. Ta, na którą patrzyła, była — to prawda — duchem mizernym, mocno niesfornym i zmarnowanym, jednakże we wzroku miała dzielność i odwagę.

— Dobrze! — odpowiedziała. — Bardzo panią przepraszam. Sądzę, że zapomnę o nim, jeżeli odjadę stąd prędko i daleko.

Wyprostowawszy się, podeszła do umywalni i zaczęła zimną wodą zmywać ślady wzruszenia. Gdy stanęła przed lustrem, jedynym pozostałym śladem było lekkie zaróżowienie policzków. Juna, która dotąd się jej przyglądała, wstała z łóżka i wzięła w ręce poduszkę do szpilek. Wbicie dwóch szpilek w inne niż dotąd miejsca było jedyną oznaką sympatji, jaką mogła wymyślić w tej chwili.

— Pocałuj mnie — ozwała się, widząc Fleur już gotową, i pograżyła swój podbródek w ciepłym policzku dziewczęcia.

— Chcę zapalić — rzekła Fleur — proszę na mnie nie czekać.

Usiadła na łóżku, trzymając w ustach papierosa i półprzymknawszy oczy. Juna pożegnała się z nią i zesłała nadół. W drzwiach salonu stał Soames, jakgdyby zanie-

pokoiony dłuższą nieobecnością córki. Juna kiwnęła mu głową i przeszła na półpięterko. Stała tam jej kuzynka Franciszka.

— Popatrz! — rzekła Juna, wskazując podbródkiem na Soamesa. — Ten człowiek ma dziwne fatum.

— Co rozumiesz przez fatum? — spytała Franciszka.

Juna nie odpowiedziała na to pytanie, tylko rzekła:

— Nie będę czekała aż się rozejdą. Dowidzenia!

— Dowidzenia! — odpowiedziała Franciszka, a jej szare celyckie oczy spojrzwały boczkiem. Ach! ta stara waśń! Doprawdy było to wcale romantyczne!

Soames, podszedłszy ku klatce schodowej, zobaczył Junę wychodzącą i odetchnął z ulgą. Ale czemuż to Fleur nie przychodzi? Gotowi spóźnić się na pociąg. Choć pociąg ten miał odwieźć córkę jego hen daleko, jednakże Soames doznawał dziwnej jakiejś drżaczki na myśl, że państwo młodzi mogli się spóźnić.

Nakoniec nadeszła — raczej przybiegła — w jasnobronzowej sukience i czarnym aksamitnym berecie. Minęła go i wpadła do salonu. Widział, jak całowała się z matką, z ciotką, żoną Vala, Imogeną, a potem wybiegła, żwawa i śliczna jak zawsze. Jakże odniesie się do niego w tym ostatnim momencie swego dziewictwa?... Nie mógł żywić zbyt wielkich nadziei!

Jej wargi wcisnęły się silnie w sam środek jego policzka.

— Tatuśku! — odezwała się i pomknęła szybko precz. Tatuśku! Od lat całych nie nazywała go w ten sposób. Westchnął głęboko i zszedł za nią zwolna wdół. Tam jeszcze trzeba było przejść przez rzucanie confetti i przez inne podobne szopki. Głos młodego Monta szeptał mu gorąco do ucha:

— Dowidzenia panu... i serdeczne dzięki! Jestem taki szczęśliwy!

— Dowidzenia! — odpowiedział Soames — nie spóźnicie się na pociąg.

Stanął na jednym z dolnych stopni, skąd mógł mieć widok ponad głowami i kapeluszami stojących. Nowożeńcy wsiedli do powozu... To ukazał się drżący na wietrze kawałek sukni, tam znów koniec bucika. Jakiś nagły przypływ wezbrał w duszy Soamesa... nie wiedział nic... nie widział!

## ROZDZIAŁ XI

### OSTATNI ZE STARYCH FORSYTÓW

Gdy miano oddawać ostatnią posługę owemu straszemu symbolowi, zważemu się Tymoteuszem Forsytem — jedynemu pozostałemu szczeremu indywidualiście, jedynemu człowiekowi, który nie słyszał o wojnie światowej — znaleziono go w cudownym stanie — nawet śmierć nie podminowała jego zdrowia.

Dla Smitherki i kucharki owe przygotowania były ostatecznym dowodem tego, w czego możliwość nigdyby nie uwierzyły — mianowicie wygaśnięcia starych Forsytów na tym świecie. Biedny pan Tymoteusz pewno teraz wziął harfę i śpiewał w towarzystwie panny Forsyte, pani Julji i panny Estery — wraz z panem Jolyonem, panem Swithinem, panem Jakóbem, panem Rogerem i panem Mikołajem. Czy i pani Hayman była w tym zespole, było rzeczą wątpliwą, zważywszy, że ciało jej zostało spalone. Kucharka w głębi ducha myślała sobie, że pan Tymoteusz może się obruszyć — on zawsze tak nie cierpiał katarynek! Ileż to razy mówiła:

— Do licha z tem draństwem! Znowu je tutaj coś przyniosło! Smither, pobiegnijno i zrób coś na to!

A w głębi serca byłyby wielce rada tej melodji, gdyby

nie wiedziała, że lada chwila pan Tymoteusz zadzwoni i rzecze:

— Dajcie mu pół pensa i powiedzcie, żeby się wynosił!

Często zmuszona była dodać trzy pensy z własnej kieszeni, zanim ten człowiek się oddalił — Tymoteusz nigdy niedoceniał wartości wzruszenia. Na szczęście, w ostatnich latach brał katarynkę za brzęczenie muchy-plujki, co było wygodą dla obu kobiet, gdyż mogły zachwycać się dźwiękami muzyki. Ale harfa! Kucharka zadumała się. Toci dopiero była zmiana! A pan Tymoteusz zmian nie lubił... Nie mówiła jednak o tem do Smither, która takie miała czysto osobiste zapędy w stronę nieba, że mogło to niekiedy zbić człowieka z tropu.

Plakała, gdy Tymoteusza kładziono w trumnę, poczem obie jęły sączyć sherry z butelki, zastawianej co roku na wigilję Bożego Narodzenia, teraz zaś nikomu niepotrzebnej. Ach, mój Boże! Przecież przeżyło się tu lat czterdzieści pięć, a Smitherka czterdzieści trzy! A teraz miały obie przenieść się do małego domku w Tooting, by żyć z oszczędności i z tego, co im łaskawie zostawiła panna Estera... bo brać się do nowej służby po tak świetnej przeszłości... nie!... za nic! Jednakże naprawdę miło im było ujrzeć znów pana Soamesa, panią Dartie, pannę Franciszkę i pannę Eufemję. I choćby im przyszło jechać własnym powozem, czuły przecie, że muszą iść na pogrzeb. Przez sześć lat pan Tymoteusz był ich niemowlęciem, który z każdym dniem stawał się coraz młodszy, aż nakoniec stał się za młody do życia.

Kilka godzin oczekiwania spędziły na czyszczeniu i odkurzaniu, na łapaniu ostatniej pozostałej myszy i truci u ostatniej pluskwy (by wszystko było w porządku), a rozprawiając przytem z sobą, co też kupią

na licytacji. A więc pudełko z robótką panny Anny; zielnik panny Juli (tj. pani Julji), parawanik wyszywany przez pannę Estereę; i włosy pana Tymoteusza — małe, złote kędziorki, oprawione w czarną ramkę. Och! wszystko to mieć muszą... tylko ceny tak dziś poszły w górę!

Soamesowi przypadło rozsyłanie zaproszeń na pogrzeb. Podpisał je w biurze u Gradmana — zapraszając jedynie krewnych i prosząc o nieskładanie wieńców. Zamówiono sześć powozów. Testament miano odczytać później w domu.

O jedenastej Soames przyszedł zobaczyć, czy wszystko przygotowane. W kwadrans później stary Gradman przybył (w rękawiczkach, oraz z krepą na kapeluszu) i wraz z Soamesem stanął w salonie, oczekując przybycia uczestników pogrzebu. O wpół do dwunastej wozy ustawiły się długim sznurkiem, jednakże nikt jeszcze nie przybył. Gradman odezwał się:

— Dziwi mnie to, panie Soamesie. Ja sam wysyłałem zaproszenia.

— Nie wiem — odrzekł Soames. — Stryj stracił kontakt z rodziną.

Dawniejszemi czasy Soames widział nieraz, iż jego rodzina okazywała się bliższą komuś po jego śmierci, niż za życia. Jednakże obecnie — owo tłumne zebranie się na weselu Fleur oraz nieobecność na pogrzebie Tymoteusza były to doprawdy symptomy jakiejś zmiany życiowej. Mogły tu w grę wchodzić, oczywiście, inne powody — gdyż Soames czuł, że gdyby nie znał treści testamentu Tymoteuszowego, pewnoby sam przez delikatność też trzymał się zdaleka. Tymoteusz zostawił sporo pieniędzy, w których nikt nie zyskiwał szczególnego udziału, przeto krewni pewno nie chcieli, by się wydawało, że czegoś się spodziewają.

O dwunastej kondukt wyszedł z bramy. W pierwszym

powozie, za szkłem, jechał sam Tymoteusz. W drugim Soames, również sam; w trzecim Gradman też sam, w czwartym Smither razem z kucharką. Ruszyli stępa, który niebawem pod gołem niebem przeszedł w żywszego truchta. Przy wejściu do cmentarza Highgate zwolnili ze względu na nabożeństwo odbywające się w cmentarnej kaplicy. Soames chętnie pozostałby na dworze, w ciepłych blaskach słońca. Nie wierzył ani jednemu słowu duchownego; z drugiej strony jednakże była to forma upewnienia się, której nie należało zaniedbywać — bo nuż było w tem choć źdźbło prawdy?

Poszli parami — on z Gradmanem, a kucharka ze Smither — ku grobowi rodzinnemu. Niewielkie były to honory na pogrzebie ostatniego z Forsytów.

W drodze powrotnej na Bayswater Road Soames wziął Gradmana do swego powozu, mając dziwny jakiś żar w sercu. Zdumiał go nagle ten zamarynowany starzec, który przez pięćdziesiąt cztery lat służył Forsytom całkowicie i wyłącznie. Dobrze pamiętał, jak nazajutrz po pogrzebie ciotki Estery mówił do Tymoteusza:

— Patrzajno tego Gradmana, stryju Tymoteuszu. Ten się porządnie natrudził dla naszej rodziny. A cóż, gdyby mu tak zostawić pięć tysięcy?

I pamiętał swe zdumienie, gdy Tymoteusz skinął głową — ów Tymoteusz, którego tak trudno było doprowadzić do tego, by komuś coś pozostawił. Teraz stary oficjalista będzie uradowany, jakby Pana Boga za nogi złapał, gdyż pani Gradman (co Soames wiedział) miała serce zajęcze, a syn ich stracił nogę na wojnie; było to więc dla Soamesa rzeczą nader miłą, że obdarzył ich pięcioma tysiącami funtów z fortuny Tymoteusza.

Usiedli razem w małym saloniku, w którym wszystkie ściany, jak tło niebios, były błękitne i złote, wszystkie ramy obrazów lśniły się nienaturalną jasnością, a na

meblach nie było widać ani plamki kurzu — i przystąpili do czytania owego małego arcydzieła, jakim był testament Tymoteusza. Siedząc w fotelu ciotki Estery, tyłem do światła, Soames wpatrzył się w oświetloną ze strony okna twarz Gradmana, siedzącego na sofie ciotki Anny, i założywszy nogę na nogę, rozpoczął:

— „Taka jest ostatnia wola i testament Tymoteusza Forsyte’a, zamieszkałego Bower Bayswater Road, w Londynie. Wyznaczam mego bratanka Soamesa Forsyte, zamiesz. w Shelter Mapledurham i Tomasza Gradmana, zamiesz. w Folly Road Highgate (odtąd nazywanych mymi plenipotentami) na plenipotentów i wykonawców mej woli. Wymienionemu Soamesowi Forsyte zostawiam sumę tysiąca funtów, wolną od wszelkich zobowiązań, a wymienionemu Tomaszowi Gradmanowi sumę pięciu tysięcy funtów, wolną od wszelkich zobowiązań.“

Soames przerwał na chwilę czytanie. Stary Gradman pochylił się naprzód, kurczowo obiema grubemi rękami obejmując chude, zasmolone kolano; usta otwarły mu się tak szeroko, że aż zabłysły złote korony trzech zębów; oczy zamigotały niepewnie, a z ich kącików wyciekły zwolna dwie łzy. Soames jął czytać dalej:

— „Całą resztę mego majątku jakiegokolwiek opisania poruczam moim pełnomocnikom, by ją skonwertowali i strzegli jej na następujących warunkach: Winni z niej zapłacić wszystkie moje długi, koszta pogrzebowe i wszystkie wydatki związane z moim testamentem a pozostałość przechować dla tych potomków męskiej linii mego ojca Jolyona Forsyte’a z jego małżeństwa z Anną Pierce, którzy po wygaśnięciu wszystkich męskich i żeńskich potomków wspomnianego ojca mego ze wspomnianego małżeństwa żyjących w chwili mej śmierci osiągną wreszcie lat dwadzieścia jeden, przyczem jest mojem nieodwołalnem życzeniem, by majątek mój wzrastał — w granicach, jakie tylko dopuszcza prawodawstwo

angielskie — na korzyść potomków męskich, o jakich mowa powyżej.“

Soames przeczytał akt nadania i klauzule zaświadczone i przerwawszy czytanie, spojrzął na Gradmana. Stary urzędnik wycierał sobie brwi wielką chustką, której przepyszny kolor nadał naraz całej procedurze charakter wielce uroczysty.

— Słowo daję, panie Soames! — odezwał się i widać było, że w tej chwili prawnik zwyciężył w nim człowieka. — Słowo daję! Teraz żyją przecież dwa zupełnie niemowlątka, a także i kilkoro młodziuchnych dzieci... Jeżeli jeden z nich dożyje ośmiu krzyżyków... boć to wiek nie taki długi... i do tego dodamy lat dwadzieścia jeden... toć to jest sto lat... a pan Tymoteusz miał na czysto sto pięćdziesiąt tysięcy funtów... Pięć od stu na procent składany to podwaja kapitał w ciągu lat czterestu. Za lat czternaście będzie trzysta tysięcy... za dwadzieścia jeden sześćset tysięcy... milion dwieście za lat czterdzieści dwa... dwa miliony czterysta za lat pięćdziesiąt sześć... cztery miliony osiemset tysięcy za lat osiemdziesiąt cztery... Ba, za sto lat będzie dwadzieścia milionów! My już nie dożyjemy tego, nie będziemy tego oglądać. Toci dopiero testament!

Soames odrzekł oschle:

— Niewiadomo, co jeszcze może się zdarzyć. Państwo może dużo ściągnąć z tej sumy. Dziś wszystkiego można się spodziewać.

— I odjąć pięć... — rzekł Gradman do siebie. — Zapomniałem... pan Tymoteusz lokował w konsolach... nie dostaniemy więcej jak dwa procent wraz z tym podatkiem dochodowym. Dla pewności powiedzmy, osiem milionów... ale i to ładny pieniądz.

Soames wstał i podał mu testament.

— Pan wybiera się do miasta, niech więc pan zaopiekuje się tem i uczyni, co potrzeba. Proszę zrobić



ogłoszenie... ale długów niema żadnych. Kiedy licytacja?

— We wtorek — odpowiedział Gradman. — Ludzie żyjący obecnie... i dwadzieścia jeden lat później... to szmat czasu. Ale cieszę się, że to zostało w rodzinie...

Na licytacji — odbywającej się nie u Jobsona, ze względu na wiktorjański charakter licytowanych przedmiotów — zgromadziła się o wiele liczniejsza publiczność, niż na obrzędzie pogrzebowym. Prawda, że brakło kucharki i Smitherki, ponieważ Soames ofiarował się sam zadość uczynić ich pragnieniom; za to była Winifreda, Eufemja i Franciszka, a i Eustachy nadjechał w powozie. Minjatury, Barbizony i rysunki J. R. nabył zawczasu Soames; drobiazgi nie mające wartości sprzedażnej, umieszczono w bocznym pokoiku, dla członków rodziny, którzy chcieliby mieć pamiątki po zmarłym. Poza tem licytacja miała przebieg wprost tragicznie powolny. Żaden sprzęt, żaden obraz ani porcelana nie przemawiała do gustów nowoczesnych. Brzęczące kolibry poopadały jak liście jesienne, gdy je zdjęto z miejsca, gdzie nie brzęczały już od lat sześćdziesięciu. Bolesną było dla Soamesa rzeczą oglądać krzesła, na których siadały jego ciotki, małe pianino, na którym nigdy nie grały, książki, których okładkom nieraz się przyglądały, chińskie porcelany, z których ocierały kurz, firanki, które zasuwaly, dywaniki, na których grzały sobie nogi u kominka, a nadewszystko łóżka, w których sypiały i zmarły — wszystko to sprzedane drobnym kupcom oraz gospodyniom z Fulham. A jednakże... cóż można było na to poradzić? Zakupić to wszystko i postawić w rupieciarni? Nie, w ten sposób oblażłoby tylko z farby i z materiału i zniszczałoby doszczętnie. Lecz kiedy wystawiono sofę ciotki Anny i już miano ją sprzedać za trzydzieści szylingów, jemu nagle wyrwało się z gardła:

— Pięć funtów.

Poruszenie na sali było wielkie, a sofa przypadła Soamesowi.

Gdy w dusznej i niewonnej sali skończyła się licytacja i rozwiały się owe szczątki wiktoriańskich wspomnień, Soames wyszedł na ulicę, oświeconą mglistym blaskiem październikowego słońca, mając uczucie, iż w świecie już zanikła wygoda i przytulność. Szydł z napisem „Do wynajęcia“ był już wywieszony. Wszędy na horyzoncie gorzała rewolucja; Fleur była w Hiszpanji, towarzystwo Anetki nie dawało mu pociechy, na Bayswater Road nie było już Tymoteusza. Osamotniony, z pustką w duszy, rozdrażniony, wszedł Soames do galerji Gonpenor. Wisiały tam akwarele Jolyona. Soames podszedł ku nim, chcąc zerknąć na nie z pod nosa — co mogło mu dać pewnego rodzaju słabą satysfakcję. Od Juny do Holly, od Holly do Vala, od Vala do Winifredy, a od tej do Soamesa dotarła wieść, że fatalny dom w Robin Hill wystawiony został na sprzedaż, a Irena wybierała się do syna, bawiącego w angielskiej Kolumbji czy też gdzie indziej. Przez chwilę w głowie Soamesa świtała myśl:

— A możeby dom ten kupić? Przeznaczałem go na...

Ale myśl ta prędzej jeszcze znikła niż przyszła. Byłby to triumf nazbyt żalorny, wiążący się z tyloma upokarzającymi wspomnieniami dla Fleur i dla niego samego. Po tem, co się zdarzyło, jużby tam nie mógł mieszkać. Nie, niechże to miejsce przejdzie na własność jakiegoś dziedzica lub przedsiębiorcy. Od początku było kością niezgody, ogniskiem nienawiści, a gdy opuściła je kobieta, ognisko to było już wygasłe. „Na sprzedaż lub do wynajęcia.“ Oczyma duszy dostrzegał to ogłoszenie, wznoszące się ponad porośłą mchem ścianą, przezeń niegdyś budowaną.

Minął pierwszą z dwóch sal galerji. Było tu bądź co bądź sporo tych dzieł; teraz, gdy już twórca ich nie żył, nie

wydawały się Soamesowi znów tak marne. Rysunki były dość miłe, czuło się w nich atmosferę, nie brak było indywidualności pendzla.

— Jego ojciec i mój ojciec... on i ja... jego dziecko i moje! — pomyślał Soames. Szło tak wciąż, bez przerwy. I to wszystko o tę kobietę! Przejęty wypadkami ostatniego tygodnia, nastrojony melancholijną krasą jesieni, Soames bardziej niż kiedykolwiek zbliżył się do zrozumienia tej prawdy — niezrozumiałej dla Forsyte'a czystej krwi — że ciało Piękności ma w sobie treść duchową, osiągalną jedynie przez miłość pozbawioną wszelkiego samolubstwa. Ostatecznie bliski był tej prawdy, gdy szło o miłość jego do córki; może to właśnie pozwalało mu zrozumieć wielkość straty. I oto tutaj, pośród malowideł kuzyna, który sięgnął po to, co dla niego było niezdobyte, Soames myślał o nich obojgu z tolerancją, która go wprost dziwiła. W każdym razie nie kupił ani jednego obrazu.

Właśnie, zdążając ku wyjściu, mijał ławkę dla publiczności, gdy zetknął się z istotą, która od chwili jego wejścia do galerji była niemal wciąż obecną w jego myśli. Była to Irena we własnej osobie — wchodziła właśnie na wystawę. A więc jeszcze nie wyjechała i wciąż jeszcze składała pożegnalne wizyty pamiątkom po tym człowieku! Stłumił w sobie mimowolny odruch podświadomości, machinalną reakcję zmysłów na urok posiadanej niegdyś kobiety i minął ją z oczyma odwróconemi w inną stronę. Lecz kiedy przeszła obok niego, nic w świecie nie zdołało go powstrzymać — musiał obejrzeć się na nią. Więc to już koniec... cały żar, cały wysiłek jego życia, szal i tęsknota, jedyna klęska, jakiej doznał w życiu — wszystko to przejdzie, przeminie, gdy ona tym razem zejdzie mu z oczu... nawet takie wspomnienia mają dziwną, acz bolesną, cenę...

Ona obróciła się również. Naraz podniosła urękawic-

czoną dłoń, wargi uśmiechnęły się nieznacznie, ciemne oczy zdały się jakby przemawiać. Teraz na Soamesa przyszła kolej nieodpowiadania ani słowem na ten uśmiech i na to lekkie skinienie pożegnalne; wyszedł na ulicę, drżąc od stóp do głowy. Wiedział, co chciała mu powiedzieć:

— Dziś, gdy odjeżdżam na zawsze od pana i pańskiej rodziny... proszę o przebaczenie. Życzę panu szczęścia.

Takie było znaczenie tego spojrzenia i gestu. Był to ostatni znak owej strasznej rzeczywistości — minionej moralności, powinności, rozsądku — jej odrazy do niego, który posiadał jej ciało lecz nigdy nie posiadał jej serca ni duszy. To boleło... tak... boleło więcej, niż gdyby jej twarz pozostała nieporuszona, a ręka nie wyciągnęła się ku niemu.

W trzy dni później, gdy żółkły drzewa, zwarzone październikowym chłodem, Soames wziął taksówkę na cmentarz Highgate i przez białe zagaje tegoż dotarł do grobu Forsytów. Przyparty do cedrów, ponad katakumbami i kolumbarjami, grób ten wysoki, brzydki i osobliwy wyglądał jakby jeden ze szczytów systemu współzawodnictwa. Soames przypomniał sobie dyskusję, w której Swithin orędownał za umieszczeniem godła bązanta na fasadzie. Projekt ten odrzucono na korzyść kamiennego wieńca, umieszczonego nad skromnym napisem: „Grób rodziny Jolyona Forsyte’a 1850.“

Grób był w zupełnym porządku. Wszelkie ślady niedawnego pochówku zdołano już zatrzeć, a trzeźwa szaryzna nagrobku spokojnie smęciła się w blasku słonecznym. Leżała tu obecnie cała rodzina, prócz żony starego Jolyona, która wedle umowy powróciła do grobu własnej rodziny w Suffolk; sam stary Jolyon spoczywał w Robin Hill, Zuzanna Hayman została spalona, tak iż nikt nie wiedział, co się z resztkami jej stało. Soames

z zadowoleniem przyglądał się mogile; była masywna, nie wymagała wielkiej o siebie dbałości — a to było rzeczą ważną, gdyż wiedział dobrze, że gdy sam zejdzie ze świata, nikt nad nią nie będzie zbytnio czuwał, a jemu wkrótce wypadnie pomyśleć o kwaterze. Mógł mieć przed sobą i dwadzieścia lat, ale któż tam wie na pewno! Dwadzieścia lat — bez żadnego wuja, żadnej ciotki, z żoną, o której lepiej nic nie wiedzieć, w rozłące z córką... Zaczął czuć skłonność do melancholji i rozpamiętywać.

Ten cmentarz był, jak powiadają, pełen ludzi o niezwykłych nazwiskach, a pochowanych z niezwykłym przepychem. Bądź co bądź mieli stąd ładny widok, akurat na Londyn. Anetka dała mu raz do czytania nowelę tego Francuza Maupassanta — bardzo ponurą opowieść, w której wszystkie szkielety w noc jedną wynurzają się z grobu, a wszystkie tkliwe napisy na ich grobach zamieniają się w opisanie ich grzechów. Powiastka zgoła nieprawdziwa. Niewiadomo, jak tam z tymi Francuzami, ale w narodzie angielskim nie było wiele prawdziwego zła, pominąwszy zęby i gusta, które były niewątpliwie w oplakanyim stanie... „Grób rodziny Jolyona Forsyte'a 1850.“ Wielu ludzi pochowano od tej daty — życie niejednego Anglika rozpadło się w proch i pył!...

Brzęczenie samolotu, przelatującego poniżej wyłoconych obłoków, kazało Soamesowi podnieść oczy w górę. Pomknął naprzód demon ekspansji. Jednakże wszystko powrócić musi na cmentarz — do daty i napisu na grobie. I z dziwną dumą myślał Soames o tem, że on i jego rodzina nie zdziałali nic, albo nader mało, by poprzeć tę gorączkową ekspansję. Jako ludzie solidni i zacni, lecz przeciętni, brali się do pracy z godnością, by gospodarować i posiadać. Prawda, że „Superior Dosset“ budował w groźnym, a Jolyon malował w niepewnym okresie, jednakże, o ile Soames mógł sobie przypomnieć, żaden z nich nie splamił sobie rąk stworzeniem czego-

kolwiek — chyba, że liczyć Vala Dartie i jego hodowlę koni. Byli kolektorami, dependentami adwokackimi, kupcami, wydawcami, rachmistrzami, dyrektorami, agentami rolnymi, nawet żołnierzami! Kraj zaś, jakby im na złość, rozwijał się i rozszerzał swe horyzonty. Oni zajmowali się kontrolą, obroną, sprawdzaniem i zyskiwali w tym procesie — a gdy pomyśleć sobie, że „Superior Dosset“ zaczął niemal z niczego, a jego potomków oceniał stary Gradman w danej chwili na milion lub półtora, to sprawa nie przedstawiała się bynajmniej tak źle! Jednakże czasami wydawało się Soamesowi, że jego rodzina już zmieniała swą rolę, że wygasał w niej instynkt posiadania. Wydawało się, iż oni, ta czwarta generacja, nie są już zdolni do robienia pieniędzy; brali się do sztuki, literatury, gospodarowania na roli i do żołnierki, albo poprostu żyli z tego, co im pozostawiono — nie mieli w sobie ruchliwości i skupienia. Gotowi powymierać, jeżeli nie weźmą się do rzeczy.

Soames odwrócił się od grobowca i stanął twarzą w stronę wiatru. Powietrze byłoby tu rozkoszne, gdyby wykorzeń z siebie myśl, że jest w niem i dech śmierci. Z niepokojem przyglądał się krzyżom, urnom, aniołom, nieśmiertelnikom, kwiatom barwnym i zwiędłym i nagle dostrzegł miejsce, które wydało mu się tak różne od reszty otoczenia, że czuł się zmuszony podejść bliżej i przyjrzeć się temu dokładniej. Był to posępny zakątek, pośrodku którego stał masywny i dziwaczny krzyż z szarego, grubo ciosanego granitu, strzeżony przez cztery cisy. Zakątek ten był wolny od natłoku innych grobów, mając poza sobą mały ogródek z bukszpanowym żywopłotkiem, a przed sobą żółkniejącą brzozę. Ta oaza w pustyni konwencjonalnych grobów przemówiła do estetycznego poczucia Soamesa, więc usiadł tam w blasku słonecznym. Przez drżące,

złote listki brzozone spoglądał na Londyn i zdał się na fale wspomnień. Myślał o Irenie — tam na Montpellier Square — gdy jej włosy były złotawo-rude, a jej białe ramiona należały do niego... o Irenie, zdobywcy jego miłosnych namiętności, wzbraniającej się być jego własnością. Widział ciało Bosinney'a leżące w owej białej kostnicy oraz Irenę siedzącą na sofie i patrzącą nań zdaleka oczyma konającego ptaka. Potem znów myślał o niej, odtrącającej go ponownie — tam przy tej małej zielonej Niobie w lasku Bulońskim. Potem nurt wyobraźni poniósł go nad płynącą rzekę — w ów dzień listopadowy, gdy Fleur miała przyjść na świat; widział zeschnięte liście kołyszące się po zielonawej wodzie i zielska o głowach węzowych, wciąż chwiejące się, to wyściubiające się z wody, wygięte, ślepe, do dna przykute. Potem przypomniał sobie okno z widokiem na noc gwiaździstą i chłodną, a obok leżące zwłoki ojca. Potem przeskoczył myślą ku owemu obrazowi „przyszłego miasta“, do chwili pierwszego spotkania się Fleur z tym chłopcem, ku błękitnym smugom z cygara Prospera Profonda, do chwili, kiedy to Fleur stojąc w oknie wskazywała mu kierunek włóczegi tego draba. Następnie przypomniał sobie Irenę i tego niedawnego nieboszczyka, siedzących przy sobie na trybunie Lord Ground'u. Następnie widok jej i tego chłopca w Robin Hill. Następnie tę sofę, w której kątku skulona siedziała Fleur; przypomniał sobie, jak przycisnęła wargi do jego policzka i na pożegnanie powiedziała mu „tatuśku“. I naraz zobaczył znów rękę Ireny w szarej rękawiczce, dającą mu ostatni znak pożegnania i pojednania.

Siedział tak przez czas długi, marząc o swoim życiu — wierny do ostatniego włoska swemu instynktowi posiadania, rozgrzewając się nawet poniesionemi przezeń stratami.

„Do wynajęcia“ — i wiek Forsytowski i tryb życia, skoro człek jest bez żadnych trudności i kwestyj panem swej duszy, swego kapitału i swej kobiety. Teraz zaś państwo zagarnęło — lub zagarnie — jego kapitał, kobieta jest panią samej siebie, a do kogo należy jego dusza — wiadomo jedynie Bogu. „Do wynajęcia“ — zdrowa i prosta wiara!

Nadpływały spienione fale przemian, niosąc zapowiedź nowych form, gdy burząca ich powódź przejdzie już przez stadjum najwyższego rozpętania. On siedział, podświadomie zdając sobie z nich sprawę, lecz myślami ugrzęznawszy w przeszłości — jakgdyby ktoś jechał w noc burzliwą, zwrócony twarzą ku ogonowi galopującego konia. Poprzez tamy wiktoriańskie wlewały się fale, zalewające własność, obyczaje, moralność, melodię i dawne postaci sztuki — fale, wtlaczające mu w usta słony smak, jakby krwi, podmywające podnózek wzgórza Highgate, gdzie w grobie spoczywał wiktoriańszizm. Siedząc tutaj, w najbardziej indywidualnym punkcie tego miejsca, Soames — jakgdyby figura Prawa własności — nie dbał o ich niespokojne poszumy. Instynktownie nie chciało mu się z nimi walczyć; za wiele było w nim pierwotnej mądrości człowieka — zwierzęcia chciwego posiadania. One ucichną, gdy przeminie ich gorączkowy przypływ wydziedziczenia i burzenia, gdy twory i własności innych ludzi będą dostatecznie skruszone i obalone — wtedy te fale opadną i odpłyną i wyłonią się z nich nowe postaci, ugruntowane na instynkcie dawniejszym niż gorączka przemiany — na instynkcie domowego ogniska.

— *Je m'en fiche* — mówił Prosper Profond. Soames nie mówił: „*Je m'en fiche*“ (był to bowiem zwrot francuski, a sam Prosper był mu kolką w boku), jednakże w głębi duszy zdawał sobie sprawę z tego, że zmiana była tylko śmiertelnym przedziałem pomiędzy dwiema

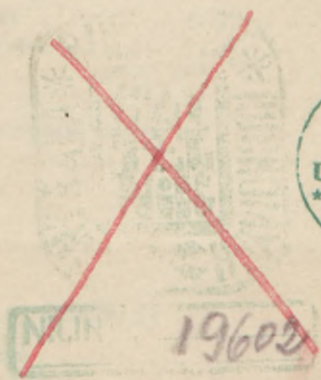


formami życia, zniszczeniem koniecznym dla zrobienia miejsca nowemu posiadaniu. Cóż z tego, że wywieszono tabliczkę i że dom jest do wynajęcia? Pewnego dnia ktoś nadejdzie i znów go obejmie w posiadanie.

Jedna tylko rzecz naprawdę go martwiła, gdy siedział tak — z melancholją w sercu — bo słońce niby czar jakiś padało na jego twarz i na obłoki i na złote liście brzozy — — i wiatr szeleścił tak cicho — a zieleni cisów tak była ciemna, a na niebie jawił się błądy sierp księżycy.

Jednej, jednej tylko rzeczy mógł sobie Soames żyć po wieczne czasy i nigdy jej nie osiągnąć na tym świecie: — piękna i miłość!

Koniec.





# SPIS RZECZY

---

INTERLUDJUM	Str.
PRZEBUDZENIE . . . . .	7

## DO WYNAJĘCIA

### CZEŚĆ I

Rozdział	I. Spotkanie . . . . .	41
"	II. Fine Fleur Forsyte . . . . .	64
"	III. W Robin Hill . . . . .	74
"	IV. Mauzoleum . . . . .	85
"	V. Rodzinne wrzasy . . . . .	99
"	VI. Jon . . . . .	111
"	VII. Fleur . . . . .	118
"	VIII. Idylla na zielonej trawce . . . . .	126
"	IX. Goya . . . . .	131
"	X. Trio . . . . .	147
"	XI. Duet . . . . .	155
"	XII. Kaprys . . . . .	163

### CZEŚĆ II

Rozdział	I. Matka i syn . . . . .	179
"	II. Ojcowie i córki . . . . .	186
"	III. Spotkania . . . . .	206
"	IV. Na Green Street . . . . .	220
"	V. Sprawy czysto Forsytowskie . . . . .	228
"	VI. Prywatne życie Soamesa . . . . .	236

	Str.
Rozdział VII. Juna bierze się do rzeczy . . . . .	250
„ VIII. Kęs między zębami . . . . .	257
„ IX. Oliwa do ognia . . . . .	265
„ X. Decyzja . . . . .	277
„ XI. Tymoteusz prorokuje . . . . .	283

### CZEŚĆ III

Rozdział I. Stary Jolyon chodzi po świecie . . . . .	299
„ II. Wyznanie . . . . .	310
„ III. Ireno! . . . . .	318
„ IV. Soames rozmyśla . . . . .	324
„ V. Idée fixe . . . . .	333
„ VI. W desperacji . . . . .	339
„ VII. Poselstwo . . . . .	349
„ VIII. Pośpna nuta . . . . .	360
„ IX. Pod dębem . . . . .	367
„ X. Zaślubiny Fleur . . . . .	370
„ XI. Ostatni ze starych Forsytów . . . . .	383

---

$$820-3=817$$





Biblioteka UJK Kielce

**UJK**



0502358